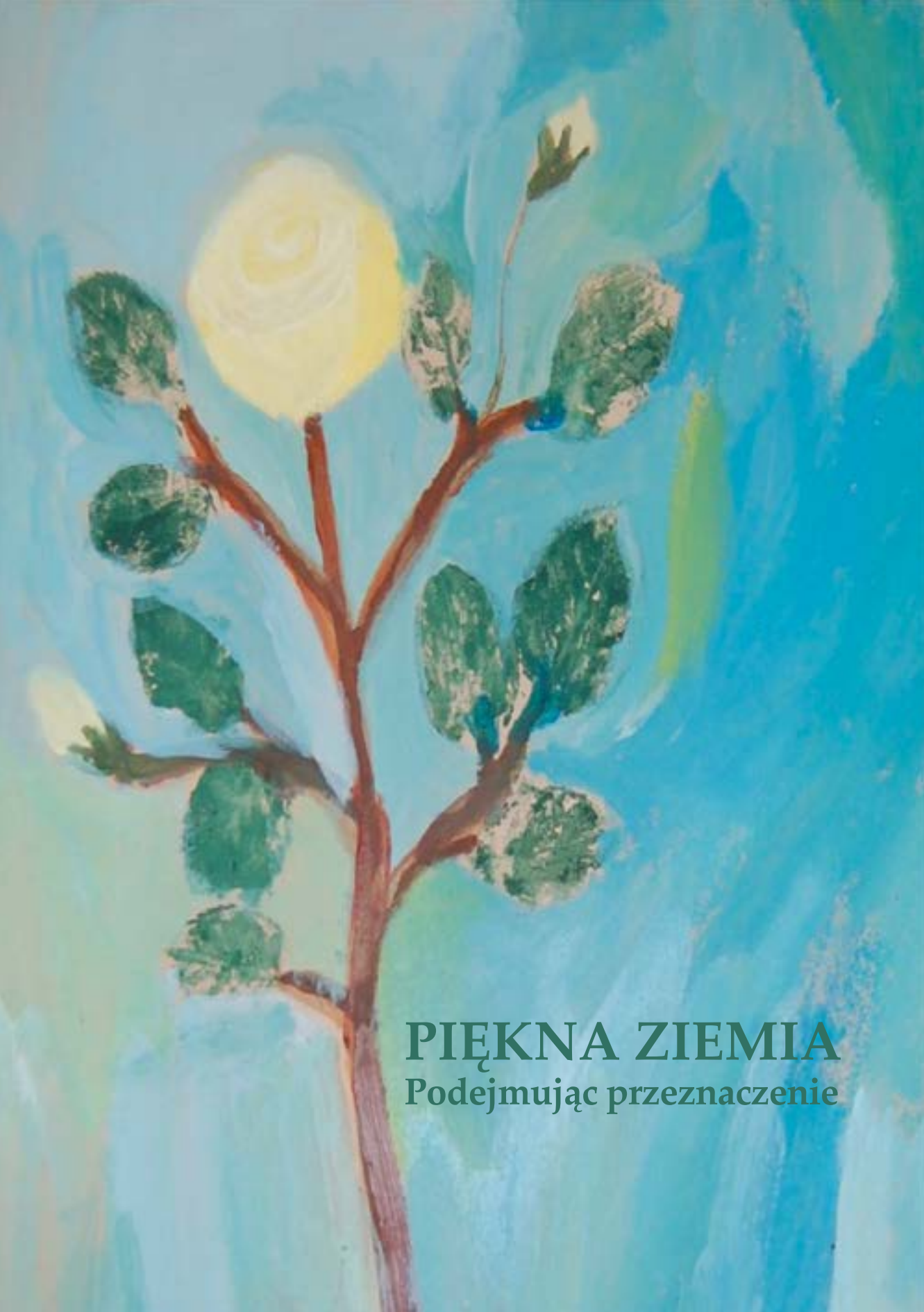


PIĘKNA ZIEMIA

Podejmując przeznaczenie

PIĘKNA ZIEMIA
Podejmując przeznaczenie

POLA LERKA

Wydano z potrzeby serca

wolność
przeznaczenie
cierpienie
miłość
szczęście
życie

© Copyright by author, 2021

Ilustracje: Dar Dzieci
© Copyright for the illustrations by author

ISBN 978-83-944198-2-0

Książkę tę dedykuję
Maryi,
najmilszej Matce naszej
w podziękowaniu za Miłość
i walkę o każdego człowieka

oraz

Tobie

Historia przedstawiona w tej książce jest oparta na faktach.
Obok doświadczeń i osobistych przemyśleń znalazły się w niej
elementy wykraczające ponad rzeczywistość doczesności,
dane autorce na etapie powstawania tej książki.
Te rozdziały czy fragmenty zostały zapisane kursywą.
Opowieść ta jest próbą szukania prawdy i drogi, a tym samym
daleka jest od oceniania ludzkich wyborów.

Podziękowania

Gdzie słowa nie starczają,
przyjmijcie proszę wdzięczność serca.

Chciałabym w tym miejscu podziękować Wam wszystkim, którzy stanęliście na mojej drodze. To dzięki Waszej pomocy, obecności czy nawet przelotnemu spotkaniu mogłam dotrzeć do tego miejsca. Nie sposób mi rozpocząć inaczej, gdyż bez Was nie byłoby tej opowieści.

Proszę Was, którzy zawsze byliście obok i wspieraliście mnie, jak również wszystkich, którzy pomagali mi w pracy nad książką, prowadząc me myśli, przyjmijcie me podziękowania. To dzięki Wam spróbowałam uwierzyć w siebie, a tam gdzie nie zdołałam, sprawiliście, że pojęłam, iż to, co naprawdę istotne, często zaczyna się od tego, co małe i niepozorne, dlatego zawsze warto próbować. Staliście się mi opoką miłości, przyjaźni i braterstwa, służyliście radą, rozjaśnialiście spojrzenie i myśli oraz dodawaliście sił. Zawsze podawaliście swą dłoń, abym nie upadła, lecz mimo słabości wytrwała, jak też drugie skrzydło, bym miała odwagę walczyć o marzenia.

Przed Dziećmi chylę głowę w podziękowaniu za ubarwienie i rozświetlenie stron tej książki wspaniałymi obrazami. Dziękuję za wzbogacenie słowa sztuką, za harmonię i jasność, czystość, szczerość i prostolinijność dziecięcego serca – za tak piękne dopełnienie tej historii. Dziękuję również za to, że wydobyłyście istotę, potwierdziłyście prawdę i wniosłyście kolory nie tylko w tę opowieść, ale każdego dnia „malujecie" nasz świat barwami głębokiego szczęścia, światłem prawdy oraz ciepłem i siłą miłości.

Chciałabym także podziękować osobom, dzięki którym opowieść ta mogła stać się książką, by następnie trafić „pod strzechy". Przyjmijcie me wyrazy wdzięczności: za korektę tekstu, nadanie mu odpowiedniego kształtu oraz pomoc w wydaniu książki, za pracę podjętą i wypełnioną w trudzie godzenia jej z codziennymi obowiązkami, pomimo braku czasu i zmęczenia, zaś nade wszystko za uczynienie tego w darze serca dla drugiego człowieka.

Za wkład umysłu i serca oraz tak wielkoduszny dar – Wasz czas,
za to że jesteście i przy mnie trwacie
Z CAŁEGO SERCA WAM DZIĘKUJĘ.

Pragnę również podziękować każdemu, kto stanął na mojej drodze, wnosząc cząstkę siebie w me życie, a tym samym pomagając mi dotrzeć do punktu, w którym mogłam sięgnąć po pióro. Każdy bowiem gest, słowo, spojrzenie, uśmiech, krzyk czy łza odcisnęły się w mym sercu i pozostały w nim nie bez swego znaczenia. To dzięki Wam, człowiekowi obok, doszłam tutaj. Proszę zatem, odnajdźcie siebie w tych słowach, w jakich pragnę przelać swoje podziękowania w Wasze serca, w tym tak prostym, jednak najszczerszym:

DZIĘKUJĘ.

DZIĘKUJĘ WAM WSZYSTKIM:
za to, że jestem,
za to, że jestem, kim jestem,
za to, że doszłam aż tutaj,
za Wasze dobro i wyciągniętą dłoń,
za światło i drogowskaz, gdy nie wiedziałam, dokąd podążać,
za ufność, czystość i prostolinijność dziecięcego serca,
za zrozumienie i wsparcie, uśmiech i łzy,
za wiarę w człowieka, jaką swym obrazem budujecie każdego dnia,
za świadectwo głębi cierpienia i wartości trudu,
za wychodzenie naprzeciw drugiej osobie ze szczerą troską,
za bycie obok, odpędzające pustkę i samotność,
za światło w Waszych oczach, które wskazuje na istotę i sens,
i nie pozwala się poddać,
a nade wszystko za MIŁOŚĆ!

To Wy bowiem jesteście najwspanialszym świadectwem i niepodważalnym dowodem największej i najpiękniejszej prawdy o człowieku – prawdy ludzkiego serca.

Rodzinie i Przyjaciołom, Dzieciom oraz Wam,
którzy z otwartym sercem stanęliście na mojej i na naszej drodze,
jak również wszystkim ludziom dobrej woli za człowieczeństwo
i nadzieję na piękny świat
Z SERCA DZIĘKUJĘ!



Wstęp

Dokąd podążamy?
Czego naprawdę pragniemy?

Kiedy przyjdzie nam stanąć twarzą w twarz z przeznaczeniem, tym innym niż to, którego oczekujemy w misternym i dokładnie przemyślanym lub też chaotycznym planie naszej przyszłości, na ogół ogarnia nas przerażenie. Strach wkrada się w głębię serca, kierując w naszą stronę ostrze swej jakże sprawdzonej już broni – obawy przed nieznanym, starając się wtrącić nas w otchłań zagubienia, skąd już tylko krok do rozpaczy. I rzeczywiście wpadamy w mroczną przepaść lęku, tym głębszą i ciemniejszą, im większą wydaje się być złodziejką naszych planów i marzeń. Obawiamy się, gdyż takie jest nasze jestestwo. Rzeźbione nie tylko pięknem, miłością i marzeniami, lecz także cierpieniem, rozpaczą i strachem. To zupełnie ludzkie. Mamy prawo się bać, krzyczeć ze strachu, łkać w lęku i zagubieniu. Jednak, tak jak prawem człowieka jest się trwożyć, tak jego wielkością jest stawić temu czoła. Dopóki zaś nie podejmiemy wyzwania, nigdy nie dowiemy się, na ile nas stać, a „posiadamy w sobie dużo więcej możliwości, niż o tym wiemy" (Św. Teresa Benedykta od Krzyża – Edyta Stein).

Nim więc pogrążymy się w rozpaczy, nie zawahajmy się spojrzeć w twarz temu, czemu przyszło nam stawić czoła. Czym jest naprawdę? Czy rzeczywiście ma takie rysy, jakie maluje strach? Wejrzyjmy w siebie samych i posłuchajmy szeptu prawdy. Potem zaś sięgnijmy w głębię własnego serca, aby zadać sobie jedno ważne pytanie: „Jakie jest prawdziwe oblicze naszych marzeń?" – tych najistotniejszych marzeń, jakie kryją się głęboko w nas, odrzucając wszelkie fałszujące prawdę przykrywki mody, stereotypów i wygody. Inne pytania to: „Czego naprawdę pragniemy?", „Do czego dążymy?", „Dokąd wyrywają się nasze serce i dusza?" czy też: „Kim jesteśmy?" i „Kim być pragniemy?".

Zdając zaś sobie sprawę z najgłębszych pragnień, nie lękajmy się za nimi podążać. Znajdźmy światło – promień, pozwalając mu rozbłysnąć w naszych sercach. Niech ten blask z głębi przebije ciasne, krępujące nas więzy doczesności, gdyż to od nas zależy, czy będzie mógł zajaśnieć. Szczęście bowiem nie tyle jest darem, co wyborem każdego z nas. Wyborem, który niejednokrotnie pociąga za sobą wiele pracy, wyrzeczeń i trudów, a jego prawdziwe oblicze tworzą nasze najgłębsze pragnienia oraz rytm, jakim bije nasze serce i drży dusza, nie zaś zewnętrzna powłoka otaczającej nas rzeczywistości, gdyż:

Radość tkwi nie w rzeczach, ale w głębi naszej duszy.
(Św. Teresa z Lisieux)

Podejmując natomiast niejednokrotnie mozolne lub trudne wyzwania, wymagające wyrzeczeń czy poświęceń, nie jesteśmy w stanie przewidzieć, a nawet przypuszczać, jakie piękno możemy odkryć i współtworzyć oraz jakich cudów doświadczyć, kierując się dobrem i szlachetnością, dążąc do poznania prawdy i pozostając jej wiernym, podążając ścieżką swego życia z wiarą i nadzieją, a nade wszystko miłością.



Wolność

…i wielkość.

Wolność jest nam jednocześnie dana i zadana –
nie jest ulgą, lecz trudem wielkości.

(Jan Paweł II, Jasna Góra, 19 VI 1983 r.)

Narodziny

Kiedy rodzi się dziecko, każdy promień słońca
uśmiecha się wszystkimi kolorami tęczy.

Kiedy przyszedł jej czas, słońce świeciło mocno i jasno, jakby chciało swym ciepłem ucałować ziemię. Ten słoneczny pocałunek, wyczekiwany długą zimę otulił czule całą ziemię, a wtedy z jej wnętrza dał się słyszeć szmer budzących się do życia kwiatów i wszelkich stworzeń, które pod jej osłoną chroniły się od mrozów zimy, w tym oczekiwaniu nucąc pieśń najpiękniejszej nadziei – nadziei nowego życia. Wróble ćwierkały tak głośno i radośnie, że nikt nie mógłby jej przekonać, iż nie jest to pieśń właśnie na jej powitanie.

„Oczywiście, że musiały wiedzieć – powiedziałaby zapewne. – Posłuchajcie ich tylko".

Wznosząc się ponad ten świergot, każdy, kto tylko potrafił zamknąć oczy i dobrze się wsłuchać, mógł usłyszeć przynoszony przez wiatr klekot bocianów i szczebiot jaskółek, powracających do ojczyzny – tam, gdzie serce i dom ich. Wiatr wiał nieustannie, otulając całą ziemię swym delikatnym tchnieniem i wiosenną wonią radości, ani na chwilę jednak nie ustając w swym zadaniu siewcy, roznosząc niezasiane jeszcze nasiona i pyłki, każde według ich przeznaczenia. Panowała harmonia tak doskonała i piękna, że trudno było ją opisać. Dziewczyna aż otworzyła usta z wrażenia.

– Któż inny mógłby stworzyć coś takiego… – westchnęła w zachwycie, patrząc na to wszystko i podziwiając w całej okazałości.

A zdawało się tak niesamowite. Nie było gałązki i pąku, które nie znalazłyby się dokładnie tam, gdzie ich miejsce, ani kwiatu, listka, źdźbła trawy, kropli rosy, szmeru, oddechu, prochu czy biedronki bez swego przeznaczenia. Wszystko trwało na właściwym miejscu. Słońce świeciło nie za blisko i nie za daleko, jakby trzymane czyjąś ręką. Dzień tworzył i radował, noc niosła odpoczynek, ukojenie i obietnicę kolejnego wschodu słońca. Wszystko toczyło się, a teraz właśnie rozkwitało w doskonałej harmonii i pięknie.

„Jakie to cudowne i doskonałe dzieło – pomyślała, po czym zamknęła oczy i z całej swej głębi dodała: – Dziękuję za to wszystko! I dziękuję, że mogę przyjść właśnie teraz. To takie wspaniałe urodzić się na wiosnę".

Lecz coś ją niepokoiło i martwiło. Zobaczyła bowiem również zadufanych w sobie, którzy nie dostrzegali tej harmonii i piękna. Nie znali zachwytu, podziwu, miłości i wdzięczności. Napędzała

ich chęć władzy i posiadania, pycha oraz pogarda. Chcieli ułożyć wszystko po swojemu i stać się panami świata, a im bardziej do tego dążyli, tym gęstsza mgła zasłaniała ich oczy, przesłaniając prawdę. A wtedy nastawała ciemność i zniszczenie.

„Nie! Nie! Stop! Zatrzymajcie się!" – chciała krzyknąć z całych sił, lecz nie zdążyła, gdyż właśnie nadszedł jej czas. Czas narodzin.

Wybiła północ. Poczuła zapach i światło ziemi, więc już tu jest. Złapawszy pierwszy oddech, jej dusza zawołała na powitanie najgłośniej jak potrafiła: „Tu jest przecież tak pięknie!". Usta zaś w tym samym czasie, nie zdążywszy wykrzyczeć tego, na co brakło im czasu, otworzyły się w głośnym płaczu.

Usłyszawszy ten krzyk, lekarz powiedział:

– Już dobrze. Już wszystko dobrze.

Po czym podał tę maleńką kruszynkę w objęcia matki, w to jedyne miejsce na tym świecie, gdzie niebo łączyło się z ziemią. I tam znalazła ukojenie.

Matka, tuląc ją do swego serca, spojrzała w jej ledwie uchylone oczka, otwarte jednak na tyle, by dało się dostrzec bijący z nich blask i szlachetność, a wtedy jej serce wiedziało od razu:

– Nazwę cię Sara – rzekła. – Sara, moja mała księżniczka*.



* Sara – imię pochodzenia hebrajskiego, oznacza: „księżniczka".

Początek

I rozpoczęła się jej ziemska wędrówka.

I rozpoczęła się jej ziemska wędrówka. Razem ze świergotem wróbli, bosym tańcem wśród porannej rosy, wspinaniem się na drzewa, wścibianiem małego noska w kielichy kwiatów, tonięciem w kwieciu i trawach łąk, tuleniem ludzi i wszelkich żywych stworzeń. Przepełniał ją zachwyt i podziw. Niezmienny, nieprzerwany, wzrastający z każdym nowym dniem. Pierwsze promienie słońca każdego poranka budziły w jej sercu radość i wdzięczność duszy tak wielką, że tryskało z niej wewnętrzne światło, w obliczu którego nie sposób się nie uśmiechnąć. Była jak Boża iskierka niosąca jasność i ciepło. Maleńka i drobna jak niezapominajka zapadająca głęboko w pamięć, o ile potrafi się ją dostrzec i nie podeptać. Po prostu, jak każde dziecko była światełkiem, które pragnie rozpalić płomień miłości i zachwytu w sercach ludzi.

Pląsając tak wśród łąk i pól, marzyła jedynie, by to piękno mogło trwać, i pragnęła nigdy nie dorosnąć. Dorośli bowiem gubili się w szarości i zgiełku codzienności, które tak bardzo ich przytłaczały. Coraz częściej zapominali o Bożych ogrodach, chcąc zakładać własne, bardziej pasujące do mody, stylu, czasu i wygody. Tak miało być lepiej i łatwiej, tak mieli stać się kimś. Tylko kim?

Tworzyli więc swoje ogrody dokładnie przemyślane i zaplanowane. Nie znajdowali w nich miejsca na polne kwiaty, postrzegane jako pospolite. Wielkie drzewa zaś nadmiernie śmieciły, zrzucając liście, a świergot ptasi zakłócał spokój. Sadzone tam rośliny modyfikowano, aby nie okazały się za małe lub przesadnie duże, by nie robiły bałaganu i nie wymagały zbyt wielkiej troski. W ogrodach tych nie było wydeptanych bosą stopą ścieżek, lecz betonowe tarasy i takież same pasujące do nich dróżki. Coraz rzadziej rozbrzmiewał tam ptasi śpiew i radosny śmiech dziecka. Jeśli zaś w nieprzewidzianym na to miejscu wyrosła roślinka, wyrywano ją, gdyż zakłócała plan. Znalazłszy natomiast zdeformowany pąk, miażdżono go, bo kwiat, który z niego miał rozkwitnąć, mógł nie pasować i szpecić to misterne ludzkie dzieło. Coraz mniej ludzi potrafiło się cieszyć ze wschodu słońca, wielu bowiem uważało to za zupełnie oczywiste, nie doceniając jego piękna oraz darów światła i ciepła, jakie z sobą przynosił każdego poranka. Tam zaś, gdzie kończyły się zachwyt i wdzięczność, zaczynała się ślepota, marność i zatracenie.

Czy ona to wiedziała? Teraz, w natłoku ziemskich spraw, nie było widać tego wszystkiego już tak klarownie, lecz pojmowała to w czystości swego dziecięcego serca. Z czasem jednak, im bardziej

dorastała, a świat coraz mocniej kusił światełkami i błyskotkami, uznaniem i pozycjami doczesności, stawało się to coraz trudniejsze. Nieraz musiała zamknąć oczy i wsłuchać się w prawdę, by nie dać się zwieść pozorom. Niekied bywało to bardzo trudne. Bowiem w świecie, w którym panował kult rozumu, gdzie odrzucało się serce i zapominało o duszy, uważano to wręcz za śmieszne.

I tak dni przemijały, słońce wschodziło i zachodziło, mijały pory roku, a wiatr wiał nieustannie, roznosząc każdy pyłek i każde nasienie dokładnie tam, gdzie jego miejsce i przeznaczenie…



Dopełnienie

Nauczyciel postawił przed uczniami akwarium, po czym rzekł do nich:

„Wypełnijcie je proszę tak, by już nic więcej się nie zmieściło".

Uczniowie włożyli do środka wszystko, co mieli pod ręką, uzupełniając pojemnik mnóstwem drobnych kamyczków, tak że niemal wysypywały się z niego. Wypełnione po brzegi – to wydawało się być mało powiedziane.

„Czy to już wszystko?" – spytał jednak nauczyciel. – „Widzę jeszcze wolne przestrzenie pomiędzy umieszczonymi tam przedmiotami".

Faktycznie, znajdujące się w nim obiekty nie przylegały do siebie ściśle, co skutkowało obecnością wielu luk. Wtedy jeden z uczniów podbiegł, nabrał najdrobniejszego piasku i zaczął powoli wsypywać go do akwarium, a jego ziarenka wsuwały się w najmniejsze nawet szczeliny, wypełniając wolne przestrzenie. Dokończywszy dzieła, stwierdził:

„Teraz akwarium jest wypełnione. Nie ma już żadnych luk".

Inni uczniowie popatrzyli na niego z uznaniem i przytaknęli:

„Tak, gotowe".

Faktycznie. Luki zniknęły. Piasek był tak drobny, że udało mu się zapełnić wszystkie wolne przestrzenie. Nauczyciel spojrzał na nich z nieukrywaną dumą, lecz po chwili rzekł:

„Wypełnione po brzegi, jednak jeszcze nie pełne".

Wziął wiaderko, nalał do niego wody i powoli wlewał ją do akwarium. Patrzyli w milczeniu jak woda rozlewała się, docierając wszędzie i uzupełniając dzieło. Wydawało się, że było ono już wcześniej ukończone, gdy tymczasem zabrakło dopełnienia, będącego równocześnie jego istotą i sensem.

Od kilku dni świat nabrał innych barw, coś się zmieniło. Tak, jakby ulubiona muzyka rozbrzmiała nagle pełną gamą swych dźwięków, mimo iż już wcześniej sprawiała wrażenie idealnej. Teraz jednak brzmiała jakoś inaczej, jakby pełniej. W doskonałym dziele pojawiły się nowe nuty, choć wydawało się niepojęte, gdzie mogły jeszcze tak harmonijnie zostać wplecione.

„Ach, życie – pomyślała. – Ciągle nas zaskakuje. Kiedy przypuszczamy, że znamy jego bieg, zadziwia swą głębią". Uśmiechnęła się.

Wiedziała, że nie tylko ona słyszy tę muzykę. W oczach jej męża wyraźnie było widać, że i on wychwytuje te dźwięki. Ich brzmienie pozostawiali jednak wyłącznie nieśmiałemu spojrzeniu. Grało tak pięknie. Szkoda byłoby zakłócać tę melodię niepotrzebnymi słowami. A może bali się wypowiedzieć głośno swe marzenie w obawie, by nie prysło? Zdawali sobie sprawę, że dziecko w dzisiejszych czasach jest cudem, na który tak wielu czeka latami, a innym zgasła już nadzieja. Nie mieli więc śmiałości spodziewać się, by zostały im oszczędzone długie miesiące oczekiwania. I tak dni upływały w milczeniu, aż w końcu padło pytanie:

– Może jesteś w ciąży?

Uśmiechnęła się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Nie żartuj sobie – odparła, jakby speszona tym, że ktoś odkrył jej myśli.

Kiedy jednak pytanie to powróciło następnego dnia, z pewnym zakłopotaniem, z którego nie wiadomo jak wybrnąć, a może nawet lekkim zdenerwowaniem, że zakłócony został spokój jej marzeń, odrzekła krótko:

– Najprostszym sposobem, by to sprawdzić, jest test ciążowy.

Zaskoczyło ją to powtarzające się bezpośrednie dociekanie i słowa te same wymknęły się jej z ust. Zabrzmiały jednak tak banalnie, odarte z czaru największej i najpiękniejszej tajemnicy, przecież nie to chciała powiedzieć. Wydawało się jej, że jest za wcześnie na takie pytania, a może po prostu pragnęła trochę dłużej pomarzyć, nim przyjdzie im stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. Tak wielu ich znajomych już od lat starało się o dziecko…

Dźwięk domofonu wyrwał ją z zamyślenia. Skierowała pytające spojrzenie w stronę wejścia. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jej mąż wracał z testem w ręku. U progu mieszkania zwolnił kroku. Zamknął za sobą cicho drzwi, po czym oparł się ramieniem i głową o ścianę, patrząc na nią. Stali w milczeniu naprzeciwko siebie, połączeni tym samym spojrzeniem. Nie musieli nic mówić, teraz już wszystko było jasne. Snuli razem to samo marzenie i obawiali się, by nie prysło, tak bardzo pragnęli jego spełnienia. Może właśnie stali przed ogłoszeniem jednego z najważniejszych wydarzeń ich życia? W końcu podeszła do niego, a on przytulił ją i tak oto wszystko zostało powiedziane.

Trudno było oprzeć się ogromnemu podekscytowaniu, jakie ich teraz ogarnęło. Postanowili jednak zaczekać do rana, kiedy wynik testu powinien być najbardziej wiarygodny.

Tej nocy dwa razy śniło się jej, że test wyszedł pozytywnie. Wiedziała jednak że w snach rzeczywistość często jawi się wspak, jakby chcąc płatać nam figle. Rano otworzyła więc test ze spokojem, nie śmiąc niczego oczekiwać, choć nie opuszczała jej nadzieja muzyki rozbrzmiewającej w ich sercach. Zamknęła oczy. Tak łatwiej było odczekać tych kilka minut

na pojawienie się wyniku, by nie dać się zwodzić ułudzie. „Chyba już" – pomyślała i podniosła powieki. Na pasku testu pojawiła się malutka, upragniona kreseczka. Kobieta poderwała się i aż krzyknęła z radości, po czym pobiegła w stronę męża, wołając:

– Chodź, zobacz!

Stało się. Oboje nie mogli uwierzyć własnym oczom. Spojrzeli na siebie z uśmiechem, a w ich oczach, jak w zwierciadle duszy odbijał się blask szczęścia. Zabrakło im słów. Cóż można było bowiem powiedzieć w chwili, gdy pojęli, że doświadczają „cudu" daru życia. Pod jej sercem wzrastał maleńki człowiek, który był ich wymarzonym dzieckiem. Było to równie wspaniałe, jak niesamowite. Wyczekiwane, a równocześnie będące jak niespodziewany podarunek. Nowe życie. Dziecko. Człowiek. Największy „cud" tego świata.

I teraz już głośno i wyraźnie zadźwięczały w ich sercach te właśnie nuty życia, które wygrywają tak wspaniałą i niepojętą melodię. Nie sposób sobie nawet wyobrazić, jaką pełnią i głębią może ona zabrzmieć, jak wiele zmienia, wzbogaca i dopełnia, dopóki się jej nie doświadczy.

Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe,
Zniknie to, co jest tylko częściowe.
(1Kor 13, 10)



Potwierdzenie

Szukać potwierdzenia
czy wsłuchać się w nie?

Pełna radości i podekscytowania, chcąc jak najlepiej zadbać o ich maleństwo, następnego dnia udała się do lekarza, by potwierdzić wynik testu i dowiedzieć się, jak powinna teraz postępować.

– Kiedy była ostatnia miesiączka? – spytał lekarz.

– Cztery tygodnie temu – odparła.

– Jeszcze za wcześnie na to, bym mógł stwierdzić ciążę. – Doktor uśmiechnął się ciepło, a potem dodał: – Możemy wykonać badanie krwi lub proszę przyjść w szóstym tygodniu.

Nie potrzebowała robić badań krwi. Serce mówiło jej, że test się nie mylił. Z chwilą, gdy rodzi się nowe życie, powstaje tajemna nić porozumienia między matką a dzieckiem. Szept, który łączy ich serca i dusze. Radość, która rozpromienia od środka, odtąd już na zawsze. I ona ten szept słyszała, bardzo wyraźnie, choć wydawał się być zaledwie cichym, delikatnym głosikiem. Słyszała go już wcześniej, lecz nie była pewna, czy nie był to jedynie odgłos marzeń. Teraz wiedziała już, że jest prawdziwy.

„Może tu właśnie kończą się możliwości poznania naszego umysłu, a zaczyna poznanie serca i duszy?" – rozmyślała. „Czy też właśnie otwiera się przed nami nieodkryty dotąd potencjał ludzkiego mózgu? A może po prostu jest to niedająca się ująć żadnymi miarami, normami czy kalkulacjami wielkość człowieka?"



Czas marzeń

Marzyła jak każda matka…

Oboje z mężem zdawali sobie sprawę, że pierwsze miesiące życia ich dziecka są bardzo ważne, wtedy bowiem rozwijają się wszystkie jego narządy. Nie było więc czasu do stracenia. Jak najszybciej musieli zdobyć wszelkie niezbędne informacje o świecie, w jakim wzrastało ich maleństwo, i jego potrzebach. W związku z tym następne dni upłynęły im na wizytach w księgarniach, surfowaniu po internecie, uzupełnianiu domowego menu o wszystkie niezbędne produkty spożywcze oraz tworzeniu listy zakazanych przysmaków. Nie chcieli niczego zaniedbać, gdyż właśnie teraz mogli wpłynąć na życie i zdrowie swojego dziecka. Pragnęli dać mu wszystko, co najlepsze. Jej brzuch stał się słońcem, wokół którego zawirował ich świat.

– Tak, rośnie nam piękny, nowy człowiek – potwierdził lekarz w szóstym tygodniu.

– Będziemy mieli dzidziusia! – krzyczała radośnie już z progu mieszkania, nie mogąc powstrzymać emocji.

Mąż uśmiechnął się. Trudno było zatrzymać ten wulkan szczęścia. Śmiali się i tańczyli z radości.

Czy była nieco szalona, a może ciut roztrzepana, będąc równocześnie porządną i zorganizowaną? Chyba tak. Może była po prostu pozytywnie zakręconą, energiczną młodą osóbką. Chciała odkrywać cały świat, zrobić tyle rzeczy i w ogóle najlepiej każdemu wrzucić do kieszeni samoprzylepną radość i zachwyt, których nie sposób odkleić, by zostały przy nim na zawsze. Pragnęła podziwiać i zmieniać świat na lepsze, aby stał się pełen radości i miłości. Była w ciągłym ruchu, nieustannie mając mnóstwo rzeczy do zrobienia. Niemal wszystko ją fascynowało. Pojawiały się jednak i takie zajęcia, do których podchodziła z mniejszym entuzjazmem. Uważała, że zabierają jej zbyt wiele czasu, który chciała spożytkować na ważniejsze czy bardziej słuszne w jej odczuciu zadania. Gdyby na przykład wynaleziono jakąś tabletkę lub inny prosty i zdrowy sposób odżywiania, bez konieczności przygotowywania posiłków, z radością by na to przystała. Zawsze miała wrażenie, że go-

towanie zabiera jej zbyt dużo czasu. Świat był tak wielki, piękny i ciekawy. Tyle jeszcze chciała zobaczyć i zrobić. Była ciągle jak mała, rozhasana dziewczynka, która najchętniej porwałaby coś w roztańczoną dłoń i pobiegła dalej pląsać po łąkach, polach i lasach, podziwiając ich uroki. Budzona pierwszymi promykami słońca wpadającymi rano przez okno i łaskoczącymi ją swym blaskiem, podziwiając kwiaty, drzewa, góry i każde żywe stworzenie, nie mogła się nadziwić wspaniałości tego świata. Nawet chwasty uważała za piękne, szczególnie w obliczu przypuszczeń, że żadna z pozostałych planet naszego układu słonecznego nie posiada najmniejszej nawet formy życia.

Przepełniał ją zachwyt i wdzięczność za wszelkie dobro i piękno tego świata. A teraz świadomość, że pod jej sercem wzrasta dziecko, potęgowała jeszcze te uczucia. Wszystko wydawało się takie cudowne. W swych marzeniach widziała, jak biegają razem po łąkach, wąchając kwiaty oraz goniąc motyle i ptaki, wspinają się na pagórki, by później zbiegać z nich lub się turlać, uczą się śpiewu od ptaków, a fruwania od wiatru, zbierają rankiem rosę w swe dłonie i tańczą w deszczu, śmieją się bez powodu i zasypiają w swych ramionach. Takie i podobne marzenia o ich wspaniałym maleństwie i wspólnym życiu nie opuszczały jej na krok. Ciągle więc uśmiechała się sama do siebie.

Teraz jednak przede wszystkim musiała zadbać o swoje dzieciątko.

– Niczego nie może mu zabraknąć do prawidłowego rozwoju – powtarzała sobie, starając się skupić na tym, co wydawało się jej tak ważne.

Zawsze poważnie traktowała swoje zadania, potrafiąc wykazać się niekwestionowaną obowiązkowością i zorganizowaniem. Tak też wszystko szybko zostało odpowiednio zaplanowane. Nawet przygotowywanie stałych posiłków już jej nie przeszkadzało i nie nużyło, stając się teraz jedną z ważniejszych spraw w tym wyjątkowym czasie.

Starała się bardzo, by maleństwu dostarczać wszystkiego, czego potrzebuje, a i jej łatwiej było przebrnąć przez trudy pierwszego trymestru ciąży. Mimo że czasem musiała się położyć w ciągu dnia i zdecydowanie wcześniej niż dotąd chodziła spać, pierwsze miesiące ciąży znosiła dobrze, a wyniki badań były idealne. Wszystko wydawało się takie wspaniałe. Aż chciało się fruwać z radości. Zamykała oczy, a czując wiatr na swej twarzy, wyobrażała sobie, że tańczy on dla nich. Słysząc zaś trele ptaków, śpiewała w duszy razem z nimi pierwsze kołysanki dla ich dzieciątka.

Nie mogła się już doczekać, kiedy je zobaczy. Czekała na pierwsze USG jak na wymarzoną randkę. Spotkanie, na którym w końcu je ujrzą. To było takie ekscytujące.

– Co właściwie lekarze oglądają na pierwszym USG, kiedy dziecko jest jeszcze takie maleńkie? – spytała przyjaciółkę, która niedawno urodziła synka.

– Czy ciąża nie jest urojona. Czy jest jedno dziecko, czy może jest to ciąża bliźniacza. Takie tam ogólne rzeczy – padła odpowiedź.

„Urojona? – rozbrzmiało pytaniem w jej myślach. – A może ze szczęścia wymyśliłam je sobie?"

Przez chwilę się zawahała, jednak zaraz uśmiechnęła się sama do siebie, jakby chcąc powiedzieć: „Ach, ty głuptasku, czy serce może kłamać?".

Zaczęła odliczać dni, tak bardzo nie mogła się już doczekać, by je zobaczyć i opowiedzieć całemu światu, jakie cudownie malutkie ma rączki i nóżki, główkę jak ziarnko groszku, jakbije jego serduszko i jakie zwinne robi fikołki.

– Niech cały świat cieszy się razem z nami – mówiła, uśmiechając się. – Jakże wspaniale jest dzielić takie wielkie szczęście.

Znów była jak mała dziewczynka. Najchętniej skakałaby z radości i musiała się powstrzymywać, by nie zrobić tego na środku ulicy. Choć starała się zachowywać z powagą należną osobie dorosłej, nie zawsze jej to wychodziło. Czasem ją to martwiło, w głębi duszy pragnęła jednak, by ta mała, wesoła trzpiotka, która mieszkała w jej sercu, nigdy się stamtąd nie wyprowadziła. Była bowiem zbyt szczera, prostolinijna i dobroduszna, by potrafiła bez niej żyć.

I tak rozpoczął się czas czekania i marzeń. Dni szybko mijały w radości oczekiwania, a ona nie mogła się oprzeć rozmyślaniom o ich malutkim skarbie. Marzyła, jaki będzie cudowny, jak będzie się śmiał i biegał radośnie. Jaki będzie piękny i mądry. Do kogo będzie podobny, jakie będzie miał zdolności i o wszystkim innym, co jeszcze tylko można było wymyślić i o czym marzyć. A może po prostu, jaki jest i będzie wspaniały.

Z całą zaś pewnością, jak każda matka, wiedziała jedno – że będzie wyjątkowy.



Konfrontacja

Wydawało jej się, że zawisła w czasoprzestrzeni,
mając nadzieję, że tam, gdzie spadnie,
będzie wystarczająco miękko, by nie pękło jej serce…

W końcu nadszedł ten dzień. Siedząc w poczekali, obserwowała wychodzące, uśmiechnięte mamy ze ślicznymi brzuszkami i dumnych tatusiów. Spojrzała na swój brzuch, ciągle płaski, z niewielkim zaokrągleniem widocznym tylko dla nich. A jednak tam właśnie ukryty był ich największy skarb. Ludzie przychodzili i wychodzili, a na twarzach wszystkich rysował się ten sam obraz – radość i tęsknota w oczekiwaniu na upragnione dziecko. Jakże miło było na nich patrzeć.

– Proszę następnych – rozległ się nagle głos.

Weszli do przyciemnionego pomieszczenia. Lekarz ciepło ich przywitał. Zapytał o wiek i dotychczasowy przebieg ciąży, przeprowadził krótki wywiad na temat ich zdrowia oraz ewentualnych obciążeń genetycznych w ich rodzinach, po czym zaprosił do badania. Z nieukrywaną radością zauważyli, że nad łóżkiem pacjenta jest umieszczony dodatkowy monitor, tak by rodzice dokładnie mogli obserwować swoje maleństwo i… nagle się pojawiło. Najpiękniejszy mały człowiek, jakiego kiedykolwiek widzieli. Taki maleńki, choć teraz zajmował niemal cały ekran. Nieustannie się wiercił i robił fikołki. Zastanawiała się, czy wszystkie dzieciaczki są tak żywotne w tym wieku, czy to miała być ich mała wiercipiętka. „A może to radość z naszego spotkania? Po prostu cieszy się i nie może usiedzieć spokojnie z tego szczęścia" – rozmarzyła się.

Był cudowny. Miał takie malutkie rączki i nóżki, i nawet udało się jej dostrzec, jak ssie paluszek. Nagle usłyszeli rytmiczne stukanie. To serduszko. Jej serce zaczęło szybciej bić ze wzruszenia. Teraz czas zatrzymał się dla nich w miejscu. Nie mogli się napatrzeć. To właśnie było ich dziecko. Piękne i wspaniałe. Tak szybko i zwinnie się poruszało, że trudno było je zbadać. Jakby bawiło się w chowanego lub po prostu cieszyło, że może się im pokazać, zaprezentować w całej swej okazałości. Może tak samo jak oni było tak podekscytowane tym pierwszym spotkaniem, że nie mogło przestać się wiercić. Jego ruchy sprawiały wrażenie tańca radości, jak gdyby całym sobą chciało krzyknąć: „Hej, mamo, tato patrzcie na mnie!

Zobaczcie, jakie jestem zwinne i wspaniałe!".

„Czy ono może pojmować, że patrzymy na nie?" – zastanawiała się, obserwując zachowanie swego dziecka. „Czyżby zdradzał to radosny rytm podekscytowania i wzruszenia, jakim bije me serce? Może całkiem po prostu nie doceniamy go…" – urwała, zagłębiając się w napływające do jej głowy myśli.

Przypomniało się jej, jak mama zwykła mawiać o wydarzeniach sprzed jej narodzin: „Wtedy, kiedy jeszcze nawet wróbelki o tobie nie ćwierkały". To żartobliwe domniemanie treści ptasich treli sugerowało różnicę między poznaniem człowieka, a innych stworzeń. Człowiek często nie dopuszcza do siebie tego, czego nie potrafi wytłumaczyć. Ptaki natomiast odbierają wszystko całą swą naturą, niejednokrotnie wyprzedzając w takim poznaniu ludzki racjonalizm. Teraz, patrząc na swe dziecko, dostrzegała jak wiele z tego, co widzą jej oczy i słyszą uszy, nie jest w stanie wyjaśnić, a jednak widzi to i słyszy.

„Choć nie sposób pojąć tajemnicy stworzenia, to dziecko zaświadcza teraz o niej całym sobą. Jest jeszcze takie maleńkie, a już mnie czuje. Odbiera również to, co właśnie dzieje się wokół niego, dając temu wyraz swym zachowaniem. To niepojęty cud człowieka" – rozmyślała, obserwując z uśmiechem kolejne rozbrajające wybryki swego dziecka.

Popisywało się tak, jakby naprawdę w jakiś sposób pojmowało, że właśnie patrzą na nie, że są teraz jeszcze bliżej niż zwykle. Ruchy jego wydawały się być bowiem nie tyle ucieczką w obawie przed obcym dotykiem, co czymś znacznie więcej – to właśnie było tak niesamowite. Nie starała się jednak tego zrozumieć, gdyż wiedziała, że nie zdoła.

„Nie pojmujemy treści ptasiego śpiewu ani nawet tego, co własne dziecko chce nam pokazać czy przekazać. Może coś chce nam teraz powiedzieć?" Twarz jej rozjaśniło światło wielkości człowieka, łącząc się z promieniami radości wytryskującymi z serca, bo choć nie pojmowała wszystkiego, co kryło się za mową ciała ich maleństwa, rozum nie mógł jej zaprzeczyć, a serce ignorować.

„Tego z pewnością nie da się ogarnąć ludzkim umysłem – stwierdziła. – Niech więc: «Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko»" (A. Mickiewicz, *Dziady*).

Przestała się więc zastanawiać. Patrzyła teraz z całą radością swego serca, bo to, co ono widziało, było tylko i wyłącznie piękne. Tak jak białe jest białe, a czarne – czarne. Tak, ich dziecko było prawdziwie cudowne i wspaniałe.

W końcu nieustanna cisza wyrwała ją z zamyślenia, ucinając tym samym tok błogiego rozmarzenia, jakim zaczęły podążać jej myśli. Wydało się jej bowiem, jakby w tym milczeniu zadrżała nagle jakaś nuta niepokoju. Zwróciła więc głowę w stronę lekarza, dostrzegając,

jak nerwowo przesuwał myszką po blacie biurka. Spojrzała ponownie na monitor, tym razem jednak, by lepiej zaobserwować ruchy kursora. Doktor ciągle ponawiał próby pomiarów czegoś w okolicy szyjki i serduszka dziecka, a napięcie, jakie temu towarzyszyło, zdawało się sugerować, że problemy pomiarów nie leżą w gestii zbyt szybkich ruchów malca. Chciała spytać, czy coś jest nie tak. Co chce jej pokazać to „mędrca szkiełko i oko". Lekarz uprzedził ją jednak, informując, że wszystko wyjaśni po badaniu.

I znów czas się zatrzymał. Tym razem jednak zamarł w strachu i trwodze. Jakby ten cudowny film nagle się urwał. Nie widziała już nic więcej. Pojawiły się zagrożenie i strach, które wszystko przesłoniły. Minuty do końca badania wydawały się być nieskończonością. Prosiła w duszy Boga, by wszystko było dobrze. Przecież nie mogło być inaczej, czyż nie?

– Zapraszam do biurka – usłyszeli w końcu.

Podeszli niepewnie. Może tylko im się wydawało, że coś jest nie tak? Pewnie to maleństwo po prostu za bardzo się wierci i dlatego tak trudno je zbadać. „Tak, to dlatego – szybko próbowała uspokoić samą siebie – a teraz dowiemy się, że to mała wiercipięta i wszystko jest w porządku. Tak!" – powtórzyła, kończąc swe błyskawiczne rozmyślania.

– Oto pomiary państwa dziecka – powiedział doktor, po czym pokrótce je objaśnił. – Dziecko jest jednak bardzo ruchliwe i nie mogę dokładnie go zbadać – dodał.

„Uff – odetchnęła z ulgą – ale nas wiercipięto nastraszyłeś. Trzeba będzie cię zbadać, jak śpisz i wszystko będzie dobrze". Szybko znalazła idealne rozwiązanie.

Lekarz spojrzał na nich badawczo.

– Próbowałem kilka razy, ale nie mogę zobaczyć dużej części serca dziecka – rzekł.

Milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć, a właściwie wydawało się jej, że cały świat nagle zamarł w milczeniu.

– Jest jeszcze jeden wymiar, przezierność fałdu karkowego, który… – Doktor przerwał na moment. – …wygląda na to, że wykracza poza normę – kontynuował. – To takie zgrubienie na karku. Starałem się je zmierzyć kilkakrotnie, za każdym razem jednak pomiar jest większy niż powinien być na tym etapie ciąży.

– Co to oznacza? – zapytali równocześnie.

– Może to sugerować zwiększone prawdopodobieństwo wystąpienia wady serca lub wady genetycznej. Zdarza się również, że nie musi to oznaczać niczego. Tak po prostu jest i dziecko rodzi się zupełnie zdrowe. Biorąc pod uwagę państwa wiek oraz fakt, że w rodzinie nie było wcześniej wad genetycznych, są one mało prawdopodobne. – Zamyślił się na chwilę. – Jednak z racji tego, że nie mogę zobaczyć całego serduszka dziecka, pozwolę sobie

zaprosić państwa jutro rano do szpitala na powtórne badanie, byśmy mogli wyeliminować te obawy – zakończył.

Znów cisza stała się wszechobecną panią małego gabinetu, przyćmionego nie tyle już brakiem światła, co zatroskaniem.

– Proszę się nie martwić, to tylko prawdopodobieństwo – powiedział na pożegnanie lekarz, starając się ich pocieszyć chociaż na tyle, by mogli przespać noc.

Wyszli z gabinetu. Milczeli, choć każde z nich zadawało sobie w duszy to samo pytanie: „Czy to możliwe, by coś mogło być nie tak?". Nie znali powodu, dla którego mogłoby się tak zdarzyć. Oboje byli zdrowi, nie było również żadnych wad genetycznych, czy też wad serca w ich rodzinach.

W ciszy wracali do domu. Noc otulała miasto. Z okien samochodu obserwowała puste ulice i migające w szybach światła latarni. Miała wrażenie, że świat zaniemówił w oczekiwaniu na jutro i tylko tysiące pytań zdawały się wirować w powietrzu.

Nagle poczuła coś, o czym dobrze wiedziała, lecz w tej właśnie chwili odczuła wyraźne muśnięcie tej rzeczywistości. Dotyk ten zaś był czymś zupełnie innym niż posiadanie wiedzy o nim. Przeszywał na wskroś w każdym calu. Czuła to wyraźnie, choć zupełnie się tego nie spodziewała. Właśnie teraz, kiedy jej serce i duszę wypełniała taka cudowna nadzieja i radość. Na ziemi jest jednak jeszcze coś, czego do tej pory nigdy nie doświadczyła tak blisko jak teraz, kiedy otarła się o to przypuszczenie. To było cierpienie.

Pochyliła głowę, a łzy cisnęły się jej do oczu ze strapienia nad wszystkimi ludźmi, którym przyszło doświadczyć na wskroś przeszywającej boleści, oraz z trwogi nad sobą i ich przyszłością.

„Co z nami teraz będzie? Czy wszystko będzie dobrze?" – pytała w myślach.

Czuła, że zaczyna ją to przerastać. Była struchlała i przerażona. Za rogiem zaś skradały się obawa i strach. Czaiły się jak złodzieje, chcący się wkraść i plądrować każdy skrawek jej serca i duszy, by wykraść wszystko, co tylko się uda, a najlepiej wszystko do końca, nie zostawiając nic.

Milcząc, weszli do domu. Usiedli na sofie, nie wiedząc, co mają począć. Dzielące ich od poranka godziny wydawały się być wiecznością. Choć minęła już północ i czekał ich intensywny dzień w pracy, nie mogli tak po prostu położyć się spać. W końcu nie wytrzymała. Otworzyła komputer i wpisała hasło: „przezierność fałdu karkowego".

Pomiar przezierności (NT) w przypadku ich dzieciątka wynosił trzy milimetry. Czy to miało coś oznaczać? A jeśli tak, to co? Może jednak wszystko jest dobrze? NT było w końcu tylko trochę podwyższone. Zasiany został jednak niepokój, który nie pozwalał jej zmrużyć oka.

– Spróbuj zasnąć – prosił mąż. — Postaraj się o tym nie myśleć. Przecież dopiero jutro będziemy mieli dokładniejsze wyniki i pewnie się okaże, że wszystko jest w porządku.

Jego słowa były równie pełne miłości oraz troski o nią i maleństwo, jak też braku przekonania. Któż mógłby być czegokolwiek pewien w chwili, gdy nagle trzęsienie ziemi przeszło przez jego świat, a dopóki nie wstanie słońce, nie można określić, jak wielkie wyrządziło szkody. Mimo wszystko podniosło ją to na duchu. Mieli przecież siebie. Cokolwiek by nie miał przynieść poranek, zawsze mogli na siebie liczyć. To było teraz ich siłą. Uśmiechnęła się więc ciepło i obiecała, że spróbuje.

Starała się zamknąć oczy, ale jeśli nawet udawało się jej zasnąć, nie trwało to długo. Ciągle się budziła. Wiedziała też, że i on niewiele spał.

Rano, zdecydowanie przed czasem, pojawili się w szpitalu. Dłuższe czekanie wydawało się nie do zniesienia. Wyszli więc z domu i przyjechali. Usiedli na ławce, starając się odpędzić niepokojące myśli, które okazywały się jednak wyjątkowymi natrętami. Na szczęście wkrótce pojawił się lekarz. Obok niego szedł drugi mężczyzna w lekarskim kitlu. Wyglądało na to, że badanie będzie bardzo dokładnie przeprowadzone, a dla pewności wszelkich pomiarów poparte dodatkową parą oczu.

„Więc to naprawdę poważna sprawa…" – pomyślała.

W otaczającej ich ciszy kroki dwóch zbliżających się mężczyzn rozbrzmiewały z wyjątkową powagą.

Zaproszono ich do gabinetu. Rozpoczęto badanie. Tym razem nie pytali lekarzy o nic. Cierpliwie czekali na wyjaśnienia. Obaj mężczyźni patrzyli na ekran w wielkim skupieniu, pokazując sobie coś palcami i wzajemnie się upewniając. Nie wiedziała, jak długo to trwało. Wydawało się jej, że zawisła w czasoprzestrzeni, mając nadzieję, że tam gdzie spadnie, będzie wystarczająco miękko, by nie pękło jej serce…

– Zapraszamy do biurka – usłyszała nagle.

Podniosła się, jakby wyrwana z letargu. Podeszli, usiedli, a lekarz zaczął wyjaśniać:

– Przezierność fałdu karkowego nadal wykracza poza normę. Choć dziś trochę lepiej widać lewy obszar serca, to w dalszym ciągu nie mogę zobaczyć sporej jego części.

Skierujemy państwa na badanie kardiologiczne, na którym będzie można dokładnie zbadać serduszko. Najpierw musimy wykluczyć wadę serca. Pomiar ten może sugerować również wady genetyczne… – Spojrzał na nich, po czym dokończył: – …spośród których najczęściej występującą jest zespół Downa.

Zrobiło się duszno. Czy było to tylko ciężkie powietrze, czy może przytłaczające informacje? Starała się być dzielna. Nie przychodziło jej do głowy, o co mogłaby teraz spytać, gdyż i to było dużo, nawet zbyt wiele. Wzięli kontakt do kardiologa i mieli czekać na telefon. Podziękowali i wyszli.

– Czuję, jak tracę grunt pod nogami. Chyba nie dam rady pójść do pracy – powiedziała, siadając na ławce obok męża. Potrzebowała zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, by jej oddech mógł wrócić do normy.

– Tak, oczywiście – odpowiedział, jakby wyrwany z innego świata i znowu zamilkli.

Siedzieli tak dłuższą chwilę na najbliższej przydrożnej ławeczce, ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko, jakby w jakimś tylko im znanym punkcie, po czym wstali i udali się w stronę samochodu. Ciągle szumiało jej w głowie. Czuła, że nie bardzo wie, gdzie jest i co się dzieje. Wszędzie słyszała, jak wszechobecne echo, słowa lekarza: „lewy obszar serca", „wady genetyczne", „zespół Downa"…

Wsiedli do samochodu.

– Odwiozę cię do domu – powiedział.

Milczała. Spojrzał na nią i zrozumiał, że nie ma już siły na nic. Podał jej telefon.

– Zadzwoń. Skorzystaj z urlopu na żądanie.

Sięgnęła po komórkę. Tak, musiała to zrobić. Dobrze, że był przy niej, bo czuła się tak zagubiona, że pewnie miałaby problem z odpowiedzią na pytanie, jak się nazywa. Wykręciła numer, lecz nagle po dwóch sygnałach energicznym ruchem rozłączyła połączenie.

– Co się stało? – zapytał.

– Dziś nie mogę.

– Dlaczego?

– Prowadzę szkolenie dla kadry menedżerskiej. Od dawna ustalane. Nie mogę go teraz odwołać, tuż przed samym rozpoczęciem. Prowadzę je sama. Nikt nie może mnie zastąpić.

Skinął lekko głową na znak zrozumienia.

– Dasz radę?

Spuściła głowę w zamyśleniu, patrząc przez moment na czubki swych butów, po czym spojrzała mu w oczy.

– Nie wiem – wyszeptała cicho, zbyt przytłoczona tym wszystkim. Po chwili jednak dodała tonem obietnicy: – Ale się postaram.

Przytulił ją. Patrzyli na siebie przez chwilę. Rozstali się, każdy dźwigając balast niepewności, który zdawał się być nie do udźwignięcia.



Na granicy możliwości

Tyle wiemy o sobie,
ile nas sprawdzono.
(W. Szymborska)

Weszła do budynku firmy. Mijając po drodze pokój szkoleń, upewniła się, że wszystko jest tak, jak dzień wcześniej przygotowała. Otworzyła drzwi swojego biura. Na szczęście nikt jeszcze nie zdążył się pojawić w pracy. Nie musiała więc odpowiadać na żadne pytania, uśmiechać się i udawać, że wszystko jest w porządku. Wyszła do toalety i nim zdążyły zatrzasnąć się za nią drzwi, zalał ją wodospad łez. Po chwili płacz zmienił się w łkanie, a następnie rozdzierający szloch. Zbyt wiele było przeżyć w tak krótkim czasie. Przygryzała w ustach paczkę chusteczek higienicznych, jedyne co miała pod ręką, by te bolesne odgłosy nie zdradziły tragedii, jaka rozgrywała się w jej sercu za zamkniętymi drzwiami. Ukryła się tam przed całym światem. Tak długo, jak tylko było to możliwe. Na tych kilka chwil, w których miała zebrać siłę, by stawić czoła zadaniom oczekującego ją dnia.

Tuż przed rozpoczęciem szkolenia umyła twarz zimną wodą, zrobiła makijaż i rozkazała swemu sercu wyłączyć się na dwie godziny, by wytrzymać do pierwszej przerwy po czym wyszła.

Serce jej posłuchało. Choć nie mogło się wyłączyć, starało się wyciszyć choć trochę, by nie przekroczyć granic jej ludzkich możliwości. Próbowała się uśmiechać i skoncentrtować na przekazywanych treściach. Każda przerwa była jednak oczekiwanym wyzwoleniem. W potoku łez, za zamkniętymi drzwiami, wylewała z siebie ból i strach, które ją przerastały.

„Może to tylko niepotrzebne nerwy i wszystko będzie dobrze?" – myślała. Były to jednak zbyt mocne wrażenia, by mogła pozostać wobec nich obojętna. „Ból i cierpienie dziecka… to takie okrutne… takiego maleństwa…" Trwoga i boleść wirowały w jej głowie i targały jej sercem.

W końcu ostatni temat i szkolenie się zakończyło. To był bardzo długi dzień. Uczestnicy z uśmiechem i zadowoleniem podziękowali. Kiedy wszyscy opuścili salę, usiadła, a raczej osunęła się na krzesło.

„Chyba się udało" – pomyślała.

Należała do osób surowych w samoocenie i rzadko była z siebie zadowolona. Dziś jednak nie miała żadnych zastrzeżeń. I choć nie wiedziała, jak to możliwe, właśnie zakończyła naprawdę niezłe szkolenie.

Była pewna, że do końca życia zapamięta ten dzień jako rozgrywający się na granicy jej możliwości. A może nie była sama, lecz ktoś jej pomógł? Nie dałaby przecież rady, nie sprostałaby temu. Potok myśli przemknął przez jej głowę jak promień światła, po czym spojrzała w górę i szepnęła:

– Dziękuję.

„To jednak tylko szkolenie". Westchnęła po chwili zadumy. „Tylko szkolenie. Co zaś przed nami? Czemu przyjdzie stawić nam czoła? Jaki sprawdzian szykuje nam życie?"

Oboje wrócili do domu wyczerpani. Nie poruszali więcej tego tematu. Milczenie było tak wymowne, że każde słowo wydawało się być przy nim śmieszne.

I tak w ciszy marzyli o tym, że wszystko będzie dobrze i ich dziecko urodzi się zdrowe.



Uśmiech nieba

Szukała tak niestrudzenie, tak pilnie, tak mocno.
Zbyt bardzo, by mogła zostać
pozostawiona bez odpowiedzi.

Oczekiwali na telefon, który na szczęście zadzwonił następnego ranka. Za dwa dni miała wyznaczoną wizytę u kardiologa. Czy te dni istniały naprawdę? Nie wiedziała. Kiedy siedziała w poczekalni, miała wrażenie jakby ich nie było. Może miały jedynie przynieść chwilę oddechu serca przed kolejnymi informacjami? Dwa dni, po których ślad pozostał tylko w kalendarzu… Patrzyła przed siebie. Jej spojrzenie tonęło w bieli szpitalnej ściany, jak w bezkresie oceanu, nie mogąc dostrzec drugiego brzegu. Jakby wpatrywała się w niezapisaną kartę ich przyszłości, przed którą zostali teraz postawieni. Czyżby miała zostać nakreślona ścieżką bólu i trudu? Spoglądała na mur niewiadomych i zagrożeń, który tak nagle i niespodziewanie pojawił się na ich drodze. Świdrowała go wzrokiem, jakby chciała rozkruszyć, niwecząc wszelkie obawy. A może szukała szczeliny światła, które poprowadziłoby ją dalej? Wszystko nadaremnie. Czuła jedynie próżnię umysłu. Nie była w stanie znaleźć dowodu na to, by obalić powód, dla jakiego tu była. Nie, tego muru nie dało się przebić głową. Pomimo to odsuwała moment wejścia do gabinetu, ciągle czegoś szukając. Przepuszczała kolejne osoby. Czekała cierpliwie na końcu kolejki. Mimo iż pragnęła jak najszybciej dowiedzieć się, że wszystko jest w porządku, zbyt obawiała się, co będzie, jeśli jej nadzieje się nie spełnią. W końcu nie miała wyjścia. Została sama w poczekalni. Poproszona weszła więc do gabinetu.

Przywitała ją młoda lekarka, sama spodziewająca się dziecka. A ona popatrzyła z pewną tęsknotą na piękny, spory już brzuszek, ukryty pod bielą lekarskiego kitla i marzenia, by wszystko było dobrze, osiągnęły swoje apogeum. Co miała zrobić, by mogły się spełnić?

– Proszę przygotować się do badania – usłyszała ciepły głos pani kardiolog, który szybko sprowadził ją na ziemię.

Lekarka rozpoczęła pomiary. Była bardzo miłą i życzliwą osobą. Odwróciła monitor w jej stronę i wyjaśniała, co widać na ekranie. Maleństwo słodko spało, ssąc paluszek. Można było zatem spokojnie obejrzeć serduszko. Doktor nie śpieszyła się. Wszystkie pomiary

starała się robić kilkakrotnie i bardzo dokładnie. Wkrótce jednak wiercipiętka się obudziła i znów zaczęła brykać. Rozpoczęła się pogoń za uciekającym łobuziakiem, który żartobliwie bawił się w chowanego.

Patrząc na figlujące dzieciątko, postanowiła, że teraz nie będzie myśleć o niczym smutnym. Zamierzała cieszyć się spotkaniem ze swoim maleństwem. Dziś było je widać naprawdę wyraźnie.

„Jest takie śliczne" – pomyślała.

Choć podobno nie dało się tego zobaczyć, wydawało się jej, że jest podobne do taty. Mogłaby tak patrzeć na nie w nieskończoność. Nawet nie zauważyła, kiedy minęła druga godzina badania. Była ze swoim dzieckiem, czas się teraz nie liczył. I nagle usłyszała wymarzone:

– Serduszko widać w całości. Jak na obecny stan wygląda, że niczego mu nie brakuje.

Kamień spadł jej z serca, które teraz zaczęło bić szybciej, jakby nagle się obudziło z letargu strachu i niepewności. Najchętniej krzyknęłaby z radości, nie mogła jednak przeszkadzać.

Lekarka w skupieniu kontynuowała badanie. Dokładnie oglądała dziecko i jeszcze raz sprawdzała wszystkie wymiary. W pewnym momencie uśmiechnęła się szeroko.

– Widzi to pani? – powiedziała, wskazując na monitor. – Maluch nie może wytrzymać, żeby się nie pochwalić, jakiej jest płci.

Faktycznie. Maleństwo z ogromną zawziętością wypinało się w ich stronę.

– Nigdy nie mówię w tak młodej ciąży, jaka jest płeć dziecka. Zbyt łatwo bowiem o pomyłkę. W tym wypadku nie mam jednak najmniejszych wątpliwości, że macie państwo chłopca.

Uśmiechnęła się szeroko, obserwując chwalącego się malca. Mieli więc synka.

Cisza szczęścia wypełniła gabinet, a czas zatrzymał się na chwilę, by jej serce mogło radować się tymi wspaniałymi informacjami.

Lekarka zapisała ostatnie pomiary i zakończyła badanie. Usiadła wygodnie w fotelu, po czym stwierdziła:

– Myślę, że dziś maluszek pokazał nam już wszystko, co mógł. Jeszcze raz zmierzyłam przezierność fałdu karkowego. Przekracza wprawdzie normę, lecz dziś NT jest mniejsze niż na ostatnim badaniu. Serduszko, tak jak mówiłam, wygląda prawidłowo. Jest jednak bardzo malutkie i w związku z tym musimy je nadal obserwować. Tym bardziej, że w lewej jego części jest widoczny mały hiperechogenny obszar.

– Co to jest obszar hiperechogenny? Co on oznacza? – zapytała spokojnie.

– Obszar hiperechogenny* to ta mała plamka, która jest tutaj szczególnie widoczna, tak jakby mocniej świeciła – odpowiedziała lekarka, wskazując ją na monitorze. – Może być sygnałem, zalążkiem jakiejś wady lub po prostu niczego nie oznaczać. Teraz jednak nie możemy się na to nastawiać i musimy obserwować serduszko przez cały okres ciąży.

– Czy taką wadą może być również niedorozwój lewej komory serca?** – spytała niepewnie.

A jednak te dwa dni istniały i wystarczyły, by zebrać pewne informacje. Z wad serca, o których czytała, do jednych z najpoważniejszych należał właśnie niedorozwój lewej komory i teraz się jej to przypomniało, gdyż ta plamka świeciła właśnie w lewej jego części.

– Tak, jest to po lewej stronie – westchnęła lekarka, dodając: – Obawiałam się, że pani o to zapyta. Niestety, nie możemy tego wykluczyć. Czasem jednak taki hiperechogenny obszar może być wskazaniem na wadę genetyczną – kontynuowała. – Natomiast nigdy nie widziałam, by w takim przypadku punkt ten był zlokalizowany w tym miejscu serca, dlatego wydaje się to mało prawdopodobne. Ponadto państwa synek ma pięknie wykształconą kość nosową, której w najczęściej występującej wadzie genetycznej, jaką jest zespół Downa, często w ogóle brak lub nie jest w pełni wykształcona. Biorąc pod uwagę państwa wiek, prawdopodobieństwo wady genetycznej jest raczej niskie. Dla uspkojenia skieruję panią, w ramach naszego programu wad genetycznych, na badanie krwi, które z większą dokładnością określi prawdopodobieństwo wystąpienia takiej wady. Jest to tzw. test PAPP-A. Na następne badanie serduszka proszę natomiast przyjść za miesiąc. Czy ma pani jakieś pytania? – zapytała na koniec.

Nie mogła przez chwilę pozbierać myśli. Pytań miała tysiące, lecz teraz żadnego nie mogła uchwycić.

– Nie wiem, chyba nie – odrzekła niepewnie.

– Proszę więc zaczekać w poczekalni, a pielęgniarka za chwilę doniesie pani opis badania oraz skierowanie na test PAPP-A.

Podziękowała i wyszła. Po krótkim oczekiwaniu odebrała od pielęgniarki opis badania, po czym udała się w drogę do domu.

---

* Echogeniczność (w ultrasonografii) to zdolność badanej struktury do odbijania fal dźwiękowych o wysokiej częstotliwości. Obszary o obniżonej echogeniczności nazywane są też hypoechogenicznymi, a o podwyższonej – hiperechogenicznymi. W obrazowaniu USG jako echogeniczność określa się jasność tkanki na obrazie, przy czym obszar o zaburzonej echogeniczności jest odpowiednio ciemniejszy (hypoechogeniczny) lub jaśniejszy (hiperechogeniczny) od otoczenia.

** Zespół hipoplazji lewego serca (ang. *Hypoplastic Left Heart Syndrome* – HLHS) – wrodzona wada serca, polegająca na niewykształceniu prawidłowej lewej komory serca. Dziecko w okresie płodowym rozwija się w sposób prawidłowy, gdyż krwiobieg funkcjonuje z wyłączeniem płuc, a natlenowana krew jest dostarczana z organizmu matki. Układ taki działa dzięki przewodowi tętniczemu Botalla (PDA) łączącemu bezpośrednio tętnicę płucną z aortą. Bez szybkiej interwencji kardiochirurgicznej wada ta jest wadą śmiertelną. W ciągu kilku dni po narodzinach dochodzi do śmierci dziecka ze względu na samoistne zamknięcie się przewodu Botalla i niemożność dostarczenia natlenowanej krwi do organizmu.

Wyszła na zewnątrz. Wyjęła z torebki telefon i włączyła go. Osiem nieodebranych połączeń. Wykręciła pośpiesznie numer do męża.

– Nareszcie! Co się tam działo? – Usłyszała pełen obaw głos.

– Wszystko w porządku. Badanie trochę trwało – odrzekła.

– I co? – zapytał niepewnie.

– Dwie dobre wiadomości i jedna niepewna.

– Zacznij od dobrych.

– Wygląda na to, że serduszko w chwili obecnej jest w porządku.

– Czy ta niepewność też jest związana z sercem? – przerwał.

– Tak. Serce ma mały obszar hiperechogenny w lewej części, mogący być zalążkiem jakiejś wady. Dlatego musimy je monitorować przez cały okres ciąży.

– Lecz ciągle jest nadzieja, że może być dobrze? – zapytał z wahaniem.

– Tak, często niczego to nie oznacza – odpowiedziała, po czym dodała: – Czasem może być jednak wskazaniem na wadę genetyczną. Aczkolwiek u naszego dzidziusia mieści się w takim obszarze serca, że to mało prawdopodobne. Jest też wspaniała kość nosowa, która w przypadku wad genetycznych często wystepuje jedynie częściowo lub wręcz jej brak. Żeby obalić te obawy, mam skierowanie na badanie krwi, które ma dokładniej określić prawdopodobieństwo możliwości wystąpienia wady genetycznej.

– Kiedy powinnaś zrobić to badanie? – zapytał.

– Mogę nawet dzisiaj – odrzekła pośpiesznie.

– Nie ruszaj się więc z miejsca. Zaraz tam będę.

– Mam jeszcze jedną miłą wiadomość, zapomniałeś? – rzekła.

– Tak, mów. Nie mogę się doczekać.

– Będziemy mieli synka!

– To wspaniale! – rozbrzmiał w słuchawce radosny głos.

Wiatr otulił ją lekkim powiewem, a słońce łaskotało radosnymi promykami. W końcu miała chwilę, by odetchnąć. Czuła się zagubiona i zupełnie wyczerpana. To wszystko ją przerastało. Perspektywa wad, cierpienia dziecka przeszywała boleścią i niszczyła jej marzenia.

„Zasługujesz na odpoczynek, na dobre życie – powiedziała kiedyś jej ciocia. – Ciężko i uczciwie to sobie wypracowałaś".

„To byłoby miłe…" – pomyślała, uśmiechając się do własnych myśli. Chciała, by tak

było. Dobre życie, trochę odpoczynku. W pracy czekała na nią propozycja awansu. Czy teraz jednak to wszystko mogłoby rozsypać się w gruzy?

Spoglądała na malownicze, pierzaste chmury przesuwające się ociężale. Czegoś jakby tam szukała. Niepewność i zagubienie zupełnie ją druzgotały. Poczuła się zagrożona, a jej plany i marzenia utkwiły w zawieszeniu. Jak miała się odnaleźć i stawić czoła tym wszystkim niepewnościom, kiedy już samo to, by wytrwać w tych badaniach, wydawało się takie trudne. Patrzyła na błękit nieba, nie zdając sobie sprawy, że jej dusza krzyczy teraz całą swą mocą, wołając o pomoc. Miała wrażenie, że to, czemu przyszło jej stawić czoła, przewyższa ją. Musiało więc być coś, co było równie wielkie, co było ponad tym wszystkim i stanowiło na to odpowiedź. Szukała wiary – mocniejszej, nadziei – większej, miłości – najczystszej i dobra – nieskończonego. Czy szukała Boga? Czy do niego właśnie teraz wołała jej dusza?

„Bóg jest zbyt potrzebny, by go mogło nie być" – usłyszała kiedyś. Chciała spróbować być teraz racjonalną, by może nie być naiwną. „Czym właściwie jest człowiek?" – pomyślała. Istota, która jak inne na tej ziemi: jest, chodzi, śpi, je, pije, ale przecież to nie wszystko. A wręcz właśnie to, co wykracza ponad ciało i jego potrzeby czyni z nas ludzi. „Człowiek to ciało w połączeniu z duszą. Czy też dusza w jedności z ciałem?" – zamyśliła się, snując wywody swych poszukiwań.

– Dusza… – szepnęła głosem kryjącym w sobie pewną tajemnicę, której podświadomie w tej chwili tak poszukiwała.

„Dusza – powtórzyła, zanurzając się w tych myślach – stanowi o tym, kim człowiek jest w swej pełni. I choć ukryta głęboko, wybija się ponad to, co dostrzegamy i doświadczamy swymi zmysłami".

Prawdziwa radość jest radością duszy. Pełne spełnienie jej spełnieniem, a głębokie ukojenie tylko w niej może być odnalezione. Radości ciała są krótkotrwałe i zawsze przemijające. Szczęście duszy rozświetla na zawsze. Skoro więc czuła teraz jej szamotanie, zatrwożonej i obolałej w lęku i niepewności, które jak cień nad nią zawisły, skoro tak dobitnie to teraz odczuwała, oznaczało to niepodważalnie, że dusza istnieje. Jeśli zaś dusza jest ponad wszystkim, w ciele wprawdzie, ale i ponad nim, musiało więc też istnieć coś ponad tę przyziemność. To, do czego dążyła i wyrywała się, właśnie tak jak teraz. Inny świat? Inna rzeczywistość? Czy to właśnie jej dusza porwała teraz jej myśli w te inne wymiary? Wyniosła je na wyżyny?

Zamknęła oczy na moment, jakby chciała na trochę uciec z tego świata, od wszystkiego, co ją gnębiło i przerażało. Miała wrażenie, że unosi się wysoko i fruwa wśród obłoków,

gdzie nic jej nie przytłacza, nie ma żadnych zmartwień. I poczuła się tak dobrze, tak beztrosko. Wiatr smagający jej twarz i szum ruchliwej ulicy wyrwały ją jednak szybko z tego błogiego zamyślenia.

– Witamy znów na ziemi… – powiedziała cicho.

I spadł na jej barki cały ciężar strachu i niepewności. Stała tak jednak nadal wpatrzona w górę, jakby nie mogła odejść, jak gdyby ciągle czegoś tam szukała, za czymś tęskniła, bez czego nie mogła ruszyć dalej. Czy tego miejsca, gdzie przed chwilą szybowała jej dusza, przynosząc ukojenie? A może odpowiedzi, która nie nadeszła? Musiała wrócić na ziemię i stawić czoła temu, co na nią czekało. Nie wiedziała jednak jak. Westchnęła ciężko.

„Wszystko będzie dobrze – myślała – musi być dobrze".

Marnie wypadła ta próba pocieszania samej siebie. Zobaczyła w myślach cierpiące i umierające dzieci. Bała się, że gdyby przyszło jej stawić czoła czemuś takiemu, nie udźwignęłaby tego – pękłoby jej serce. I jej serce załkało. „Oby tylko nasze dzieciątko nie cierpiało i mogło być szczęśliwe" – pomyślała. Po czym usłyszawszy własne myśli, wypowiedziała je, powtarzając jeszcze raz:

– Proszę, by nasze dzieciątko nie cierpiało i mogło być szczęśliwe – szepnęła, kierując tę prośbę w samą głębię wiszącego nad nią błękitu.

Patrzyła długo w niebo. Wiatr wiał, szumiała ulica, trącali ją przechodnie, lecz to wszystko teraz nie miało już znaczenia, jakby przestało istnieć. Stała ze wzniesionymi w górę oczami, zastygła z tym pragnieniem w sercu. Spuściła głowę, by przełknąć łzy, lecz wkrótce znów ją uniosła, kierując swój wzrok wysoko w górę, nie ustając w szukaniu. I wtedy ujrzała białe chmury, które lekko się rozpierzchły, a niebo zajaśniało i uśmiechnęło się do niej w blasku promieni słonecznych. Posłało jej uśmiech zrozumienia, troski, dobroci i największej miłości. Jakby chciało rzec do niej: „To, o co prosisz jest szczere i pochodzi z głębi serca. Nie lękaj się więc".

Znieruchomiała. Nie była w stanie pojąć, co to było. Znów spojrzała wysoko w błękit, lecz tych białych obłoków i przebijającego przez nie światła już nie było. Jakby nagle się rozmyły i zniknęły, lecz jak? Nie potrafiła tego wyjaśnić i nie umiała opisać, ale widziała i poczuła uśmiech. Uśmiech dobroci, troski, miłości i zrozumienia.

Stała tak osłupiała, wpatrzona gdzieś w górę. Czy widziały to jej oczy, czy też to łaknąca wsparcia i ukojenia dusza zalśniła, odbijając na tym błękicie jak w lustrze całą prawdę i istotę swej głębi, najszczerszych pragnień, prawdziwego oblicza serca i marzeń? Szukała tak niestrudzenie, tak pilnie i tak mocno. Potrzebowała tak bardzo odpowiedzi na strach

i niepewność jutra, które nią targały. Zbyt bardzo, by mogła zostać pozostawiona bez odpowiedzi. Skąd jednak nadeszła ta odpowiedź? Z głębi duszy czy od Boga? Od Boga i z głębi duszy? Może to w jakiś sposób się łączyło?

Pytań było zbyt wiele. Daremne było teraz ich zadawanie, gdyż to, co miało znaczenie, właśnie zalśniło. Cokolwiek to było, nazwała je w swoim sercu „uśmiechem nieba". A było tak jasne, czyste, szczere i niosące ukojenie w lęku, że pragnęła, by to wspomnienie zawsze jej towarzyszyło. Jak światło, które rozprasza mrok i nie pozwala się zgubić. Zawsze, zwłaszcza teraz i przez te następne miesiące, które tak pięknie ktoś nazwał: „przy nadziei". Tego bowiem pragnęła, by mogły być one najpiękniejszą nadzieją nowego życia, nie zaś rozpaczą czy trwogą.



Test

Nagle jakiś głos wyrwał ją z zamyślenia. To jej mąż, więc już tu był. Wsiedli do samochodu.

– Jeśli dobrze zrozumiałem słowa lekarza – zaczął – zwiększona przezierność fałdu karkowego może oznaczać wady serca albo wady genetyczne. Jeśli jest więc jakaś plamka na sercu, sugerowałoby to raczej wadę serca.

– Na to wygląda – odrzekła z pewną ulgą. Po czym zamyśliła się i dodała: – Nie mogą chyba występować równolegle? – głośno wyraziła wątpliwość, jaka teraz jej się nasunęła, a której wcześniej nawet nie wzięła pod uwagę. – Byłoby to zbyt wiele, by takie maleństwo mogło być obarczone zarówno wadą serca, jak i wadą genetyczną, nie sądzisz?

Skinął głową na znak zgody. Tego potwierdzenia oboje teraz potrzebowali, pewności, że ktoś inny myśli podobnie.

– Jeżeli natomiast – kontynuował swoje rozważania – taki obszar hiperechogenny może występować i nie musi rozwinąć się z niego żadna wada, mamy jeszcze szansę, że wszystko będzie dobrze, prawda?

– Dokładnie tak – odrzekła z nadzieją.

Byli dobrej myśli. Przez ostatni tydzień nieźle zostali nastraszeni, ale teraz wszystko miało szansę wrócić do normy. Spojrzeli na siebie i pierwszy raz od tamtego wieczoru szczerze się uśmiechnęli.

Wady genetyczne łączyły się jednak z wadami serca, czy też wadami innych narządów. Organizm, którego prawidłowe funkcjonowanie ograniczone było przez wadę genetyczną, często nie był w stanie w pełni wykształcić wszystkich organów, skutkiem czego nie mogły one prawidłowo funkcjonować. Jedno wynikało z drugiego i przeplatało się wzajemnie. Nieświadomość tego chroniła ich jednak w tej chwili, kiedy jeszcze nie byli gotowi na wszystkie informacje.

Utknęli w korkach. Niewiele czasu im zostało, by dotrzeć na badanie przed zamknięciem przychodni. Teraz, kiedy każda minuta ciążyła ogromnym balastem niepewności, nie mogli się tak łatwo poddać zablokowanemu ruchowi ulicznemu. Zaczęli omijać nieprzejezdne drogi, by dotrzeć na czas we wskazane miejsce. Udało się.

Po krótkim wywiadzie na temat ich pochodzenia etnicznego, wieku, wieku ciąży, palenia tytoniu itd. zostali zaproszeni na pobranie krwi. Nie mogła się doczekać, kiedy to wszystko nareszcie się skończy. Starała się teraz nie myśleć o niczym. Patrzyła w sufit i czekała na koniec zabiegu. Po dłuższej chwili usłyszała jednak:

– Bardzo mi przykro, ale musimy spróbować na drugiej ręce.

Poczuła ból w lewym przedramieniu, po czym ujrzała cztery wkłucia. Wyciągnęła prawą rękę. Następne trzy próby i nic. Ból stawał się obustronny i coraz silniejszy. Zaczęło się jej robić słabo, ale teraz nie mogła do tego dopuścić. Wiedziała, że musi sprostać tej sytuacji. Spojrzała na zdenerwowaną pielęgniarkę. Zakłopotana tłumaczyła się, że nie rozumie, dlaczego nie może pobrać choćby kilku kropel krwi. Twierdziła, że jeszcze nigdy jej się to nie zdarzyło. Wtedy do gabinetu weszła lekarka. Pielęgniarka poprosiła ją o pomoc. Następne dwa bezowocne wkłucia.

Skierowała głowę w stronę męża. Chodził w kółko ze zdenerwowania. Rzuciła szybko proszące spojrzenie, by nic nie mówił. Atmosfera była tak napięta, że słowa mogły jedynie pogorszyć sytuację. W końcu zdenerwowanie pielęgniarki przerosło ją samą.

– Nie mogę pani już więcej kłuć. Nie wiem, co się dzieje. Proszę przyjechać jutro – rzekła zrezygnowana.

– Musi pani jeszcze spróbować. Proszę – szepnęła cicho, lecz stanowczo, po czym spojrzała jej w oczy i dodała: – Nie przyjadę tu jutro, nie dam rady.

Mimo wyczerpania rysującego się na twarzy dziewczyny, pielęgniarka dostrzegła silną determinację w jej oczach. Zrozumiała, że ta ani nie przyjedzie tu jutro, ani też nie wstanie z krzesła, dopóki nie uda się wycisnąć z żyły chociażby paru kropel, od których teraz wydawały się zależeć dalsze losy ich świata.

– Dobrze, spróbuję ostatni raz – zgodziła się.

A ona zamknęła oczy. „Choć kilka kropelek, proszę" – szeptała w duszy.

Po dłuższej chwili usłyszała:

– Jest! Niewiele, parę kropelek, ale to powinno wystarczyć.

Podniosła powieki. Udało się. Wszyscy byli wyczerpani.

– Kiedy będą wyniki? – spytali.

– Za trzy, cztery dni – padła odpowiedź.

Wyszli. Mąż prowadził ją powoli, uwieszoną na swym ramieniu. Odetchnęli z ulgą, że na dziś to już wszystko. Weszli do domu. Pośpiesznie zrzuciła płaszcz oraz buty i czym prędzej usiadła przy komputerze wpisując hasło: „test PAPP-A".

– Za trzy, cztery dni… – szepnęła.

Westchnęła. Nabrała głęboko powietrza i wstrzymała oddech, jakby to miało zatrzymać czas lub chociaż wystarczyć do chwili, kiedy za trzy, cztery dni ich świat zacznie się kręcić dalej. Osunęła się wyczerpana na krześle. Tkwiła tak, jak w zawieszeniu, przez dłuższą chwilę, po czym położyła łokcie na blacie biurka i wsparła na nich, ociężałą od wagi badanego ryzyka, głowę. Wszystko zdawało się być jedną wielką niewiadomą, którą goniły badania, testy i statystyki, starając się ją uchwycić i odgadnąć. Tylko dokąd miało ich to zaprowadzić?



Strąceni ze skały

Został im odebrany jedyny pewnik,
jaki myśleli, że im pozostał.

– Dzień dobry. Dzwonię w sprawie wyników testu PAPP-A.

– Kiedy była pobierana krew?

– Trzy dni temu.

– Proszę chwileczkę poczekać. Muszę sprawdzić, czy z tego dnia są już wyniki. Tak, są. Zapraszam po odbiór.

– Ale… – zaczęła niepewnie.

– Tak?

– Może mi pani powiedzieć, czy są w porządku? Bardzo proszę… – Chciała wyjaśnić, jak ogromnie to dla niej ważne, lecz słowa utknęły jej w gardle.

Poczuła ciepły uśmiech z drugiej strony słuchawki, bez zbędnych pytań czy pouczenia, że takich informacji nie udziela się przez telefon, po czym usłyszała:

– Dobrze. Proszę podać nazwisko.

Pośpiesznie powiedziała, jak się nazywa i zamarła na chwilę w oczekiwaniu.

– Tak, może pani jechać spokojnie. Wyniki są bardzo dobre.

Kamień spadł jej z serca.

Miała wrażenie, że pojawili się na miejscu w mgnieniu oka.

– Proszę – przywitała ich z uśmiechem pielęgniarka, rozpoznawszy po krótkim „Dzień dobry" głos ze słuchawki. – Oto państwa wyniki.

Usiedli i zaczęli je przeglądać. Badanie rzeczywiście wyszło świetnie. Wyliczone prawdopodobieństwo wystąpienia wad genetycznych dziecka zostało wyznaczone na poziomie znacznie niższym niż średnia dla ich wieku. Przez chwilę jeszcze wpatrywali się w szacowane wartości ryzyka i wykresy. W końcu zatrzymali się na komentarzu:

„(…) Wynik testu jest prawidłowy. Nie stwierdzono zwiększonego ryzyka zespołu Downa u płodu. Nie ma statystycznych wskazań do wykonania inwazyjnych badań prenatalnych (…).

Należy pamiętać, że test polega na statystycznej ocenie prawdopodobieństwa i nie jest dokładną diagnozą stanu dziecka. Wyliczone niskie prawdopodobieństwo nie wyklucza wad chromosomowych płodu. Wynik tego badania nie wyklucza dalszej diagnostyki prenatalnej z innych wskazań".

Na dole ujrzeli dopisaną ręcznie adnotację:

„Z powodu NT konieczna konsultacja".

Domyślali się, że lekarz chce im wyjaśnić, że badanie to jest statystyką i aby mieć pewność co do wystąpienia u dziecka wady genetycznej, należałoby wykonać amniopunkcję. Byli na to przygotowani. Nie będą się jednak decydować na żaden zabieg zagrażający w jakimkolwiek stopniu zdrowiu i życiu synka. To ich dziecko i kochali je takie, jakie jest. Jeśli to badanie nie mogło w żaden sposób pomóc ich maleństwu, a służyło tylko jako informacja do podjęcia decyzji o utrzymaniu bądź usunięciu ciąży, nie było im potrzebne. Z całej niepewności, która od dwóch tygodni nieustannie ich dręczyła, to jedno wiedzieli już na pewno. Nie chcieli jednak zachować się niegrzecznie. Zapukała więc i wetknęła głowę w lekko uchylone drzwi.

– Panie doktorze, mieliśmy zgłosić się na konsultację – powiedziała cicho.

– A tak, zapraszam – usłyszeli.

Weszli i usiedli za biurkiem.

– Wyniki pani krwi są zachwycająco dobre. Muszę jednak państwa poinformować, że wykonane przez nas badanie to tylko statystyka. W sytuacji gdy przezierność fałdu karkowego wykracza poza normę, ja nawet nie proponuję testu PAPP-A, lecz od razu kieruję pacjentki na badanie, które nie z prawdopodobieństwem, lecz z całą pewnością określa, czy płód jest dotknięty wadą genetyczną, czy też nie. Jeśli chcecie więc państwo mieć pewność, ze względu na poszerzone NT proponuję wykonać badanie amniopunkcji – wyjaśnił lekarz.

– Panie doktorze – powiedziała. – Nie chcemy wykonywać badania, które, zważając na ryzyko niepowodzenia czy też wystąpienia skutków ubocznych, może zagrozić naszemu dziecku. Jego wyniki nie wpłyną na naszą decyzję. Wydaje się nam, że wiemy już wszystko, co powinniśmy wiedzieć. Pragniemy urodzić to dziecko. Jeśli tym badaniem nie możemy mu w żaden sposób pomóc, nie chcemy ryzykować. Nie będziemy się na nie decydować – powiedziała z pełnym przekonaniem, uważając, że to powinno zakończyć sprawę.

Lekarz spojrzał na nich.

– No, niezupełnie tak to wygląda – odparł. – Jeśli dziecko będzie mieć jakieś wady, na przykład wadę serca, wyniki tych badań umożliwią nam odpowiednią interwencję zaraz po narodzeniu. Ich brak natomiast może oznaczać konieczność wykonania badań po porodzie i oczekiwanie na wyniki, a to zabiera czas, który może okazać się niezwykle istotny dla życia państwa dziecka. Ryzyko zabiegu może się okazać nikłe w porównaniu z ryzykiem, które może wtedy trzeba będzie ponieść. Osobiście przeprowadzałem już wiele takich zabiegów i jeszcze nie zdarzyło się, by jakiś zakończył się niepowodzeniem lub wystąpiły komplikacje. Teraz macie państwo pełnię informacji. Decyzja należy do was.

Zaniemówili. Tego nikt im nie powiedział i nigdzie nie wyczytali. Lekarz zauważył konsternację, jaką wywołały jego słowa.

– Chciałbym jeszcze zobaczyć tę przezierność fałdu karkowego. Zapraszam na krótkie badanie – dodał.

Biało-szaro-czarne obrazy wirowały jej przed oczami.

– Dziś przezierność jest w normie. Przeszła w niewielki obrzęk karku w górnej części pleców. Zapraszam do biurka.

Usiedli.

– Co zatem robimy? – zapytał.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Jeśli wszystko jest dobrze, a ta przezierność w przeciągu tygodnia wróciła do normy, to dlaczego wykonywać takie badanie? – głośno pomyślała.

– Przezierność bada się w określonym terminie i rozbieżność określona w tym czasie jest niepodważalna – odrzekł lekarz, po czym zapytał: – Jak się pani z tym wszystkim czuje?

– Bardzo mi ciężko – odrzekła szczerze.

– Więc chociażby dlatego. Jest pani w ciąży. Od pani samopoczucia wiele zależy. Z bardzo dużym prawdopodobieństwem, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent – dodał – wyniki tego badania potwierdzą brak wad genetycznych dziecka. Będziecie państwo spokojni, że wszystko jest dobrze.

Byli zagubieni. Badanie to, ustalające wystąpienie lub brak wady genetycznej, nie jest więc wykonywane wyłącznie w celu podjęcia decyzji o aborcji. Może się okazać potrzebne, by pomóc maluszkowi po porodzie. Jedyny pewnik, z jakim tu weszli, został zachwiany. Nie wiedzieli, jak powinni postąpić.

Lekarz widział, że ciągle nie mogą się otrząsnąć z zagubienia, w jakie ich wprowadził.

– Proszę przemyśleć to wszystko w domu. Oto skierowanie na badanie amniopunkcji.

Zapraszam za miesiąc, niezależnie od tego, jaką podejmiecie państwo decyzję. Chciałbym was jednak jeszcze zobaczyć – rzekł.

Odsuwając podjęcie decyzji w czasie, wybrnął za nich z sytuacji, w której oni w tej chwili nie potrafili się odnaleźć. Podziękowali i wyszli.

W końcu się im wydawało, że stanęli na mocnym gruncie, a tymczasem ziemia pod ich nogami znów się zatrzęsła.

„Jaka to ogromna odpowiedzialność decydować o kolejach nie własnego życia" – pomyślała.

Teraz zdecydowanie odczuli, co to oznacza być rodzicami. Jakie ryzyko należy podjąć i w którym momencie? Każdy wybór, przed jakim zostali postawieni, był obarczony niepewnością. Nie potrafili dostrzec ani znaleźć bezpiecznego rozwiązania dla ich maleństwa. „Bezpiecznego? W zasadzie co teraz oznacza «bezpieczne»?"– zastanawiała się.

Tej nocy znów nie mogła spać. Po dwóch godzinach ciągłego przewracania się z boku na bok wstała do toalety. Wracając, osunęła się w drzwiach łazienki. Ogromny ból w dole brzucha powalił ją z nóg. Chciała krzyczeć, lecz nie mogła. Szeptem zaczęła wzywać męża.

Po chwili zaspany pojawił się przed nią.

– Co się stało? – zapytał przestraszony.

– Nie wiem – odparła przez łzy. – Bardzo boli. Nie mogę wstać.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Leżała skulona, łkając i zwijając się z bólu. Po chwili dostała drgawek. Nie wiedzieli, co mają robić. Na szczęście wszystko ustąpiło po około pół godziny. Czuwali całą noc w obawie, czy znów się to nie powtórzy. Rankiem udali się do lekarza.

– Miała pani dość mocny skurcz – usłyszeli diagnozę. – Na szczęście jednak nie wyrządził on żadnej szkody.

– Dlaczego tak wcześnie taki mocny skurcz? – spytała zaskoczona.

– Przyczyną może być zbyt dużo przeżyć i stresu. Jest to bardzo niebezpieczne. Musi pani teraz odpocząć, by skurcze mogły się wyciszyć. Kieruję panią na zwolnienie i proszę się oszczędzać.

– Postaram się – odrzekła bez przekonania.

Podziękowała i wyszła.

„Ciało może odpocząć, lecz jak mam zmusić do tego umysł, serce i duszę?" – pomyślała.

Od czasu, kiedy zaczęła żyć ze świadomością poszerzonego fałdu karkowego i obszaru hiperechogennego w lewym obszarze serca dziecka, sama zaczęła odczuwać mocne bóle serca. Początkowo zdawało się to być jedynie wewnętrznym utrapieniem, wkrótce jednak zmieniło się również w ból fizyczny, tak mocny, że często budził ją w środku nocy. Zastanawiała się, czy od tylu przeżyć jej serce mogło zachorować lub też może się zatrzymać. Nie miała już siły, by szukać na to odpowiedzi. Musiała po prostu wierzyć i mieć nadzieję, że tak się nie stanie.



Szukając

Szukali, szukali i szukali…

Żadne serce nie cierpiało nigdy,
gdy sięgało po swoje marzenia,
bo każda chwila poszukiwań
jest chwilą spotkania
z Bogiem i Wiecznością.

(P. Coelho, *Alchemik)*

Mieli teraz miesiąc na intensywną rozprawę z dylematem: Co powinni zrobić?

Wiedzieli już, co kryje się pod nazwą amniopunkcja, lecz wpisała ją jeszcze raz, by się upewnić, a może dowiedzieć czegoś więcej.

Ciągle bliżej byli decyzji, by nie podejmować zbędnego ryzyka. Przecież wszystko tak dobrze zaczęło się układać. Z drugiej jednak strony ich całym pragnieniem i rodzicielskim obowiązkiem było dołożyć wszelkich starań, by pomóc dziecku. Miała też wrażenie, że nie bez powodu na ich drodze znaleźli się ci ludzie – najlepsi specjaliści w swoich dziedzinach, którzy wyciągali w ich stronę rękę. Czy powinni to odrzucić?

Rozpoczęli wizyty u innych lekarzy, by zebrać więcej informacji na temat tego badania i postronnych opinii, które mogłyby rozjaśnić ich umysły. Wszyscy zgodnie orzekali, że prawdopodobieństwo wady genetycznej jest nikłe, a dziecko raczej zdrowe, należy jednak objąć dalszymi obserwacjami serduszko. Czy wyniki amniopukcji mogą pomóc maleństwu po porodzie – nie wiedzieli. „Lekarz, który o tym pani powiedział, jest autorytetem w tej dziedzinie, więc widocznie tak jest" – usłyszała tylko.

– Jakie jest ryzyko? – pytała.

– W wykonaniu zespołu lekarzy, do którego pani została skierowana, właściwie żadne. Ryzyko jest tutaj wyłącznie teoretyczne – zawsze padała taka sama odpowiedź.

Tymczasem zbliżał się termin drugiej wizyty u kardiologa. Napięcie rosło. Tak bardzo pragnęli, by wszystko było dobrze.

Badanie było zdecydowanie krótsze, a diagnoza jeszcze pewniejsza:

– Serce w chwili obecnej jest zdrowe. Powinniśmy je wprawdzie monitorować, lecz nie oznacza to, że muszą rozwinąć się jakieś wady.

Odetchnęła z ulgą, musiała się jednak upewnić.

– Jednak mogą? – spytała.

– Nie jest to wykluczone.

– Również niedorozwój lewej komory?

– Jest to wprawdzie możliwe, lecz nigdy nie widziałam, by z takiego stanu serca rozwinęła się tak poważna wada. Jest to więc raczej mało prawdopodobne.

„Wszystko będzie dobrze" – pomyślała i uśmiechnęła się do własnych myśli.

– Pani doktor, chciałabym jeszcze o coś zapytać.

– Tak?

– Mamy skierowanie na badanie amniopunkcji. Czy uważa pani, że powinniśmy je wykonać?

– Nie mogę państwu odpowiedzieć na to pytanie. Gdybym widziała tu wadę serca, powiedziałabym „tak". W tym wypadku decyzja należy do państwa. – Po czym dodała: – Jednak, kiedy słyszy się „A", czasem może warto powiedzieć „B".

Wieczorem zadzwoniła do znajomej lekarki. Wyjaśniła jej całą sytuację, kończąc:

– Wyniki tego badania nie wpłyną na naszą decyzję, czy urodzić to dziecko. Kochamy je takie, jakie jest, i już nie możemy się go doczekać.

– Więc nie ma powodu, by robić to badanie – usłyszała w słuchawce.

– Co jednak z ewentualną interwencją medyczną po porodzie, na przykład z powodu wady serca? – zapytała, wyjaśniając, jakie uzyskała informacje w tej kwestii.

Po drugiej stronie kabla telefonicznego dała się słyszeć głęboka zaduma, zakończona westchnieniem.

– To prawda. Tak może być. Wynik tego badania może mieć istotne znaczenie w razie konieczności wykonania zabiegu operacyjnego po porodzie. Musicie sami podjąć decyzję.

Dni płynęły, a oni ciągle tkwili w punkcie wyjścia. Pewnego wieczoru podeszła do męża, przytuliła się, chowając głowę w jego ramionach i zapytała:

– Co mamy robić?

– Sam nie wiem – odrzekł. – Wszystko wskazuje na to, że nasz synek jest zdrowy. Nie wiemy tylko, co z tym serduszkiem. Jeśli ryzyko jest tak nikłe, a nie wykonując tego badania, narażamy go na znacznie wyższe ewentualne zagrożenie po porodzie… Sam nie wiem… – powtórzył w zadumie. Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Jeśli jednak zdecydujemy się na takie badanie, co mu kiedyś powiemy, gdy będzie już dużym chłopcem i zapyta: „Dlaczego robiliście to badanie? Czy chcieliście mnie tylko pod warunkiem, że będę dzieckiem bez wad?"?

Zamilkli oboje. Nigdy w ten sposób nie pomyślała. Nawet jej przez myśl nie przeszło nic podobnego. Czy kiedyś ich dziecko mogłoby tak pomyśleć?

– Powiemy mu prawdę. Wytłumaczymy, że powodem była troska o jego zdrowie – rzekła. – Ale czy nam uwierzy?

– Musimy też być przygotowani na każdy wynik – zakończył.

Tak, wiedzieli o tym, ale ich serca radowały się na dobre wieści. Czy mogli zatem przygotować się na inne?

Rankiem, po przebudzeniu nadal kontynuowała wieczorną rozmowę, gdyż czuła się zupełnie nieprzygotowana na, jak powiedział, „każdy wynik".

– Co jednak, jeśli wynik będzie inny niż ten, jakiego pragniemy?

Utkwił wzrok gdzieś głęboko w suficie, przytulił ją i powiedział:

– Wtedy będziemy musieli pomyśleć jeszcze o wielu następnych dzieciach. – Uśmiechnął się. – Bo nasz najstarszy synek będzie potrzebował dużo miłości.

Spojrzała mu w prosto w oczy i również się uśmiechnęła. Nigdy nie była bardziej pewna niż teraz, że jest u boku mężczyzny, z którym mogłaby iść na koniec świata.

Rozmowa wiele im wyjaśniła. Nie zakończyła się jednak konkretną decyzją. Nadal szamotali się pomiędzy „tak" i „nie", jak złapane w sidła ptaki. Ich nastawienie zmieniało się z dnia na dzień. Raz decydowali się na to badanie, następnego dnia kategorycznie je odrzucali. I ciągle nie wiedzieli, co mają zrobić.

Tak mijał następny miesiąc niepokoju, uczucia bezradności i nieprzespanych nocy. Tymczasem wyznaczony termin zabiegu zbliżał się nieubłagalnie. Toczyła długie rozmowy z Bogiem. Mówiła, że oni nie potrzebują tego badania. „Czy potrzebuje go nasz synek?" – pytała, lecz nie usłyszała odpowiedzi.

Chcieli podjąć decyzję na „nie", lecz pozostawał jakiś niepokój w sercu, który nie pozwalał jej spać spokojnie. Myśląc o „tak", obawiali się, by nie wyrządzić dziecku krzywdy.

Zdenerwowanie osiągnęło swe apogeum dwa dni przed zabiegiem. Zadzwoniła do męża.

– Nie mogę! Nie mogę już dłużej tego znieść! Za dwa dni badanie, a ja zupełnie nie wiem, co mamy zrobić. Czuję niepokój w sercu. Wychodzę teraz z domu. Muszę się dowiedzieć wszystkiego, czego jeszcze nie wiem o tym badaniu.

– Dobrze – usłyszała. – Dzwoń jednak do mnie co jakiś czas, czy wszystko w porządku.

Cały dzień spędziła na telefonach i wizytach u lekarzy, próbując wyjaśnić wszystkie nurtujące ją jeszcze kwestie, lecz ciągle nie mogła znaleźć odpowiedzi, której szukała. Całkiem już w tym wszystkim zagubiona zastukała w końcu do drzwi plebani. Miała wrażenie, że od tego natłoku różnych myśli ma mętlik w głowie i już nawet nie wie, co to biel, a co czerń i czy w ogóle mają prawo robić takie badanie.

– Jeśli czynimy to, by pomóc dziecku, nie ma w tym zła – usłyszała.

Usiadła na ławce w parku. Za kilkanaście godzin mieli wyznaczony termin badania. Patrzyła w niebo. Chmury przesuwały się harmonijnie, jakby nic się nie działo, gdy w tym samym czasie w jej sercu szalała burza niepewności. W końcu wyjęła telefon i zadzwoniła do męża.

– I jak tam? – usłyszała w słuchawce.

– I nic – odrzekła. – Ciągle jestem w tym samym punkcie, co wczoraj, co tydzień temu, dwa tygodnie i miesiąc. Nadal nie wiem, co powinniśmy zrobić. Wieczorem mamy umówioną wizytę u jeszcze jednego lekarza. Chciałabym, byśmy poszli tam razem.

– Dobrze, o której? – odparł, pytając.

– O dziewiętnastej.

– Przyjadę po ciebie o osiemnastej piętnaście.

Przywitał ich starszy mężczyzna, z włosami owianymi srebrną oznaką szlachetności wieku.

– W czym mogę państwu pomóc? – zapytał.

– Chcielibyśmy porozmawiać – odrzekli, po czym pokrótce wyjaśnili całą sytuację.

– Przez lata przeprowadzałem takie badania. Nie powinniście się państwo obawiać, tym bardziej, że jesteście naprawdę w dobrych rękach. Niejednokrotnie pobranie krwi okazuje się trudniejszym badaniem niż to, które teraz wywołuje w was tyle niepokoju.

Tak, o takim pobraniu krwi już co nieco wiedziała. Szybko powróciła jednak do badania i decyzji, którą mieli podjąć.

– Czy igła może zranić dziecko? – zapytała cicho.

– Nie – odrzekł lekarz, uśmiechając się. – To naprawdę bardzo mało prawdopodobne. Badanie jest wykonywane pod kontrolą obrazu USG. Ponadto proszę mi wierzyć, że dotknięcie dziecka wtedy, kiedy wymaga tego potrzeba, jest niezwykle trudnym zadaniem, gdyż bardzo skutecznie ucieka i chowa się. Nie mogę państwu powiedzieć, co powinniście zrobić. Decyzja należy do was. Wszystko wskazuje jednak na to, że dziecko jest zdrowe. – Zamyślił się na chwilę utkwiwszy wzrok w jej twarzy, po czym kontynuował: – Widzę jednak, że pani jest już bardzo wycieńczona tą sytuacją, a przed wami jeszcze kilka miesięcy ciąży. To może się odbić na dziecku. Poprawa pani zdrowia psychicznego jest tutaj wystarczającym argumentem, by wykonać to badanie. – Zamilkł na chwilę patrząc na nich, po czym zakończył: – Jakąkolwiek decyzję podejmiecie, nie musicie się obawiać.

Wyszli pokrzepieni. Wydawało się jej, że wie już, co powinni zrobić. Nie mogła znieść myśli, że mogą stanąć na przeszkodzie ratowania dziecka, nie decydując się na to badanie. I jeśli ta obawa miałaby ją dręczyć przez kolejne miesiące… Nie. Bała się, że tego nie potrafiłaby znieść, a jej wyczerpanie psychiczne mogłoby zaszkodzić dziecku.

„Chyba powinniśmy jutro pójść na to badanie" – rzekła w myślach szukając, a serce powiedziało: „Tak".



Ślady na piasku

Schowaj mnie pod skrzydła Swe
Ukryj mnie w silnej dłoni Swej.
Kiedy fale mórz chcą porwać mnie…
(R. Morgan, *Schowaj mnie*)

Zebrała siły i rano pojechali na wyznaczone spotkanie z lekarzem. Na szczęście przed gabinetem nie zastali tłumów, a panującą tam atmosferę lęku i niepewności otulało głębokie milczenie. Badania wykonywane za tymi drzwiami były bowiem tak poważne, że wszelkie słowa wydawały się nieporadne, i tylko współgrały z trwogą oczekiwania na niewiadomą.

Nagle wręczono jej jakąś kartkę, którą należało podpisać – zgodę na wykonanie badania. Jak w każdej zgodzie dotyczącej badań były tam wypisane wszelkie możliwe niewiadome, zagrożenia oraz komplikacje wiążące się z zabiegiem. I wtedy kropla przelała kielich.

– Nie! Nie mogę! Nie wytrzymam tego dłużej! – Spojrzała na męża ze łzami napływającymi do oczu. – Chodźmy stąd! Nie mam już siły! – dodała niemal błagalnym tonem, a choć zdecydowanym, to tak cichym, jakby całkiem zgłuszonym zupełnym już wyczerpaniem.

Wizja możliwych komplikacji i zagrożeń rozdarła jej serce jak błyskawica budząca burzę tłumionych emocji, której ostre strumienie uderzyły w nią teraz całą swą mocą strachu i niepewności. Nie miała już siły. Czuła, jak uginają się pod nią nogi. On jednak milczał, po czym w strapieniu i zamyśleniu rzekł:

– Skoro… – Przerwał na chwilę, zagłębiając się w swych rozważaniach. – …aż tu dotarliśmy, to może powinniśmy jednak zostać – dodał, stwierdzając raczej niż pytając.

Spojrzała na niego z ufnością. Teraz on musiał trwać, gdy jej zabrakło sił.

Usiadła na najbliższym wolnym krześle. Chciałaby najchętniej gdzieś się schować, w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie białe jest białe, a czarne czarne. Tam, gdzie wszystko jest jasne i proste, nic i nikt ich nie zwiedzie, nie oszuka, gdzie będzie mogła wykrzyczeć i wypłakać cały ten strach, niepewność, zagubienie i bezradność, a łzy jej zostaną otarte. I odnajdzie siłę.

Wtedy przypomniała się jej ta opowieść:

We śnie szedłem brzegiem morza z Panem,
oglądając na ekranie nieba całą przeszłość mego życia.
Po każdym z minionych dni zostawały na piasku
dwa ślady – mój i Pana.
Czasem jednak widziałem tylko jeden ślad
odciśnięty w najcięższych dniach mego życia.
I rzekłem:
„Panie postanowiłem iść zawsze z Tobą,
przyrzekłeś być zawsze ze mną;
czemu zatem zostawiłeś mnie samego
wtedy, gdy było mi tak ciężko?"
Odrzekł Pan:
„Wiesz synu, że Cię kocham
i nigdy Cię nie opuściłem.
W te dni, gdy widziałeś tylko jeden ślad,
ja niosłem Ciebie na moich ramionach".
(anonim, *Ślady na piasku*)

Zamknęła oczy i modliła się do Boga całą sobą, prosząc, aby ich nie opuszczał, gdyż teraz tak bardzo Go potrzebowała. Aby trwał przy nich, dał im siły i nie pozwolił, by stała się jakakolwiek krzywda ich maleństwu. Jeśli zaś, mimo że wiedzeni troską o zdrowie swego dziecka, źle postąpili i to badanie jest niepotrzebne, aby im przebaczył. Wydawało się jej, że już nic więcej nie wie i nie pojmuje. A z całej tej niewiedzy i niepewności wyłaniał się tylko jeden pewnik:

„Nie dam rady sama stawić czoła temu badaniu. Nie potrafię" – szlochała w duszy, a łzy te otulone blaskiem nadziei, odbijały się w jej oczach. „Tak bardzo pragnę, byś wziął mnie w swoje ramiona – wzniosła w duszy tę prośbę, przymykając oczy. – Pomóż mi! Proszę!" – błagała, odczuwając wielką potrzebę schronienia dającego ukojenie w trwodze. Tak bardzo teraz potrzebowała ukryć się chociaż na chwilę, równocześnie nie pozostając w miejscu, kiedy musiała iść naprzód.

Badanie przebiegło sprawniej i szybciej niż pobrania krwi, jakie miała wykonywane do tej pory, jak również każde poprzednie badanie w okresie ciąży. Zupełnie tak, jak mówił

tamten lekarz. A malutkie wkłucie szybko przestało istnieć. W żaden sposób nie zagroziło ono dziecku. Gdzieś w głowie powracało jednak ciągle pytanie:

„Czy to naprawdę było potrzebne?".

Nie znajdywała na nie jednak odpowiedzi.

– Niezależnie od wyniku badania należy zgłosić się do mnie po jego otrzymaniu – rzekł na zakończenie lekarz. – Teraz proszę się udać do pielęgniarki, która udzieli państwu dalszych informacji – dodał.

– Wyniki powinny być za trzy, cztery tygodnie – poinformowała ich pielęgniarka. – Jeśli nie zostaną stwierdzone wady płodu, otrzymacie państwo list z Instytutu Genetyki z taką informacją. W przeciwnym wypadku zostaniecie poinformowani telefonicznie o konieczności stawienia się osobiście po ich odbiór – kontynuowała. – Proszę pamiętać, że trzeba się udać osobiście – powtórzyła – gdyż takie informacje nie są udzielane przez telefon. – Spojrzała na nich, upewniając się, że zrozumieli, po czym wyciągając swą dłoń na pożegnanie i uśmiechając ciepło, rzekła: – Zatem, życzę państwu listu.

Kiedy nastał wieczór, usiadła w fotelu, opierając głowę o jego zagłówek, a zamknąwszy oczy, by odetchnąć po trudach i emocjach ostatnich godzin…

…usłyszała w ciszy krzyk mew i delikatne muśnięcia słonych wód. Szum morza i łagodność plaży. To zawsze przynosiło jej ukojenie. Poczuła niemalże zapach bryzy i łaskotanie milionów maleńkich ziarenek piasku pod stopami. Znalazła się na brzegu morza, lecz tym razem spokojne wody wezbrały nagle, przybierając oblicze spienionych fal dzisiejszego dnia, a wtedy utknęła tam, gdzie brakło jej sił. Smutek i poczucie małości ogarnęło ją, mając przed sobą szalejący i zbliżający się w jej stronę sztorm. Stała bezradnie na plaży. Nie mogła postawić żadnego kroku, nie wiedząc, w którą uciekać stronę. Smagał ją wicher, a twarz zalewały rozpryskujące się na jej policzkach niesforne strumienie wzburzonych fal. Czuła, jak drżą jej podmyte wodą i tonące w piasku nogi, których nie mogła ruszyć, i pojęła, że zaraz upadnie. Łzy popłynęły z jej oczu, skapując i mieszając się z wodą morską. I nie wiedziała doprawdy, co było bardziej słone…

Opuściła głowę, zatopiwszy wzrok w ciemnych odmętach gotowych ją pochłonąć. Zabrakło jej sił. Utknęła w swej niemocy, zupełnie wystawiona na żywioł zbliżającego się w jej stronę wyjącego sztormu. Czuła za każdym razem mocniejsze uderzenia fal, które z coraz większą zawziętością próbowały ją porwać. Woda szybko podnosiła swój poziom, zalewając stopniowo jej ciało. Nie miała już siły na nic, a kiedy próbowała wołać o pomoc, słowa zostały stłumione wlewającą się w jej usta wodą.

Lecz serca zatopić nie sposób. Z całej swej mocy pragnienia światła i ukojenia oraz potrzeby ratunku, krzyknęło więc ono: „Pomóż mi!", w tym samym czasie, gdy ona, ostatnim wysiłkiem, na jaki udało się jej zdobyć, uniosła w górę swe ręce. Wtedy zamiast chłodu wody i ostrości wichru poczuła ciepło i ukojenie światła. Była tak wyczerpana, że nie zdołałaby się teraz zastanawiać nad czymkolwiek. „To… To ciepło, To dobro" – pomyślała jedynie i zamknąwszy oczy, opadła w nie w pełnym zaufaniu, a To całą ją otuliło.

Kiedy wszystko ucichło, podniosła niepewnie głowę. Leżała wyczerpana na plaży. Na jej twarz padało jasne światło, morze szumiało spokojnie i falowało łagodnie, a ciepły, nagrzany tym promieniem piasek masował delikatnymi figlami wiatru jej bezsilne stopy. Spojrzała w ich stronę. Leżały bezwiednie, nie będąc dziś w stanie postawić kroku, i wtedy zobaczyła na piasku jeden tylko ślad…

A ponad głęboką ciszą łagodności morza, jaką teraz zostało okryte, i ciepłem promieni słonecznych padających na nią z góry, jej serce jakby coś słyszało…

„Oprzyjcie się na Mnie, wierząc w moją dobroć, a poprzysięgam wam na moją miłość, że kiedy z takim nastawieniem mówicie: «TY się tym zajmij», Ja w pełni to uczynię, pocieszę was, uwolnię i poprowadzę.

A kiedy muszę was wprowadzić w życie różne od tego, jakie wy widzielibyście dla siebie, uczę was, noszę w moich ramionach, sprawiam, że jesteście jak dzieci uśpione w matczynych objęciach. To, co was niepokoi i powoduje ogromne cierpienie, to wasze rozumowanie, wasze myślenie po swojemu, wasze myśli i wola, by za wszelką cenę samemu zaradzić temu, co was trapi (…)".*

…otworzyła oczy. Była rozpalona. Sięgnęła dłonią, by dotknąć czoła, ta jednak zatrzymała się na policzku, gdyż poczuła płynące po nim łzy. W dotyku tym zaś najpierw przeszył ją mroźny strumień strachu, stłumiony następnie głębokim ukojeniem ciepła.

– Czy to był tylko sen? – zapytała ciszy.

Ta jednak milczała jak zwykle…

… powtarzając równie niemo co nieustannie:
Bo góry mogą ustąpić
i pagórki się zachwiać,
ale miłość moja nie odstąpi od ciebie.
(Iz 54,10)

* Akt zawierzenia z pism ks. Dolindo Ruotolo.



Dom

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów Nieba…
Tęskno mi, Panie.

(C.K. Norwid, *Moja piosnka II*)

„Co teraz? Tak długo trzeba czekać na te wyniki" – pomyślała. Taki ogrom czasu, że wydawało jej się, że temu nie sprosta. Zamknęła oczy i pochyliła głowę. „Jak przebrnąć przez kolejne tygodnie wiszącej nad nami niewiadomej? To takie trudne…" – zafrasowała się. „W tym czasie tysiące myśli krążyć będzie w mojej głowie nieprzerwanie we wszystkich możliwych kierunkach, ciągle dołączać będą do nich nowe, kolejne, następne, i tak nieustannie. Jak mam sobie z tym poradzić?" Lękała się swej słabości.

Nie potrafiła spokojnie czekać. Kiedy dusza truchlała, a serce płakało nad cierpieniem tego świata, dni ciągłej niepewności wydawały się nieskończonością. Szamotała się niczym ryba uwięziona w sieci, słysząc szum fal i wzywającą ją wolność głębi. Tęskniła za tym wszystkim w obawie, że może to stracić, ale czasem wydawało się jej, że jest już tak zmęczona i słaba, że nie uda się jej walczyć o te marzenia.

„Co robić?" – zapytała w duszy, lecz nie usłyszała żadnej odpowiedzi. „Co mam teraz począć?" – powtórzyła. Nie wiedziała. Czuła tylko, że potrzebuje dużo siły oraz ukojenia w trwodze.

„Dom" – niespodziewanie odpowiedź nadeszła sama.

Pojęła, że jedyne czego w tej chwili pragnie, co daje jej siłę i niesie ukojenie to dom. Nie miała jednak na myśli ich mieszkania, lecz tęskniła za miejscem swego dzieciństwa. Dusza jej wyrywała się tam, gdzie znów mogła się stać małą dziewczynką, wtulić pod skrzydła rodziców i niczego się nie lękać, gdyż oni byli przy niej. Tak, to ta oaza miłości, której teraz tak bardzo potrzebowała. Zapragnęła z całego serca pojechać tam choć na kilka dni. Marzenie to ujęło ją w tym momencie tak mocno, że zamknęła oczy i uciekła w swych myślach do korzeni, dobra, miłości i skrzydeł.

– To najwspanialsze miejsce na ziemi – wyszeptała. – Serca tamtejszych ludzi czynią

je tak wyjątkowym – dodała, podążając za wspomnieniami.

Wzrastała w domu wielopokoleniowym wraz z rodzeństwem, rodzicami i dziadkami. Nie każdy z jej rówieśników miał szczęście poznać swych dziadków. Świadoma tego, tym większą czuła wdzięczność, że miała ich u swego boku. Dziadek uchodził za bardzo szanowaną osobę. Przeżył dwie wojny, brał czynny udział w obronie ojczyzny i nieustannie pielęgnował wagę i piękno głębokich wartości serca. Zawsze pomagał innym i nigdy nie odwrócił się od człowieka w potrzebie. Nie dane mu było zdobyć wykształcenia, lecz przepełniała go naturalna mądrość, a dzięki nieustannej pracy nad samokształceniem posiadł dużą wiedzę. Wszystko to każdego dnia wykorzystywał, starając się budować lepszy świat, na ile tylko leżało to w jego możliwościach. Jako mała dziewczynka nie rozumiała wszystkiego, co robił, ani też zbyt wiele z tego, o czym opowiadali dorośli. Pamiętała jednak, że wielu ludzi, mówiąc o dziadku, wypowiadało się o nim z ogromnym szacunkiem i podziwem. Kiedy widziała te spojrzenia pełne uznania, pojmowała, że to wielki człowiek. „Nie ma nic bardziej wartego dążenia na tym świecie, żadnego bogactwa i zaszczytów, które mogłyby dorównać prawdziwej wielkości człowieka" – rozmyślała wtedy. Gdyby zatem ktoś zapytał ją, tak całkiem poważnie, kim chciałaby zostać, gdy dorośnie, a to pytanie nie onieśmieliłoby jej zbytnio, odrzekłaby z pewnością: „Wielkim człowiekiem". Uśmiechnęła się. Takie były jej marzenia, a teraz tak bardzo się lękała, że może zgubić prowadzącą do nich drogę, a może nawet samą siebie. Czuła się taka zagubiona. Zamknęła oczy.

„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba, tęskno mi Panie" – westchnęła duszyczka małej dziewczynki, jaką teraz znów się poczuła.

I napłynęły wspomnienia, jak w niedzielę, odświętnie ubrani, szli całą rodziną do kościoła. Ten niecodzienny strój oraz wspólne świętowanie tego dnia czyniły go wyjątkowym i wyczekiwanym. To odróżniało go od pozostałych oraz stanowiło piękny i głęboki przerywnik szarej codzienności.

„Tam Bóg jest ważny. Najważniejszy! Człowiek człowiekowi zaś bratem" – pomyślała. „Ludzie żyją wiarą, nadzieją i miłością". To wspomnienie znów zaniosło ją w objęcia rodziny, tej najbliższej i tej… Uśmiechnęła się leciutko na tę myśl.

Zdawało się jej, że niejako ma dwie rodziny. Jedną – najbliższą: rodziców, rodzeństwo, dziadków, wujostwo oraz drugą – sąsiadów, których miejscowe dzieci nazywały wujkami i ciociami, bo każdy dom w okolicy stał dla nich zawsze otworem. Wszyscy się znali nawzajem, dzielili radościami i smutkami. Jak zwykli ludzie mieli swoje wady, spory, zazdrości,

lecz gdy pojawiało się zagrożenie, stawali za sobą murem. Tam niełatwo było się zgubić, bo zawsze stał ktoś w pobliżu, wskazując drogę. Trudno upaść, czy też znacznie łatwiej powstać, gdy się znajdowało obok wyciągniętą dłoń.

„Kiedy ludzie trzymają się razem oraz świeci jasne światło Boże wskazujące drogę, życie jest dużo łatwiejsze, piękniejsze i ma sens – rozmyślała. – Gdybym tylko mogła pokazać taki świat swoim dzieciom…" Rozmarzyła się.

„Tam ludzie byli sobie braćmi" – powtórzyła w myślach, zagłębiając się dalej we wspomnienia.

Od dziesiątego roku życia pomagała rodzicom sprzedawać owoce, warzywa i kwiaty na targu w pobliskim miasteczku. Ponieważ była drobnej budowy, długo sprawiała wrażenie dziecka, co dodatkowo potęgowało jej spojrzenie ufności i zachwytu, jakim patrzyła na świat i ludzi. Widok tej małej dziewczynki budził życzliwość i mimo że z czasem wpisał się w scenerię miasta, nie pozwolił się zdusić znieczulicy czy obojętności. Zupełnie jakby te nie miały prawa wstępu do serc tamtejszych ludzi. Ze wzruszeniem wspominała, jak czasem ktoś przynosił jej słodycze albo kanapki. W chłodniejsze dni jesienne i zimowe: termofory, ciepłą herbatę, a nawet zupę. Mówili: „Proszę, nie krępuj się i poczęstuj".

„To miejsce, w którym z pewnością nie pozwolonoby zamarznąć dziewczynce z zapałkami" – pomyślała ze wzruszeniem.

Powróciła pamięcią do tamtych miejsc i osób, zatrzymując się na moment w swych rozmyślaniach, by móc tam „pobyć" jeszcze przez chwilę.

„Jakie to wspaniałe, że obcy ludzie tak się o mnie troszczyli – kontynuowała, ujęta ciepłem tych wspomnień. – Czy jednak na pewno obcy? – zastanowiło ją to teraz. – Mówili: «Choć ty nas może nie znasz, my znamy ciebie. Jesteś tu przecież z nami od lat»". Przez krótki czas rozważała ich słowa, po czym uśmiechnęła się i padła zdecydowana odpowiedź serca: „Nie! Nieprawda, że obcy!".

Przecież ich znała. Witała ich wraz z budzącym się porankiem, a rozstawała się z nimi, gdy miasto pustoszało o zmierzchu. Z czasem nauczyła się, kogo o jakiej porze dnia należy się spodziewać, jak też szybko zapamiętała listy zakupów swoich klientów, często podając towary bez zbędnych pytań. Wiedziała również, komu może pomóc, wkładając ukradkiem do torby więcej niż poprosił, czy też gdzie wypatrywać staruszki ściskającej w dłoni parę monet zawiniętych w trzy chusteczki i zdecydowanie niewystarczających na podstawowe zakupy.

– Tego lata nie jadłam jeszcze pomidora – rzekła cicho końcem lipca wzruszona kobieta,

unosząc ku twarzy jeden z nich, by nacieszyć się jego widokiem i zapachem.

Stało się tak, kiedy pierwszy raz podarowała jej kilka warzyw. Wtedy serce dziewczynki mocno postanowiło, że nie pozwoli, by tę babcię ominęły smaki i zapachy lata. Dlatego też wypatrywała jej każdego dnia.

Nawet jeśli nie znała imion i nazwisk tych ludzi, byli jej bliscy. I tak z każdym odruchem ludzkich serc powiększała się jej „druga rodzina", budowana nie na więzach krwi, a drobnych, szczerych gestach dobroci i miłości bliźniego.

„Całkiem tak jak się wznosi dom" – pomyślała z łagodnym ukojeniem, jakie teraz rysowało się na jej twarzy. „Przybywało cegieł dobroci, które spajało braterstwo. Dom – powtórzyła – stawiany na fundamencie miłości! Człowieczeństwo. I tyle pięknych kwiatów kwitło w jego ogrodzie…" – rozmarzyła się. Jej twarz rozpromienił zachwyt i wiara w człowieka, zupełnie jak wtedy, gdy była tamtą dziewczynką wierzącą nieugięcie, że każdy wypływający z serca gest zmienia ten świat na lepsze.

Zanurzyła się w głębię tych wspomnień jak w ocean i tylko delikatny, ciepły uśmiech unosił się niczym łagodne fale na powierzchni jego bezmiaru. Nagle błysk w jej oczach zdradził, że dotarła do jakiegoś wyjątkowego momentu.

– Pewnego dnia otrzymałam nawet… – szepnęła, po czym zawahała się, szukając odpowiednich słów, lecz znów zamilkła, ze wzruszenia nie potrafiąc ich znaleźć.

Zapamiętała to jako szczególne zdarzenie. Były wakacje. Piękny letni dzień. Siedziała jak zwykle na stołeczku pomiędzy skrzynkami z warzywami i owocami oraz małą wagą stojącą przed nią. Ważyła je i podawała ze szczerą radością potwierdzaną szerokim uśmiechem. Nagle speszyła się nieco, podniósłszy wzrok, by spojrzeć na kolejną osobę, która teraz do niej podeszła. Stanął przed nią profesor. Człowiek ten cieszył się dużym autorytetem i szacunkiem. Znała go z opowiadań nauczycielek w szkole oraz z konkursu, w którym kiedyś brała udział. Ogarnęło ją nieodparte wrażenie, że ją zapamiętał i nie przypadkiem znalazł się tutaj. Oboje wydawali się nieco onieśmieleni, spoglądając na siebie i nie śmiąc zdradzić, że to nie pierwsze ich spotkanie. Delikatna nić sympatii i szacunku połączyła ich spojrzenia. Od tamtej pory profesor coraz częściej pojawiał się na jej stoisku, aż pewnego dnia, po spakowaniu zakupów podarował jej bukiet kwiatów. W jej oczach, tak wtedy, jak i teraz, rozbłysła rozbudzona tym wspomnieniem iskra zachwytu i wdzięczności. Gdyż kwiaty te stały się największym wyrazem uznania, jaki mogła sobie wymarzyć, a gest ten zalśnił ponad wszelkie medale i był jej droższy od najcenniejszych nagród tego świata. Cóż bowiem może być piękniejsze od kwiatów i wspanialsze niż podarunek serca oraz

uznanie w oczach autorytetu?

Ten moment pozostał w jej pamięci i sercu na zawsze. Gdy zaś przychodziły chwile zwątpienia, powracał urokiem i zapachem tamtego bukietu, przypominając jej o dziewczynie, którą ujrzała w spojrzeniu profesora, kiedy wręczał jej kwiaty. Nagle tak bardzo zapragnęła znów ją w sobie odnaleźć – tamtą siebie. Oparła głowę o fotel i zamknęła oczy, trwając tak w ciszy, jaka teraz ją otulała tym wyjątkowym wspomnieniem.

„Ten świat z pewnością walczyłby o Janka Muzykanta – pomyślała. – Gdybym mogła tylko pokazać taki świat swoim dzieciom". To marzenie stale powracało, tym mocniej, im bardziej współczesność odtrącała prawdziwe wartości.

Uśmiechnęła się znów do jakiejś odległej chwili, podążając za kolejnymi obrazami wyłaniającymi się w jej głowie, docierając tak do swych pierwszych poważnych wyborów. A było to pewnego dnia, gdy tata przyłapał ją na wspinaniu się po drzewach. Przechodziła z gałęzi jednego drzewa na drugie, podziwiała świat z wysoka i wtedy właśnie pojawił się tata.

– Dziewczynce nie przystoi takie zachowanie. Jeśli nadal tak będziesz postępować, nigdy nie zostaniesz damą – stwierdził.

„O, nie! – pomyślała. – Jak on tak śmie!" – Ale nic nie odrzekła. Jednak jego słowa zirytowały ją tak bardzo, jak tylko coś takiego może poruszyć małą dziewczynkę, marzącą, jak każda mała dziewczynka, o byciu damą czy księżniczką. Czy takie pragnienia nie są bowiem przywilejem małej dziewczynki? Była zasmucona. Czyżby właśnie odbierano jej prawo do pięknych sukni, salonów, pałaców i podziwu innych, jeśli nie zmieni swego postępowania? Cały tydzień biła się z myślami, uważając to za niesprawiedliwe i krzywdzące. Z pewnością nie taki był zamiar taty. Nie spodziewał się, że ona potraktuje to upomnienie i żart o damie jako tak poważne wyzwanie własnych wyborów, a jednak tak właśnie się stało. Rękawica została rzucona, a ona ją podniosła.

„Dobrze – stwierdziła w duchu. – Jeśli muszę zdecydować, to chcę czuć zapach kory i powiew wiatru w liściach drzew, podziwiać roztaczające się dookoła widoki, poznawać smak owoców zrywanych z najwyższych gałęzi i… być bliżej nieba".

Wolała cieszyć się pięknem świata, niż być skrępowaną sztywnymi sukniami i konwenansami jakiejś tam damy, choć trudno było jej się pożegnać z marzeniami o pięknych strojach i klejnotach.

„Jeśli nie można tego połączyć – myślała – to żegnaj damo. No już, zmykaj sobie! Wybieram pola, łąki, drzewa i niebo" – rzekła z lekkością, jaką poczuła, zrzucając ze swej duszy więzy bogactwa, przepychu, podziwu innych i własnej próżności. A może była to po prostu

lekkość, jakiej dodają niczym nieskrępowane, rozpostarte skrzydła…

Niczym nieskrępowane, rozpostarte skrzydła. Tak, to było to, za czym teraz tak bardzo tęskniła, przygnieciona niepewnością i strachem. Zamknęła więc oczy, by znów, choć na chwilę, móc wspiąć się na „korony drzew" – ponad wszelkie zmartwienia, szarość i pokusy doczesności.

– To dobra lekcja – szepnęła po chwili. – Wiele mnie nauczyła, tylko… – zawahała się – … czy teraz będę potrafiła z niej czerpać? Szkoda – dodała. – Może coś zatraciłam z tej dziecięcej szczerości, klarowności spojrzenia i odwagi wyborów?

Tęsknota za domem otaczała ją obrazami przepełnionymi dobrem, pięknem, prawdą i miłością. Harmonią świata, który zawierzył Bożej opatrzności, gdzie ludzie potrafili zaufać bez konieczności przejrzenia i zrozumienia wszystkiego.

Tak powracały jej najgłębsze marzenia, a z zagubienia wyłaniała się droga, jaką zawsze pragnęła podążać. Podobno najważniejsze i najpiękniejsze, co dziecko może wynieść z domu, to skrzydła i korzenie. Ona otrzymała jedno i drugie. Korzenie przypominały jej, kim jest i skąd pochodzi, skrzydła natomiast dodawały wiary w marzenia. Jednak czy teraz korzenie zdołają ją utrzymać, a skrzydła nie zostaną potargane i zerwane? Strach ciągle znajdował szczelinę, przez którą wkradał się i siał ziarno niepokoju.

– Dom! Chcę do domu! – szepnęła z pełnym przekonaniem tego jedynego pewnika, jaki w tej chwili potrafiła w sobie odnaleźć. Ze względu jednak na bliskie terminy kolejnych badań, nie mogła teraz wyjechać. Musiała odłożyć to na później.

„Znów muszę czekać, nawet z tym" – westchnęła w duchu zasmucona, gdyż jej dusza tak bardzo wyrywała się w rodzinne strony. „Najważniejsze, bym miała jakiś punkt zaczepienia" – myślała.

– Już wiem! Kupię bilet. Trochę poczeka, ale postawię go, o tutaj – rzekła, wskazując na wolne miejsce na półce. – I będę miała się do czego uśmiechać – dodała z radością.

Zakupiła więc bilet jako otuchę i pocieszenie, utulenie w trwodze i niepewności. Bilet do domu. Tego jej jedynego miejsca na ziemi, gdzie bez żadnych wątpliwości białe było białe, a czarne czarne, by mogła odetchnąć pełną piersią, poczuć moc i głębię korzeni, usłyszeć trzepot swych własnych skrzydeł. Odnaleźć w sobie znów tę dziewczynkę, której wolno było się bać czy trwożyć, łkać i krzyczeć na wietrze, płakać wraz z deszczem i śpiewać z ptakami, aby zaczerpnąwszy z tego źródła dobra, prawdy i miłości, zebrać siły i nie zgubić się. Taką miała nadzieję.

Obietnicę zaś tego wszystkiego krył w sobie jedynie mały kawałek papieru… bilet do domu.



Świecąca plamka

Co ona oznacza?

Kolejne standardowe badania wypadły dobrze, a USG oceniające rozwój narządów dziecka wręcz wspaniale. Na tym etapie ciąży nic nie wzbudzało jakichkolwiek podejrzeń czy zastrzeżeń. Maleństwo rozwijało się prawidłowo. Nie znaleziono żadnych punktów, pomiarów czy innych wskaźników odchylających się od normy i mogących sugerować potencjalne wady lub komplikacje.

Na badaniu kardiologicznym również nie uwidoczniło się nic niepokojącego. W dalszym ciągu nie stwierdzano wady serca, jak też niczego, co mogłoby wskazywać na jej ewentualne początki. Dzieciątko wyglądało na zdrowe.

Ich świat wydawał się powoli stabilizować po tym trzęsieniu i huraganach, jakie niedawno przeżyli. Wszystko wracało do normy.

„Pozostaje zatem dbać o siebie i maleństwo oraz czekać na listonosza" – pomyślała z radością przepełniającej ją znów nadziei.

I tylko ten hiperechogenny obszar trwał niezmiennie. Błyszcząca plamka, na swoim miejscu. Co ona miała znaczyć?

List

Listonosz stał się
najbardziej wyczekiwanym gościem
na ich planecie o nazwie: Rodzina.

Dni ciągnęły się ze ślimaczą prędkością, za to napięcie rosło w tempie zupełnie odwrotnym. W jej głowie krążyły tysiące myśli i wyobrażeń. Do tego była zbyt energiczna, by mogła usiedzieć spokojnie. Widok zakupionego biletu do domu niósł wprawdzie ukojenie, lecz tylko na chwilę, a dobre wyniki ostatnich badań podrywały jej skrzydła do lotu. Spokojne czekanie graniczyło więc z niemożliwością. Było przecież tyle pytań i niewiadomych, lęków i obaw, lecz również nie mniej pragnień. Jak mogła zatem nie walczyć z tymi smutnymi myślami, czy też zaniechać pogoni za marzeniami, które po ostatnich badaniach znów zalśniły nadzieją? Jednak przeplatające się wzajemnie radosne podekscytowanie oraz dręczące niepokoje stanowiły bardzo wyczerpującą mieszankę emocji. Nieustannie rozpościerała skrzydła swych marzeń, po czym spadała na twardy grunt boleści tego świata. Natychmiast jednak zbierała siły, by ponownie wzbić się w górę, z blaskiem w oczach, choć obolała i zlękniona, gdyż nade wszystko przepełniona nadzieją. Łatwo dawało się jednak dostrzec rysujące się na jej twarzy wyczerpanie. Lekarz proponował zwolnienie, lecz odmawiała. Obecność w pracy zobowiązywała, choć przez pewną część dnia, do myślenia o innych kwestiach. Dzieliła biuro z dwiema koleżankami, które o wszystkim wiedziały. Nie musiała zatem niczego ukrywać czy też udawać, a ich dobroć i zrozumienie niosły ukojenie. To wspaniałe, jakżeż dobre i piękne dusze, w tym wielkim mieście, gdzie często nawet sąsiad sąsiadowi nie mówił „Dzień dobry".

Czasem przychodziły jednak dni nadmiernego wyczerpania. Wówczas w obawie przed skurczami decydowała się na krótkie zwolnienie. Tak stało się i tym razem. Została w domu, pozwalając sobie na nieco odpoczynku. Zbliżał się koniec trzeciego tygodnia od dnia wykonania amniopunkcji, a listonosz stał się najbardziej wyczekiwanym gościem na ich „planecie" o nazwie: Rodzina. Tym bardziej cieszyła ją myśl spędzenia jakiegoś czasu w domu, gdyż mogła osobiście odebrać list.

Pocztę każdego dnia dostarczano miedzy dwunastą a czternastą. Południe oznaczało zatem początek jej wędrówek do skrzynki na listy. Biegała tak co pół godziny, aż do piętnastej, na wypadek gdyby z jakiegoś powodu mogło nastąpić opóźnienie.

„Ach, gdyby ten listonosz wiedział jak bardzo na niego czekamy. Gdyby choć troszeczkę przypuszczał, że jest teraz najbardziej wyczekiwanym ze wszystkich ludzi na naszej planecie" – rozmyślała wesoło, pełna pozytywnej energii, radując się w swych marzeniach tą wspaniałą wiadomością, której oczekiwała. „I gdyby wiedział, ile dobrych i miłych myśli mu towarzyszy, to musiałby się co najmniej uśmiechnąć" – dodała, po czym sama się roześmiała i znów pobiegła sprawdzić, czy list już się pojawił.

Taki scenariusz ciągłych wypraw do skrzynki na listy powtarzał się każdego dnia.

„Za dwa dni miną cztery tygodnie" – pomyślała nieco zatrwożona tym faktem, a wtedy nagle poczuła słabość i zmęczenie. „Może to od tego ciągłego biegania po schodach? Chyba powinnam się na chwilę położyć".

Gdy właśnie przymykała oczy, zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, dzwonię z Instytutu Genetyki – zabrzmiał w słuchawce kobiecy głos.

Zamarła. Całe szczęście, że leżała, gdyż poczuła, jak opuszczają ją siły, a nogi robią się miękkie jak z waty. Zaniemówiła i nie pamiętała, jak długo milczała, lecz chwila ta wydawała się być absolutną wiecznością.

– To… to… czy to oznacza, że nie powinnam pytać przez telefon o nic więcej? – W końcu wykrztusiła to z siebie.

– Tak – brzmiała odpowiedź. – Proszę po prostu przyjechać.

„Jak to po prostu? Przecież teraz to wszystko jest właśnie inne niż proste" – krzyczała w niej wszelka niewypowiedziana obawa i znów potrzebowała chwili, by pozbierać słowa w jakieś zrozumiałe zdanie.

– Kie…dy… mamy przyjechać? – załamał się jej głos.

– Jak tylko państwo będziecie mogli.

Odłożyła słuchawkę. Zamknęła oczy. Leżała tak jakiś czas, jakby dryfując w ciemnej otchłani niepewności. Głęboko westchnęła, po czym znów sięgnęła po telefon. Wykręciła numer, zaczerpnęła powietrza i z trudem wyszeptała:

– To ja. Przyjedź.

Słowa te zawisły gdzieś na linii telefonicznej pomiędzy nim a nią. Zapadło milczenie po obu stronach słuchawki. Jakby on wiedział lub czuł czy też po prostu obawiał się, co mogło znaczyć to: „Przyjedź". Nie śmiał nic powiedzieć, zagłuszyć tej ciszy, która jeszcze niosła

z sobą nadzieję. Po chwili jednak schronienie w milczeniu zostało obnażone, głos w słuchawce powrócił, słaby, jakby czymś stłumiony, lecz słyszalny:

– Dzwonili z Instytutu Genetyki…

Znów zapanowała cisza, a żadne z nich tym razem nie było jej w stanie przerwać. To milczenie, które teraz nastało, okazało się bowiem zupełnie inne niż poprzednie – cisza nadziei ogłuszona została trwogą niewypowiedzianych obaw. Po dłuższej chwili dał się słyszeć jedynie dźwięk cicho odkładanych słuchawek.

Straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, jak długo trwało, nim do niej dotarł. Zamienili kilka nieporadnych słów i ruszyli w drogę, by dowiedzieć się, co czeka na nich na tym zakręcie życia…



Zasłona słów „na czasie”

Szukając człowieka…

Narodziny i śmierć dostały się w szpony technologii,
a ta nie ma pojęcia o tajemnicy człowieka.
(P. Bosmans)

Nogi się pod nią uginały. Czuła totalne zagubienie. Nie potrafiła się uspokoić. Wsiedli do auta. Spojrzała na męża z podziwem, że był w stanie prowadzić. Za oknem samochodu świat migotał i zdawał się zupełnie rozmyty. Niczego nie mogła dojrzeć. Szukała w głowie odpowiedzi na pytanie: Co za chwilę zostanie im powiedziane? Jakie informacje mogą im przekazać? Do tej pory w sercu ich synka nie stwierdzono nic niepokojącego, żadnych nieprawidłowości – czy więc może się okazać, że to wada genetyczna? Ale przecież test krwi tak dobrze wypadł, że niemal zupełnie wykluczył taką ewentualność. Teraz przez jej głowę maszerowały po kolei różne wady serca oraz wady genetyczne, o których czytała w internecie, że mogą być wykryte w amniopunkcji. Czy któraś z nich zbliżała się właśnie w ich stronę? Czy za chwilę miała zapukać do ich drzwi i zostać im przedstawiona?

Czekając przed gabinetem, dojrzała na stoliku w poczekalni ulotki o tytule: „Jak zapobiegać wadom genetycznym”. I nagle, w mgnieniu oka, jakby za cudownym skinieniem czarodziejskiej różdżki wróciła jej cała radość i energia. Jeśli wiedziałaby o tym wcześniej, może nie musiałoby ich tu teraz być? Gdyby tylko mieli świadomość, że można coś zrobić, by chronić dzieci przed tymi wszystkimi wadami.

„Jakie to wspaniałe ulotki! – pomyślała. – Ilu ludziom mogą pomóc! Jak wiele dzieci uchronić! Dlaczego leżą tutaj? W ten sposób nie dotrą przecież do tych, którzy najbardziej ich potrzebują, do osób, które pragną zostać rodzicami”.

Szczęście i podekscytowanie z tego odkrycia były tak wielkie, że czym prędzej podbiegła do stolika, pochwyciła jedną z ulotek, po czym z nieukrywaną radością nadziei zaczęła łapczywie czytać. Jej wzrok uczepił się wydrukowanego tam tekstu jak tonący chwytający się brzytwy, mając nadzieję, że właśnie tu i teraz, pomiędzy tymi wersami znajdzie cudowny

środek, wspaniałe lekarstwo, rozwiązanie wszystkich ich zmartwień i problemów. Jej oczy biegały jak oszalałe z promiennymi iskierkami radości zbliżania się do cudownego odkrycia, które zaraz miało nastąpić i ocalić ich świat, lecz nagle wzrok jej zamarł, a dłoń osunęła się, upuszczając ulotkę. Nie nastąpiło nic cudownego, wręcz przeciwnie. Brzytwa, której tak kurczowo się uchwyciła, z całą siłą zwiedzionej nadziei, pełną ostrością swego ostrza boleśnie zraniła. Iskierki radości w jej oczach zostały zgaszone równie gwałtownie jak rozbłysły, a na ich miejsce napłynęły łzy.

„Jak mogą tak oszukiwać? Kłamać? Kto wymyślił ten tytuł: «zapobiegać»?" Chciała krzyczeć, lecz nie mogła. Ta ostatnia nadzieja na pomoc z ludzkiej strony w odsunięciu tego, co teraz tak ją trwożyło, została jej wydarta z taką brutalnością, że ją to zupełnie oszołomiło.

Choć może sama była sobie winna? Wykazała się naiwnością dziecka, które nigdy nie traci nadziei i wierzy w niemożliwe. Ulotka ta nie traktowała bowiem o tym, jak zapobiegać wadom genetycznym, lecz jak je likwidować. Gdyby mówiła o tym, jak im zapobiegać, leżałaby z pewnością w innym miejscu, chociażby w jakiejś przychodni dla przyszłych rodziców. Czegóż można było oczekiwać, lub spodziewać się tutaj, gdzie już tylko informowano o zdiagnozowanych wadach genetycznych? Czy zachowała się jak naiwna dziewczynka, która chwytała się każdej deski ratunku z tym większą nadzieją, im mniej czasu zostało do ogłoszenia wyników badań?

Smutek i rozgoryczenie, jakie teraz wylewały się z jej zranionego serca, były tak ogromne, że nie mogła ich powstrzymać. Osunęła się powoli na najbliższe krzesło, jakby nagle czymś ogłuszona. W zupełnej ciszy i mimo wszystko w takim spokoju i tak naturalnie, że nikt nie mógł nawet podejrzewać, jaki sztorm szalał teraz w jej wnętrzu.

„Zapobiegać" – rozbrzmiało raz jeszcze w jej duszy z całą boleścią przysłaniania prawdy.

„Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie"– przypomniała sobie słowa Mickiewicza i zafrasowała się. „Czym jest ten świat, gdzie wymyśla się słowa, których nowe brzmienie ma być wyrazem nowoczesności i ukrywaniem rzeczywistości?!" – krzyczała już całą mocą swej duszy. „Aborcja", a za nią „niemy krzyk"* – pomyślała teraz o filmie, o którym kiedyś słyszała, lecz nie mogła go obejrzeć, gdyż byłoby to dla niej zbyt wiele.

„Ta rzeczywistość to po prostu zbyt wiele – westchnęła. – Może nie tylko dla mnie? Dlatego chcą ją zasłonić? Lecz ukryć nie oznacza przecież odmienić, czy złagodzić. Jedynie słowa

* Niemy krzyk (tytuł oryginalny *The Silent Scream*) – amerykański dokumentalny film o aborcji nakręcony w 1984 r. Jest to pierwszy film przedstawiający aborcję dokonaną za pomocą techniki ultrasonograficznej. Pokazuje on zabieg przerwania ciąży w trzecim miesiącu, oglądany na monitorze aparatu USG. Autorem nagrania jest amerykański lekarz ginekolog Bernard Nathanson. Według komentarza filmu, widoczny na ekranie USG płód cierpi, ucieka przed narzędziem lekarskim, krzyczy z bólu i strachu. Jego autorem jest sam lekarz przeprowadzający ten zabieg, który po obejrzeniu nagrania przestał wykonywać aborcje.

stają się inne, mniej okrutne, lecz prawda jest jedna i nawet przysłonięta pozostaje niezmienna. Dlaczego więc tak nas zwodzą i okłamują?"

Gdy była jeszcze dziewczynką, jej starszy brat uczył ją, że wszystko jest białe albo czarne, a to co pośrodku – szare i od zła pochodzi: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi" (Mt 5,37).

Był małym chłopcem, ale już to wiedział i miał rację. Tylko wtedy, gdy człowiek nie traci umiejętności rozróżniania bieli od czerni, nie zgubi się w szarości. A tu, dorośli ludzie nie tylko szarość, ale nawet czerń nazywają bielą. Były tylko dwie opcje – albo ona, albo ten świat oszalał. Innej możliwości nie widziała.

„Dziś prawie wszystko jest szare i tą szarością nas otumania, zwodzi i jeszcze tłumaczy, a nawet rozgrzesza". Coś w niej łkało. Poczuła się oszukana. „Dlaczego? Dlaczego sami siebie i innych oszukujemy?" – pytała.

Pomyślała teraz o małej dziewczynce, która wybrała korony drzew zamiast bogactwa, przepychu i całego blasku bycia damą tego świata. Poczuła dumę i podziw dla tej małej istotki, jaką niegdyś była, za jasność serca oraz szczerość i pewność wyborów. Takiej dziewczynki teraz w sobie potrzebowała, bo błysk pozorów zaślepiał. Została okłamana i zraniona. Biegła w stronę tej ulotki z nadzieją, która miała otrzeć łzy. Radością, że można zrobić coś, by chronić dzieci przed cierpieniem, lecz nagle zdradzieckie ostrze zostało wbite prosto w serce — serce matki.

A to właśnie serce zatrzymało je, by nie ugodziło głębiej.

Całe szczęście, że dłuższą chwilę przyszło im czekać. Potrzebowała czasu, by wyciszyć targający nią ból, a łkającej duszy nakazać zebrać siłę i odwagę trwania w gotowości na przyjęcie informacji, po jakie ich tutaj wezwano. W końcu poproszono ich do gabinetu. Wskazano na dwa krzesła stojące przed biurkiem. Usiedli. Podano im kartkę.

– Oto państwa wyniki – rozległ się zza biurka łagodny głos profesora genetyki.

Zaczęła, teraz już spokojnie, wodzić po niej wzrokiem, szukając odpowiedzi na pytanie: Dlaczego tu są? Po chwili znalazła. Wyraźnie zapisane zostało:

„Kariotyp płodu nieprawidłowy: 47XY+21. Płód dotknięty trisomią chromosomu 21".

A wtedy jej serce zupełnie ją zaskoczyło, gdyż nie przestraszyło się ani nie posmutniało, lecz, choć z pewnym zatroskaniem, tak po prostu się uśmiechnęło. Spośród wszystkich maszerujących w jej głowie podczas jazdy tutaj wad, ta wydawała się teraz ukojeniem. Ich synek miał szansę być szczęśliwy i nie cierpieć. Otucha, że wada, jaką im przedstawiono nie

należała do najcięższych, oraz złość na ulotkę, która ją tak oszukała i zraniła, chcąc zwieść pozorem słów „na czasie", zmieniły się w tej chwili w jej siłę i tarczę. Po bitwie serca, jaka rozegrała się za drzwiami, czuła się przygotowana na to, co miało nastąpić. Odważnie podniosła więc głowę i spojrzała w oczy rozmówcy.

– To oznacza zespół Downa? – zapytała, upewniając się.

– Tak – odrzekł spokojnie, aczkolwiek zdecydowanie.

– Czy to pewne? – musiała zapytać, mimo profesjonalizmu i rzetelności, jakie zabrzmiały w jego głosie. Potrzebowała to wiedzieć bez żadnych złudzeń i wątpliwości.

– Raczej tak. Prawdopodobieństwo pomyłki jest tak nikłe, że praktycznie zerowe i taki błąd nigdy jeszcze nam się nie przytrafił.

Nic więcej nie przychodziło im do głowy, o co mogliby w tej chwili spytać.

– Macie państwo prawo usunąć ciążę do dwudziestego czwartego tygodnia – poinformował ich profesor po chwili.

Te słowa jednak dla niej nie istniały. Cały ból, jaki z sobą niosły, uderzył w nią już wcześniej, tam za drzwiami, w poczekalni, kiedy trzymała w rękach ulotkę. Otoczyła je więc taką obojętnością, jakby w ogóle nie zostały wypowiedziane. Nie chciała z nimi mieć już więcej do czynienia. Jej dusza szeptała: „Dajcie nam spokój! Mam tego dość!", a gdzieś w środku łkało jej serce.

Rzuciła okiem na kartkę z wynikami raz jeszcze dojrzawszy teraz wyraźnie układ chromosomów X i Y: „47XY+21"*.

– Badania potwierdziły, że mamy chłopca? Synka? – zapytała, uśmiechając się leciutko w matczynym rozmarzeniu.

– Proszę teraz nie myśleć o tym w ten sposób. Trzeba unikać takich słów, dopóki nie dokonacie państwo wyboru. To nie powinno na razie mieć znaczenia. Najpierw należy podjąć decyzję. – Profesor szybko przerwał ich marzenia.

A jednak znów udało się ją zaskoczyć. Nawet zbyt zaskoczyć, by cokolwiek potrafiła odpowiedzieć. Chyba nic już z tego tak naprawdę nie rozumiała.

„Jak to nie ma znaczenia? Wszystko ma znaczenie. To nasze dziecko! Unikać prostych, prawdziwych słów: «dziecko», «syn»? W jakim celu, by samemu się oszukiwać? Dlaczego? Po co? Aby biel prawdy przykryć szarością wygody lub strachu? Nie, nie i jeszcze raz nie! – krzyczała jej rozdarta dusza. – Nie może tak być! Jakby chciano w ogóle wyrzucić te najpraw-

* W każdej komórce somatycznej człowieka znajduje się 46 chromosomów (22 pary autosomów i jedna para chromosomów płci: XX u kobiety, XY u mężczyzny): prawidłowy kariotyp męski 46,XY; prawidłowy kariotyp żeński 46,XX; kariotyp pacjenta z zespołem Downa, dodatkowy chromosom pary 21; 47, XX+21 lub 47,XY+21.

dziwsze i najpiękniejsze słowa ze słownika ciąży, dopóki nie zostanie ona zaakceptowana przez współczesną moralność".

Czuła się wciągana i wplątana w ciasną sieć pajęczyny doczesności – lepkiej i nieustępliwej. Jednak gdzieś w głębi jaśniało światło, które przebijało się swym blaskiem przez te ciasne więzy.

„O co tu właściwie chodzi?" Była sfrustrowana, zagubiona i ogłuszona. „Co to za świat? – myślała. – Każe przemilczeć prawdziwe słowa, zastępując je pozornie «właściwszymi», by nas wtrącić w jakąś otchłań bez końca. Czy to milczenie ma znaczyć, że czegoś nie ma, a określenie «płód» ma wyrzucić dziecko, synka, córeczkę z serca, ze świadomości i podświadomości na bruk niewygody, kiedy tylko «szkiełko i oko» wskaże na jego «niedoskonałość» lub gdy okaże się zbyt problematyczne dla tego tworzonego przez człowieka świata «doskonałej doczesności»?"– zastanawiała się.

„Te słowa… – kontynuowała – to określenia, jakimi tak łatwo zwieść wszystkich błądzących w strachu. Będąc zlęknionym, nietrudno bowiem zbłądzić czy wybrać inną drogę, z której potem może nie być już odwrotu. Nie da się cofnąć czasu, zmienić wykonanej decyzji, a ogromu bólu, jaki wtedy przebije serce, nie sposób wcześniej przewidzieć ani w żaden sposób pojąć". To zasmuciło ją do głębi. „Gdzie jest drogowskaz, który ma pomóc nie zboczyć z właściwej ścieżki, zwłaszcza wtedy, gdy tak trudno jest się odnaleźć w siejącej trwogę niewiadomej? Stoi, faktycznie jest, tylko to, co na nim widnieje, to słowa niejasne, które nie wiadomo dokąd nas naprawdę wiodą…" Zafrasowała się, pochyliwszy ciężko głowę. „… z pewnością jednak nie ku prawdzie i ukojeniu" – dokończyła w myślach.

Bo cóż miałyby one znaczyć? Kim lub czym jest człowiek? I co jest jego miarą? Czy jedynie wielkość i rozwój ciała? Po tej stronie brzucha jesteśmy, a po tamtej to już nie człowiek, ale płód? Czym zatem jest płód? A może jest równy nam duszą i tylko mniejszy ciałem? Przecież tak samo się lęka i raduje. Czuła to od szesnastego tygodnia ciąży, a teraz już całkiem wyraźnie. Ich synek kopał i próbował uciekać, gdy się bał, oraz fikał radośnie i „tańczył", kiedy się cieszył. „Lubi nawet słuchać muzyki klasycznej" – uśmiechnęła się delikatnie na tę myśl. Jego ruchy stawały się lekkie i harmonijne, kiedy zakładała na brzuch słuchawki. Raz jednak płyta się zacięła, co spowodowało nieprzyjemne szmery i trzaski. Wtedy natychmiast zaczął kopać nerwowo w strachu, czy też niezadowoleniu. Zachowanie chłopca było zupełnie odmienne w chwilach radości i spokoju oraz w momentach stresu i trwogi. Nie dało się temu zaprzeczyć. Odbierała bardzo wyraźnie, że jej dziecko czuje, pragnie, raduje się i boi.

„Czyż to właśnie nie wielkość ducha wyróżnia ludzi od innych stworzeń?" – zastanawiała się. „A może w tym maleństwie, tak czystym, niewinnym i nieskażonym szarością tego świata więcej jest człowieka niż w nas tutaj?" – pomyślała, a pytanie to głęboko ją zasmuciło.

„Czym się bowiem stajemy? Gdyż nawet chcąc mierzyć wszystko ciałem, w dwudziestym – dwudziestym czwartym tygodniu ciąży to, które nazywano «płodem», czymże się różniło od tego, które zwano «człowiekiem»? Wykształcone już były rączki, nóżki, główka, oczy, włoski. Wszelkie części ciała i narządy. Wszystko, tylko po prostu mniejsze, nadal więc wzrastało i rozwijało się. Gdy zaś nastąpi poród przedwczesny walczy się o życie dziecka, a nawet ratuje maleństwa z «nieudanych aborcji», jeśli tylko znajdą się one po tej stronie, dostępnej dla ludzkiego wzroku". Zatrzymała się na chwilę w swych rozważaniach wraz z napływającym pytaniem:

„Czyżby ludzkie oko, zmysły mogły w tak istotny sposób ograniczać nasze pełne poznanie, a tym samym wielkość człowieka?" Westchnęła w duszy z zatroskaniem zatracania prawdy o stworzeniu i ludzkiej istocie, człowieka o samym sobie. „Czym zatem stać się miała ta najpiękniejsza oaza pod sercem matki? W co człowiek zmieniał miejsce, które Bóg uczynił świątynią daru życia? Czyż tam, gdzie nie sięga ludzki wzrok dawano przyzwolenie… ciemności?" Zadrżała. Bała się o tym nawet pomyśleć, gdyż wydało jej się zbyt smutne i okrutne.

Przy całym tym zagubieniu, tysiącu pytań, boleści wyboru, przed jakim ich stawiano oraz ludzkiej szamotaninie w próbie szukania drogi, jedno było pewne: dziecko czy „płód" jest niewinne, nie ma możliwości wyrażenia swej woli, jak również obrony, a ostatnią jego nadzieją i ucieczką jest… serce matki.

„Zapobiegać", „aborcja", „płód", „usunąć ciążę" powracało jak złe podszepty, którymi współczesność szczególnie boleśnie i głęboko raniła. Wbijano ostrze w tę ostatnią, najgłębszą ostoję ludzkiej miłości – matkę, godząc w jej ciało, następnie przebijając serce i duszę, po czym uderzano w dziecko i niszczono życie. Atakowano już tam, gdzie niebo łączyło się z ziemią…

Tego wydało się jej zbyt wiele. Za przymkniętymi oczami i pochyloną głową łkało jej serce i szlochała dusza.

„Czy ktoś jeszcze zastanawia się nad tym, co kryje się za tymi słowami?" To pytanie wciąż powracało w jej głowie. „Czy zdajemy sobie sprawę z tego, co one naprawdę znaczą? Czy też wrzuciliśmy te określenia w standardy współczesności: «tak dziś jest», «tak się robi», «tak się żyje»…" Zasmuciła się głęboko, a jej szlochająca dusza dodała: „…i tak

się umiera. Często nawet nie podejmując «zbędnego» wysiłku, by zdać sobie sprawę z tego: jak? Co dzieje się za zasłoną słów o nazwie: «zapobiegać», «aborcja», «usunięcie ciąży»? I w imię czego? Jakich wartości? Jakiego prawa? Jakiej sprawiedliwości?"

Wzięła głęboki wdech, jakby zaczęło brakować jej powietrza.

„Ludzie rozciągają przed sobą zasłonę słów, przesłaniając prawdę – westchnęła – oraz osobę w człowieku. A potem nie potrafią się odnaleźć…" Zafrasowała się tak mocno, że odcisnęło się to wyraźnie na jej zmarszczonym od głębokiego smutku czole. „Tak można stracić najbardziej niewinnego, zupełnie bezbronnego i sobie najbliższego człowieka, który całym sobą nam zaufał… własne dziecko… a wraz z nim i część siebie samego…"

Tysiące myśli, a może miliony przetoczyły się przez jej głowę w zaledwie kilka sekund. W oczach zabłysła tarcza, gotowa do obrony przed tym, co jeszcze mogło im zagrozić, choć nie wiadomo było zupełnie, czego się spodziewać. Ważne było teraz tylko to, by nie dać się zwieść czy okłamać. Siła determinacji chwili dała się najwyraźniej odczuć, gdyż profesor stwierdził:

– Mam wrażenie, że podjęliście już państwo decyzję, ale macie jeszcze czas. Proszę to dobrze przemyśleć. To wybór na całe życie. Jeśli zdecydujecie się urodzić… – Tu głos się urwał i znów pominięte zostały prawdziwe słowa, więc wyszeptała je cisza: „Dziecko", a profesor dodał: – Musicie mieć świadomość, że bierzecie na siebie krzyż. Krzyż na całe życie.

„Krzyż" – zadźwięczało w jej uszach.

Znów posmutniała. Co jeśli dziecko będzie bardzo cierpieć? Całe życie? Przecież tak wiele maleństw przychodzi na ten świat z ogromem bólu czy udręki, jakich nie potrafiła, a wręcz bała się sobie wyobrażać. Rodzice natomiast każdego dnia mają patrzeć na cierpienie swego ukochanego dziecka.

„Jakże to trudne…" – zaszlochała w swej słabości jej zlękniona dusza.

To wydawało się zbyt trudne. Cierpienie było tym, czego mimo najsilniejszych starań nigdy nie potrafiła zrozumieć. Pozostawało wierzyć, że musi ono mieć wielki, szczególny sens w Bożym planie, i temu zaufać, gdyż swymi ludzkimi możliwościami nie potrafiła tego pojąć.

„Krzyż" – słowo to krążyło w tym małym pomieszczeniu, odbijając się echem o ściany i powracając do niej bez końca ze wzmożoną siłą. „Krzyż, krzyż, krzyż" – zdawało się rozbrzmiewać wszędzie dookoła.

Bardzo chciałaby móc oszczędzić cierpienia ich dziecku. Pragnęła, by cały ten świat był wolny od bólu.

„Pewnie, tak jak każdy – szepnęła w duszy. – Nikomu nie można się dziwić, że próbuje uchronić swe dziecko od boleści".

Pamiętała dokładnie swą trwogę i zagubienie, gdy po raz pierwszy pomyślała o tym, co będzie, jeśli ich dziecko miałoby cierpieć. Tak bardzo ją to przeraziło, że pobiegła do męża i przytuliła się do niego, chowając głowę w jego ramiona, i tak ukryta wyznała mu swoje obawy. Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć, odarta z kształtów, jaki nadała swym marzeniom i pociągnięta w kierunku wydającym się tak bardzo odbiegać od tych pragnień. Przez chwilę nie tylko nie wiedziała, co o tym sądzić, lecz wręcz lękała się własnych myśli, które cisnęły się do głowy, wprost namolnie i nieustępliwie. W końcu zrobił się taki mętlik, że wydawało jej się, że nie potrafi odróżnić tego, co słuszne od tego, co nim nie jest, dobra od zła. Do tego wszystkiego dołączyła obawa, czy jej mąż będzie potrafił ogarnąć swój chaos i znaleźć z niego właściwe wyjście. Co on na to wszystko powie? A jeśli stwierdzi, że lepiej będzie „usunąć ciążę"? Była wtedy tak zagubiona i przerażona, że nie miała śmiałości wyjść ze swego ukrycia i tym mocniej się w niego wtulała, im bardziej ją to przerastało. Jednak nawet gdy trudno było pozbierać myśli, to w głębi serca czuli tak samo. Jakie to szczęście, że nie wyrzekł słów, których się obawiała, a trwał w jasności swych myśli. Stał jak opoka, na której mogła się oprzeć, by dalej razem szukać właściwej drogi. Posmutniała, pomyślała teraz o wszystkich samotnych matkach bez wsparcia i pomocy, o żonach, których mężowie wybierają inną drogę.

„To trudne, bardzo trudne…" – westchnęła, dziękując Bogu, że oszczędził jej takiego doświadczenia.

Tak łatwo było się zagubić. Powoli mijał jej gniew na ulotki, w miarę jak coraz bardziej docierało do niej, że pewnie nie były one wyrazem złej woli, lecz ludzką szamotaniną w próbie znalezienia drogi, która przyniosłaby upragnione rozwiązanie – sposób na odsunięcie cierpienia. I choć cała złość na ulotki już prawie z niej uleciała, wiedziała jedno: nie wskazywały one ścieżki, na której można było uniknąć cierpienia ani też odnaleźć spokoju ducha, a wręcz przeciwnie.

„Nie ma więc dobrego rozwiązania?" – spytała w duszy z całym ciężarem ludzkiej bezradności, jaki teraz odczuła.

Nie mogła znaleźć rozwiązania, którego tak bardzo pragnęła. Na każdej z tych dwóch ścieżek, przed jakimi zostali postawieni, obecne było bowiem cierpienie. Każde z nich miało jednak inne oblicze. Pierwsze – podjęcie drogi z cierpieniem własnego dziecka wynikało z miłości i przez nią, do niej wiodło. Drugie natomiast jawiło się jako próba odsunięcia te-

goż cierpienia, ale przyjęcie innego – bólu i tragedii, jakie ukryto za zasłoną słowa „aborcja", oraz odtrąconej miłości, bo czyż życie bez miłości lub też z pustką odrzuconej miłości nie jest drogą cierpienia oraz przepaścią chłodu i ciemności? Jaki więc miałby to być wybór? Pomiędzy cierpieniem a cierpieniem? Cierpieniem życia a cierpieniem śmierci? Między życiem głęboko szczęśliwym miłością, lecz cięższym o krzyż, a życiem z pozoru łatwiejszym, lecz tak bardzo zranionym? Krzyż może się jednak okazać bardzo ciężki, może oznaczać cierpienie ukochanego dziecka.

„Jak taki krzyż udźwignąć?" – powracało pytanie, bo, jak gdzieś wyczytała, „gdy trzeba wybierać między cierpieniami, nawet najlżejsze z nich staje się nie do zniesienia".

Znów opuściła głowę. Zbyt trudne wydało jej się to wszystko na siły i pojęcie ludzkie.

„Czy więc powinien człowiek człowieka stawiać przed takim dylematem? – zastanawiała się. – Zdawać się wyłącznie na ludzkie poczynania? A może przestaliśmy szukać, przysłaniając tragizm słowami «na czasie»?" – padały pytania, na które odpowiedzi ją przerastały, lecz drżenie strwożonej duszy i szloch rozpaczającego serca potwierdzały, że aborcja nie jest dobrym ani szczęśliwym rozwiązaniem. Ta myśl i uczucia wezbrały w niej teraz tak mocno, iż jej wewnętrzny głos, zawołał wszelką swą mocą:

„Nie możemy ustawać w szukaniu i akceptować rozwiązania, którego przecież wcale nie chcemy! Czas obudzić się z letargu i marazmu szarości, niewoli krępujących nas więzów i zasłon prawdy!"

„Ale co z nami, tu i teraz? Jak pomóc naszemu synkowi?" – westchnęła w duchu, wracając do obecnej chwili i własnej sytuacji.

Jak uchronić go od cierpienia, kiedy wydawało się, że nie ma takiej możliwości? Chciało się jej płakać tak bardzo, że z trudem skrywała łzy. Przymknęła na chwilę oczy, by zaczerpnąć sił, i przypomniał jej się uśmiech nieba, a wraz z nim napłynęła wiara i ufność, dodając jej odwagi.

W pomieszczeniu panowało milczenie i tylko bezgłośne echo powracało ciągle.

„Krzyż" – rozbrzmiało niemo ponownie. Tym razem niosąc się daleko poza ściany tego gabinetu, ponad pojęcie ludzkie, przekraczając granice tej chwili i podążając ku wieczności.

Ta głębia ciszy otuliła jej myśli spokojem i zamilkł hałas szarości, by mogła wsłuchać się w prawdę. Cierpienie rysowało się na jej twarzy, lecz równocześnie w oczach zalśnił blask, który przesłonił trwogę i łagodził ból. Przełknęła łzy, czując jak w końcu odpływają.

„Krzyż – powtórzyła w duszy – a jednak to również obietnica szczęścia, gdyż miłość jest większa niż cierpienie, wzbija się ponad krzyż". Nagle to pojęła.

„Krzyż…" – szepnęło jej serce z całą głębią jaką w sobie skrywał.

Bowiem „człowiek zostaje wezwany, niejako «skazany» na to, ażeby przerastał samego siebie"*, bo „krzyż wznosi się wzwyż i wskazuje drogę"**.

Nie pamiętała, jak długo trwała cisza wypełniająca wtedy ten mały gabinet. Pewnie tyle, ile potrzeba, aby rozpaczać w bólu, krzyczeć w trwodze, gubić się, wołać w poszukiwaniu, aż w końcu stanąć pod krzyżem… i wrócić z powrotem. Spojrzała na profesora. Teraz dopiero dotarło do niej, że jego spokojne słowa były nade wszystko przepełnione smutkiem. Spoglądała na niego przez chwilę, lecz tym razem nie tak, jak się patrzy na wykonawcę jakiegoś zawodu, lecz na człowieka. Tak, jakby się chciało dojrzeć jego duszę. Coś bowiem mówiło jej, że to nie jest zły człowiek i chce dobrze. Chciałby pomagać innym.

„Zbyt łatwo się w tym wszystkim zaplątać" – pomyślała.

Dojrzała jego zmęczone i smutne oczy, a wtedy cała złość na te ulotki zniknęła zupełnie, zmieniając się w nieme cierpienie duszy. Nie, nie mogła się złościć na nic i na nikogo. Nie miałaby już nawet na to siły. Przymknęła na chwilę oczy i znów wróciła jej dziecięca miłość do ludzi i wiara w dobro człowieka.

„Pewnie chcieli dobrze – pomyślała z zatroskaniem i głębokim smutkiem. – Widocznie dziś szukanie prawdy stało się tak bardzo trudne…"

Nie było więcej kwestii do poruszenia. Patrzyli jednak jeszcze na siebie przez moment, a cisza zdawała się łączyć głębię ich spojrzeń: matki, której serce walczyło, i profesora, który chciałby jej móc pomóc, po czym wymienili krótkie: „Do widzenia". Wolnym krokiem, zupełnie wybici z pędu tego świata, skierowali się w stronę drzwi. Wychodząc, odwróciła się jeszcze. Wyglądała teraz tak mizernie jak ptak z przetrąconymi skrzydłami, które połamał w szamotaninie walki z krępującymi go więzami, a teraz spadł z gałęzi będącej jego ostatnią ostoją i nadzieją utrzymania się w powietrzu, gdy fruwać już nie mógł. Spojrzała na profesora ostatni raz i cicho spytała:

– Więc… to chłopiec? Mamy synka?

Ten zaś podniósł pochyloną nad biurkiem głowę, zaprzątniętą już zadumą nad następnymi papierami. Zamyślił się głęboko, lecz bynajmniej nie celem znalezienia odpowiedzi na to proste pytanie, po czym spojrzał na nią z dobrocią w oczach i równie cicho odparł:

---

* To, co wyrażamy w słowie „cierpienie", jest tak głębokie jak człowiek – właśnie przez to, że na swój sposób odsłania głębię właściwą człowiekowi i na swój sposób ją przerasta. Cierpienie zdaje się przynależeć do transcendencji człowieka: jest jednym z tych punktów, w których człowiek zostaje niejako „skazany" na to, ażeby przerastał samego siebie – i zostaje do tego w tajemniczy sposób wezwany. (…) Cierpienie „nie może być przetworzone i przemienione łaską od zewnątrz, ale od wewnątrz" – Jan Paweł II.

** Św. Teresa Benedykta od Krzyża – Edyta Stein.

– Tak, to chłopiec.

Teraz już wszystko zostało powiedziane. Wyszli. Pożegnała ich cisza i pewne zakłopotanie chwili, bowiem prawdy nie da się zasłonić.

Miejmy odwagę!… Nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć ze swego stanowiska.
(A. Asnyk, *Miejmy nadzieję*)



Dobry człowiek

Dobroć to nie słowa. To czyny.

(autor nieznany)

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę.

(A. Mickiewicz)

Dotarli do mieszkania. Mąż musiał wrócić do pracy. Ona mogła zostać w domu i to wydało jej się zbawienne. Martwiła się o niego, jak sobie poradzi z pracą i z tymi informacjami. Zbyt trudno było im jednak teraz o tym rozmawiać. Pożegnali się i wyszedł.

Nim minęła godzina od jej powrotu, zadzwonił telefon.

– Dzień dobry. Dzwonię z Instytutu Genetyki. Rozmawialiśmy przed godziną – zabrzmiał w słuchawce znajomy głos. Rozpoznała profesora.

„Więc jednak pomyliły im się próbki" – pomyślała.

Wydawać by się mogło, że właśnie powinna zostać zgaszona w niej ostatnia nadzieja, lecz ta ciągle była obecna. Cicha, lecz niezłomna.

„Z pewnością musieli coś pomylić – kontynuowała swe rozmyślania. – Dzwoni przecież tak szybko". Scenariusz sam się błyskawicznie ułożył w jej głowie.

Z nieukrywaną więc nadzieją w głosie zapytała:

– Tak, słucham?

– Dzwonię tylko… – Profesor odparł szybko, wyczuwając radość, której nie mógł podtrzymać. – … by powiedzieć, że z zespołem Downa wiążą się często wady serca, jak też mogą mu towarzyszyć inne poważne problemy czy wady anatomiczne. Myślę, że powinniście państwo to wiedzieć, by móc odpowiednio zadbać o zdrowie dziecka, gdyż… – Przerwał na chwilę, po czym dokończył. – Mam wrażenie, że wasza decyzja jest ostateczna.

– Tak. Dziękuję – odrzekła smutno i znów odpłynęła z niej rozpalona na chwilę radość i energia.

Gdy odkładała słuchawkę, jej dłoń opadała powoli, jakby w zwolnionym tempie, by nie zakłócić krążących w głowie niepozbieranych myśli. Wiedziała już o zagrożeniu tzw. wad towarzyszących, ale nie miała siły teraz o tym myśleć. Bardziej więc zaskoczył ją i przyciągnął jej uwagę fakt, że profesor osobiście zadzwonił tak szybko.

„To dobry człowiek” – pomyślała.

Usiadła w fotelu. Starała się być dzielna. A siły, jakie zebrała w sobie, chroniły ją ciągle jak tarcza, nie dopuszczając niczego więcej, co mogłoby ją teraz zranić. Trwała tak silna, odcięta w swej zbroi od wszystkiego, do czasu, aż sen osłonił ją od lęków dnia i tulił w ramionach ukojenia, próbując to wszystko od niej odsunąć, choć jeszcze na chwilę, chociaż na jedną noc, gdyż nie zdążyła nawet otwarcie zapłakać.



Jawa czy sen?

Czy chciała schować gdzieś tę rzeczywistość,
by nie była prawdziwą?

Wstała rano pełna nadziei i radości oczekiwania na dobre wiadomości. Jakby wczorajszy dzień zupełnie nie istniał. Spojrzała na męża, uśmiechnęła się z blaskiem nadziei w oczach, której nic nie było w stanie zagłuszyć, i powiedziała:

– Wiesz, miałam taki dziwny sen. Śniło mi się, że dzwonili do nas z Instytutu Genetyki.

On zaś w odpowiedzi na to otulił ją wzrokiem pełnym dobroci, nic jednak nie odrzekł. Po czym również lekko się uśmiechnął w głębokiej zadumie i tak milcząc, wyszedł do pracy. „Dziwne – pomyślała. – Dlaczego nic nie powiedział? Ale co tam. Czas wstawać i zająć się sobą i maleństwem, bo chyba już pora na śniadanie?" – stwierdziła, zerkając na zegarek.

– Konieczne musimy sprawdzić skrzynkę na listy. Nie martw się maluszku, pewnie dzisiaj już listonosz przyniesie nam nasz list – powiedziała, uśmiechając się szczerze i głęboko.

I wszystko było jak wcześniej. Tak jak wczoraj i przedwczoraj oraz poprzednie dni. Marzyła o listonoszu i wiadomości, jaką miał im dostarczyć. Nieustannie, najpierw co pół godziny, a później co kwadrans biegała sprawdzać skrzynkę na listy. Nieprzerwanie, aż do szesnastej. Tak bardzo bowiem spodziewała się pisma z Instytutu Genetyki, iż założyła, że pewnie coś zatrzymało listonosza i trochę się spóźni. Jednak nawet wtedy, kiedy zdarzało mu się przyjść później, nigdy nie był po piętnastej.

„Co mogło go zatrzymać? Dlaczego jeszcze go nie ma? – pomyślała. – Zdecydowanie czas już na niego! Czy mogłam go przegapić?" Wypatrywała go w oknie, lecz nie nadchodził. Biegała do skrzynki, ta pozostawała jednak pusta.

Usiadła w zamyśleniu. Wtedy przed jej oczy napłynął dobrotliwy uśmiech męża, jaki podarował jej rano w odpowiedzi na jej słowa o tym dziwnym śnie. Teraz dopiero dostrzegła, że miał on identyczny wyraz twarzy jak rodzice uśmiechający się do dziecka, które opowiada coś niedorzecznego, jednak tak cudownego w swej niewinności, że nie sposób wyjawić mu prawdy, by nie odebrać tej szczerej, głębokiej radości i marzeń.

„Dlaczego on się tak do mnie uśmiechnął? Co miałoby to znaczyć? – poczuła złość, że potraktował ją jak dziecko. – Jak on tak mógł?"

Powoli jednak zaczęły napływać do jej głowy jakieś obrazy, jakby znane. Przybliżały się, stając się coraz wyraźniejsze, przyjmując ostatecznie barwy i kształty fragmentów jej snu: Instytut Genetyki, rozmowa z profesorem, a potem papiery, które im podaje.

„A… A może… może to nie był sen? – pomyślała z trwogą. – Jak jednak dowiedzieć się teraz, czy to się działo naprawdę?"

Pobiegła jeszcze raz do skrzynki, jednak listu nie było.

– Więc, co mam zrobić? – rzekła drżącym głosem. Chciało się jej płakać z bezradności, jaką teraz poczuła.

Nagle jej myśli się rozjaśniły. Jeśli nie śniła tego, a wydarzyło się to naprawdę, to powinni mieć dokumenty z Instytutu Genetyki. Zaczęła się zastanawiać, gdzie mogłaby je położyć. Tak, oczywiście. W szufladzie, w której trzymała całą dokumentację ciąży. Podeszła powoli, bijąc się z napływającymi do jej głowy myślami, po czym na chwilę zatrzymała się, patrząc na mebel, który miał przynieść odpowiedź.

„Są tam, czy nie? Czy zawartość tej szuflady przypieczętuje dzisiejszy sen czy też odsłoni rzeczywistość?" – zastanawiała się, lękając, co przyniesie następny ruch jej dłoni.

Utknęła na chwilę pomiędzy snem a jawą, nie wiedząc zupełnie, po której stronie zaraz się znajdzie. Czy umocni się jej nadzieja? Czy też… Lękała się zrobić następny krok. Nie mogła jednak stać tak w nieskończoność lub ciągle szukać listu, którego może wcale nie ma i nie będzie? Wyciągnęła w końcu rękę, po czym niepewnie odsunęła szufladę. Teczka z napisem „Ciąża" leżała pierwsza od góry. Uniosła ją. Dłonie jej drżały. Otworzyła. I… ujrzała pismo, na którym widniał napis: „Instytut Genetyki". Teraz zadrżała cała. Nogi się pod nią ugięły. Usiadła na podłodze, gdyż każdy kolejny krok mógł okazać się w tej chwili zbyt ryzykowny. Wzięła głęboki wdech i zaczęła czytać. Miała wrażenie, że już trzymała te papiery w rękach, że już widziały to jej oczy, a wszystko zgadzało się dokładnie ze snem, jaki myślała, że się jej przyśnił.

Nie potrafiła zrozumieć, co właśnie się zdarzyło. W zasadzie to zaczynała pojmować co, ciągle jednak nie wiedziała jak. Jak coś takiego mogło się jej przytrafić? Nigdy nie doświadczyła niczego podobnego. Sen pomieszał się zupełnie z jawą, a raczej na odwrót. Może po prostu chciała schować gdzieś tę rzeczywistość, by nie była prawdziwą? Ta jednak powracała nieubłagalnie na swoje miejsce.

Tym razem, zbyt zaskoczona, nie zdążyła uzbroić się w żadną tarczę. Opuściły ją

wszelkie siły i nie miała nic, co mogłoby ją ochronić przed bólem, jaki właśnie w nią uderzył, lub chociaż trochę go stłumić. Tkwiła tak, zupełnie bezbronna, siedząc na podłodze, z pełną dezorientacją i zaskoczeniem, że nagle sen zmienia się w jawę czy też raczej rzeczywistość powraca na swoje miejsce.

Spojrzała raz jeszcze na leżącą przed nią kartkę. Potrzebowała się upewnić, czy teraz jej się to nie śni lub nie wydaje. Pochyliła głowę, utkwiwszy wzrok na zapisanej stronicy i nie miała już siły jej podnieść. Z serca i duszy wytrysnęło w ogromnym potoku łez wszystko, co do tej pory tam skrywała. Uzbierało się tego zbyt wiele i kielich goryczy się przelał, zalewając ją falą ogromną i niepowstrzymaną. Tak jakby strumyczek strachu i bólu, który wziął swój początek wraz z pierwszym niepokojem osiem tygodni temu, przybierał w wody obaw i lęków. Teraz wezbrały one tak bardzo, że straciła zupełnie kontrolę nad tym nurtem, a on wylewał się i wylewał… Siedziała z pochyloną głową, łkając i szlochając pełnią boleści, jaka ścisnęła jej serce, wykorzystując chwilę jej bezbronności. Nie wiedziała jednak, dlaczego płacze. Może to przez ten ból, gdzieś tam głęboko?

Łzy skapywały bez końca z jej twarzy, jakby próbowały oczyścić serce z tego wszystkiego, co przygniotło je zbyt mocno. Może to czas dany jej, by w osłonie domowego zacisza mogła wypłakać całą boleść, jaka ją ściskała i tłamsiła? Wykrzyczeć ogrom obaw i lęków, które od tygodni nękały jej duszę. Nie dać im się przygniatać, lecz wyrzucić z siebie to wszystko, co nazbyt przerażało i bolało, by nie zatruwało serca.

Długo tak łkała i szlochała. Wpierw pełnią boleści, potem coraz ciszej, i ciszej, aż słońce pochyliło się ku zachodowi, a noc przyniosła zapomnienie. Była tak wyczerpana, że nie pamiętała, kiedy usnęła. Nie wiedziała również, jak znalazła się w łóżku. Pewnie mąż, kiedy wrócił z pracy, po prostu ją tam przeniósł. Zasnęła w swej bezsilności i bezradności, łkając jeszcze długo, nawet z zamkniętymi oczami. Sen zaś znów tulił ją w swych ramionach. Tym razem jednak nie odsuwał od niej rzeczywistości, lecz próbował odciążyć na chwilę z balastu, który tak mocno przygniótł jej skrzydła…



Pustka

…zaczyna się tam, gdzie blaknie nadzieja.

Przebudziła się. Dojrzała za oknem promienie słońca i zrozumiała, że nastał ranek. Przetarła oczy i rzuciła szybkie spojrzenie na mieszkanie. Męża już jednak nie było.

„Widocznie musiał dziś wcześniej wyjść" – pomyślała nieco tym zasmucona.

Powoli usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać, w jakim punkcie swego życia i ich rodzinnej historii właśnie się znajduje. Przypomniała sobie dokładnie dwa ostanie dni i noce, starając się poukładać je odpowiednio w głowie, by już nic się nie pomieszało, czy nie pozamieniało swymi miejscami, dochodząc w ten sposób do punktu, w którym się teraz znalazła.

„Gdzie ja właściwie jestem?" – zapytała sama siebie.

Nic, pustka. Nie przychodziła żadna odpowiedź. Nie pojmowała, gdzie tak naprawdę jest i co będzie dalej. Nie potrafiła również ustalić, na jakim zakręcie ścieżki swojego życia właśnie się znalazła. Czuła jedynie totalne zagubienie. Spojrzała na bilet, lecz nie zdołała się do niego uśmiechnąć. Tak długo na niego czekała, tyle dni jej towarzyszył, podtrzymywał na duchu, lecz teraz nie miała już siły na nic, nawet by pojechać do rodzinnego domu.

I tak bilet do domu miał pozostać na zawsze na półce wspomnień, list nie został doręczony, a listonosz nie dowiedział się, jak bardzo ktoś na niego czekał.

Ona zaś nikła jak gaszone światło. Siedziała w fotelu. Patrzyła przez okno na chmury, promienie słońca, lecz nic nie czuła. Choć były piękne jak wcześniej, jak zawsze, gdzieś uleciały z niej radość i zachwyt. Wiedziała, że powinna wstać, iść na spacer, zrobić cokolwiek, ale nie pojmowała jak. Nie miała siły ani ochoty na nic. Wydawało jej się, że niczego już nie pragnie, nic nie czuje. Pochłaniała ją teraz nieznana wcześniej nicość i beznadzieja. Tak, patrząc daleko przed siebie, wzrokiem zawieszonym na jakimś bardzo odległym, nieobecnym punkcie szepnęła:

– Może pomyślę o tym wszystkim jutro…

Mijały godziny. Czekano na nią w domu. Musiała powiedzieć, że nie przyjedzie. Podniosła w końcu słuchawkę, wykręciła numer, po czym słysząc głos w telefonie, rzekła tylko jedno zdanie:

– Mam wyniki, nie potrafię rozmawiać… – Tęsknota serca ścisnęła ją teraz tak mocno, że zawahała się, ostatni raz patrząc na bilet, po czym dokończyła, spuściwszy głowę i tłumiąc łzy: – …i nie mam siły przyjechać.

Słowa te zostały uszanowane, a może zamurowały rozmówcę. Nie padła bowiem żadna odpowiedź. Odłożyła słuchawkę. Odwieszając ją, poczuła, jak sama wisi w jakimś punkcie marazmu, wegetacji i bezsensu.

Tam zaś, gdzie była wyczekiwana, lecz nie dotarła, zadźwięczał donośnie we wszystkich bliskich jej duszach głos i ból jej serca. Ktoś cisnął w kąt kurtkę i cały dzień, aż do zmroku rąbał drewno, z całą siłą swej złości na cierpienie i niesprawiedliwość tego świata. Inny zamilkł na dzień cały i z nikim nie chciał rozmawiać. Kolejny zapłakał, następny zasmucił się, czy też zafrasował, chciał coś powiedzieć, może krzyknąć, lecz zaniemówił. Jakkolwiek, wszyscy, każdy na swój sposób, byli z nią i przy niej, łącząc się w bólu i zagubieniu oraz szukając odpowiedzi na takie same pytania: Dlaczego? Dlaczego ona? Dlaczego jej dziecko? I dlaczego tak?

Tak oto cały najbliższy, znany jej świat zamarł w cierpieniu i bezradności, gdyż zabolało tak bardzo… I nastała pustka. Nicość. Jakby otwarto wrota, wyważono drzwi i wszystko gdzieś z niej uleciało, zniknęło czy też zostało wykradzione. Cały sens i istota. Została pozbawiona zbroi i tarczy, kiedy straciła grunt pod nogami i wpadała w zagubienie. Dookoła zaś czaiły się przebiegłe oblicza ciemności, czekając na odpowiedni moment.

Gdzie zatem miała szukać ukojenia, kiedy to tak bardzo zabolało, a może nawet złamało ją to? Lękała się już wszystkiego. Nawet Boga trwożyła się teraz tak bardzo, że cała ta sytuacja zaczęła przesłaniać jej ufność i nadzieję. Stała jak w szarej mgle, smagana chłodem i ciemnością, nie potrafiąc dostrzec żadnego światła. Chciała krzyknąć, lecz nie pojmowała co i nie wiedziała jak. Czuła jedynie ból w sercu i duszącą ją nicość. Była przytłoczona, zdruzgotana, zagubiona i taka słaba. Nie potrafiła niczego w sobie odnaleźć. Miała wrażenie, jakby wszystko traciła, nawet samą siebie, w pustce…



Dlaczego?

Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego
Zaczęła się najskromniej od słowa: „Dlaczego?"
(A. Mickiewicz)

„Dlaczego?" – rozbrzmiewało ciągle i niestrudzenie.

Wstał nowy dzień, ona jednak nie miała siły powstać wraz z nim. Nie potrafiła się odnaleźć ani podnieść, kryjąc się w oazie czterech ścian i patrząc w nicość. Każdy następny poranek również okazywał się być jedynie pustym milczeniem, potem kolejny, jeszcze jeden i wydawało się to ciągnąć bez końca. Dwudziesty tydzień ciąży. Jak w takim stanie miała przebrnąć przez pozostałe dwadzieścia? Osłabiona i przeszyta pustką godzącą w nią ostrzem niepewności jutra, z której nie potrafiła się otrząsnąć i nie miała siły odeprzeć. Odarta ze znanego oblicza marzeń. Dokąd teraz zmierzała i jak miała stawiać kroki w tym obcym świecie, który nagle jakby przestał być jej własnym? I dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego ja? Dlaczego my? Dlaczego nasze dziecko? Dlaczego tak?

Do jej głowy nieodparcie cisnęła się myśl, że to kara. Próbowała zatem odnaleźć w sobie winę, jaka mogła stać się tego przyczyną.

„Cóż uczyniłam? Co mogłoby stać się powodem brzemienia mojego dziecka?" – pytała w duszy.

Nie potrafiła znaleźć konkretnej odpowiedzi, lecz przygniótł ją ciężar grzechów jej życia, które teraz naraz w nią uderzyły, druzgocząc zupełnie jej wiarę w siebie i dobro. Cóż pozostawało? O ile było to w ogóle możliwe, przeszyła ją jeszcze głębsza boleść spotęgowana tym miażdżącym wrażeniem własnej winy. Została całkowicie skruszona swą grzesznością i miała wrażenie, że nic nie jest warta, jeśli mogła stać się powodem cierpienia innej osoby, a w dodatku ich dziecka. Czy miał to być ostatni tak głęboki cios w jej zranione serce i bolejącą duszę? Wydawało się jej bowiem, że dotarła do granicy wytrzymałości, a może nawet nadziei.

Zewsząd zaś otaczały ją złowieszcze podszepty mroku:

„Jesteś winna! To przez ciebie! Jesteś zła! Nie ma dla ciebie nadziei!"

Chociaż mogłoby się wydawać, że jej oczy wylały przez te ostatnie dni i noce wszystkie łzy, one teraz znów zupełnie przesłoniły jej wzrok w rozpaczy – zdawać by się mogło tak beznadziejnej.

„Czy może to być kara za grzechy? To przeze mnie?" Łkała, zwiesiwszy ciężko głowę zbyt przytłoczoną tymi myślami. „Czy z mojego powodu miałoby cierpieć nasze dziecko? I co mogę teraz uczynić? Jedynie znów zapłakać nad sobą, nad naszym synkiem, lecz to i tak niczego przecież nie zmieni". Szlochała w swej bezradności. „Czy ja jestem temu winna? Czy jestem zła? Czy to dlatego?"

Jakkolwiek w tej chwili dobitnie odczuwała swą grzeszność, nie mogła pojąć, że karą mogłoby zostać obarczone dziecko, czy też kara mogłaby być w dziecku*. Ono jest zbyt czyste, zbyt szczere, zbyt niewinne, tak bardzo nawet, że wydawało się być cząstką nieba na ziemi.

„Każde sumienie dźwiga swe grzechy. Wszyscy je popełniamy" – szukała w myślach odpowiedzi lub chociaż jakiegoś pocieszenia na swe utrapienie. „Czyż nie jest tak? Może jednak nie jestem tak bardzo zła?" Nie próbowała się usprawiedliwiać, lecz usiłowała resztkami sił podjąć próbę obiektywnego myślenia, starając się trzeźwo spojrzeć na własną osobę i sytuację. To jednak okazało się zbyt trudne. Nie potrafiła temu sprostać, jak też poczuć się choć trochę dobrą. A to rozbiło ją zupełnie.

„Ale…" – usłyszała nagle w sercu. Nawet teraz, gdy brakowało jej sił, a sytuacja wydawała się beznadziejna, jej serce nie przestawało szukać. Dotarłszy jednak do dna: ciemności, własnej słabości i ciężaru grzechu, poczuła tak mocny chłód, strach i mrok, że pojęła, że to granica, za którą nie ma już nic. Nic, tylko mroczna, bezkresna otchłań. Miała wrażenie, że przeszywa ją zimna nicość. Trwała dłuższą chwilę w milczeniu, a wzrok jej zdawał się stawać coraz bardziej obojetny, oczy zaś mętne, jakby zamierała jej dusza. I tylko serce ciągle się szamotało i wyrywało ku światłu i wolności, jak schwytany w klatkę ptak.

„Ale – powtórzyła w całej rozpaczy tej walki – przecież Bóg kocha swe dzieci tak bardzo!" – rozbrzmiało w jej myślach ostatnim tchnieniem nadziei. „Nawet te zagubione i złe – dodała – bo przecież swego Syna posłał, by nas ratować, a On życie za nas oddał. Szczególnie zaś szuka tych zagubionych owieczek". Szlochała już całą sobą, czując gdzieś głęboko, że w wiele może wątpić, nawet w samą siebie, lecz nie w tak wielką miłość.

* „Grzech i kara za grzech to kategorie religijne. Wiążą się z odpowiedzialnością człowieka wobec Boga za zło popełnione świadomie i dobrowolnie. Niepełnosprawność postrzegana w tej perspektywie ukazuje Boga jako mściwego, karzącego i niewyrozumiałego. Taki obraz Boga nie odpowiada prawdzie. Bóg nie sprawia zła, jakim w pewnym sensie jest niepełnosprawność. Nie wprowadza go w świat, ale z niego wyzwala. Jest sprawiedliwy, zatem nie karze człowieka za niepopełnione zło". – Dr K. Parch, *Niepełnosprawność nie jest karą za grzechy, Z myślą o Tobie – Informator dla rodziców dzieci z zespołem Downa,* Bardziej Kochani, wydanie specjalne.

Czy teraz właśnie do Niego wołała jej dusza? Wzywała Bożego Miłosierdzia, gdy niczego już nie potrafiła w sobie odnaleźć? Nic, prócz strachu przed chłodem ciemności, która chciała ją pochłonąć, i ostatniej nadziei – kochającego Boga.

„Nie, nie!" – krzyknęła nagle w duszy, odtrącając ciemne myśli i wszelkie osaczające ją podszepty zła, gdyż jedyne, co była w stanie jeszcze pojąć, to fakt, że zupełnie kłóciły się one z jej rozumem i sercem. Nie mogły zatem być prawdą. Ogarnęło ją teraz mocne przeświadczenie, że Boże Miłosierdzie jest ponad karą i ludzką słabością, a nawet potężniejsze niż sprawiedliwość.

„Ja… – urwała zawstydzona sobą, swą grzesznością, lecz równocześnie jakby nieco ożywiona potęgą miłości. – Człowiek nigdy nie jest zbyt mały w oczach Boga, wystarczy tylko pragnąć Jego… Jego spojrzenia?" – szepnęła, pytając z budzącą się w niej znów nadzieją. „Jednak jak On mnie teraz dostrzeże, odnajdzie w tym mroku? W jaki sposób wyzwoli od tego wszystkiego i znów wypełni serce, kiedy nie wiem już nawet, gdzie jestem i jak do Niego wołać?" Znów załkała w całym swym zdruzgotaniu i zagubieniu, czując się taka bezradna.

Płakała jak dziecko, wystraszone i złamane tak bardzo, że jedyne, na co jeszcze je stać, to ucieczka do matki, gdyż jest już zbyt słabe, aby samo mogło sobie poradzić, jak też nazbyt zawstydzone, by ośmieliło się stanąć przed obliczem ojca bez jej wspierającej dłoni.

Zwróciła się więc do Matki, szukając ochrony i pomocy, wołając ratunku.

– Matusiu – szepnęła przez łzy, unosząc swe oczy w górę. – Tu jestem. Zgubiłam się. Ty wiesz gdzie, pojmujesz ból i strach mój, bo tuliłaś swe dziecię do piersi, współdźwigałaś brzemię Jego cierpienia, a potem… pod krzyżem stałaś… – Przygniotła ją teraz taka boleść, że rozpłakała się jeszcze bardziej. – Lękam się. Nie wiem co począć. Boję się nicości i ciemności, jakie mną targają. – Słowa wylewały się wraz ze łzami. – Wspomóż mnie proszę. Pomóż odnaleźć. Zaprowadź… – urwała, szlochając już całą sobą, lecz z każdą minutą coraz ciszej i ciszej, nader wyczerpana tym wszystkim. W końcu osunęła się, chowając zapłakaną twarz w dłoniach.

Wtedy przez mrok, jaki szturmował jej duszę, przebiło się światło. I nastała cisza napawająca głębią, w której jak echem odbijało się jedynie jej niknące łkanie. Czuła się obnażona i potargana. Zdawało jej się, że nic już w niej nie pozostało. Tylko to pragnienie miłości trzepotało nieugięcie jej poszarpanymi skrzydłami.

Stopniowo wszystko zaczęło się wyciszać, a jej serce poczęło wypełniać ciepło. Dopiero gdy całkiem się uspokoiła, pojęła, że otula ją cisza – zajęła miejsce pustki i chłodu, odsunęła wszelkie udręki i podszepty zła, niosła ukojenie.

Patrzyła przez chwilę w głębię tej ciszy, a spojrzenie jej zaczął wypełniać blask rozbłyskujących na nowo iskierek ufności. „To pustka jest nicością" – zrozumiała.

– Cisza jest… – zawahała się, nie potrafiąc wyrazić tego, co teraz ją przepełniało. – Pełnią? – dokończyła pytając, a pytanie to rozbrzmiało nadzieją, choć słowo to samo wypłynęło z jej ust i nie pojmowała jeszcze co i jak wiele może oznaczać.

Cisza zaś niezmiennie otulała ją swą głębią niczym największą miłością.

Tak odtrąciła mrok i kłamstwo. Opadła skruszona swą małością i grzesznością, by następnie w swojej ludzkiej nędzy, niedoskonałości, grzechu i bezradności otworzyć się na nadzieję i miłość. Dotarła do granicy słabości, bólu i strachu, gdzie zadrżała jej dusza. Pragnienie miłości jednak przebiło się przez mrok, prowadząc ku światłu – Jasności, która wyrwała ją ze szpon ciemności, nie pozwoliła pochłonąć i sprawiła, że odbiła się od dna ludzkiego zagubienia i zwątpienia.

Zło nie dawało jednak za wygraną.

„Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?" – pytali niestrudzenie mistrzowie podejrzeń.

Zawzięci i nieustępliwi czekali dogodnej sposobności, by znów się przebić, równie inteligentnie jak kłamliwie, przez strach, zagubienie i zwątpienie. Takim czy innym sposobem.

Ona jednak już tego nie słyszała. Zdawała się uspokajać, choć miała wrażenie, że jedynie opadła z sił. Przestała walczyć i bronić się, oskarżać oraz mierzyć ciężar własnej winy i słuszność kary, pojmując, że to ją przerasta. Była osowiała i słaba.

Tam jednak, gdzie zabrakło jej sił, pojęcia i zrozumienia, napływało powoli zawierzenie.



Nie ma

…sytuacji na ziemi bez wyjścia

(Ks. Jan Twardowski, *Kiedy mówisz*)

Nie płacz w liście
nie pisz że los ciebie kopnął
nie ma sytuacji na ziemi bez wyjścia
kiedy Bóg drzwi zamyka – to otwiera okno
odetchnij popatrz
spadają z obłoków
małe wielkie nieszczęścia potrzebne do szczęścia
a od zwykłych rzeczy naucz się spokoju
i zapomnij że jesteś gdy mówisz że kochasz
(Ks. Jan Twardowski, *Kiedy mówisz*)



Twierdza

Tam, gdzie miłość i troska stały się większe niż strach,
niepewność i racjonalizm,
ugruntowana została twierdza.

Macierzyństwo zawiera w sobie
szczególne obcowanie z tajemnicą życia,
które dojrzewa w łonie kobiety.
Matka pojmuje tę tajemnicę, ze szczególną intuicją
pojmuje co się w niej dzieje (…)
przyjmuje i kocha dziecko, które nosi w łonie jako osobę.
(Jan Paweł II, *Mulieris dignitatem)*

(…) dusza kobieca żyje mocniej wszystkimi częściami ciała i obecna w nich – silniej odbiera we-
wnętrznie, cokolwiek mu się przydarza (…).
Tajemniczy proces kształtowania nowej istoty w organiźmie matki
stanowi tak intymną jedność tego, co duchowe i cielesne (…).
(E. Stein, *Kobieta. Jej zadania według natury i łaski*)

Pustka odchodziła, a jej miejsce wypełniała cisza. Powoli napływały również nowe siły. W końcu zdecydowała się wychodzić z domu. Wprawdzie jedynym tego powodem stały się promienie słoneczne, jakich nie chciała odbierać dziecku, ale był to już pierwszy krok na drodze ku wyrwaniu się z marazmu, jaki niosły z sobą uczucia własnej niemocy i bezradności. Snuła się jednak ciągle bez celu, nie wiedząc, jak ma się w tym wszystkim odnaleźć i dokąd podążać. Aż pewnego dnia, po powrocie z takiego właśnie spaceru, gdy usiadła w fotelu, pogrążona w swym zagubieniu, nie pojmując ciągle, co ma z sobą począć, usłyszała jakby cichy głosik, który wołał: „Mamo, boję się!".

Była zdezorientowana. Rozejrzała się spokojnie dookoła, potwierdzając, że nikogo nie ma w mieszkaniu. Wytężyła słuch, lecz nic prócz ciszy nie docierało do jej uszu.

„Pewnie coś mi się przesłyszało" – pomyślała.

Zlekceważyła więc to i osunęła się głęboko w fotelu, by chwilę odpocząć.

Kiedy się jednak zupełnie wyciszyła, ponownie, tym razem jeszcze wyraźniej, dotarły do niej te same słowa: „Mamo, boję się!".

„Jakiś niesłyszalny dla uszu szept? Czy to możliwe?" – pytała sama siebie.

– Nie, nie! – stwierdziła głośno i dosadnie, by nie pozostały żadne wątpliwości.

Wołanie to jednak powracało niezmiennie.

„To coś dziwnego – pomyślała. – I nazywa mnie «mamą». Czy to może być moje dziecko? Głos naszego synka?" – zadumała się, po czym, chcąc sprawdzić, co będzie dalej, bezgłośnie odrzekła: „Nie bój się".

„Czy ta wiadomość dotrze tam, skąd pochodziło to wołanie?" – zastanawiała się przez chwilę.

„Boję się tak bardzo!" – niemy głosik odpowiedział, drżąc w trwodze.

„Nie! Nie bój się! Jestem przy tobie! Jesteśmy razem, a nawet jeszcze bliżej i nie pozwolę, by stała ci się jakakolwiek krzywda!" – zawołała teraz całą duszą w odpowiedzi i tak naturalnie, jakby od zawsze rozmawiali ze sobą w ten sposób. W jednej chwili uleciało całe zaskoczenie i zdziwienie, a jej słowa uspokoiły go.

Czy to możliwe? On do niej mówił i słyszał jej odpowiedzi? Czyżby mógł to być dialog dusz? A może sama wymyśliła sobie ten głosik, po prostu go potrzebując? Niewykluczone, lecz był zbyt piękny i potrzebny, by go nie przyjąć. Próbowała myśleć racjonalnie. Wiedziała, że człowiek nie potrafi w pełni wykorzystywać potencjału swojego mózgu.

– Ludzie, to nie tylko ciało i zimna kalkulacja – rzekła, szukając uzasadnienia. – Czy zatem warto odrzucać z ludzkiego poznania coś tylko dlatego, że na stan obecnej wiedzy wydawaje się nie do przyjęcia?

Można przypuszczać, że była na tyle przybita, że głos ten zaistniał jako wytwór jej wyobraźni, sposób pocieszenia. Wzięła to pod uwagę, lecz zdała sobie również sprawę, że słyszała go już wcześniej, niemal od samego początku, pojmując go wtedy jako ich „tajemniczą nić porozumienia". Tak, tak było, tylko strach i przerażenie to stłumiły.

„Niemy krzyk" – dotarła do niej nagle ta myśl rozjaśniająca i rozwiewająca wątpliwości. „Skoro sfilmowano «niemy krzyk», to on istnieje. Krzyk, którego nie usłyszy nasze ucho. Zatem, dlaczego mielibyśmy wykluczać z ludzkiego poznania niesłyszalny dla uszu szept? Słowa, które wypłynęły z głębi ciszy jak światło serca" – dodała, pogrążając się w zadumie. „Niemy głos istnieje, wykracza ponad granice ciała i woła do nas, do naszego poznania" – zakończyła.

Zrozumiała, że nie może tak dłużej błąkać się bezradnie, gdyż to maleństwo bało się bardziej od niej. Jest przecież jego matką. Jedyną osobą, która była tak blisko, by chronić je i pocieszać. Tak wiele od niej zależało. Musiała więc zebrać siły i odrzucić strach, gdyż ich dziecko jej teraz bardzo potrzebowało – jej pewności, siły i miłości. Pojęła, że pragnie być tuż przy nim i dla niego.

„Nawet gdyby uznano, że zwariowałam – rozmyślała – wolę być tak postrzegana, niż odrzucić wołanie swego dziecka. Lepiej mi być szaloną w miłości, niż rozsądną w nicości"– stwierdziła z budzącą się w jej duszy iskierką nowej radości i nutą głębokiego ukojenia.

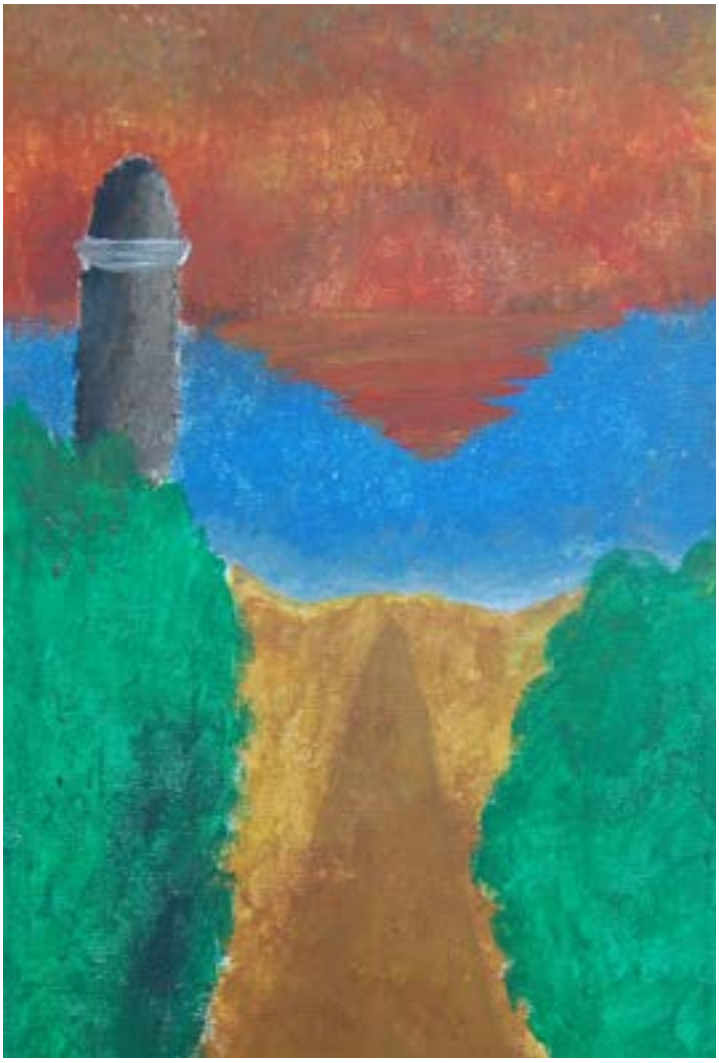
Zastanawiała się nad tym jeszcze przez chwilę.

„Jednak, jak mówił Papież Jan Paweł II, «nie należy zapominać, że także rozum potrzebuje oprzeć się w swoich poszukiwaniach na ufnym dialogu i szczerej przyjaźni»" – dokończyła z uśmiechem wdzięczności za te słowa, które teraz wydały jej się niczym oznaczenie szlaku na krętej, górskiej ścieżce.

Tak właśnie ono, to maleństwo, pomogło jej się podnieść i stanąć na nogi na tym najtrudniejszym zakręcie jej życia. Równie ostrym i nieprzewidywalnym, jak pełnym obaw i lęków. Tam, gdzie miłość i troska stały się większe niż strach, niepewność i racjonalizm, została ugruntowana twierdza nierozerwalnej więzi matki z dzieckiem. Silna i niezłomna, która miała ich prowadzić i chronić, oraz niepojęta. Niepojęta przez nic innego poza sercem. Wzniesiona zaś w głębi ciszy.

„Tak, dobrze słyszy się tylko sercem, najważniejsze jest niesłyszalne dla uszu" – parafrazowała w myśli znane i bliskie jej słowa.

„W miłości człowiek nie szuka przede wszystkim potwierdzenia swojej autonomii, ale głębokiej relacji z drugą osobą. Jego wolność nie realizuje się poprzez potwierdzenie wyniosłej suwerenności, ale jako zdolność przekraczania egoizmu i otwartość na drugą osobę. Jest nie tyle sposobem wywierania wpływu na rzeczy i ludzi, co umiejętnością akceptowania prośby innego i obdarowywania. (…) Dla matki dziecko, a zwłaszcza dziecko, które ma przyjść na świat (…) jest tym, o kogo stara się ze wszystkich sił, za kogo czuje się odpowiedzialna" (Ks. P. Mazurkiewicz, *W krainie bezżenności*).



Krążąc bez końca

…tęskniąc za spokojem i ukojeniem,
za pięknem stanu „przy nadziei”.

Człowiek nie może przecież oprzeć swego życia na czymś
nieokreślonym, na niepewności albo na kłamstwie,
gdyż takie życie byłoby
nieustannie nękane przez lęk i niepokój.
Można zatem określić człowieka jako tego,
który szuka prawdy.
(Jan Paweł II**,** *Fides et ratio*)

Dochodziła do siebie, lecz to wszystko wydawało się tak trudne, że choć znów była w stanie stawiać kroki, ciągle nie wiedziała, dokąd podąża. Jednak, mimo że nie zdawała sobie z tego sprawy, wypełniała ją nowa siła, a nawet więcej, sama szukała jej w sobie, gdyż pragnęła chronić swoje dziecko. Wraz z tym poszukiwaniem pojawiały się kolejne pytania: Dlaczego takie były wyniki amniopunkcji? Czy można na nich polegać? Przyjąć je, czy z nimi walczyć? Czy może się to jeszcze odmienić?

Tym razem pytania nie były jednak wynikiem zagubienia, lecz próbą szukania prawdy i drogi, jak również własnego w tym wszystkim miejsca i zadania.

„Przecież nie w ludzkiej gestii leży decydowanie o życiu i śmierci, zdrowiu i chorobie, wadach i ich braku, a żadne badania nie są pewne”. Westchnęła. „Dlaczego więc zostaliśmy skonfrontowani z takimi wynikami?”

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Znów powracało to wielokrotnie powtarzające się „dlaczego?”, aczkolwiek nie rozbrzmiewało już bezradnością i niemocą, a szukaniem własnej ścieżki. Jakiekolwiek bowiem okazałyby się wyniki tych badań, stworzenie pozostawało dla niej wolą i dziełem Boga. Żadne badania nie mogą przesądzić, jakie będzie ich dziecko, a nawet jeśli otrzymane wyniki byłyby z woli Bożej, On przecież może w każdej chwili wszystko odmienić. Mimo tego przeświadczenia łzy boleści cisnęły się jej do oczu, a krzyk

na usta. Dlaczego te podejrzenia, badania i te wyniki? Czy tak naprawdę ma być? Czy można to od nich jeszcze odwrócić? Przecież okres noszenia pod sercem dziecka to najpiękniejszy stan przeżywania cudownej nadziei nowego życia – oczekiwanie na człowieka. To jak patrzeć na pąk nieznanego kwiatu, który ma się rozwinąć, a wszystkie kwiaty są piękne i wspaniałe. Bóg może dać im dziecko, takie, jaka będzie Jego wola. Czemu więc przez te badania muszą przeżywać tyle trwogi, lęku i zagubienia, tracąc piękno tego wyjątkowego stanu „przy nadziei"?

Ciągle nie mogła się w pełni odnaleźć i była zawstydzona samą sobą. Czy naprawdę wierzyła, czy tylko chciała w to wszystko mocno wierzyć? Gdyby przepełniała ją głęboka wiara, szłaby prosto, z podniesioną głową, wiedząc, dokąd podąża. A ona ciągle się błąkała jak zagubiona owieczka, która nie pojmowała, gdzie teraz jest. Doczesny świat siał trwogę i omamiał „lepszymi" rozwiązaniami, ona zaś tęskniła za spokojem i ukojeniem, za pięknem stanu „przy nadziei".

– Czyż ciąża nie powinna być okresem radosnej nadziei? Takie wyniki natomiast odzierają z piękna te miesiące tak wyjątkowego oczekiwania – powtórzyła cicho z potrzeby potwierdzenia, czy usłyszenia jeszcze raz poprzednich myśli. – Dlaczego? Dlaczego już od pierwszych badań tyle niepewności i niepokoju?

To nie dawało jej spokoju. Zawsze się jej wydawało, że nic się nie dzieje przypadkowo. Wiedziała, że jeśli się czegoś bardzo, ale tak naprawdę bardzo pragnie i w to mocno wierzy, to taką „wiarą góry można przenosić" (Mt 17,20). Czy zatem wierząc, może obalić te wyniki, albo je odmienić? Czy jej wiara może przenieść tę górę badań i statystyk? Czuła, że wiara może naprawdę wiele. Musimy jednak pragnąć tego, o co prosimy całym sercem, a było coś, co nie dawało jej spokoju, nie pozwalało zawołać tak całkiem szczerze i po prostu: „Proszę, odwróć to ode mnie, od nas". Coś, czego nie potrafiła określić ani odnaleźć, mimo że miała wrażenie, jakby do niej wołało. A zdawało się tak znaczące, że nie mogła tego zlekceważyć i przejść obojętnie obok. Czyżby wyniki tych badań miały przynieść im przesłanie, które oni z kolei próbowaliby odrzucić? Czuła się trochę tak, jakby sam Bóg chciał im pokazać swą wolę. Czy czyniłby to po to, by oni teraz starali się walczyć z nią albo prosić o jej odmienienie?

„Może te badania były potrzebne z jakiegoś powodu?" – drążyła dalej, próbując znaleźć odpowiedź na to pytanie. Nie mogła jej jednak odszukać, a może nie ochłonęła wystarczająco po tym wszystkim i nie była jeszcze na to gotowa. Szukając, krążyła bez końca…

Kiedy zaś nazbyt frasował ją ten największy znak zapytania i nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić, zamykała oczy i pytała: „Hej, jesteś tam?".

On zaś odpowiadał: „Tak! Przecież jestem i jest mi tu dobrze z tobą mamo”.

To uspokajało ją i przynosiło ukojenie. Uśmiechała się i mówiła: „I co ja bym bez ciebie zrobiła?”.

Wtedy słodko śmiał się i oczami duszy widziała, jak w tym szczerym, dziecięcym śmiechu mruży swe małe, cudowne oczka, które teraz stały się zwierciadłem jej własnej duszy. Dostrzegała w nich strach, w którym odbijały się jej obawy oraz radość, gdy przepełniało ją szczęście. Zupełnie jakby dawał jej znaki, by nie lękała się dłużej lub nie przestawała się cieszyć. Stał się jej malutkim światełkiem, które ją prowadziło i zawsze pomagało powstawać.

Martwiła się jednak tym, czy on słyszy wszystkie jej myśli, czy tylko te skierowane do niego. Czuł przecież, kiedy była zdenerwowana, i wtedy dawał o tym znać własnym niepokojem, wiercąc się i kopiąc. Pomimo to miała nadzieję, że nie dociera do niego to, o czym chciała rozmyślać w samotności. Obawiała się, że zbyt bardzo mogłyby go te myśli zmartwić, jeśli dowiedziałby się, co może czekać go tu na ziemi. W swej matczynej miłości starała się chronić go przed strachem i bólem tego wszystkiego. Czasem jednak miała wrażenie, jakby on mógł wiedzieć więcej od niej…



Wiara góry przenosi

Czy wszystko jest możliwe?

Głośniej niżeli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy.
I kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszy.
(A. Mickiewicz)

W tym właśnie i w niczym innym kryje się tajemnica i godność
sumienia, że jest ono miejscem, świętą przestrzenią, w której
Bóg przemawia do człowieka.
(Jan Paweł II, *Veritatis Splendor*)

Nurtujące myśli powracają, a te szczególnie nie dawały jej spokoju. Nie mogła przestać o tym myśleć. Nie potrafiła pokonać tego zakrętu ich życia i iść dalej bez pojęcia tego wszystkiego w jakikolwiek sposób – umysłem, duszą czy sercem. Jakkolwiek, choć trochę, gdyż ciągle czuła się zagubiona. Miała wrażenie, że błądzi w tym wszystkim. Lękała się, że z braku mocnego, wewnętrznego przeświadczenia podążania właściwą ścieżką może w pewnym momencie zachwiać się albo stracić siły i upaść. Czy potrzebowała pojąć to choć częściowo ludzkim umysłem, czy też pragnęła odnaleźć w sobie mocniejszą wiarę? Nie wiedziała. Nie mogła jednak przestać szukać, gdyż było to coś, ku czemu wyrywała się jej dusza.

W końcu pewnego popołudnia po długim spacerze, wracając do domu, nie mogąc dłużej wytrzymać tego zagubienia i niezrozumienia, zatrzymała się, spojrzała w niebo, szukając wspomnienia jego uśmiechu, a jej dusza zapytała: „Ciągle wydaje mi się, że nic nie jest jeszcze postanowione i nasz synek może urodzić się zdrowy, jeśli tego będę pragnąć z całego serca i równie mocno wierzyć, prosić i modlić się o to. Czy tak może się stać?".

Myśli te poszybowały wysoko. Do nich zaś dołączyły jej marzenia. Pragnęła jak każda matka, by ich dziecko było zdrowe, piękne, silne, mądre, wspaniałe. Marzyła, że będą razem biegać, tańczyć, śmiać się, odkrywać świat, a kiedyś on wyrośnie na mądrego i wspaniałego mężczyznę.

„Czy to jeszcze możliwe?" – pytała.

Odpowiedź nie powracała do niej z góry, lecz serce i dusza były zgodne co do tego, że „wiara góry przenosi" (Mt 17,20).

„Tak, to prawda" – pomyślała i wydawało jej się jakby zewsząd dochodziła do niej odpowiedź: „Jeśli tak mocno będziesz wierzyć i tak bardzo tego pragnąć, nic nie jest niemożliwe".

Chciała więc już krzyknąć w niebiosa: „Więc jeśli to możliwe, niech mnie ominie ten kielich!" (por. Mt 26,39), lecz czegoś ciągle brakowało w tym wszystkim. Jej serce czuło pewną pustkę. Co to było? To coś, co ją przed tym wołaniem wstrzymywało?

Ruszyła dalej wolnym krokiem, rozmyślając. Miała wrażenie, jakby została postawiona przed wyborem: Czy ma odrzucić tę rzeczywistość, informację przekazaną jej w wynikach amniopunkcji oraz wierzyć i modlić się, by ich synek urodził się bez żadnej wady, zdrowy? Czy też jest to specjalna wiadomość do nich właśnie skierowana i teraz czeka na jej odpowiedź? Zdawało się jej, że istnieje jakiś powód, dla którego skonfrontowani zostali z takimi wynikami badań. Propozycja współczesnego świata, decyzja o „usunięciu ciąży" nie wchodziła w rachubę. Nie, to z pewnością nie to. Teraz, kiedy już mieli to za sobą, nie chciała nawet o tym myśleć. Czuła się jednak postawiona przed jakimś wyborem. Jakby w powietrzu dryfowało czekające na odpowiedź zapytanie – tylko jakie? Zamyśliła się głęboko, wyciszając się zupełnie i szukając całą sobą, a wtedy to coś jakby zaczęło w końcu powoli do niej docierać.

„Może to pytanie, czy przyjmę to dziecko, a właściwie dziecko, które mogłoby być obarczone wadą? – pomyślała. – Czy mogło to być pytanie? Ze strony Boga? Dlaczego jednak miałabym być o to pytana?"

Wydawało jej się to niepodobne, niepojęte, lecz tak teraz czuło jej serce. Jakby sam Bóg chciał jej powiedzieć: „Kocham cię i nie chcę zranić twego serca, dlatego pytam cię, czy przyjmiesz ten krzyż, czy podniesiesz go?".

Czy to możliwe, by Bóg pytał ją o to? Dlaczego miałby to czynić? Dlaczego pytać? I dlaczego ją? Przecież tak obawiała się, że nie da rady i nie czuła się godna tak wielkiego zadania. Próbowała jednak teraz, kiedy już zadała to pytanie, choć trochę to wszystko sobie poukładać.

„Może każdy z nas ma tu swe zadanie do wypełnienia i taki krzyż jest potrzebny, by w jakiś sposób zmieniać ten świat na lepsze?" – rozważała. „Krzyż… – westchnęła w duszy i przystanęła, gdyż serce jej zadrżało, a kolana ugięły się w obliczu krzyża – … który jest tu konieczny. Jeśli tak jest i ta dziecina gotowa jest wziąć go na swoje ramiona i przybyć tu z nim do nas, a ja nie przyjmę go w pełni, to może jakieś maleństwo i tak tu do nas przyjdzie

z tym przeznaczeniem na swoich barkach, ale… – przerwała w myślach, bo nagle przyszło jej do głowy coś, co zafrasowało ją tak mocno, że musiała przysiąść na chwilę, tam gdzie stała, na trawniku obok chodnika. – …jeśli trafi do miejsca, gdzie nie zazna miłości lub będzie źle traktowane, bo ja tego przeznaczenia nie przyjęłam" – dokończyła, a w jej oczach zalśniły łzy.

– „Nie było miejsca dla Ciebie, w Betlejem w żadnej gospodzie. I narodziłeś się Jezu, w stajni, w ubóstwie i chłodzie"* – wyszeptała.

„Czy te wyniki to… to może stukanie do naszych drzwi? – zastanawiała się. – Dlaczego jednak ja? My?"

Znów zaczęło rozbrzmiewać to powracające pytanie bez odpowiedzi: „Dlaczego?". Wcześniej było ono płaczem nad sobą, potem stało się szukaniem, teraz zdawało się wyróżnieniem, którego nie czuła się godna i gotowa przyjąć. Ogarnęło ją poczucie własnej mizerności. Mogła sobie z tym zupełnie nie poradzić. Miała wrażenie, że temu nie sprosta, że nie jest odpowiednią osobą. Poczuła się taka mała i słaba.

„Może jednak Bóg widzi to lepiej, pełniej czy głębiej, bo właśnie nas wybrał? – pomyślała. – Wie, że mimo tego wszystkiego, czego się obawiam, i poczucia, że nie sprostam, na pewno będę je kochać. Oboje będziemy je miłować i troszczyć się o nie najlepiej, jak tylko potrafimy. Kochać i starać się ze wszystkich sił – powtórzyła w duszy. – Tak, to prawda. Tam zaś, gdzie jest miłość, cała reszta jakoś się układa" – dodała z nadzieją.

To przepełniło ją światłem oraz siłą i pojęła, że odnalazła właśnie to, czego dotąd ciągle brakowało i czego tak długo nie mogła uchwycić, choć nieustannie podążała za tym w swym szukaniu, gdyż niezmiennie wyrywała się ku temu jej dusza. Tak, to właśnie było to coś, co ciągle do niej wołało**:

głębia miłości ponad ludzkie poznanie.

Zamilkła przepełniona tym, co dane jej było odnaleźć. Miłość ponad wszystko, co znała, a może nawet ponad to, kim w swym ludzkim poznaniu sama była, a serce jej począł wypełniać pokój. Ponieważ jednak nie czuła się godna dialogu z Bogiem, z pewnym zawstydzeniem podniosła oczy, spojrzała w niebo i w duszy wyszeptała:

---

* ks. Mateusz Jeż, *Nie było miejsca dla Ciebie.*

** Nie sposób przecenić znaczenia tego wewnętrznego *dialogu człowieka z samym sobą*. W rzeczywistości jednak jest to *dialog człowieka z Bogiem* (…). „Sumienie — pisze św. Bonawentura — jest jakby Bożym zwiastunem i posłańcem"; Jan Paweł II, *Veritatis Splendor* (łac. Blask Prawdy).

„Wszakże nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie" – powtórzyła za ewangelistą (Łk 22,40–42), wzbijając się ponad granice doczesnego „ja", wezwana, by „przerastać samą siebie"*.

Serce jej musnęło cierpienie, krystalizując miłość**. Zamknęła oczy, kierując swe spojrzenie w głębię serca, dodając po chwili: „Przyjmiemy to dziecię takie, jaka jest wola Twoja. Z całego serca będziemy je kochać i troszczyć się o nie ze wszystkich sił". Zamilkła. „Tylko proszę – pomyślała teraz o bezgranicznej dziecięcej ufności, miłości i niewinności stawiającej czoła twardej rzeczywistości – nie dawaj tego zadania tam, gdzie mogłoby być odrzucane, a dziecko niekochane" – dokończyła, przełykając łzy.

Wiedziała już teraz, czego nie zrobi. Nie będzie się modlić o odwrócenie woli Bożej czy też ich przeznaczenia. Nie mogła, nie potrafiła tego pragnąć z całego serca, z prawdziwej głębi swej duszy, bo czuła to coś ponad wszystko inne i tak mocno pokochała już tę maleńką dziecinę, w pełni taką, jaką była i stać się miała.

„Przyjmiemy je w pełni takie, jakie jest, i jakie ma być" – rzekła w duchu.

Miłość, która teraz w niej wezbrała, była czysta i silna. Wydawała się niezłomna, lecz pozostawał również strach związany z poczuciem swej nieporadności i słabości oraz obawa utraty zwykłych, doczesnych ludzkich marzeń. Pragnęła bowiem tak bardzo, by ich dziecko mogło chodzić i biegać, mówić i śmiać się. Na chwilę posmutniała zawstydzona sobą, po czym pochyliwszy głowę szepnęła:

– Proszę jednak… – zawahała się, a głos jej zadrżał. – Nie dawaj nam więcej, niż potrafimy udźwignąć. – Ręce jej zaś objąwszy brzuch tuliły to maleńkie dziecię skryte pod jej sercem. A wtedy wszystko dookoła zamilkło.

Było w jej słowach tyle głębi, wiary, miłości i po prostu zwykłego człowieka, że prośba ta wzbiła się i poszybowała wysoko, po czym równie cicho powróciła, przynosząc skinienie niebios. Spojrzała jeszcze raz w górę.

– Niech się więc dzieje wola Twoja – powtórzyła z pełną ufnością, jaka teraz ją przepełniła.

Pochyliła głowę. Drżała. Po chwili jednak znów ją uniosła i spojrzała w niebo. Wzrok jej wypełniło światło. Zaczerpnęła powietrza, tak jakby szykowała się, by wyruszyć w nową podróż, po czym powoli powstała. Pozostała tam jeszcze przez chwilę, stojąc wpatrzona w błękit. Tam właśnie, gdzie zatrzymała się, nie dając rady pójść dalej i gdzie spotkały się:

* Jan Paweł II, *Rozmowy z Janem Pawłem II, Cierpienie*.

** W cierpieniu krystalizuje się miłość. Im większe cierpienie, tym miłość staje się czystsza – św. Siostra Faustyna Kowalska ZMBM *Dzienniczek*, zeszyt pierwszy, 57.

wiara, rozum, serce i zaufanie. Miała wrażenie, że wzbija się ponad wyniki badań oraz całą trwogę, jakie z sobą niosły, gdyż „wiara i rozum są jak dwa skrzydła unoszące człowieka ku kontemplacji prawdy”*.

„To, co się wydarzy, jest wolą Bożą, nie wyrocznią jakichkolwiek badań, choć należy je traktować z szacunkiem, powagą, rozsądkiem i w całej prawdzie, jakiej są świadectwem. To Bóg jednak zdecyduje” – szepnęła w duszy i poczuła ukojenie ramion, tych, które nigdy nie upuszczają, jeśli tylko cali odważymy się w nich zanurzyć.

Dopiero teraz mogła w pełni cieszyć się tym pięknym stanem „przy nadziei”. Niebo było krystalicznie czyste, promienie słońca napawały ciepłem, ona zaś znalazła siłę i drogę. Jej kroki stały się zupełnie inne. Jakby stawiała je nie ta zbłąkana i zagubiona istota, jaką czuła się jeszcze przed chwilą, ale ktoś, kto wie, dokąd podąża. Dokąd? Po prostu w dobrym kierunku. W zgodzie ze swoją duszą i sercem. W harmonii niosącej ukojenie i nową nadzieję. Nadzieję oczekiwania na rozwinięcie wspaniałego kwiatu, jakiekolwiek okaże się jego oblicze. Poczuła, że płynie z nurtem. Nie stoi już na środku wezbranej rzeki i uderzających w nią wód niepewności i znaków zapytania, nie wiedząc, jak i w którą podążać stronę. Płynęła wraz z prądem, rzeką jej życia. Nie musiała więc dłużej się trwożyć czy zastanawiać, wystarczyło zawierzyć i podążać wraz z nim.

„Czyżby jednak te wszystkie badania były potrzebne? Może to dany nam czas, byśmy mogli się przygotować i wzrastać do tej rodzicielskiej miłości – pomyślała. – Przygotować się na więcej, poczuć i pokochać głębiej”.

Przepełniło ją światło. Choć nadal była przytłoczona niewiadomą oczekiwania, a skrzydła zdawały się opadać podcięte ostrzem boleści i strachu, to najważniejsze, że nadal je miała. Nie odpadły, choć zabolało tak mocno, nie zerwała ich w zwątpieniu i nie pozwoliła wykraść beznadziejności, kiedy czuła się nic niewarta. Wprawdzie zdawały się zwisać bez mocy, lecz ciągle tam były. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek uda jej się jeszcze wzbić na nich w górę, ale samo ich posiadanie stanowiło już obietnicę i nadzieję, że jest to, czy też będzie kiedyś możliwe. Pozostawało tylko pytanie: Jakiego lotu przyjdzie im się uczyć, by kiedyś znów móc poszybować?

* Jan Paweł II, *Fides et ratio* (łac. Wiara i rozum).



Ludziom wydawało się

Nowoczesna filozofia zapomniała,
że to byt winien stanowić przedmiot jej badań,
i skupiła się na poznaniu ludzkim.
Zamiast wykorzystywać zdolność człowieka do poznania prawdy,
woli podkreślać jego ograniczenia i uwarunkowania,
jakim podlega.

(Jan Paweł II, *Fides et ratio)*

Ludziom wydaje się, że wiedzą tak wiele, odtrącając prawdy głębokie, wyrastające z dobra, piękna i szlachetności. Tak proste i czyste, że sprawiające wrażenie oczywistych. Zamykają się jednak na nie, gdyż pochodzą nie tylko z rozumu, ale przede wszystkim z serca, otulone szeptem duszy, a to nie pasuje do racjonalnego świata umysłu. Nie dają się bowiem obliczyć, skalkulować i przewidzieć, lecz trwają jako istota i sens. Wystarczy się w nie wsłuchać. Usłyszeć nutę duszy zwaną czasem intuicją. Zaufać jej i zawierzyć. To jednak dla tak wielu wydaje się zbyt mało i niewystarczająco wiarygodne.

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!
(A.Mickiewicz, *Romantyczność*)

Powiał wiatr niosący bukiet nowych zapachów. Poderwał ptaki do lotu, które tańczyły z nim, jakby goniąc porwane tym podmuchem liście, nasiona i pyłki. A gdy szybowali tak razem w doskonałym duecie, on opowiadał im historie i sekrety nowego życia.

Kiedy zaś powiał dalej, usiadły na drzewach, drutach oraz dachach i ćwierkały, radując się nowymi wieściami. Śpiewały swoje pieśni w oczekiwaniu na tych, którzy mieli nadejść:

Ty myślisz, że są ludźmi tylko ludzie,
Których ludźmi nazywać chce twój świat.
Lecz jeśli pójdziesz tropem moich braci,
Dowiesz się największych prawd, najświętszych prawd.

Czy wiesz, czemu wilk tak wyje w księżycową noc
I czemu ryś tak zęby szczerzy rad.
Czy pojmujesz te melodie, co z gór płyną?
Barwy, które kolorowy niesie wiatr.
Barwy, które kolorowy niesie wiatr?
(…)
Do chmur każde drzewo się pnie.
– Skąd to wiedzieć masz, skoro ścinasz je?
(…)
Możesz zdobyć świat,
Lecz to będzie tylko świat,
Tylko świat –
Nie barwy, które niesie wiatr.
(Kolorowy wiatr, piosenka z filmu Pocahontas*)*



Nowa nadzieja

Taka była głębia jej serca
i prawda jej duszy.

Przepełniła ją nowa nadzieja, której chciała dać się prowadzić, wierząc, że nawet jeśli nie widzi, co jeszcze znajduje się na jej drodze, pozna to w odpowiednim czasie. Nie chciałaby nawet od razu widzieć zbyt daleko swej ścieżki. Pewnie nie dałaby sobie z tym rady. Może zlękłaby się zbytnio lub musiałaby płakać. Wolała zawierzyć i dostawać na swoje barki tyle, ile w danej chwili była w stanie udźwignąć. Stare porzekadło mówi, że „Bóg to krawiec, który szyje na miarę". „Niech więc tak będzie" – postanowiła z ufnością.

Choć nadal się lękała, stała się spokojniejsza. Jakby wziął ją za rękę ktoś, komu mogła zaufać i dać się prowadzić. Tym mocniej utwierdzała się w wierze, że nic nie jest niemożliwe, a wyniki badań nie są wyrocznią.

Skierowała swe myśli na chwilę ku mężowi. Kiedy pojęła, że są na dobrej drodze, cieszyła się jeszcze bardziej, że dotarli tu razem. Czuła, że postąpili dobrze, że nie zagubili się w tym wszystkim. I mimo iż pragnęła, jak każda matka mieć zdrowe i wspaniałe dziecko bez wad, to nie potrafiła się o to modlić i prosić, bo nie taka była prawdziwa głębia jej serca i prawda jej duszy. Odczuwała jednak również wstyd i zażenowanie, patrząc na swoje wahania i słabości.

Gdy tego ranka obudziła się, ciągle była tym wszystkim oszołomiona. Wiedziała już jednak, co ma zrobić. Wszystko jakby układało się i klarowało. Pojęła też w końcu, gdzie jest – po prostu na dobrej drodze. Czy ich synek urodzi się z wadą genetyczną, było wolą Bożą, a ona znów mogła mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Pragnęła jednak z całego serca, by oszczędzone zostały mu choroby czy wady dodatkowe, które mogłyby stać się przyczyną takiego cierpienia, jakiego bała się, że nie udźwignie. Pomyślała o uśmiechu nieba, podniosła słuchawkę i wykręciła numer do mamy oraz najbliższych, prosząc, by wspierali ich w modlitwie o zdrowie ich synka.

Tak cała rodzina pochyliła głowy w modlitwie oczekiwania, prosząc o zdrowie dla ich dzieciątka. On zaś, choć jeszcze się nie narodził, już połączył tak wielu myślami, modlitwą i nową nadzieją.

Miejmy nadzieję!… Nie tę lichą, marną
Co rdzeń spróchniały w wątły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.
*(*A. Asnyk, *Miejmy nadzieję)*



Różni

Podążali jednak w tym samym kierunku,
trzymając się za ręce.

Ciągle snuła rozważania o tamtym popołudniu. O dialogu z Bogiem. Nie wiedziała, czy powinna się tymi rozmyślaniami podzielić z mężem. Czy on to zrozumie? Ona toczyła rozmowy ze swą duszą i Bogiem, łkała i krzyczała w głębi swego serca, szlochała łzami boleści, kiedy kielich się przepełniał. On natomiast czekał w ciszy i zadumie.

Byli różni, nawet bardzo różni i nie zrozumiałby, nie odebrał tego w taki sposób, jak ona to pojmowała. Czasem nawet wydawało jej się, że stanowią przeciwieństwa i to szaleństwo, że są razem. Wtedy on twierdził, że to dobrze, bo tak właśnie ludzie się uzupełniają i całkiem ją tym rozbrajał.

Czuła jednak, że mimo tak wielu różnic, każde z nich, zgodnie ze swoim ja, dochodziło do tych samych prawd i postanowień. Nie śmiała więc zakłócać jego sposobu oczekiwania na ich spełnienie. Najważniejsze, że podążali w tym samym kierunku i znajdowali się w tym samym punkcie ich wspólnej drogi, trzymając się za ręce.



Czytać, nie czytać?

Ile powinnam wiedzieć?
Ile potrafię znieść?

Każdy kolejny dzień jawił się teraz jako nowy znak zapytania. Dokąd ich wiedzie ta droga? Czy będzie prosta, czy kręta? Wyboista, rozbita i poprzecinana bruzdami, usiana kamieniami i dziurami, raniąca cierniami? Właściwie poznanie odpowiedzi na te pytania nie było teraz ich oczekiwaniem. Na tym etapie niewiadoma, której pragnęli sprostać, brzmiała: Jakie będzie ich zadanie i jak się na nie przygotować?

Siedziała już od kilku dni nad laptopem i zastanawiała się: Czytać, nie czytać? Czy powinna rozczytywać się na temat zespołu Downa, by wiedzieć jak najwięcej, czy też nie? Zanim przyszło to pytanie, uważała za oczywiste, że powinna wdrożyć się w temat, poznać go jak najpełniej, bo to pozwoli jej dobrze się przygotować również i na taką ewentualność. Do tej pory zdołała już posiąść podstawową wiedzę. Wcześniej bowiem były to kwestie jej obce. Przed tym doświadczeniem nie zgłębiała tematu trisomii 21.chromosomu. Nie przypuszczała, że często towarzyszą temu poważne wady anatomiczne, jak np. wada serca, w wielu przypadkach wymagające interwencji operacyjnej zaraz po narodzeniu. Inne możliwe, najczęściej występujące scenariusze to wady przełyku, żołądka, osłabione napięcie mięśniowe całego ciała, mniejsza głowa i krótsze kończyny, problemy z mową lub jej brak itd. Natomiast skala upośledzenia umysłowego sięga dziesięciu stopni: od lekkiego, gdy IQ takiej osoby mieści się w dolnej granicy normy do tak zwanego „debilizmu".

Im głębiej wczytywała się w te zagadnienia, tym częściej pojawiały się łzy na jej twarzy i przepełniała ją boleść serca nad tymi, których doświadczenia tym samym poznawała. Zagłębiając się w te problemy, czuła jak coraz bardziej drżała jej dusza i narastały obawy, wykraczając może ponad granice, które była w stanie znieść.

„Nie wszystko jest nam przecież pisane. Nie każda z tych historii i doświadczeń stanie się naszym udziałem. Czy powinnam więc poznawać je wszystkie lub wiele z nich już teraz? Jakie są możliwe wady towarzyszące? Bez jakich organów i możliwości mogą się urodzić dzieci obarczone taką wadą? Ile z nich umiera zaraz po porodzie, jak wiele zaś we wczesnym dzieciństwie?" – rozmyślała. Setki niewiadomych wirowało w jej głowie.

Drżała, odczuwając niemal bezpośrednio jakąś cząstkę bólu każdej historii, jakie poznawała, każdego z możliwych scenariuszy dalszych problemów związanych z tą wadą genetyczną. Im więcej zaś płakała, tym jej dusza coraz bardziej truchlała i tym głośniej rozbrzmiewało pytanie: „Czy powinnam tak wiele czytać?". Nie mogła przecież teraz wylać ze łzami całej swej siły, a ponadto wierzyła mocno, że Bóg nie da jej więcej, niż będzie w stanie udźwignąć.

„Wiem już chyba tyle, ile powinnam i nie potrafię więcej – w końcu przyznała sama przed sobą. – Nie mogę również uznać, że nasze dziecko będzie miało zespół Downa. To tylko wyniki, wola Boża ześle zaś to, co nam przeznaczone".

Z taką też nadzieją pragnęła i mocno postanowiła oczekiwać ich synka. Po czym zamknęła laptop i nie otwierała go więcej do końca ciąży.



Krępujące więzy

…konieczności.

Konieczność, rzekli, wedle ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu.
(…)
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

(A. Mickiewicz, *Rozum i wiara*)

Przyszedł czas na następną wizytę.

„Co będzie z tą świecącą plamką? Czy urosła? Czy rozwinęła się z niej jakaś wada?" – zastanawiała się z trwogą.

Przy zagrożeniu wadami towarzyszącymi każde kolejne badanie jawiło się jako wielka niewiadoma, której wychodziła naprzeciw z modlitwą, by ich dzieciątko było zdrowe. Prośby te wznosiła do ostatnich chwil przed wejściem do gabinetu, gdyż inaczej nie znalazłaby wystarczająco siły i odwagi, by przekroczyć jego próg.

– Dzień dobry. Jak się pani czuje? – spytał na powitanie lekarz.

Ciepło napłynęło do jej serca. Jak miło, że o to pyta, że obcy człowiek się o nią troszczy. Niełatwa była jednak odpowiedź.

– Ciężko mi z tym wszystkim – odrzekła spontanicznie i szczerze, opuszczając głowę.

– Tak, to trudne. Proszę pamiętać, że może pani jeszcze zmienić decyzję – rzekł.

Gdyby nie ta troska o nią, jaką wydawało się jej usłyszeć w pierwszym pytaniu, pewnie zabolałoby jeszcze bardziej.

– Nie – odrzekła cicho, aczkolwiek zdecydowanie.

„Dlaczego ciągle o to pytają? Czy taka jest «lekarska konieczność»? – zastanowiło ją to. – Ponadto, zważając na wiek ciąży, czyż nie jest za późno na «zmianę decyzji»?"

– Jeśli trzeba, możemy nieco wydłużyć termin – dodał po chwili lekarz, wyjaśniając to niewypowiedziane niezrozumienie i kierując pytające spojrzenie w jej stronę.

Znów opadły jej skrzydła. Jak to? Wydłużyć termin czego? Nie! Nie chciała tego więcej

słuchać, a nawet o tym myśleć, bo bolało zbyt bardzo. Równocześnie, za każdym razem na nowo wprowadzało mętlik w jej głowie z powracającym pytaniem: „Czy dam radę?". To tak, jakby zły duch czuwał i atakował ciągle na nowo tym złowrogim pytaniem, ubieranym w takie czy inne słowa.

Nie spodziewała się tego dnia zetknąć z taką propozycją. Już tyle razy ją słyszała i nie chciała więcej, gdyż to próbowało podważyć i burzyć wszystko, co budowała. Uderzało w mur wiary i nadziei, który wznosiła i wzmacniała każdego dnia. Usiłowało zmącić to, co pojęła i wyklarowała, by w tym mętliku szarości niezauważalnie wykraść istotę i sens. Przywodziło myśli o tym, że nie podoła. Powracały słowa odbijające się echem o ścianę: „krzyż", „cierpienie", a wraz z nimi wszelkie lęki i obawy, jakie szturmowały bez końca jej serce i duszę, starając się wedrzeć i zalać je ciemnością. Zadusić, zagłuszyć, zabrać wszystko, co biło radością i nadzieją. Zerwać skrzydła, podeptać miłość, wykraść dziecko, po czym rzucić to wszystko na stos niebytu i zapomnienia. Lecz prawdy nie da się wyrzucić i nie sposób zapomnieć.

Trudno i jakże ciężko było jej z tym wszystkim. Nieraz, zbyt obciążona troskami nie mogła spać, czy też musiała zmuszać się do jedzenia. Z kolei innym razem jadła ze zdenerwowania bez umiaru. Czasem nie wiedziała już zupełnie, co robić i myśleć. Gubiła się i znajdowała na nowo częściej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Ale przecież zaszli już tak daleko, rozmawiali ze sobą i bawili się razem. Czuli tak mocną, łączącą ich więź. Byli tak blisko. Kochali się.

„To nasze dziecko. Jest. Kochamy je" – szeptała w swych myślach, starając się powrócić na stabilny grunt z otchłani strachu i zagubienia, w którą znów została popchnięta.

A kiedy myślała w ten sposób, wszystko wydawało się być dobrze. Ich miłość była najważniejsza i jaśniała ponad wszystko.

„Przestańcie już pytać. To jest dziecko! Człowiek! Nasz synek!" – krzyknęła jej dusza, starając się przepędzić wszelkie atakujące ją znów cienie udające światło nowoczesności, wygody i dobrobytu, a usta rzuciły krótkie:

– Nie. – Głos jej zadrżał nutą boleści. – Nie! – powtórzyła głośno i stanowczo, podnosząc głowę, ale zrobiło się jej tak ciężko, że zaraz znów ją opuściła. Czy skrywając łzy? Nie była w stanie wypowiedzieć nic więcej.

Lekarz zrozumiał.

Nawet jeśli jej synek tego nie słyszał i nie wiedział, co się dzieje, poczuł pewnie, jak w strachu zadrżało jej serce, gdyż zaczął gwałtownie kopać i robić wszelkie możliwe

uniki, by nie dać się zbadać. Zupełnie tak, jakby się bał i chciał uciec przed wszystkim, co teraz go otaczało i nie było jego mamą. Wyraźnie czuł się zagrożony. Badanie przebiegało w ciszy i skupieniu, gdyż ciężko było uchwycić tego małego uciekiniera, który chciał im dać do zrozumienia, by zostawili ich w spokoju, bo im nie ufał i bał się ich możliwości.

– Wszystko jest w normie. Mały rozwija się jak najbardziej prawidłowo – stwierdził w końcu lekarz. – Gdyby nie te wyniki amniopunkcji… – Zamyślił się, spoglądając jeszcze przez chwilę na monitor. – Nigdy nie przypuszczałbym, by mógł mieć wadę genetyczną – dodał.

„Wcale jeszcze nie wiadomo, czy będzie ją miał" – pomyślała, pokładając całą ufność w Bogu.

Doktor patrzył na nią, widząc, jak bardzo przytłacza ją ciężar tego wszystkiego.

– Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić? – spytał, chcąc w jakiś sposób jej pomóc, a pytanie to zabrzmiało prawdziwie szczerze. Spojrzała więc na niego z nową ufnością.

– Dziękuję, raczej nie… – odrzekła cicho. – Nie. To znaczy tak! – sprostowała szybko, zdając sobie nagle sprawę, że jest jednak coś, o co chciałaby poprosić. – Czy mógłby mi pan wydrukować zdjęcie synka? – spytała.

– Zdjęcie, to znaczy? – dopytywał.

– Buźki – odrzekła. – Zdjęcie tej małej, pięknej twarzyczki, bym mogła sobie na niego codziennie patrzeć… – dokończyła rozmarzona.

– Tak – odrzekł lekarz, ukrywając wzruszenie.

– Proszę – rzekł po chwili, podając jej wydruk obrazu USG zapakowany w białą kopertę. – Proszę – powtórzył. – Zrobiłem trzy.

Uśmiechnęła się w podziękowaniu.

– Dziękuję tak bardzo! – rzekła, a jej synek, odczuwając jej radość, kopnął wesoło.

Badanie kardiologiczne także potwierdziło, że wszystko jest w porządku. Serce chłopca rozwijało się prawidłowo.

Lekarze zalecili jednak dla bezpieczeństwa dziecka zachowanie ciągłości monitorowania jego rozwoju i wykonywanie badań USG nie rzadziej niż co dwa tygodnie.

I znów wszystko wydawało się być dobrze, tylko ta błyszcząca plamka ciągle tam była. Trwała niezmiennie i świeciła jasno. Stała i niewzruszona jak skała na morzu niepewności.



Na wiosnę

…nie w jesieni czy w zimie.

Tej nocy miała sen.

Przybiegł do niej jej synek i wołał:

– Mamo, tak bardzo chcę do ciebie! Chcę się urodzić! Pragnę być w twoich ramionach! Tulić się do ciebie! Tylko proszę: Nie teraz, lecz dopiero na wiosnę! Nie w jesieni czy w zimie, bo to za wcześnie! Chcę do ciebie! Pragnę być z tobą! – rozbrzmiewał jego krzyk w strachu i niepewności. – Mamo, nie zapomnij, dopiero na wiosnę! Pamiętaj! I…

…wtedy się obudziła.

Płakała. Wiosna oznaczała poród w terminie. Jesień i zima poród przedwczesny, poronienie lub usunięcie ciąży.

Od tej pory sen ten powracał do niej bardzo często.



Czy ono wie?

Nie mogła o to spytać.

Dni mijały w oczekiwaniu i próbie dbania o siebie i dziecko. Jadła wszystko, deser na przemian ze śledziem, by niczego nie brakło jej maleństwu. Może było to po prostu nerwowe działanie, albo próba zagłuszania obaw i złych myśli. Starała się jak tylko mogła i potrafiła, by wszystko było dobrze. Gdy przychodziły trudne dni i ciężkie chwile, rozmawiali sobie, co przynosiło ulgę i pokrzepienie. Czasem prosiła, by trochę pokopał lub dla niej zatańczył, albo pomachał rączkami jakby fruwał. To były ich pierwsze zabawy i dawały dużo radości.

Przychodziły momenty, kiedy się zastanawiała: „Czy on wie? Czy ma świadomość tego, co wyszło w wynikach badań? Czy zdaje sobie sprawę, z czym może przyjść tu na ten świat? Jeśli tak jest, mógłby jej powiedzieć?" Nie! Nigdy go o to nie spyta, bowiem jej obawy stawały się jego obawmi, jej strach jego strachem, jej stres jego stresem. Nie zdołałaby o to spytać, gdyż jeśli nie wie, ryzykowałaby zdradzenie tego oraz wzbudzenie świadomości trudu i lęku, a może nawet bólu. Mieli przecież to, co najważniejsze:

siebie, miłość i uśmiech nieba.



Ciemność istnieje

Przebiegłość diabła
w tym najbardziej się objawia,
że przekonuje ludzi
o swym nieistnieniu.
(Ch. Baudelaire, *Mała księga cytatów*)

(…) w ciemności łowi,
jest to nocne zwierzę,
Chroń się przed nim w światło,
tam cię nie dostrzeże.
(A. Mickiewicz)

Chodziła do pracy, lecz poza tym większość czasu spędzała w domu. Nie próbowała się ukrywać przed ludźmi, ale nie potrafiła rozmawiać o swojej ciąży. Padało zbyt wiele pytań, na które po prostu nie znała odpowiedzi. Musiała poczekać na rozwiązanie, by sama mogła je poznać, lub chociaż jakąś ich cząstkę. Miała bowiem świadomość, że może niektóre z nich przyjdzie im zgłębiać całe życie.

Pewnego dnia po pracy umówiła się na spotkanie z przyjaciółką, która niedawno urodziła synka. Przyjaciele mają to do siebie, że przed nimi nie trzeba niczego udawać czy ukrywać. Potrafią zrozumieć, a jeśli zrozumieć nie sposób, to w jakiś inny sposób pojąć i wesprzeć.

Patrzyła na cudowne maleństwo przyjaciółki – chłopca tak ładnego, zwinnego, sprawnego i mądrego. W zasadzie posiadającego wszelkie atuty piękna i doskonałości tego świata. Jaki uroczy, a wręcz cudowny to widok – wspaniały, mały człowiek rozkwitający w całej pełni swych talentów i możliwości. Cieszyła się szczęściem przyjaciółki, patrząc na jej dziecko. Nie odczuwała zazdrości. To, co widziała, było po prostu wspaniałe i tym się radowała. Głęboko w sercu odzywało się jednak pytanie: „Jaki będzie nasz synek?". Wtedy tamta rozpoczęła rozmowę.

– Wiesz, kiedy myślę o tobie, o was, o tych wynikach… – przerwała na chwilę i spojrzała na nią, upewniając się, czy temat nie jest zbyt bolesny i może kontynuować. – Zastanawiam

się czasem, co ja bym zrobiła na waszym miejscu? Czy miałabym tyle odwagi i siły? Czy nie przestraszyłabym się tego wszystkiego? Wiesz, nie potrafię sobie odpowiedzieć na żadne z tych pytań, ale raczej… – Zawiesiła na chwilę głos. – …postąpiłabym tak samo jak wy. Przy tych moich rozmyślaniach ostatecznie bowiem, na samym końcu, przychodzi myśl o szatanie i piekle. Wtedy wiem, że postąpiłabym tak samo. Nawet, kiedy już niczego nie jestem pewna i gubię się w tym świecie, to przychodzi ta okropna myśl. Po prostu bałabym się diabła, lękałabym się, że pójdę do piekła.

Dawno już nie słyszała takich słów. To szczere i piękne w swej prostocie wyznanie, jak też odwaga nazywania rzeczy po imieniu, otworzyło jeszcze szerzej jej oczy. Zwłaszcza obecnie, kiedy takie poglądy stawały się coraz bardziej niewygodne i niemodne. Pierwszy raz od bardzo dawna spotkała się z podejściem, w którym tak wyraźnie rysowała się biel i czerń wraz ze swymi konsekwencjami, a wszystko to zostało ujęte w sposób prosty i zasadniczy. Poczuła się nieco zawstydzona, zastanawiając się, czy sama nie zatraciła takiej klarowności spojrzenia.

– Masz rację – powiedziała. – Dziękuję ci za te słowa. Wiesz, nie pomyślałam o tym w ten sposób, a może nawet czasem, z wygody czy też ze strachu, zapomniałam na chwilę, pewnie jak cały ten świat, że diabeł istnieje. Ludzie dzisiaj chyba już nie pamiętają o szatanie i o piekle. Odrzucili to, jak wszystko, co niewygodne. Właśnie dziś, kiedy on tak podstępnie czyha wszędzie dookoła, a może już nawet nie musi się czaić, bo zawładnął tak wieloma duszami i na tak wiele sobie pozwala, dostając ludzkie przyzwolenie. My zaś często nie zdajemy sobie z tego sprawy, krocząc zaślepieni… – urwała zasmucona, jednak po chwili kontynuowała: – Ja byłam już tak słaba i tak się lękałam, że zanurzyłam się w Bożej Miłości. Schowałam się w jej ramiona i dałam ponieść, gdy nie miałam już siły na nic. – Zamyśliła się. – Tam na chwilę mogłam zapomnieć o wszelkim złu, lecz tak, masz rację – zakończyła, a w jej oczach zagościło przez moment przerażenie. Zdała sobie dobitnie sprawę z tego, jakie imię ma nękające nas zło i mrok, oraz jak istotne może okazać się nazywanie rzeczy po imieniu, by rozwiać wszelkie wątpliwości i się nie zgubić.

To wszystko jeszcze mocniej utwierdziło ją w przekonaniu, że są na dobrej drodze.

– Cieszę się, że nie postąpiliście inaczej – zakończyła przyjaciółka.

„Jak dobrze mieć przyjaciół – myślała, wracając do domu. – Są jak światło rozświetlające drogę, nie pozwalając nam zginąć w ciemności, nawet, a może szczególnie wtedy, gdy blaknie lub gaśnie nasze własne".

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.
(A. Mickiewicz, *Rozum i wiara*)



Zwierciadło snów

Ucieczka w marzenia,
odbicie obaw.

Tej nocy znów miała sen.

Śniła, że rodzi się ich synek. Jest radosny i tak piękny, jak tylko cudowny być może mały człowiek, obdarzony wszelkimi talentami i przymiotami, jakie wzbudzają zachwyt oraz podziw tego świata. Bardzo szybko zdobywa wszystkie umiejętności: zaczyna chodzić, mówić i czytać. Jest nadzwyczaj sprawny i inteligentny.

Obudziła się. Przymknęła oczy, by zatrzymać ten sen jeszcze na chwilę. Widziała dziś wspaniałego chłopca, a teraz pod osłoną nocy śniła sen miłości, podarowując własnemu dziecku wszystko, co najlepsze z ludzkich pragnień doczesności. Marzyła o nim, o ich wspaniałej rodzinie, jaką będą razem tworzyć. Jakże piękny był to sen. Czy będzie mógł trwać w przyszłości, w stronę której zmierzali?

Ostatnio jej czas płynął między rzeczywistością a snami. Nie wiedziała, co ma powiedzieć temu światu. Jak rozmawiać? Odpowiadać na pytania? Nie potrafiąc udzielać zdawkowych odpowiedzi, stroniła od dłuższych rozmów. Nie chciała też swoimi lękami, troskami i obawami burzyć spokoju męża, jakiego potrzebował w swym oczekiwaniu. Jednak czasem miała wrażenie, że to tak wiele. Zbyt ciężko było jej temu sprostać, to wszystko dźwigać na swych wątłych ramionach. Ten ogrom niewiadomych i obawę bólu utraty tych marzeń, gdyby nie miały się spełnić.

Pod osłoną nocy, z zamkniętymi oczami uciekała więc tam, gdzie znajdowała ukojenie. Wymykała się w marzenia senne. Czasem jednak sny stawały się również odbiciem jej obaw i lęków.



Zbyt trudne pytania

Nawet najprostsze pytania
okazały się zbyt trudne.

Pewnego dnia w pracy, podczas rozmowy na lunchu kolega spytał ją:

– Jak tam wasz synek?

To właśnie jedno z tych pytań, na które trudno odpowiedzieć. Nie mogło przejść jej przez gardło standardowe i zbywające: „Wszystko dobrze, dziękuję". Opowiedziała mu więc o wynikach badań. Informacja ta została ciepło przyjęta, jednak zrobiła wrażenie. Następnego dnia, kiedy znów się spotkali, powiedział:

– Wiesz… – Spojrzał na nią i przerwał na chwilę, wpatrując się w głębię jej oczu. – Dużo rozmawialiśmy wczoraj o was z żoną i podziwiamy was za taką decyzję, bo nie wiem… Doprawdy nie wiem, czy my potrafilibyśmy tak postąpić… – Zadumał się głęboko.

„Nie wiem" – rozbrzmiało echem w jej głowie.

Poczuła chłód czającego się za rogiem cienia. Była wdzięczna Bogu, że nie wystawił tych ludzi na taką próbę.

Innym razem koleżanka, opowiadając w podekscytowaniu jakieś zdarzenie, zupełnie błahe, którego nawet nie mogła sobie przypomnieć, w pewnym momencie, chcąc podkreślić, jak fatalnie i nierozsądnie ktoś się zachował, podsumowała:

– Jak jakiś Down!

Wzdrygnęło się jej serce. Spuściła wzrok. Czy właśnie obrażono ich synka?

„Może niedawno sama mogłabym tak powiedzieć – pomyślała. – Nie wiedząc wtedy jeszcze, co to słowo właściwie oznacza: «Down», jak wiele może się za nim kryć".

Nie miała żalu do koleżanki. Skorzystała po prostu z jednego z potocznie używanych wyrażeń, nigdy się pewnie nad tym głębiej nie zastanawiając.

„Jak często jednak – rozmyślała – oskarżamy czy obrażamy innych, tak niewiele o nich wiedząc".

Pojęła, że nie może dłużej chodzić do pracy. Nie radziłaby sobie ze zbywaniem nawet banalnych pytań i stawianiem czoła zwykłym, lecz w tej chwili przerastającym ją sytuacjom.

Potrzebowała teraz spokoju i ciszy, by zbierać siły i wsłuchać się w to, co najważniejsze.



Sztuczne światło

Błysk pozorów.

Tej nocy…

…widziała piękną łąkę. Pasły się na niej owce, całe stado. Od sędziwych owieczek począwszy, poprzez te będące w pełni sił i kwiecie swego wieku oraz tych tryskających młodzieńczą energią, dochodząc do małych jagniątek. Pomiędzy nimi przechadzał się pasterz grający na flecie, a jego obecność i dźwięk wygrywanej melodii niosły ukojenie i poczucie bezpieczeństwa, nadając błogość tej chwili. Promyki słońca łaskotały swym ciepłem, ptaki śpiewały, obok szemrał wesoło strumyczek. Panowała idealna harmonia.

Wśród stada była młoda, radosna, bardzo żywa i energiczna owieczka. Miła i zawsze uśmiechnięta. Kochała wszystkich, a wszyscy ją uwielbiali. Brykała tak rozkosznie, że ta jej radość po prostu się udzielała, często wzbudzając szczery śmiech. Przepełniał ją podziw dla całego świata, jaki ją otaczał, a wszystko interesowało ją i fascynowało.

Pewnego dnia dostrzegła za wzgórzem jakiś dziwny błysk. Nigdy wcześniej go nie widziała. Ogromnie ją to zaciekawiło, tym bardziej, że owo światło powracało codziennie, kusząc swą oryginalnością i nowością. Wiedziała, że nie powinna opuszczać stada, oddalać się od pasterza, wybiegać poza ich łąkę, lecz to błyskotanie było takie intrygujące. Po kilku dniach uległa.

„Tylko zobaczę i zaraz wrócę" – pomyślała i nie wytrzymawszy dłużej, pobiegła.

Ciekawość wiodła ją jak na skrzydłach. Nie odczuła, jak długi dystans pokonała, docierając do miejsca tego błysku. Tam natomiast ujrzała wspaniałą łąkę z soczystą trawą, która mimo że miała nieco odmienny odcień zieleni, sprawiała wrażenie przepysznej. Z gór spływał strumyczek, a choć też jakoś tak inaczej szemrał, pełen był wartkiej i świeżej wody. Łąka zaś okazała się rozległa i piękna. Wbiegła na nią radośnie, brykając w rozwichrzonej jej kopytkami trawie. Poczuła jakieś inne, dziwne ciepło. Spojrzała w górę.

– Czy to drugie słońce? – zapytała.

Zwisało niżej i miało nieco inną barwę, ale też dawało światło i ciepło.

„Niesamowite, prywatne „słońce" dla jednej łąki" – pomyślała.

Wszystko to otaczał ogromny mur ze złota. Sięgał tak wysoko i był tak mocny, że z pewnością

żaden wilk nie byłby w stanie go przeskoczyć, czy też w inny sposób wedrzeć się do takiej fortecy.

– Ach, więc to jest to światło – szepnęła.

Przyglądała się jeszcze przez chwilę, chcąc się upewnić.

„Tak, to promienie tego «słońca» odbijane przez złoty mur" – potwierdziła w myślach.

Pasły się tam owieczki, ale nie wykazywały nią zainteresowania. Nie bawiły się radośnie, ani nie trzymały razem. Każda tkwiła w swoim kącie, nie zważając na pozostałe. Zafascynowana jednak całą tą nowością, doskonałością wygody i dobrobytu nie zwróciła na to zupełnie uwagi. Skosztowała trawy, zaczerpnęła wody ze strumyka. Smakowały wprawdzie inaczej, ale były całkiem dobre.

„Chyba tu zostanę – pomyślała. – Tu jest fajnie. Mogę mieć wszystko tak blisko. Nie trzeba się o nic troszczyć i martwić, bo trawa jest tak wysoka, że nigdy jej nie zabraknie, a w dodatku skubnięta odrasta niemalże natychmiast".

Pląsała więc i skakała, odpoczywała i znowu brykała. Po pewnym czasie samotna zabawa przestała jej sprawiać radość, a inne owieczki tylko odburkiwały coś pod nosem zbyt zajęte sobą. Nie chciały się z nią bawić ani zaprzyjaźnić, czy chociażby porozmawiać. Zaczęła odczuwać smutek w sercu. Skubnęła trawy, ale gdy brakowało radości, to i wspaniałe jadło przestawało smakować. Strumyk zaś nie był w stanie ugasić jej największego pragnienia. Poczuła bowiem, że tęskni i chce do domu, do rodziny, przyjaciół i pasterza. Gdy tylko pojawiło się pierwsze takie odczucie, trawa zaczęła tracić swą wyjątkową intensywność zieleni, a woda w strumyku mętnieć, obnażając swe prawdziwe oblicze. Wszystko to zaś potęgowało się, im więcej podobnych odruchów serca i myśli ją przepełniało. Kiedy wiedziała już na pewno, czego pragnie najbardziej, i serce jej krzyknęło: „Chcę wracać do domu!", tuż za nią osunęła się ziemia, odsłaniając ogromną dziurę. Odskoczyła z przerażeniem na bok. Spojrzała dookoła. Trawa stała się szara, prywatne „słońce" gasło, strumyk zmętniał i przestał wesoło szemrać. Wtedy dostrzegła również, że furtka zaczyna się zamykać.

– Och, nie! – krzyknęła i ruszyła ile sił w jej młodych kopytkach w stronę wyjścia.

Spod ziemi natomiast, przez tę ciemną czeluść zaczęło dochodzić przeraźliwe wycie. Biegła ze wszystkich sił, słysząc za sobą tupot łap wilków, które ją goniły. Nie wiedziała, co ma zrobić. Starała się tak bardzo, lecz obawiała zarazem, że nie zdąży. Zatęskniła za pasterzem i zapłakała, że go nie posłuchała i się oddaliła. Wtedy z jej serca w sposób tak mocny jak naturalny wyrwał się krzyk:

– Pomóż mi! – zawołała z wszystkich sił, pokładając w nim całą swą nadzieję. – Proszę!

Wilcza pogoń zbliżała się w jej stronę, aż w końcu rozjuszone bestie znalazły się tuż za nią, a wtedy poczuła, jak kły wbijają się w jej tylną łapkę. Zabeczała z bólu i nagle, zupełnie niespodziewanie na łąkę zwaliło się drzewo, odcinając owieczkę na chwilę od drapieżników. W ostatnim momencie zdążyła przebiec furtkę, która zatrzasnęła się z wielkim hukiem. Wilki, uwolniwszy się z konarów powalonego

drzewa, dotarły do bramki i ujadały rozwścieczone, że nie udało się jej złapać. Nie mogły jednak tak łatwo pokonać tak wysokiego i mocnego ogrodzenia.

Była struchlała i przerażona. Chciała już tylko do domu. Nie wiedziała jednak, jak tam dotrzeć. Odeszła zbyt daleko, a teraz zapadł zmrok i nie mogła dojrzeć śladów, jakie zostawiły jej kopytka. Czuła się nie tylko zagubiona, lecz wręcz stracona.

„Wilki mnie złapią – pomyślała – to tylko kwestia czasu".

Utkwiła w ciemności, tak bardzo bezbronna bez swego pasterza. Zapłakała. Wtedy coś usłyszała.

„To on! Gra na flecie! W nocy? On mnie szuka!" – zrozumiała i to dodało jej odwagi i siły.

– Muszę uciekać! Jak najszybciej! – szepnęła. – Flet wskazuje mi drogę!

Gnała jak na skrzydłach. Nie czuła, jak gałęzie smagały jej twarz, a osty i ciernie raniły łapki, gdyż wszystko to przesłaniało w tej chwili to mocne pragnienie jej serca – aby pasterz nie przestał grać i nie odszedł, by zdążyć i znów móc być przy nim.

Pędziła ze wszystkich sił, lecz droga powrotna nie wydawała się wcale krótka, gdy słyszała za sobą przeraźliwe wycie wilków. Ponieważ sztuczne światło nie zaślepiało już jej wzroku, dostrzegła również, co mija po drodze. Ujrzała więcej takich i podobnych zagród z prywatnym „słońcem", strumykiem oraz piękną i soczystą trawą, otoczonych złotym ogrodzeniem. Pasły się tam owieczki, lecz najwidoczniej nie wiedziały jeszcze, co kryje się za tym wszystkim. Chciała im powiedzieć, wytłumaczyć, lecz nie mogła. Pojęła bowiem, że nie wolno jej wbiec do tych zagród, gdyż światło, które przepełniało jej serce, było tak mocne, że drażniło wilki i zaraz otworzyłaby się kolejna dziura w następnej murawie. Tamte owieczki natomiast, nie zdając sobie sprawy z otaczającej je ułudy, z pewnością nie byłyby gotowe na tak nagłe i pośpieszne porzucenie tych wygód. Ona zaś nie miała już siły, by krzyczeć wystarczająco głośno, tak aby z daleka mogły usłyszeć jej ostrzeżenie. Nade wszystko zaś pragnęła teraz być u boku pasterza. Musiała więc biec.

Gdy dotarła w końcu na skraj ich łąki, miała wrażenie, że przebiegła całą nieskończoność. Zastała jednak pustą polanę. Wszystkie owieczki spały bezpieczne w szopie i tylko on przechadzał się niestrudzenie, nieustannie grając.

Gdy go dojrzała, otuliło ją ciepło, a radość wypełniła serce. Zrozumiała, że jest w domu. Zupełnie wyczerpana poczuła dopiero teraz, że brakuje jej sił. Dawno już je straciła i tylko to pragnienie dotarcia tutaj oraz nadzieja, którą rozbudził dźwięk fletu, i miłość do pasterza oraz bliskich wiodły ją jak na skrzydłach. W chwili, kiedy ujrzała ich łąkę, ukojenie, jakie niósł widok domu, przepełniło ją taką błogością, że prysły wszystkie siły, które tak usilnie zbierała, by tu dobiec. Jej zranione, obolałe i zupełnie wyczerpane ciałko osunęło się bezwiednie na trawę. Pojęła, że nie zdoła już zrobić ani jednego kroku. Przeszył ją taki ból, że nie może podejść do pasterza, choć dzieliło ją od niego zaledwie kilka kroków,

iż ze wszystkich sił zabeczała najgłośniej, jak zdołała, sądząc, że to krzyk jej ostatni. Pocieszało ją tylko to, że udało jej się dotrzeć na tyle blisko, by jeszcze raz móc go ujrzeć. Z tą pociechą w sercu upadła, tracąc przytomność. Nie usłyszała już, jak nagle flet przestał grać, a pasterz podszedł i wziął ją w swe ramiona mokrą od łez i potu, zakrwawioną, ze złamaną nogą i obdartym bokiem. Zaniósł ją do szopy, gdzie opatrzył jej rany i tulił do swego serca.

Minęło kilka dni, nim odzyskała przytomność. Miała wrażenie, że to tylko zły sen, lecz rany na jej ciele sugerowały coś innego. Najważniejsze, że znów widziała dobre oczy swojego pasterza i tulili się do niej jej bracia i siostry. Była w domu, bezpieczna i szczęśliwa. Kuśtykając, podeszła do pasterza. Polizała w pocałunku jego poranione cierniami stopy, a potem podniosła pełne wdzięczności oczy i zabeczała najpiękniej, jak tylko potrafiła: „Dziękuję! Dziękuję za wszystko! Za to, że jesteś!". Pasterz zrozumiał. Kochał ją całym sercem i tak radowali się, że znów są razem.

Mijały dni. Owieczka wracała do zdrowia, lecz jej dusza ciągle łkała. Czuła się taka zawstydzona sobą, że nie zaufała pasterzowi i wybiegła wbrew jego słowom i ostrzeżeniom, ale odczuwała coś jeszcze. To ból, który pojawiał się, gdy tylko pomyślała o tych wszystkich owieczkach, które mijała w drodze powrotnej. Tych, które pasły się na tych zdradzieckich pastwiskach. Martwiła się, że mogą dać się zwieść pozorom i zorientować za późno, gdy furtka się zatrzaśnie i nie będzie już odwrotu. Pragnęła, czuła, że musi im jakoś pomóc – lecz jak? Gdy tam pobiegnie, dopadną ją wilki, a jeśli nie złapią od razu, to pewnie się zgubi. On widział, że coś ją gnębi, więc wszystko mu opowiedziała, kończąc:

– Chciałabym im pomóc, ostrzec, nim nastanie ciemność, wyjdą wilki, a furtka zostanie zatrzaśnięta. Nie chcę stąd odchodzić, ale choć będę krzyczeć, z tak daleka mnie nie usłyszą. Jednak gdybym pobiegła tak szybko, że wilki nie zdążą się obudzić i krzyczałabym tak głośno, iż te owieczki musiałyby usłyszeć, może udałoby się je uratować? Choć niektóre z nich? Czy chociażby jedną?

Musiała podjąć tę próbę. Spojrzała pytająco w jego oczy, dostrzegając obawę wynikającą z troski o nią. Wiedział jednak, lepiej niż ktokolwiek inny, że te owieczki potrzebują pomocy, ona zaś nie zazna spokoju, jeśli nie spróbuje.

– Słuchaj fletu, on wskaże wam drogę powrotną – rzekł do niej ze wzrokiem pełnym dobroci i miłości, po czym ucałował ją, dodając: – Ja nigdy cię nie opuszczę.

Ona zaś wtuliła się całą sobą w jego ramiona, po czym pobiegła…



Nie chcę tam iść

Czy oni mogą nas skrzywdzić?

Nadszedł czas na kolejne badanie.

„Mamo, nie chcę tam iść. Oni opowiadają takie dziwne rzeczy, po których tak mocno i niespokojnie bije twe serce. Ranią je. Czy oni mogą nas skrzywdzić? Czuję, że tam jest coś złego. Proszę, czy naprawdę musimy?"

Ona również wolałaby zostać w domu, lecz odparła: „Tak synku, wiem, lecz raczej musimy tam pójść. To prawda, oni mówią czasem takie dziwne rzeczy, ale to lekarze, którzy dbają o zdrowie ludzi na tym świecie".

Nie mógł w to do końca uwierzyć, lecz zaufał jej.

Weszła do gabinetu z lękiem, czy znów pod jakimś pozorem nie usłyszy propozycji wykonania zabiegu. Nieśmiało przekraczała próg z sercem na ramieniu, zastanawiając się, co czeka ich za tymi drzwiami. Uspokajała swe dziecko, sama drżąc bardziej niż ono. Tym razem nie zostało jednak zadane to pytanie, badanie zaś przebiegło prawidłowo. Nie stwierdzono żadnych wad w rozwoju ich maleństwa.

Dziękowała w duszy za te dobre wiadomości. Aczkolwiek cały czas ogromnie biło jej serce nękane trwogą niepewności, a on kopał z całych sił w odpowiedzi na to.

Tak już miało wyglądać każde kolejne badanie, owiane lękiem i obawą serca przepełnionego troską.

Tym razem nie był sam

O ileż piękniej jest żyć razem.

Znów we śnie…

Przybiegł do niej ich synek i prosił, znów tak bardzo prosił, by mógł urodzić się na wiosnę. Tym razem jednak nie był sam. Zobaczyła inne dzieci, które słysząc jego prośby, przybiegły za nim, wyciągając w jej stronę swe rączki i wołając:

– Chcemy do mamy!

Obudziła się. Nie wiedziała, jak ma rozumieć ten sen. Przecież nosiła tylko jedno dzieciątko pod swym sercem. Co to więc za dzieci? Gdzie są ich mamy? Dlaczego nie pobiegną do nich i im tego nie powiedzą?

Więcej dzieci nie przychodziły do niej w snach, lecz pozostały w jej sercu na zawsze. Czasem wracało pytanie: „Co z wami dzieci? Gdzie jesteście? Czy pobiegłyście do waszych mam?".

Co jednak, jeśli nie udało im się ich odszukać, albo one ich nie usłyszały? Może coś zamknęło ich dusze na to wołanie i zwiodło, mówiąc, że to się im tylko przesłyszało?

Przymknęła oczy, wsłuchując się w szum wiatru za oknem, który niósł z sobą to wszystko, co niewypowiedziane…

Są takie rączki, choć drobniutkie, jedyne, które potrafią otulić was najczystszą miłością,
jakiej nie zaznacie nigdzie indziej na tej ziemi.
Pozwólcie im się objąć.

Są stópki, choć maleńkie, będą dreptać, biec i nie ustaną.
Zrobią wszystko, by dorównać wam kroku i stąpać u waszego boku.
Nigdy was nie opuszczą, o ileż zaś łatwiej i piękniej będzie wam iść razem.
I nie pozwolą wam zbłądzić czy upaść.
Pozwólcie im dreptać, a potem kroczyć u swego boku.

Są oczy, w których jak w zwierciadle, jedynym takim na tej ziemi,
będziecie mogli dojrzeć odbicie własnej duszy, prawdziwego piękna, jakie w sobie nosicie.
Nie bójcie się zatopić w ich spojrzeniu,
ono nigdy was nie oszuka.
Pozwólcie, by patrzyły na was każdego poranka.

Jest serce, które kocha ponad wszystko i całe się wam oddaje.
Pozwólcie mu na to i przytulcie do swego.

Dla nich jesteście najwspanialsi, najpiękniejsi i najważniejsi!
JEDYNI!
Tylko dziecko tak potrafi!

Nie ma bogactw, zaszczytów czy honorów, które mogłyby temu dorównać.
Pozwólcie im kochać was jedyną taką miłością.
Miłością, która przynosi głębię, sens, harmonię, ukojenie i dopełnienie.

Pozwólcie im przypiąć wam skrzydła
i poczuć tę jedyną, najszczerszą i najczystszą
MIŁOŚĆ!

Nie lękajcie się!
Nie tu należy się trwożyć.

…po czym powiało wskroś przenikliwym chłodem i zaczął padać deszcz. Miała wrażenie, że to łzy stukają w szybę, jak łkanie zagubienia i boleści, a dźwięk każdej rozpryskującej się kropli odbijał się echem słów: „Chcę do mamy!", „Chcemy do mamy!"…



Nie było na to lekarstwa

Nie było na to sposobu.

Kiedy lekarze przestali pytać, gdyż dłużej nie było to wpisane w normy prawne, nastała zima. On jednak nie przestawał przychodzić do niej w snach, wołając: „Chcę się narodzić na wiosnę!". Wtedy pojawiła się obawa, że może urodzić się jako wcześniak. W takim przypadku mogłyby nie zdążyć wykształcić się w pełni wszystkie jego narządy, narażając go w ten sposób na dodatkowe wady i komplikacje. Bała się, że może nastąpić poród przedwczesny. Przyczyną tego mógł stać się stres, na jaki była nieustannie narażona, ciągłe obawy i lęki, nieprzespane noce i wszelki niepokój, towarzyszący tej sytuacji. Raz z takiego powodu miała już skurcze, te na początku ciąży. Wprawdzie i teraz często pojawiały się drobne skurcze, nie stanowiły one jednak zagrożenia. Obawiała się tych mocniejszych, by nie przyszły za wcześnie. Stres mógł wyrządzić wiele szkody. Wiedziała, że sama sobie z tym nie poradzi. Była zbyt wrażliwa i nie potrafiła się nie denerwować, gdyż wszystko odbierała bardzo emocjonalnie.

Nie było jednak na to lekarstwa ani innego sposobu. Jedyną pomocą i ratunkiem pozostawała modlitwa. Tak więc jak on wołał do niej w snach, tak ona zasypiała i budziła się każdego dnia, prosząc w swych modlitwach, by ich synek urodził się na wiosnę, zdrowy.



Wierząc uparcie

Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie!
(A. Mickiewicz, *Oda do młodości*)

Nadszedł czas na kolejne badanie.

Nie miała ochoty na nie iść. Uspokajało ją tylko to, że teraz już nie zapytają, czy na pewno wie co robi i nie powiedzą: „Ma pani jeszcze czas wszystko przemyśleć, podjąć czy zmienić decyzję".

„Mamo, czy dziś znów gdzieś idziemy?" – spytał, odczuwając jej ciężkie zamyślenie.

„Tak, synku" – odrzekła.

„Musimy?"

„Tak. Raczej tak".

Nie pytał więcej. Wiedział już, że te badania są czymś, przez co po prostu trzeba przejść.

W poczekalni było niewiele osób, lecz każda wizyta trwała długo. Czekali otuleni ciszą, którą nagle przerwał dialog dwóch kobiet siedzących obok. Rozmowa dotyczyła trosk, jakie wiązały się z podejrzeniem lekarza, że dzieciątko jednej z nich może nie mieć żołądka.

„Jak to może nie mieć żołądka? – zmroziło ją. – Czy to w ogóle możliwe?"

Nie miała pojęcia, lecz z tej rozmowy wynikało, że jest to zupełnie realnym podejrzeniem lekarzy.

„Oby wszystko było dobrze" – pomyślała, starając się jakoś wesprzeć je choć trochę.

Szybko jednak jej myśli zmieniły nieco swój bieg, wyrywając się teraz do jej własnego dziecka. Zdawała sobie sprawę, że zespołowi Downa często towarzyszą wady przełyku, jak również żołądka. Strach znów przeszył ją swym paraliżującym ostrzem. Nie mogła w tej chwili dłużej myśleć o tej kobiecie, gdyż jej serce zadrżało, a dusza jęknęła w lęku.

„Nie, nie! Proszę!" – szepnęła w duchu. – „To byłoby zbyt wiele".

Była wdzięczna za żołądek swego synka. Widziała go przecież już na poprzednich badaniach USG. Złe myśli zaczęły jednak cisnąć się do jej głowy namolnie: „Czy aby na pewno dziecko ma żołądek?". Strach zaczął targać nią od środka. Chciało się jej płakać. Im dłużej

trwała ta ciągła niepewność, kolejne badania i próby znalezienia czegoś „nie tak", tym bardziej stawała się wyczerpana. Miała wrażenie, że ma coraz mniej sił i o wiele trudniej było jej tłumić łzy. Nie, tego mogłaby nie udźwignąć. Druzgotało ją już samo podejrzenie braku żołądka, czy możliwość wystąpienia innych, tak poważnych wad. Każde badanie, na które przychodziła, niosło z sobą ryzyko, że stwierdzone zostaną wady dodatkowe, również te bardzo poważne. Z tego powodu była tu przecież wzywana tak często. Znów przerażenie wtargnęło w jej serce. Miała nadzieję, że to badanie będzie spokojne, że nic już nie zostanie wykryte, a po prostu „zaliczą" je i wrócą do domu. Nasienie strachu ponownie zostało jednak zasiane.

„Nie! Nie! Nasz synek będzie miał żołądek!" Mocno, ze wszystkich sił musiała w to teraz wierzyć.

Pomyślała o uśmiechu nieba. To przyniosło jej ukojenie i umocniło w wierze.

„Tak, nasz synek będzie miał żołądek! – rzekła w myślach. – Inne narządy też. Cokolwiek powiedzą mi za tymi drzwiami, nic nie dam sobie wmówić!" – mocno postanowiła.

Weszli do gabinetu. Rozpoczęło się badanie.

„Dobrze – pomyślała. – Niech wszystko będzie dobrze".

Poczuła się znów mała i zagubiona niczym przestraszone dziecko, które nie wie, co począć i gdzie się skryć przed tym, co je przeraża, po czym w naturalnym odruchu biegnie, ucieka i chowa się tam, gdzie będzie bezpieczne. Równie podświadomie, co naturalnie uczyniła to samo. Nie próbowała sobie udowadniać, że sama sobie z tym poradzi. Wiedziała, że nie. Choć jej ciało leżało na łóżku i trwało badanie, ona dała się otulić i ponieść, czy też po prostu na chwilę wzbiła się myślami ponad to wszystko, bo obawy te zmiotły jej grunt spod nóg. Nie zdawała sobie z tego bynajmniej sprawy, czując jedynie, że ze wszystkich sił musi się trzymać i trwać w tym pragnieniu. Zaczerpnęła powietrza i zamknęła na chwilę oczy, po czym odnajdując wewnętrzną jedność z samą sobą, otworzyła je, patrząc odważnie przed siebie. Leżała zupełnie spokojna, a ten spokój, jaki teraz odbijał się w jej oczach, był tak głęboki, że wydawał się wręcz irytujący dla otoczenia przyzwyczajonego do nerwowej atmosfery towarzyszącej zazwyczaj badaniom w tym gabinecie. Patrzyła gdzieś daleko, jakby jej spojrzenie wybiegało ponad to pomieszczenie.

Badanie trwało długo, nawet bardzo długo. Na szczęście czas dla niej biegł teraz inaczej. Student, który miał je rozpocząć, nie mógł sobie z czymś poradzić. Po godzinie zmagania się z wyznaczonym mu zadaniem poprosił o pomoc. Podszedł lekarz prowadzący jej ciążę.

Student poinformował go, że na obrazie USG nie udało mu się znaleźć serca i żołądka dziecka.

– Zaraz to sprawdzimy – rzekł lekarz, po czym zerknął szybko swym doświadczonym okiem na monitor, a potem na nią, sprawdzając, czy wszystko z nią w porządku.

Ona zaś leżała, milcząc, czekając ze spokojem przewyższającym tę chwilę napięcia.

Znów nastała cisza wynikająca z koncentracji na badaniu, po czym usłyszała:

– Serce jest i oprócz świecącego na nim punkcika, wszystko jest z nim w porządku.

Następne minuty milczenia, po czym padło:

– Faktycznie, nie widzę jednak żołądka.

Niezmiennie czekała w milczeniu, nic nie odrzekłszy.

Lekarz spojrzał na nią zdziwiony brakiem reakcji na tak mocne podejrzenie, po czym kontynuował badanie, chcąc się upewnić. Po dłuższej chwili potwierdził jednak zdecydowanie:

– Dziecko nie ma żołądka.

W dalszym ciągu nie zareagowała na to w żaden sposób. Tak mocno wierzyła, że żołądek jest, że nic nie mogło jej wyrwać z objęć wiary i nadziei tego marzenia. Pragnęła i modliła się ze wszystkich sił o żołądek synka.

Doktor jeszcze raz rzucił okiem na monitor, potem na nią i zdenerwowany powiedział:

– Co pani jest taka spokojna? Przecież mówię, że dziecko nie ma żołądka!

Ona jednak nadal milczała, patrząc przed siebie spokojnym wzrokiem.

– No co z panią jest?! A był? Pytam, czy był wcześniej ten żołądek? Czy był widoczny na poprzednich badaniach USG? – pytał zdenerwowany podniesionym już głosem.

Wtedy spojrzała na niego, po czym z całą pewnością i wiarą odpowiedziała odważnie:

– A był! – Tyle, nic więcej.

To trochę go zdezorientowało. Spojrzał jeszcze raz na monitor, po czym niemal natychmiast stwierdził:

– Co ja ślepy jestem? Jest! Może trochę mały, ale jest!

Teraz mogła już „zeskoczyć" na ziemię. Wszystko było dobrze. Byli bezpieczni.

– Na tę chwilę wygląda, że wszystko jest w porządku – stwierdził lekarz, kończąc badanie. – Żołądek też jest, choć dość mały i trzeba to będzie zbadać dokładnie po porodzie. Ten niewielki rozmiar żołądka może sugerować wady przewodu pokarmowego. Innych potencjalnych punktów rozwoju ewentualnych wad na chwilę obecną nie widzę, co nie oznacza, że ich nie ma, czy też nie będzie. – Rzucił krótkie spojrzenie w jej stronę. – Musi być pani

silna i przygotować się na to, że po porodzie mogą zostać stwierdzone wady, których nie da się wykryć wcześniej. Nawet tak poważne, że może być konieczna niezwłoczna operacja. Musi być pani przygotowana na wszystko – dodał, po czym zakończył: – Może się również zdarzyć, że dziecko umrze po porodzie.

I takie pożegnanie miała już od tej pory słyszeć na każdym kolejnym badaniu.

Wyszli.

„Mamo, jestem tym wszystkim taki zmęczony – usłyszała słaby głosik. – Chodźmy już do domu".

Poszli więc.

Następne badania nie przyniosły żadnych nowych podejrzeń. Nie stwierdzano na daną chwilę wad dodatkowych, lecz zawsze miały już takie samo zakończenie:

– Musi być pani gotowa na wszystko.

To jednak było bardzo trudne, może nawet zbyt trudne.

On przybiegał do niej w snach i wołał: „Mamo, tak bardzo chcę się urodzić na wiosnę! Mamo, chcę do ciebie! Lecz pamiętaj, na wiosnę!".

Ona modliła się o siłę, by wytrwać w tym wszystkim i aby ich synek urodził się w terminie, zdrowy.

Tak mijały ich dni i noce. Oboje byli tym wszystkim już zmęczeni. Wyczerpani, lecz silni, z uśmiechem w sercu przepełnionym odwagą upartej radości wiary.

Miejmy odwagę… Nie tę tchnącą szałem,
która na oślep leci bez oręża,
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem
Przeciwne losy stałością zwycięża.
(A. Asnyk, *Miejmy nadzieję*)



Małe marzenie

…w kolorze najczystszej bieli,
zieleni nadziei i błękitu nieba.

Tego dnia znów miała badania, które wypadły bardzo dobrze. Kiedy opuścili gabinet i szli razem ulicą, a może raczej spacerowali, zwolniwszy kroku, by cieszyć się tą chwilą wspaniałych wiadomości, przepełniały ją radość i głęboka nadzieja. Miała wrażenie, że mimo siarczystego mrozu słońce świeciło tak mocno, iż zdawało się być całkiem ciepło i przyjemnie. Jakoś wyjątkowo miło i jasno w blasku promieni słonecznych, odbijających się od pokrywającej wszystko dookoła śnieżnej bieli. Poczuła lekkość, błogość i beztroskę. Wielką radość i szczęście, jakie może odczuwać jedynie przepełnione nadzieją serce matki oczekującej swego dziecka. Radość nieowianą w tej chwili żadnymi zmartwieniami i obawami. Lekarz powiedział, że wszystko jest w porządku i były to już kolejne badania potwierdzające prawidłowy rozwój dziecka, więc na chwilę zapomniała o wcześniejszych wynikach i niepewnościach. Jakby wszystko znów miało być dobrze.

Nagle do męża zadzwonił telefon. Przystanęli, a on odszedł na bok, by porozmawiać. Wtedy dostrzegła, że zatrzymali się przed sklepem dziecięcym. Na wystawie leżały kolorowe zabawki i śliczne ubranka dla niemowląt oraz małych dzieci. Zupełnie ją to oczarowało. Oczami duszy już je przymierzała i widziała, jak wspaniale wyglądałby w nich ich synek. I wtedy zapomniała o wszystkim. Weszła do sklepu i zaczęła oglądać śpioszki i pajacyki. Były urocze. Jedne wyjątkowo jej się spodobały – koloru najczystszej bieli, w chłopięce wzory w barwach błękitu i zieleni. Zdecydowała, że po prostu musi je kupić. Jakaż była szczęśliwa. Taka prosta rzecz, a dawała tyle radości.

Zdawało się, że zapomniała na chwilę o wszystkich zmartwieniach, jednak gdzieś tam w podświadomości, teraz na tyle dobrze ukryta, by nie zakłócała tej błogiej chwili, trwała niezmiennie myśl o tym, że dzieci z zespołem Downa często rodzą się mniejsze. Rozmiar pięćdziesiąt sześć wydał jej się więc uniwersalny i odpowiedni. Uśmiechnęła się z radością i podała śpioszki sprzedawcy:

– Poproszę te – rzekła.

– Proszę bardzo – odpowiedział miło pan w średnim wieku, uśmiechając się, jakby ta

radość była zaraźliwa, po czym wziął od niej śpioszki, by je zapakować.

Wtedy, zakończywszy rozmowę telefoniczną, wszedł do sklepu jej mąż. Spojrzał na wybrane ubranko, radość odbijającą się w oczach swej żony i również się uśmiechnął. I wszystko było dobrze, tak cudownie zwyczajnie. Cieszyli się normalnością, spokojem i beztroską, jakich dawno już nie zaznali. Sprzedawca podniósł jednak zdezorientowany wzrok na wysokiego mężczyznę, który stanął teraz u jej boku, a potem spojrzał znów na nią i na śpioszki. Oni jednak wpatrzeni w siebie oraz w to malutkie ubranko zupełnie nie zauważyli jego zdziwienia. Przez chwilę im się przyglądał. Patrzyli na siebie i uśmiechali się w jakiś wyjątkowy sposób.

– Czy to pani mąż? – zapytał po chwili niepewnie ekspedient, jakby obawiając się, by nie przerwać czaru tej chwili.

– Tak – odparła, nie odwracając wzroku.

– Proszę więc wziąć śpioszki w większym rozmiarze. Jeśli tata jest tak wysoki, te z pewnością będą za małe na synka – stwierdził z pełnym przekonaniem.

Spłoszyły ją te słowa natychmiast. Spuściła nieco głowę, po czym odwróciła się, by zerknąć jeszcze raz na śpioszki i na męża, lecz teraz już całkiem innym spojrzeniem. Wzorkiem zagubienia i szukającym z niego wyjścia czy też pomocy. Zupełnie wytrącona w oazy radości i beztroskości, w jaką pozwoliła sobie na chwilę wkroczyć. Mąż milczał.

– Wie pan… – zaczęła niepewnie. – Tak, tak. Ma pan rację.

Zamyśliła się na chwilę, w ciągu której cała jej dotychczasowa radość i błogość zdążyły zupełnie prysnąć.

– Faktycznie… mogą być za małe, lecz… rozmiar większy mógłby okazać się zbyt duży… – cedziła powoli słowa o czymś, co dla otoczenia musiało być niezrozumiałe. Wyjaśnianie tego wszystkiego wydało jej się w tej chwili zbędne. Nie chciała jednak urazić tego miłego pana. Był taki uprzejmy, więc, choć wolałaby teraz nie wchodzić w świat jej trosk, dodała cicho:

– Wie pan, nasz synek może jednak być nieco mniejszy. Lekarze twierdzą, że jest… – Nie znalazłszy lepszego słowa dodała: – …chory.

Zapadła cisza. Sprzedawca zrozumiał i nie próbował szukać zbędnych słów, gdyż w jakiś sposób pojmował, że żadne nie oddałoby tego, co każde z nich teraz czuło.

Spuściła głowę i jeszcze raz spojrzała na te urocze śpioszki z pewną tęsknotą.

– Dziękuję panu bardzo za pomoc, ale naprawdę nie wiem, jaki rozmiar powinnam wziąć… – rzekła w nieporadności wobec konieczności podjęcia odpowiedniej decyzji. – Mu-

szę to chyba jeszcze… przemyśleć. – Spojrzała z zakłopotaniem na męża, który chcąc wyklarować sytuację, spytał:

– To jednak nic nie bierzemy?

– Nie – odparła cicho.

Podziękowali i wyszli. Sprzedawca nie oczekiwał dalszych wyjaśnień. Spoglądając przez okno wystawy, odprowadzał ich wzrokiem, w którym odbijało się coś, co trudno nazwać. To nie współczucie, lecz jakiś inny wyraz empatii. Długo tak patrzył, jak oddalają się i znikają w tłumie ulicy. Odczuł, że to, o czym nie jemu wiedzieć, było czymś wyjątkowym, gdyż tak odbijało się i jaśniało w ich oczach, kiedy patrzyli na siebie nawzajem i razem na te śpioszki. Weszli tacy radośni i pełni nadziei, rozpromienili tym szczęściem cały jego mały sklepik, a teraz wyszli głęboko zatroskani. W ręku ciągle trzymał przedmiot ich marzeń. Czar tej krótkiej, radosnej chwili – śpioszki. Małe ubranko wymalowane najczystszą bielą, na której widniały urocze chłopięce wzory w kolorach zieleni nadziei i błękitu nieba. Wziął do ręki drugie takie, jednak w większym rozmiarze. Owinął obie sztuki w biały pergamin, po czym schował do szuflady.

– Może kiedyś po nie wrócą… – szepnął w zamyśleniu sam do siebie.

Oni zaś szli wolnym krokiem. Skrzydła znów jej opadły. Szkoda, że nie widziała gestu sprzedawcy – jej małego marzenia, schowanego dla nich w szufladzie, by nie prysło, lecz na nich poczekało. To z pewnością przywróciłoby uśmiech na jej twarzy. Nie była jednak smutna, lecz zamyślona. Przed wejściem do tego sklepu porwał ją lekki powiew wiatru, blask słońca i rześkość mrozu, a radość dobrych wiadomości poderwała skrzydła do lotu.

„To jeszcze nie czas. Nie teraz. Nie" – westchnęła.

Ile jeszcze i jakich „nie" powinno paść? Ile na nich czekało? Nie wiedziała.

„Czasem nawet tak proste sprawy mogą się okazać zbyt trudne – pomyślała. – Czy teraz już zawsze tak właśnie będzie?"

Spojrzała na męża. Był zupełnie pochłonięty myślami, które teraz napływały do jego głowy. Pewnie były inne niż jej, choć czuła, że w swej istocie są takie same.

Szli wolno, podążając w nieznane, w kierunku naznaczonym tak wieloma znakami zapytania. W stronę swej przyszłości, której odkrycie zaczynało się może właśnie od odpowiedzi na pytania: Jaki przyjdzie im kupić rozmiar pierwszych śpioszków? Jaka będzie wielkość ich małego, wielkiego marzenia?



Już czas

Już czas?

Miała wrażenie, że to najdłuższe dziewięć miesięcy jej życia. Ciągnęły się bez końca, aż nadszedł jego czas. Nie mogła spać całą noc. Lękała się. Pojawiły się zdecydowane skurcze, wszystko ją bolało. Nad ranem stały się mocniejsze i bardziej regularne. On zaś szepnął:

„Mamo, już czas".

„Tak, synku? Czy to już czas?" – odparła wyrwana z jakiegoś nostalgicznego zamyślenia.

Nie była jeszcze gotowa, lecz wiedziała, że nigdy nie będzie. Zbyt obawiała się tego, co się wydarzy, gdy on przyjdzie na ten świat. Czy urodzi się zdrowy? Jeśli nie, to czy zaraz zabiorą go od niej i zaniosą gdzieś daleko na stół operacyjny? Czy może umrzeć? Czy ludzie go pokochają, czy też odrzucą? Czy odtrącą także ją? Współczesny świat uwielbiał to, co piękne, błyskotliwe i doskonałe. To, co „odpowiednio" wpasowywało się w jego ramy i normy. Co jednak nastąpi, jeśli okaże się, że jest inaczej? Nie była na to wszystko przygotowana. „Gotowa na wszystko", jak mówił lekarz, a wręcz przeciwnie, bowiem nie sposób było się na to przygotować.

„Mamo już czas!" – powtórzył zdecydowanie.

Spojrzała na kalendarz, by się upewnić. Ujrzała dokładną datę wyznaczoną na poród, co do dnia. Udało się więc. Wytrzymali. Dotrwali i teraz mógł się już urodzić. Tak jak pragnął – narodzić się na wiosnę.

„Tak, synku. Masz rację. Już czas" – szepnęła w duchu.

Bóle powracały regularnie i dotkliwie. Nie sposób było ich pomylić z czymkolwiek innym, lecz obawy serca zdawały się większe. Wiedziała, że to już ten moment, kiedy trzeba jechać do szpitala. Wyruszyli zatem w drogę. Jednak, gdy na izbie przyjęć stwierdzono, że bóle wprawdzie są, lecz jeszcze nie na tyle mocne, by jednoznacznie dało się stwierdzić rozpoczęcie akcji porodowej, wykorzystała to szybko i zdecydowanie.

– To my lepiej poczekamy w domu – rzekła.

I uciekła, choć jeszcze na chwilę. Chociażby na jeden dzień, by zaczerpnąć powietrza i nabrać odwagi przed tym, co miało się wydarzyć… Czuła się jak zbieg, uciekinier, który stchórzył.

Wrócili do domu. Mąż poszedł do pracy. Zostali sami. Sami ze sobą. Wiedziała, że dane jest im nie więcej niż kilka godzin, by zebrać odwagę na stawienie czoła temu, co miało nastąpić. Czy poradzi sobie? Zostali postawieni przed wielką próbą, w obliczu której oboje teraz milczeli.

Bóle narastały. Ze szkoły rodzenia pamiętała, że ulgę powinny przynosić ciepłe kąpiele lub chodzenie na czworaka. Na przemian próbowała więc tych sposobów. To wprawdzie nieco pomagało, niewiele jednak. Kiedy po południu zbyt już tym wyczerpana nie wiedziała co począć i myśleć, zadzwoniła do mamy.

– Wiesz, mam bóle. Na tyle mocne, że muszę prawie cały czas chodzić na czworaka lub brać ciepłą kąpiel.

– Musicie jechać do szpitala! – usłyszała zdecydowaną radę. – To oznacza, że się zaczyna.

Zadzwoniła do męża, by nie zostawał zbyt długo w pracy. Do szpitala dotarli wieczorem. Tym razem ucieczka nie wchodziła w rachubę, jakkolwiek ona byłaby wystraszona. Przez cały dzień wszystko zmierzało w jednym kierunku. Nie mogła się teraz cofnąć.

– Skurcze są bardzo mocne – usłyszała. – Poproszę lekarza, trzeba zrobić przyjęcie – stwierdziła położna na izbie przyjęć.

„Dziwne – pomyślała. – Bardzo mocne, a bolą podobnie jak te rano".

Po chwili wszedł młody lekarz. Zbadał ją i zlecił przyjęcie. Wtedy jej się przypomniało.

– Panie doktorze – rzekła. – Nie wiem, czy ta informacja ma teraz jakieś znaczenie z medycznego punktu widzenia, ale chyba powinnam powiedzieć, że mam przy sobie wyniki badań wskazujące na zespół Downa.

Stał przed nią młody mężczyzna, którego ta wiadomość zamurowała. Spojrzał w jej oczy i zamilkł. Przez chwilę nic nie potrafił powiedzieć, po czym wykrztusił:

– Jak to? Pani… ma zespół Downa?

– Tak – odparła bez zastanowienia.

Zatrzymali się na chwilę, patrząc na siebie w zupełnej ciszy. Pacjentka i lekarz. On widział przed sobą młodą kobietę, z oczu której biła radość i nadzieja, mimo strachu, który gdzieś skrywał się w ich kącikach. Drobną i delikatną, lecz równie silną i odważną. To, co zobaczył było zdumiewające i piękne. Słowa jej wydały mu się jednak niewyobrażalne. Na jej kruche i delikatne ramiona miało spaść tak wiele? Ona o tym wiedziała? I stała z podniesioną głową. Rozświetlała ją cicha nadzieja. Tkwili tak naprzeciw siebie w milczeniu i zamyśleniu. Im dłużej to trwało, tym bardziej czuła się zakłopotana i nie wiedziała, co powiedzieć. „Może coś powiedziałam nie tak?" – przemknęło jej przez myśl.

– Nie. Nie, to znaczy nie ja mam zespół Downa, tylko w wynikach jest napisane, że mój synek – dodała, by rozwiać wszelkie wątpliwości.

– Tak, tak. Oczywiście, rozumiem – odparł cicho lekarz i odwrócił wzrok na bok, po czym poprosił położną o dokończenie przyjęcia. Następnie, nie pożegnawszy się nawet, wyszedł w pośpiechu, jakby goniąc swą duszę, która z jakiegoś powodu wybiegła pierwsza.

W oczach tego lekarza dojrzała dobro i piękno, za co była mu wdzięczna. Za wszystko, co ujął w tym spojrzeniu i za to, co wypowiedział milczeniem, gdyż w jakiś sposób, mimo że nie potrafiła tego pojąć, dodało jej to wiary, odwagi i siły.

„Jeśli on potrafił dostrzec piękno, to wszystko musi mieć jakiś sens" – pomyślała.

Wjechali windą na pierwsze piętro. Dotarli na salę porodową. Okazało się jednak, że położna, która miała jej towarzyszyć, nie może przyjechać.

„Nieważne – pomyślała. – Bóg nie dopuści do tego, by przy porodzie mogło się nam stać coś złego". Tak czuła teraz całą sobą.

Przygotowano ją i położono na sali. Skurcze się nasilały, a obawy matki stawały się coraz większe. Czy te pozwolą jej ciału wypuścić dziecko z tego bezpiecznego schronienia?

Bóle narastały, pojawiły się też drgawki poprzedzające skurcze. Za każdym razem stawały się coraz silniejsze, w końcu dochodząc do apogeum i rzucając jej ciałem, jakby miała padaczkę. Zbyt się obawiała tego, co może go tutaj czekać. Wiedziała, że już czas. Nie mogła się doczekać, by w końcu go zobaczyć i tulić w swych ramionach. Chciała, lecz nie miała odwagi wprowadzić go na ten świat. To była jej walka. Ostatnia bitwa z własnym ciałem, by choć jeszcze przez chwilę zapewnić swemu synkowi bezpieczne schronienie.

Sposób, w jaki nią miotało, zaczął wyglądać rozpaczliwie, a trwało to już kilka godzin. Podano więc znieczulenie, a po pewnym czasie leki przyśpieszające poród. Ból jednak był zbyt wielki i znieczulenie zadziałało jedynie częściowo, a może po prostu to cierpienie, które nie sposób stłumić…

Targały nią obawy przyjmujące postać ogromnych drgawek, gdy zaś ból wydawał się nie do zniesienia, a koniec odległy o co najmniej nieskończoność od punktu, w którym teraz utkwiła, starała się być dzielna i dodawała sobie otuchy myślami:

„Jakże często to, co wielkie rodzi się w trudzie i bólu".

Wreszcie leki przyśpieszające poród zaczęły działać i maluszek począł wychylać swą główkę. Utknęła ona jednak pomiędzy dwoma światami. Czyżby dlatego, że matka nie potrafiła zebrać sił, by posłać go dalej? Czy to brak odwagi, a może po prostu bezsilność, przy

tak wielkim wyczerpaniu ciała walczącego z obawami serca?

Aby zadbać o bezpieczeństwo rodzącej i dziecka z chwilą przyśpieszenia akcji porodowej, do dotychczasowego zespołu odbierającego poród dołączyli kolejni lekarze. Po szpitalu zaś przemknął szmer: „Rodzi się dziecko z zespołem Downa".

Wśród wielu twarzy lekarzy obecnych na sali dojrzała i tego, który ją przyjmował. Stał z tyłu, patrząc gdzieś daleko, milcząc, lecz swoją obecnością dodawał jej odwagi i siły w walce o piękno, którego odbicie ujrzała wcześniej w jego oczach.

„Co teraz będzie? Co się z nami stanie?" – szeptała w trwodze jej dusza.

Chciała synkowi pomóc, lecz nie miała już siły. Toczyła walkę z samą sobą i z całym wszechświatem, pragnąc chronić swe dziecko. Osłaniać w jakiś sposób, którego nie mogła jednak teraz odnaleźć ani wymyślić. Może więc podświadomie broniła go, nie potrafiąc wypuścić na ten świat, jeśli mogłaby mu się tutaj stać jakaś krzywda.

Znów przyszły drgawki i coś targnęło jej drobnym ciałem. Jeszcze raz, po czym znowu i znowu. Za każdym razem stawało się coraz silniejsze i potężniejsze. Zupełnie przestała odczuwać skurcze. Ból stał się ciągły, a drgawki tak mocne, że przesłaniały skurcze, które podobno przychodziły w momencie, gdy te targały jej ciałem. W końcu opadła zupełnie z sił. Nie wiedziała, co począć. Nie mogła ukryć go pod swoim sercem, gdyż był na to już zbyt duży. Przyszedł jego czas, lecz dusza jej łkała, nie mogąc się przemóc, by go zaprosić na ten świat, zbyt bardzo się trwożąc, co może go tutaj spotkać.

Widok stawał się z każdą chwilą coraz bardziej przejmujący. Ta drobna dziewczyna walczyła ze wszystkich sił, a może nawet ponad nie. Chciała urodzić, ale coś jej nie pozwalało, targało jej ciałem, a trwało to już całą noc. Była zupełnie wycieńczona, jak też zapewne dziecko, które stukało do wrót tego świata. Mijała dwunasta godzina porodu. Szarpały nią drgawki, z których każda następna przybierała na sile. Dziecko zaś utknęło pomiędzy dwoma światami: tym, który go chronił, oraz tym, który był wielką, siejącą trwogę niewiadomą.

– Wystarczy! – powiedział w końcu jeden z lekarzy, po czym podszedł i nacisnął mocno i zdecydowanie jej brzuch, wypychając to dziecię na ten świat.

Tak bardzo chciała je chronić…

„Co teraz będzie?" – pomyślała i zamknęła oczy.

Na imię miała Sara – ta, która urodziła, choć w czasach, w których żyła, twierdzono, że nie musi.



Narodziny

Kiedy rodzi się dziecko, każdy promień słońca
uśmiecha się wszystkimi kolorami tęczy.
Gdy rodzi się chore lub niepełnosprawne dziecko,
w tęczowym blasku promieni słonecznych
odbijają się skrzydła anioła…

Słońce świeciło mocno i jasno, jakby chciało swym ciepłem ucałować ziemię. Ten słoneczny pocałunek, wyczekiwany długą zimę otulił czule całą ziemię, a wtedy z jej wnętrza dał się słyszeć szmer budzących się do życia kwiatów i wszelkich stworzeń, które pod jej osłoną chroniły się od mrozów zimy, w tym oczekiwaniu nucąc pieśń najpiękniejszej nadziei – nadziei nowego życia. Wróble ćwierkały głośno i radośnie, znów pewnie wiedziały.

Wysoko dał się słyszeć przynoszony przez wiatr klekot bocianów i szczebiot jaskółek, powracających niestrudzenie do ojczyzny, tam gdzie serce i dom ich. Wiatr wiał nieustannie, otulając całą ziemię swym delikatnym tchnieniem i wiosenną wonią radości, ani na chwilę nie ustając jednak w swym zadaniu siewcy, roznosząc pyłki i nasiona, każde według swego przeznaczenia. Panowała harmonia tak doskonała i piękna, że trudno było ją opisać, aż otworzył buzię z wrażenia.

I znów wszystko wydawało się niesamowite. Nie było gałązki i pąku, które nie znalazłyby się dokładnie tam, gdzie ich miejsce, ani kwiatu, źdźbła trawy, szmeru, oddechu, prochu, listka, kropli rosy czy biedronki, bez swego przeznaczenia. Wszystko trwało na właściwym miejscu. Słońce świeciło nie za blisko i nie za daleko, jakby trzymane czyjąś ręką. Dzień tworzył i radował. Noc niosła odpoczynek, ukojenie i obietnicę kolejnego wschodu słońca. Wszystko toczyło się, a teraz właśnie rozkwitało, w doskonałej harmonii.

„Jakież to piękne, cudowne i doskonałe dzieło – pomyślał, po czym zamknął oczy i z całej swej głębi dodał: – Dziękuję za to wszystko! Dziękuję! I za tak cudowną wiosnę. Jak to wspaniale narodzić się wraz z jej tchnieniem".

Lecz i jego coś niepokoiło.

Patrz na dół – kędy wieczna mgła zaciemnia
Obszar gnuśności zalany odmętem;
To ziemia!
(A. Mickiewicz, *Oda do młodości)*

Tam na dole chodzili zadufani w sobie, którzy nie dostrzegali tej harmonii i piękna, a teraz było ich jeszcze więcej. Nie znali zachwytu, podziwu, miłości i wdzięczności. Napędzała ich chęć władzy i posiadania, pycha oraz pogarda. Krocząc, deptali wszystko, co uznawali za niewygodne na swojej drodze. Rozgniatali butami nasiona i zrywali pąki, które określali jako niedoskonałe, niewłaściwe czy niewygodne, odbierając im szansę, by zakwitły, sobie samym i innym zaś, by zobaczyć oraz poczuć cud i woń kwiatu, jaki w sobie skrywały. Nie potrafili stwarzać, ale uważali się za doskonałych, by decydować o istnieniu, w tym nawet je niszczyć. Chcieli ułożyć wszystko po swojemu i stać się panami świata, a im bardziej do tego dążyli, tym gęstsza mgła zasłaniała ich oczy, przesłaniając prawdę. A teraz stała się już tak rozległa, że niemal zupełnie przesłaniała całe niebo i krok już było od ciemności i zniszczenia.

W jego oczy napłynęły łzy nad tym, co zobaczył. Zebrał wszystkie siły i krzyknął:

– Stójcie! Zatrzymajcie się!

Choć krzyczał z całych sił, ich uszy były głuche na ten głos, a mgła, tak ciemna, ciężka i gęsta, że nawet ten krzyk udało się jej pochłonąć.

– Nie ma już czasu – rzekł z rozpaczą w oczach, po czym zawołał raz jeszcze: – Czekajcie! Nie bójcie się! Już do was idę! Pomogę wam!

– Proszę o miecz i zbroję, bym mógł zatrzymać tę mgłę. – Spojrzał niepewnie, a choć w oczach rysowała się determinacja, ogarnęły go wątpliwości. „Czy mogę, czy to ma sens, czy dam radę? Jednak jeśli nie spróbuję, czy wszystko może zostać zniszczone? Mgła i ciemność zwyciężą? Pochłoną ziemię? Nie, nie!" – krzyknął w duchu. – Muszę spróbować. Proszę, muszę spróbować! Dobrze, że to mój czas. Muszę iść, biec i powiedzieć im, że nie ma już chwili do stracenia.

Spojrzał pytająco w oczy, które patrzyły na niego z miłością i troską. Jakby chciały spytać, czy na pewno jest gotów podjąć tak trudną drogę. I pojął teraz, o co prosił. Spuścił głowę i rzekł:

– Boję się, ale chciałbym podjąć tę próbę.

Zatrwożył się, lecz wtedy usłyszał płacz dzieci szukających mamy. Mgła ciemności wkradała się nawet tam. Zapłakał. Nieważne, jak się bał. Nie mógł ich tak zostawić. Najpierw musiał pomóc właśnie im – dzieciom, które odbierano matkom, wyrywano spod ich serc.

– Nawet jeśli cały tamten świat miałby mnie odtrącić – stwierdził – nie mogę ich opuścić. Nie wolno ich tak zostawić! – Zawahał się znowu. – A jeśli mnie odrzucą? Gdy nie dam rady i wszystko będzie nadaremne?

– Nic nie jest nadaremne, co czyni się z miłości – usłyszał jednak.

Prosił o broń, lecz czym można walczyć z ciemnością wkradającą się w serca i skradającą dusze?

Wtedy poczuł ciepło, które spłynęło na niego i bezgraniczną miłość, jaka go otuliła. Teraz już wiedział. Tylko miłość sięga wszędzie i jest największą siłą. Jedynie ona może pokonać ciemność. Ludzie jednak stają się ślepi na wszystko, nawet na miłość. Jakie więc musiałaby przybrać oblicze, by ją dostrzegli?

– Oblicze – usłyszał – które każe im się zatrzymać, choć na chwilę. Czy w refleksji, czy nawet próbie odtrącenia, lecz nim je odrzucą, spojrzą na nie, zaś światło prawdy bić będzie z niego – jasność sięgająca głęboko. Miłość jest największą siłą, jednakże tak jak bezgraniczną, tak często również bezbronną, lecz to właśnie jest jej głębią i mocą.

Odczuł ciężar zbroi, o którą prosił. Czegoś jednak w niej brakowało. W obliczu tego, czemu miał stawić czoła, poczuł się jak Dawid stojący przed Goliatem.

„Lecz Dawid miał armię za sobą – pomyślał. – Chciałbym też mieć chociażby… – Zatrzymał się na chwilę, pojmując właśnie, czego mu brakuje. – …tarczę" – dokończył i cały drgnął w tym tak mocnym pragnieniu, po czym spojrzał z taką też prośbą w sercu we wpatrzone w niego oczy, które zdawały się mówić: „Tak wiem. Nie martw się. Prośba twa została wysłuchana, nim zdążyłeś ją pojąć".

Wzrok swój skierował znów na ziemię, jakby czegoś tam szukając. Czy tej tarczy? Tarczy miłości i ciepła, która chroniłyby go nawet wtedy, gdy wszyscy odrzucą, która mogłaby go osłaniać na tej ziemi, dodawać sił i być otuchą? Patrzył tak długo w zatroskaniu, aż dojrzał jakąś jasność walczącą z kłamliwą szarością mgły. Ujrzał strach i łzy, zatroskanie, panikę i zwątpienie, lecz nade wszystko szczerość i czystość serca, które mimo zagubienia, szamotania się w lęku i niepewności, świeciło ponad to. Zobaczył zatrwożone i zaszklone od łez oczy wzniesione w niebo, a wtedy szczerość serca zajaśniała w pełni, on zaś uśmiechnął się z ulgą.

– Znalazłem moją tarczę – szepnął.

Podniósł głowę i wyprostował się, jak rycerz, który założywszy swą zbroję, staje odważnie, gotowy do drogi. Teraz, z całą przepełniającą go radością, krzyknął:

– Znalazłem! Znalazłam moją… – urwał na chwilę ze wzruszenia, spoglądając raz jeszcze w jej stronę, po czym dokończył: – … mamę. Ona jest moją tarczą.

Odwrócił się w stronę tych dobrych oczu, których spojrzenie nieustannie mu towarzyszyło i razem ciepłem uśmiechu rozproszyli chmury, a uśmiech ten zajaśniał na niebie w czystości błękitu i blasku jasności, posłany specjalnie dla niej.

– Teraz jestem gotowy – rzekł.

Miłość i światło były jego przeznaczeniem, lecz droga przed nim niełatwa. Oczy, które odprowadzały go ciepłym spojrzeniem, przepełniało dobro i miłość, ale także zatroskanie. Frasunek, z jakim

patrzy się na dziecko wyruszające w długą drogę, mające do wykonania trudne zadanie. Spłynęła z nich łza pożegnania, która go otuliła i miała osłaniać – dać pewną nieświadomość chroniącą go od pełnego pojęcia tego, co go czekało. I rozbłysło światło rozpraszając mgłę, by matka mogła go usłyszeć.

Mijały miesiące, on ją prowadził i nie opuszczał, a ona nie opuściła jego. Ukryła go głęboko w swoim sercu, a tuż pod nim tuliła jego maleńkie ciałko. Tarczą była im miłość, która nie dawała zimnej ciemności prawa wstępu, choć ta czaiła się złowieszczo i podstępnie, próbując ciągle i ciągle na nowo swych sposobów.

Gdy nadszedł czas, poczuł drgnienie, ból, szarpanie, lecz każde uderzenie serca, pod którym był ukryty dawało mu moc i siłę. Biło jak miecz uderzający w tarczę. Kiedy zaś dał się słyszeć pierwszy jego krzyk, z nieba poczęły spadać wielkie krople ciepłego wiosennego deszczu. W każdej z nich odbijała się tęcza, całym swym blaskiem i wszystkimi kolorami. Rodził się otulony łzami nieba, a wraz z nimi barwny łuk światła schodził na ziemię, rozpędzając ciemną i gęstą mgłę. Padał blaskiem swych jasnych kolorów na twarze ludzi, rozpraszając szarość, która chciała zawładnąć ich spojrzeniem. Następnie zaś wsiąkał wraz z deszczem, a tam gdzie spadła kropla, wyrastał kwiat.

Usłyszawszy jego krzyk, lekarz powiedział:

– Już dobrze. Jesteśmy przy tobie.

Nie zanieśli jednak tej maleńkiej kruszynki w objęcia matki, w to jedyne miejsce na tym świecie, gdzie niebo łączyło się z ziemią, by mógł znaleźć ukojenie. Został zabrany do jakiejś innej sali, wielkiej i chłodnej, a strach i ból zdawały się wtedy jeszcze większe.

Napiął się więc ze wszystkich sił całą swą miłością, z nadzieją i wiarą, że uda mu się na chwilę zatrzymać ten świat, by go wysłuchał i wołał, otwierając usta tak szeroko, jak tylko potrafił, aż jego maleńkie ciałko stało się zupełnie purpurowe z tego wysiłku. Krzyczał całą swą mocą, tak jak tylko pozwalały mu na to możliwości jego ciała, lecz miał wrażenie, że to za mało. Chciał zawołać jeszcze głośniej, by każdy mógł go usłyszeć, jeszcze donioślej i mocniej, coraz szerzej otwierając usteczka – lecz czy to wystarczy? Mgła, która była już tak szara i gęsta, szczypała go w oczy jak kwas, próbując wypalić prawdziwe spojrzenie. Nie, nie mógł na to pozwolić. Zamknął je więc, by go nie zaślepiła. Była nieustępliwa. Nie poddawał się jednak, zaciskał powieki całą swą mocą. Kiedy już był tak wyczerpany, że opadał z sił, przez okno wpadły barwne krople światła i deszczu, rozpraszając mgłę, a tęcza go otuliła. To przyniosło ulgę i chwilę wytchnienia. Przestał krzyczeć. Chciał otworzyć oczy, aby zobaczyć światło i zrobić wdech, by poczuć zapach ziemi. Nie mógł jednak zaczerpnąć powietrza noskiem, gdyż wpadało ono przez buzię. Jego usta jakby zastygły w tym krzyku i nie potrafił ich domknąć. Kiedy natomiast otworzył oczka okazało się, że są skośne. Skrzywione jednak tak, by ciemność, która

chciała zaćmić ich prawdziwe spojrzenie nie miała prawa wstępu. Na karku jego widniał zaś gruby fałd, jakby miał na nim coś dźwigać. Nie wiedział, co się dzieje. Poczuł się zagubiony. Potrzebował bezpiecznego schronienia. Pragnął skryć się na chwilę w objęciach mamy.

„Mamo, gdzie jesteś?" – zawołało jego serce, szukając ukojenia, lecz kiedy próbował wyciągnąć dłoń w jej poszukiwaniu, maleńka, purpurowa z wysiłku rączka opadła bezwiednie, zbyt wycieńczona.

Niósł najczystszą miłość temu światu, więc zło chciało go powstrzymać. Z oddali dobiegał ciągle zimny chichot mroku, który nigdy nie daje za wygraną, kłamiąc i zwodząc nieustannie: „Jesteś zbyt brzydki, by zobaczyli w tobie piękno! Oni nie potrafią już patrzeć we właściwym kierunku i z prawdziwą głębią. Nie wiedzą, co to miłość i dusza. Będziesz tylko niepełnosprawnym! Nikt cię szczerze nie pokocha! Pogarda i litość to wszystko, na co możesz liczyć!"

On jednak pozostał głuchy na te złowieszcze podszepty, gdyż „dobrze słyszy się tylko sercem", a przecież słyszał bicie drugiego serca – serca matki.

Tak w ciszy rozbrzmiewał duet stukotu dwóch serc wybijających tę samą melodię:

pieśń miłości ponad ludzkie poznanie.

Ciemność zaś nie miała mocy jej zagłuszyć.



Powitanie

Tak długo na ciebie czekałam…

Ona zaś czekała na niego z zapartym z trwogi tchem. Za oknem padał pierwszy ciepły, wiosenny deszcz, obmywając ten świat z zimowego marazmu i uśpienia. Nastawał ranek, a z nim marzenie słońca, wiosny i nowego początku. Patrząc w okno, przez chwilę miała wrażenie, że w szybie, w tęczowym blasku deszczu i promieni słonecznych odbijają się skrzydła… anioła?

Wtedy przynieśli go w jej objęcia, by mógł znaleźć ukojenie. Lekarze milczeli. Nie mogła rozumieć dlaczego? Kiedy ona nie mogła być przy nim, gdy zabierano go do drugiej sali na badania, ojciec nie opuszczał syna na krok. Teraz podszedł do niej, spojrzał zaszklonymi oczami i skinął porozumiewawczo głową.

„Nasz synek ma zespół Downa" – rozbrzmiały słowa wypowiedziane milczeniem.

Zrozumiała. To jednak niczego nie zmieniło. W jej oczach zabłysły łzy wzruszenia i zatroskania, łącząc małżonków jeszcze mocniej tym samym spojrzeniem – trwania razem, pomimo i na przekór temu, co chciało ich złamać.

„Więc jednak takie jest nasze przeznaczenie" – pomyślała w spokoju, jakim teraz zaprocentowały te miesiące trwogi i oczekiwania. Spokoju, który dawały jej oczy synka patrzące na nią, i ciepło jego ciałka w jej ramionach.

Wtedy poczuła całą sobą, czym jest miłość między matką a dzieckiem. Było to coś ponad wszystko inne i nic nie było już takie samo. Znikały lęki i trwogi. Przychodziła odwaga i siła. Taka była potęga miłości. Klarownie jak nigdy dotąd pojęła również, czym jest przeznaczenie. Może po raz pierwszy w życiu naprawdę to zrozumiała.

„To nie pęta losu, które nas krępują, lecz przeznaczone nam zadanie – szepnęła w duszy. – Powierzone właśnie nam, z uznaniem nas za godnych jego wypełnienia".

I pojęła, jak wielkim została obdarzona zaufaniem. Poczuła się wyjątkowo, poczuła się… wybrana.

Utonęli w swych ramionach. Tak długo na to czekali. Tulili się do siebie ciałem, duszą i całym swym wyczerpaniem.

„Witaj synku – powiedziało jej serce. – Tak długo na ciebie czekałam. Jesteśmy razem.

Zobacz, udało się. Dotarliśmy aż tutaj. Daliśmy radę".

Jego serduszko uśmiechnęło się w odpowiedzi: „Mamo, jak dobrze być z tobą!". Był wycieńczony. „Jestem taki słaby…" – dodał.

Spojrzała na niego z całą matczyną troską i miłością, po czym przytuliła do swego serca i pocieszała, dodając mu otuchy: „Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. To była ciężka noc, lecz spójrz, właśnie wschodzi słońce".

Uśmiechnął się pełen nadziei.

Leżeli razem wyczerpani do granic ludzkich możliwości, tuląc się do siebie i patrząc sobie w oczy, otoczeni ciszą. Był taki maleńki, jego ciałko tak delikatne, a teraz czerwone i podrapane, jakby zanim tu dotarł, stoczył wielką bitwę. Zupełnie jak gdyby coś chciało mu w tym przeszkodzić, usiłowało zatrzymać, a on, wyrywając się, narażał się na rany i podrapania, walczył całym sobą. Boleść ścisnęła jej serce.

„Jest taki drobny i kruchy, a taki dzielny – pomyślała. – Mój Mały Wielki Rycerz" – szepnęło jej serce ze wzruszeniem.

Lekarz, zwolniwszy na chwilę tempa, patrząc na nich, rzekł po chwili:

– Na razie nie stwierdzamy wad dodatkowych. Oczywiście będziemy musieli wykonać wiele kolejnych badań, by określić stan poszczególnych narządów dziecka, lecz na chwilę obecną nie uwidoczniły się żadne wady i nieprawidłowości. Chłopiec otrzymał w pierwszym badaniu dziewięć punktów w skali Apgar ze względu na kolor skóry, w drugim natomiast już dziesięć.

Wtedy czas się zatrzymał, coś drgnęło i pękło. Nie musiała już dłużej się trwożyć i obawiać co teraz będzie. Czy zaraz go zabiorą i zaniosą na stół operacyjny lub wydarzy się coś… Nie. Ich synek był zdrowy.

W tym momencie, w chwili tak wspaniałych wiadomości z jej oczu spłynęły łzy wdzięczności i radości, że jej, ich modlitwy zostały wysłuchane. Wytrysnęły jak wartki strumień i popłynęły jak rwąca rzeka. Serce łkało z radości. Ich synek był zdrowy! Dźwigał wprawdzie brzemię wady genetycznej, lecz był zdrowy. Nie stwierdzono żadnych wad dodatkowych.

„Będzie mógł chodzić, a może nawet biegać, skakać i śmiać się!" – krzyczała z radości jej dusza. Krople zaś, które płynęły po jej policzkach, były wielkie i czyste.

Nagle poczuła, że cisza, która ich otaczała, została zmącona. Boża iskierka rozbłysła pełnią miłości tak mocno, że ta rwąca rzeka łez wystąpiła z brzegów i podążała dalej za tym światłem. Usłyszała szmer, a podnosząc głowę, ujrzała, jak niektórzy z otaczających ich lekarzy oraz innych obecnych na sali osób płakali ze wzruszenia razem z nią…

Tak powitała go miłość, a łzy radości i wzruszenia otuliły.



Dzień Świętości Życia

Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię,
nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię.

(Jr 1,5)

Genealogia osoby jest naprzód związana z wiecznością Boga,
a potem dopiero z momentem ludzkiego rodzicielstwa.

(Ks. Piotr Mazurkiewicz, *W krainie bezżennosci - Genealogia osoby*)

Po chwili zabrano go z jej objęć, mówiąc, że jest zbyt wiotki i nie ma odruchu ssania. Więcej nie dosłyszała. Czy dlatego, że mówili zbyt szybko, a może po prostu w tej chwili nie byłaby w stanie nic więcej przyjąć na swe barki?

Mijało czterdzieści osiem bezsennych godzin, w tym dwanaście ogromnego wysiłku i bólu. Kazali jej zasnąć. Musiała odpocząć i nabrać sił.

Wtedy zadzwonił telefon. To jej mama. Nie pamięta nic, co powiedziała. Nic, prócz jednego. Tego, co zapisało się w jej sercu i duszy na zawsze:

– Córko, twój syn urodził się w Dzień Świętości Życia*. Dziś jest ten dzień właśnie.

Poczuła jakieś wyjątkowe ciepło. Jej serce drgnęło, a w oczach znów zabłysły łzy wzruszenia.

„To nie może być przypadek…" – pomyślała.

Słowa, które przekazała jej mama, otuliły ją, zamykając powieki w błogim śnie, że wszystko będzie dobrze.

* Dzień Świętości Życia - święto obchodzone 25 marca przez Kościół katolicki w Polsce (również przez niektóre Kościoły lokalne oraz niektóre kraje świata), w celu przypomnienia o nadrzędnej wartości życia ludzkiego. Przypada w uroczystość Zwiastowania Pańskiego, czyli 25 marca, dziewięć miesięcy przed Bożym Narodzeniem. Dzień Świętości Życia został ustanowiony przez Konferencję Episkopatu Polski w 1998 r. jako odpowiedź na apel Jana Pawła II zawarty w encyklice *Evangelium Vitae* z 1995 r. Papież Polak pisał: „Życie ludzkie jest święte i nienaruszalne w każdej chwili swego istnienia, także w fazie początkowej, która poprzedza narodziny. Człowiek już w łonie matki należy do Boga, bo Ten, który wszystko przenika i zna, tworzy go i kształtuje swoimi rękoma, widzi go, gdy jest jeszcze małym, bezkształtnym embrionem i potrafi w nim dostrzec dorosłego człowieka, którym stanie się on w przyszłości i którego dni są już policzone, a powołanie już zapisane w księdze żywota" (EV 61).

Wróble zaś ćwierkały za oknem, jakby chcąc utulić ją ich pieśnią do snu:

Nie jest ślepy ten, kto nie potrafi widzieć,
lecz ten, kto nikomu nie ufa.
Nie jest kalekim ten, komu brakuje ręki,
lecz ten, kto nigdy nie obejmuje.

Kto zanurza się w Twoich oczach
i pije ze studni Twojej nadziei,
może zrozumieć Twoje marzenie
i uczynić świat odrobinę lepszym –
tylko dla miłości.

Nie jest chorym ten, kto powłóczy nogą,
ale ten, kto innych depcze.
Nie jest niemową ten, kto nie może powiedzieć „kocham cię”,
lecz ten, kto nie potrafi kochać.

Nie jest głuchym ten, kto nie może słyszeć,
a jednak niesie swój krzyż z godnością,
lecz ten, kto świadomie zawsze szuka ucieczki.

Człowiek, niezależnie od tego jak upośledzony,
wstaje i pokazuje Ci swoją drogę,
która jest także drogą Twoją i moją.
(Cirillo Adriazola, *Tylko dla miłości*)



Tafla światła

…a otchłań ciemności.

Przepaści mroku znajdują się tuż u naszych stóp,
udając mosty.

Na chwilę udało się jej zdrzemnąć, lecz zaraz się obudziła.

– Hej, wróbelki – zażartowała. – Znowu mnie budzicie.

Nie mogła spać. Chciała być przy nim. Tak długo przecież na niego czekała. Dlaczego teraz nie mogli być razem? Pragnęła tulić go w swoich ramionach. Założyła więc szlafrok i wyszła. Każdy krok sprawiał jej ból, a ciało krwawiło, lecz posuwała się powoli do przodu. Przeszła długi korytarz i odnalazła swe dziecię. Leżało wśród innych maleństw. Miało mnóstwo wkłuć na rączkach i nóżkach, a w główce wenflon. W nosku jakieś rurki. Widok ten ścisnął jej serce.

– Jaka to maleńka kruszynka – szepnęła, patrząc na niego.

Wydawał się niepodobny do niej ani do męża, w zasadzie do nikogo z rodziny. Miał takie subtelne i zdawało jej się, iż wręcz doskonałe rysy.

„Jest podobny jakby do… anioła? – przemknęło jej przez myśl. – Jakiż on piękny!"

Nie mogła go przytulić, ani wziąć na ręce. Wolno jej było jedynie stać i patrzeć. Spał błogo i to dodawało jej otuchy, że nie jest świadom tego wszystkiego. Miała nadzieję, że prześpi ból, jaki się z tym łączył.

Przychodziła tak każdego dnia i nocy, i po prostu patrzyła na niego. Nie pozwalano jej na nic więcej. Była wyczerpana, lecz nie mogła spać spokojnie, będąc z dala od swego dziecka. Stała więc lub siedziała na twardym drewnianym stołeczku, choć wtedy krwawienie i ból ciała stawały się jeszcze większe. Stać jednak nie miała już siły. A tak bardzo pragnęła być przy nim, by ich serca mogły słyszeć swe bicie, aby się nie lękał.

Pewnego dnia, gdy do niego przyszła, miał wreszcie otwarte oczka. To prawda, że były skośne, lecz gdyby jej o tym nie powiedziano, nie zauważyłaby wcale. Nie dlatego, że nie rzucało się to w oczy, wręcz przeciwnie, wyraźnie się odznaczało. Ona jednak zupełnie tego nie dostrzegała. Widziała po prostu ich piękno, głębię i nic więcej.

– Cześć syneczku. Jak się czujesz? Czy wszystko u ciebie dobrze? – spytała, patrząc na niego z zatroskaniem.

Uśmiechnął się do niej w swym sercu, lecz był zbyt słaby, by mógł odpowiedzieć. Pielęgniarki pozwoliły jej go przewinąć. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła całe jego maleńkie ciałko. Był taki drobniutki, cały purpurowy i tak bardzo… wiotki. Nóżki, uniesione nieco do zmiany pieluszki, opadały bezwiednie, jakby nie było w nich żadnych mięśni i takie też sprawiało wrażenie całe jego ciałko – zupełnie bezwładne. Zaniemówiła.

Kiedy wróciła do swej sali, usiadła na łóżku. Miękki materac przyniósł ulgę w bólu ciała, ale nawet tego nie zauważyła. Siedziała zakłopotana, podpierając się rękami i machając zwieszonymi nogami do przodu i do tyłu, w rytm przeplatających się bezradności i zagubienia, wpatrzona gdzieś bardzo daleko.

„A więc to właśnie jest to, co określa się jako «osłabione napięcie mięśniowe»*?" – pomyślała, pytając sama siebie i szukając odpowiedzi.

Była przerażona. Nie miała pojęcia, że może to oznaczać aż taką bezwładność ciała. Oczy jej szkliły się od łez.

„Jak ja sobie z tym poradzę? – w jej głowie zaczęły znów wirować setki pytań. – Jak poradzimy sobie z tym wszystkim, o czym jeszcze nie wiemy i czego nie znamy?"

Teraz wszelkie lęki i obawy wracały, łącząc się z nowymi, które właśnie zaistniały i krążyły razem jak wielki znak zapytania. A odpowiedzi nie było.

Utknęła na łóżku szpitalnym wpatrzona w dal, machając nogami, bezwiednie i nieustannie, jak gdyby był to bieg zagubienia w nieskończoność. W tej właśnie chwili miała wrażenie, że po raz kolejny nic już nie wie i znów zwątpiła w siebie.

„Nie poradzę sobie… – szlochała jej dusza. – Nie dam rady".

Wszystko dookoła wydawało się wirować. Miała wrażenie, że nawet to łóżko, na którym siedziała, oderwało się od podłogi i dryfowało w powietrzu. Czuła się zawieszona w jakiejś nieznanej przestrzeni i unosiła się tam tak długo, jak długo nie mogła zebrać w sobie siły, by powrócić i stanąć na nogi. Kołysała się, a jej stopy machały nerwowo.

„Gdzie ja znów jestem?" – pytała, a jej dusza ciągle szlochała w swym zagubieniu.

Tym razem była tak przerażona własnymi obawami, że poczuła się zagubiona w dosłownym tego słowa znaczeniu. Zaczęła się więc rozglądać. Siedziała na łóżku, ale nie czuła

* Obniżone napięcie mięśniowe (hipotonia mięśniowa) – najczęściej rozpoznaje się u niemowląt i dzieci. Charakterystycznym objawem jest wiotkość mięśni dziecka, które jest bezwładne, „przelewa się przez ręce". To schorzenie, w przebiegu którego układ nerwowy nie współpracuje prawidłowo z układem mięśniowym. Droga impulsu nerwowego, która biegnie z mózgu do mięśni, jest uszkodzona. Skutkiem jest niedostateczna odpowiedź na ten impuls, co przejawia się zbyt „luźnymi", wiotkimi mięśniami.

pod nim stabilnego podłoża. Spojrzała w górę i dojrzała chmury zaglądające przez okno. Zerknęła w dół i zobaczyła… podłogę.

„Jakie to szczęście" – pomyślała z ulgą.

Choć miała wrażenie, że wszystko się chwieje i zaraz runie w jakąś przepaść, nie ujrzała pod łóżkiem żadnej dziury, żadnej czarnej czeluści. Więc jednak wszystko było na swoim miejscu. I ona też? Gdzie? Nie potrafiła chwilowo tego pojąć. Wiedziała jednak, że gdy znów zejdzie z łóżka, jej stopy nie wpadną w przepaść, lecz staną po prostu na podłodze. Znajdowała się zatem w dobrym miejscu i temu musiała zaufać, choć wydawało się to teraz tak bardzo trudne.

Nie wiedziała, co ich czeka. Co jeszcze odkryją, poznają, czego doświadczą, czemu przyjdzie im stawić czoła. Teraz jednak zrozumiała, że będzie to trudne, może nawet bardzo trudne. Myślała, że te dziewięć miesięcy były już ciężkie, teraz jednak miała wrażenie, że stanowiły jedynie wstęp do tego, co właśnie się rozpoczynało.

Tkwiła tak, próbując znaleźć i pozbierać rozproszone strachem myśli i siły, by móc powstać. Nie potrafiła się odnaleźć w tym wszystkim. Znów jej się wydawało, że to ją przerasta. Tam jednak, za tym długim korytarzem szpitalnym leżała zupełnie bezbronna i bezradna maleńka istota ludzka, która potrzebowała pomocy i miłości – ich dziecko.

„To nasz synek, on mnie potrzebuje"– usłyszała w sercu.

Wzięła głęboki wdech.

„Dam radę, muszę dać radę" – powtarzała w myślach, dodając sobie odwagi i zbierając siły.

Postawiła nieśmiało stopy na podłodze, szukając potwierdzenia, że staną na stabilnym podłożu, nie zachwieją się i nie upadnie. Drżały. Całe jej ciało drżało. Udało się jednak. Stanęła, przytrzymując się brzegu łóżka. Stała. Zaczynała nad sobą panować, choć strach plądrował jej duszę, a ból serce.

Szła wolno długim szpitalnym korytarzem, rozmyślając o tym wszystkim. Czuła się taka słaba i bezradna w obliczu tego, co zobaczyła i poczuła. W głowie stukotały powracające pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi: Dlaczego ludzie muszą cierpieć? Dlaczego maleńkie dziecko ma dźwigać brzemię cierpienia? Znów wydało się jej, że sobie z tym wszystkim nie poradzi. Dlaczego więc ona? Dlaczego ich synek? Stąpała powoli, wiedząc, że teraz nie może się zatrzymać. Musi zebrać wszystkie siły i iść naprzód, mimo iż miała wrażenie, że te się zupełnie już wyczerpały.

Wtedy przypomniało jej się, jak mama opowiadała, iż będąc z nią w ciąży spadła ze

stołka. Kiedy się urodziła była cała w sinych plamach, dźwigając na swoim ciele znaki tego upadku. Babcia mówiła, żeby zakrywać jej ciałko i nikomu tych plam nie pokazywać, aż znikną, gdyż wyglądały przerażająco.

„Może nasz synek urodził się taki dlatego, że cały świat upada?"– przemknęło jej przez myśl.

Nie mogła go tak zostawić. Musiała mu pomóc.

„Bóg doświadcza, ale nie opuszcza – przypomniały się jej słowa matki chrzestnej. – Doświadcza, ale nie opuszcza – powtórzyła w myślach. – Nie opuszcza".

Sunąc tak tym długim, miała wrażenie, że niekończącym się, korytarzem z głową pełną przeróżnych myśli oraz nadzieją, że nie zostanie opuszczona w tym trudzie, niespodziewanie ujrzała jakiś blask. Odwróciła głowę. Dostrzegła wiszące na ścianie lustro. To światło odbitych promieni słonecznych tak zalśniło. Podeszła nieśmiało z obawą, kogo w nim zobaczy. Kim ona właściwie teraz jest? Stanęła przed szklaną taflą, uniosła niepewnie głowę i spojrzała na odbicie w lustrze. Ujrzała wyczerpaną i wątłą twarz, na której rysowały się ból, troska, umęczenie i niewyspanie, a nade wszystko niepewność jutra otoczona strachem, zagubieniem i uczuciem bezradności. Z oczu jednak ciągle bił jakiś blask – światło prawdy i nadziei, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli sama nie potrafiła teraz odszukać go w sobie. To nadawało tej twarzy wyraz szczególnego, głębokiego piękna bijącego od środka. Dostrzegłszy to, zatrzymała się cała – ciałem, duszą i sercem, patrząc na to odbicie tak długo, aż zobaczyła, przez jakąś dziwną mgłę, dziewczynę, którą niegdyś była. To przepełniło ją taką upartością szukania, która nie pozwalała jej ruszyć się z miejsca. Stała więc tak i stała, wpatrywała się i wpatrywała. A patrzyła tak wnikliwie i głęboko, że w końcu dojrzała rozbłyskujące, gdzieś tam głęboko, iskierki prostolinijności małej, wspinającej się na drzewa dziewuszki.

„Zatem ciągle, gdzieś tam, po drugiej stronie lustra istnieje dziewczyna, jaką kiedyś byłam…" – pomyślała, a wzruszenie odnalezienia dawnej siebie i tęsknota za tamtą sobą przesłoniły jej oczy łzami.

Czy zdoła tę dawną siebie odszukać i tutaj, po tej stronie lustra? Czy nie straciła jej w tej przygniatającej rzeczywistości? Nie zgubiła w tym ogromie lęków, bólu i niewiadomych? A może pozostały po niej już tylko te nikłe iskierki, odbijające się w tym spojrzeniu z głębi? Jedynie jako wspomnienie.

Westchnęła głęboko, błądząc gdzieś myślami. Miała wrażenie, jakby wszystko traciła. To, do czego dążyła, na co ciężko pracowała: wykształcenie, praca, propozycja awansu.

Wszystko to blakło, odchodziło i znikało. Jej, ich plany i marzenia ulatywały i ginęły w nieznanej przestrzeni. Jednak, mimo że to wszystko niknęło, tamta dziewczyna ciągle tam była. Stała odważnie z podniesioną głową i patrzyła prosto przed siebie.

„Nie wygląda na kogoś, kto miałby sobie nie poradzić – stwierdziła w duchu. – Nie tak jak ja teraz" – posmutniała i zatęskniła za dawną sobą jeszcze bardziej.

Wraz jednak z odchodzącymi w dal perspektywami kariery i wygodnego życia zaczęła powoli zanikać ta dziwna, przesłaniająca i dzieląca je mgła. Obraz w lustrze klarował się, a postacie z obu jego stron poczęły się powoli ku sobie zbliżać, aż w końcu stanęły naprzeciw siebie bez żadnych barier, ograniczeń i zasłon, patrząc sobie prosto w oczy. Ona i dziewczyna w lustrze, w której oczach odbijał się jej własny blask z czasów, kiedy wiedziała, kim jest i dokąd zmierza.

„To ja i moje dawne «ja» – pomyślała. – Dawne…" – powtórzyła zasmucona.

Patrzyły tak na siebie dłuższą chwilę, wglądając głęboko w swą duszę, aż nagle, jak tylko dotarły do sedna i istoty siebie, swych najszczerszych pragnień, spotkały się w spojrzeniu, które okazało się być jednym i tym samym. I wtedy pojęła, że jej najgłębsze marzenia wcale się nie zmieniły. Pozostały takie jak były, a potwierdzało to ich wspólne, jedno i to samo spojrzenie. Tak. Bez żadnych wątpliwości dziewczyny stojące po dwóch stronach lustra potwierdziły blaskiem odbijającym się w ich oczach, że są jedną i tą samą osobą.

„To prawdziwa «ja»! Jestem więc sobą!" – krzyknęła w duszy ze wzruszenia i radości.

„Ocalałam! To ja i moje «ja» – powtarzała, nie mogąc się nacieszyć tym odkryciem. – Moje «ja»! Nie to dawne, lecz zawsze, ciągle takie samo! To najprawdziwsze!"

Jej głowa zdawała się teraz wyciszać od wszelkich, tak bardzo dręczących ją jeszcze przed chwilą myśli, ciesząc się po prostu tym spojrzeniem i prawdą, jaką ono z sobą niosło.

„Czy więc nic się nie zmieniło?" – zastanowiła się.

Zamyśliła się, szukając na to odpowiedzi, zatapiając w ciszy tak głębokiej, że słyszała jedynie bicie swego serca. W jej głowie przesuwały się powoli obrazy ostatnich doświadczeń: słabych mięśni, otwartej buzi, skośnych oczu, a wszystko to w oprawie purpurowego, wiotkiego ciałka. Westchnęła ciężko. Nie był jak inne dzieci, ale to ich synek, którego kochają. Zapewne więc był – jest powód, dla którego nie miało stać się inaczej. Czy zatem na pewno stracili swe marzenia? Czy jedynie droga, która do nich wiodła, okazała się inna, niż sobie to wcześniej wyobrażali? Przecież pragnęli być razem, mieć dzieci i nic z tego się nie zmieniło, choć różniło się od obrazów, jakie do tej pory szkicowali w planach swej przyszłości. To jednak, co było jej głębokim pragnieniem, trwało niezmienne, a tylko ta szara mgła dzieli-

ła i odsuwała ją od siebie samej, od tej dziewczyny, którą odnalazła w lustrze i jaką w istocie zawsze była i być pragnęła.

„To ta szarość zabierała mi mnie samą – westchnęła w duszy ze smutkiem. – Okłamywała i odpychała, chcąc odsunąć od mego prawdziwego «ja» coraz dalej i dalej. Rozłączyć i uprowadzić, bym straciła najistotniejszą część siebie i popadła w zagubienie. – Zasmuciła się. – A co stałoby się wtedy?"

Zerknęła ponownie w lustro na swoją zmęczoną twarz. Spojrzawszy natomiast jeszcze raz w swe oczy, uświadomiła sobie, że może tak po prostu bez strachu w nie patrzeć, nie obawiając się, że zobaczy w nich kogoś innego lub cień zamiast ich blasku. Była wprawdzie przestraszona i umęczona, lecz miała odwagę spojrzeć sobie w oczy, gdyż pozostała sobą. Nie musiała się obawiać obcego spojrzenia w lustrze. To było najistotniejsze, bo choć stanowiło coś prostego i naturalnego, wydawało się tak niezbędne do normalności i szczęścia, że aż niesamowite i drogocenne jak najcenniejszy klejnot. I pojęła, jakie to szczęście pozostać sobą, jak wielki to skarb.

„Nasz skarb. Dany nam w naszej wolności… – Zamyśliła się. – …lecz i utracić go możemy…" – dodała urywając, by wycofać się z tego toku myśli, gdyż perspektywa zatracenia samej siebie godziła ciosem popychającym w pustkę i nicość.

„Stanąć przed lustrem i bez cienia strachu i niepewności spojrzeć sobie w oczy" – powróciła do swych rozważań, doceniając w pełni, jak wspaniale jest móc tak uczynić. „To już na pewno znaczy, że się nie zgubiłam – pomyślała – i wszystko jakoś się ułoży". Znów wracały jej radość i nadzieja.

Spojrzała ponownie w lustro i szczerze uśmiechnęła się do dziewczyny po jego drugiej stronie. Ta zaś natychmiast ten gest odwzajemniła. I tego właśnie teraz tak bardzo potrzebowała – uśmiechu do siebie samej. Poczuła radość i jakąś naturalną, wewnętrzną jedność, a w głębi duszy usłyszała rozbrzmiewający, ten tak szczery i wesoły śmiech dziewczynki z gałęzi drzew.

„Więc i ty mnie nie opuściłaś. Ciągle tam jesteś" – dodała z uczuciem ulgi i wzruszenia. Bowiem w tej właśnie chwili, gdy przestała tęsknić za błyskiem i wygodami tego świata, poczuła się znów jak tamta mała dziewczynka, która potrafiła się śmiać szczerze i radośnie, i tak też leciutko się uśmiechnęła.

„Mieć odwagę spojrzeć sobie w oczy każdego poranka – powtórzyła to raz jeszcze. – To oznacza, że nie straciłam siebie" – zakończyła i odczuła prawdziwie głęboką ulgę.

Ciągle więc była tą samą dziewczyną. Nie odepchnęła jej, nie zgubiła i nie pozwoliła

sobie odebrać. Czuła, że gdyby postąpiła inaczej: wedle mody, współczesnych norm, wygody czy innych podszeptów doczesności, teraz mogłaby zobaczyć ciemność i obce spojrzenie w lustrze. Co byłoby wtedy? Czy zdołałaby się odnaleźć? Czy potrafiłaby sobie wybaczyć? A może obolała i zrozpaczona błąkałaby się, szukając tego co straciła? Jej serce zaś wypełniłaby gorycz i żal do siebie i innych: męża, rodziny, bliskich, a w zasadzie wszystkich, którzy mogli, a nie podaliby jej ręki, gdy była w potrzebie, aby się nie zgubiła, nie zatraciła. Może przepełniłby ją krzyk rozpaczy do całego tego świata, który ją okłamywał, zwodząc modą i słowami na czasie? Nade wszystko jednak boleść ta ścisnęłaby ją samą. Winiłaby przede wszystkim siebie.

„Czy potrafiłabym sobie przebaczyć? – powróciło pytanie. – Dłużej tak żyć? Każdy dzień mógłby okazać się bólem, cierpieniem i rozpaczą tak wielką… Mogłam stracić dziecko. Odepchnąć siebie i utracić wszystko to, co kocham i kim jestem".

To było prawdziwie przerażające. Tak, jak nic do tej pory. Obawy, które podcięły jej nogi: osłabione napięcie mięśniowe jej synka i lęk, jak poradzi sobie z tą nową, nieznaną jej rzeczywistością, wydały jej się niczym w obliczu tego, co właśnie pojęła.

„Aborcja" – rozbrzmiało w jej myślach ponownie. Teraz pojmowała jeszcze pełniej, czym jest ona w istocie. „To ostrze, które, raniąc ciało matki i niszcząc ciałko dziecka, sięga znacznie głębiej. Przebija serce i duszę" – powróciła do swych wcześniejszych rozważań, nie ustając w odkrywaniu ich głębi. „Rani, niszczy, zabija". Łzy boleści zabłysły w jej oczach. „Sięga w stronę życia. Zarówno cudu dawania życia, życia dziecka, jak też życia matki, rodziców, całych rodzin. Godzi jak miecz obosieczny i żadna zasłona tego nie przysłoni. Każda prędzej czy później opadnie czy też zostanie zerwana. Żadna ciemność nie jest bowiem w stanie przesłonić czy pochłonąć prawdziwego światła. Tak też w pewnym momencie i błysk pozorów obnaży swe prawdziwe oblicze. Natomiast cierpienie zranionego serca i boleść przeszytej ostrzem kłamstwa duszy może objawić się jako ciemna dolina. Czym bowiem stanie się życie bez spokoju ducha?"

Zatrzymała się na chwilę, przytłoczona ciężarem własnych przemyśleń.

„Nim jednak zgasną błyski i kłamstwa, zwodzić nas będą do końca – kontynuowała po chwili. – Na dwojaki sposób: przekonując, że krzyż jest nie na czasie i jedynie poniża człowieka, potęgując tym samym naszą pychę lub też próbując miażdżyć pokorę, wskazując, że ta czyni nas nikim. Czyż krzyż jednak nie stał się wrotami życia, pycha – upadkiem najwspanialszego z aniołów, a pokora – drogą do wielkości?"

„To ciemność – szepnęła w duszy. – Ta jest prawdziwym ciężarem i nieszczęściem ludzi,

zniewalając i niszcząc osobę w człowieku, atakując od samego początku, już u źródła życia".

Spojrzała jeszcze raz w szklaną taflę, w której teraz ujrzała odbijającą się w niej drwinę ciemności, igrającą człowiekiem w swych szponach…

Zaszumiało i zakręciło się jej w głowie od tych myśli. Dopiero teraz w całej swej prawdzie i dobitności dotarło do niej, że była uratowana. Ocalała, lecz jeszcze tak niedawno stała nad ciemną przepaścią. Nietrudno było w nią wpaść, a nawet jakże łatwo, będąc otoczoną zwodniczymi podszeptami doczesności. Stała tuż przed nią, lecz jej nie dostrzegała, gdyż dziś tak wiele przesłania nam oczy. To zatrwożyło ją znów tak bardzo jak nic innego przez te ostatnie miesiące obaw i lęków. Mogła zniszczyć wszystko, mając złudną nadzieję na coś „lepszego"? Odwrócić się od tego, co szczerze kochała, czym prawdziwie jest, od samej siebie. Uczucie to i przerażenie, o co się otarła, było tak mocne i mrożące swą grozą, że załkała w duszy.

„Przepaści mroku znajdują się tuż u naszych stóp, udając mosty. Jak je zobaczyć? Jak rozpoznać?" Zafrasowała się głęboko, mając świadomość, jak niebanalne to wyzwania w dzisiejszych czasach. „Może tylko po tym – nasunęło się jej – że nie wiadomo, dokąd tak naprawdę nas wiodą".

Stała tak jeszcze przez chwilę, a jej dusza szlochała. Łkała nad sobą, nad chwilami swej słabości, wahania i rozmytego spojrzenia. Potem zaś rozmyślała o wszystkich kobietach, którym przyszło stąpać obok podobnych przepaści, małżonkach, rodzinach, a w końcu i o wszystkich ludziach, każdy bowiem staje w obliczu niełatwych wyborów.

I tak zatrzymła się, wpatrzona w lustro, widząc w nim raz taflę światła, a za chwilę otchłań ciemności, w tym wszystkim zaś kroczącego pośrodku człowieka…



Pozostać sobą

…wolnym.

Być sobą to przekraczać siebie.

(Tadeusz Styczeń SDS)

Jeśli jednak prawda jest we mnie, musi wybuchnąć.
Nie mogę jej odepchnąć, bo bym odepchnął sam siebie.

(K.Wojtyła, *Narodziny wyznawców)*

„Światło i mrok. Blask prawdy – wiecznej i niezmiennej, *versus* ciemność – szalejąca i miotająca się wszelkimi sposobami i siłami, by zwieść nas błyskiem pozorów, omamić, wyrwać, zniewolić i pchnąć w przepaść mroku. Ciągle toczy się nieustanna walka o człowieka między dobrem a złem – pomyślała i zafrasowała się. – Blaskiem prawdy a maskującym ciemność błyskiem pozorów. Jak się w tym odnaleźć? Wybrać właściwą drogę i wytrwać. Nie zatracić siebie. Nie zbłądzić, krocząc pomiędzy światłem a otchłanią ciemności, lecz pozostać sobą, wolnym" – zastanawiała się.

„Szansa pozostania samym sobą, samoocalenia, co więcej, samowyzwolenia, zostaje (…) związana z aktem samoprzekraczania siebie – aktem wolności – w stronę prawdy. Tak oto doświadczenie stawia nas w obliczu ujawniania się nierozłączalnej więzi pomiędzy respektem dla stwierdzonej przez siebie prawdy a respektem dla samego siebie jako jej świadka; co więcej, respektem dla siebie samego jako stróża własnej tożsamości i swej wolności. Nie przyjąć aktem wolnego wyboru prawdy uznanej już za prawdę własnym aktem poznania znaczy – wbrew wszelkim pozorom – ulec sile obcej zarówno wobec prawdy, jak i wobec samego siebie, ulec przemocy. Znaczy: uzależniać siebie od nie-siebie; niewolić siebie i miotać sobą; „wyobcować" siebie" (K. Wojtyła, *Osoba: podmiot i wspólnota).*

„W następstwie tajemniczego grzechu pierworodnego, popełnionego za podpuszczeniem Szatana, który jest „kłamcą i ojcem kłamstwa" (J 8,44), człowiek ustawicznie doznaje

pokusy, by odwrócić wzrok od Boga żywego i prawdziwego i skierować go ku bożkom (por. 1 Tes 1,9), przemieniając «prawdę Bożą w kłamstwo» (por. Rz 1,25); przytępia to również jego zdolność poznawania prawdy i osłabia wolę poddania się jej. W konsekwencji człowiek, ulegając relatywizmowi i sceptycyzmowi (por. J 18,38), zaczyna szukać złudnej wolności poza samą prawdą" (Jan Paweł II, *Veritat*is *Splendor* (łac. Blask Prawdy)).

„Człowiek władny jest użyć swej wolności przeciw samemu sobie. Czy jednak takie jej użycie zasługuje jeszcze na nazwę aktu wolności? Czy akt wyboru nie jest w tym przypadku aktem dobrowolnego poddania się podmiotu mocom, dla których decyduje się on na sprzeniewierzenie się prawdzie i na idące z tym w parze samozakłamanie, niosące z sobą samobójczy rozłam własnej tożsamości? Czyż takiego użycia swej wolności nie trzeba nazwać raczej aktem samozniewolenia i czy nie należy uznać go za akt dobrowolnej rezygnacji ze swej wolności, czyli za akt «ucieczki od wolności»? Czy ceną takiego wyboru nie jest nieuchronne zanegowanie siebie przez samego siebie?" (T. Styczeń SDS, *Normatywna moc prawdy, czyli być sobą to przekraczać siebie).*

„(…) człowiek powinien dobrowolnie czynić dobro, a unikać zła. Aby to jednak było możliwe, musi umieć odróżniać dobro od zła. Dokonuje tego przede wszystkim dzięki światłu naturalnego rozumu, które jest w człowieku odblaskiem Bożego oblicza" (Por. Katechizm Kościoła Katolickiego, n. 1955, Jan Paweł II, *Veritatis Splendor*).

„(…) prawo naturalne zostało wypisane i wyryte w duszy wszystkich ludzi i każdego człowieka, nie jest to bowiem nic innego, jak sam ludzki rozum, który nakazuje nam czynić dobro i zabrania grzeszyć. (…) ludzki rozum i prawo są w istotny sposób podporządkowane Mądrości Boga i jego Prawu" (Jan Paweł II, *Veritatis Splendor*).

„(…) Wolność człowieka staje się, innymi słowy, autentycznie ludzką wolnością, czyli wolnością, która buduje człowieka jako osobę, wtedy i tylko wtedy, gdy jest wolnością poddającą się stwierdzonej przez siebie prawdzie, dokładniej – wolnością oddającą się w jej służbę. Jedynie taka wolność wyzwala osobę w człowieku. Tylko taka wolność jest wolnością prawdziwą, czyli wolnością służącą jego autentycznemu dobru" (T. Styczeń SDS, *Normatywna moc prawdy czyli być sobą to przekraczać siebie)*.

„Ukształtowana na wzór wolności Bożej, wolność człowieka nie zostaje zniesiona przez jego posłuszeństwo Bożemu prawu. Wprost przeciwnie: jedynie dzięki temu posłuszeństwu trwa w prawdzie i w pełni odpowiada ludzkiej godności: (…) godność człowieka wymaga, aby działał ze świadomego i wolnego wyboru, to znaczy osobowo, od wewnątrz poruszony i naprowadzony, a nie pod wpływem ślepego popędu wewnętrznego lub też zgoła

przymusu zewnętrznego" (Jan Paweł II, *Veritatis splendor*).

„Ponieważ «w członkach moich spostrzegam prawo inne, które toczy walkę z prawem mojego umysłu» (…). Częściowa wolność, częściowa niewola: wolność na razie nie jest całkowita, nie jest czysta, nie jest pełna, bo nie osiągnęliśmy jeszcze wieczności. Po części podlegamy nadal słabości, a po części zyskaliśmy już wolność. Wszystkie nasze grzechy zostały zgładzone przez chrzest, czy jednak wraz ze zniszczeniem niegodziwości zniknęła także słabość? Gdyby ona zniknęła, żylibyśmy na ziemi bez grzechu. (…) Ponieważ więc nadal podlegamy słabości, śmiem twierdzić, że jesteśmy wolni w takiej mierze, w jakiej służymy Bogu, o ile zaś idziemy za prawem grzechu, o tyle jesteśmy niewolnikami" (Jan Paweł II, *Veritatis Splendor*).

„Ten oto akt, akt samopoznania, akt poznania prawdy o sobie, jest wstępem do jej wyboru. Miejscem tego samopoznania jest sumienie – «samo-umienie» – czyli wgląd w siebie samego. (…) Człowiek bowiem dopiero wtedy czyni zadość samemu sobie, gdy aktem swojej wolności przekracza sam siebie w stronę prawdy!" (T. Styczeń SDS, *Człowieka portret własny*).

„Prawdziwa wolność jest zatem podążaniem za własnym «ja». To wielkość i wolność ducha ponad słabość, pokusy i ograniczenia ciała. Decyzja kroczenia drogą swych prawdziwych, głębokich pragnień, sensu i istoty tego, kim jesteśmy, wyrytych w naszej duszy i sercu. Wybór w stronę samego siebie. W ten tylko sposób możemy zaznać szczęścia samospełnienia. W przeciwnym wypadku, ignorując prawdę o sobie samym, zaprzeczamy własnemu «ja», popychając się w niewolę pozorów i ku «samobójczemu rozłamowi własnej tożsamości» – zamyśliła się. – Pojmowanie zatem prawdy serca szeptanej głosem sumienia, odróżnianie dobra od zła «światłem naturalnego rozumu», wytrwanie w tej prawdzie mocą wiary, nadziei i miłości, wzbijając się ponad zło, cierpienie i własne słabości – oto wielkość człowieka! Pozostać sobą! Wolnym!" – dokończyła myśl i zamknęła oczy w głębokiej zadumie, pojmując może po raz pierwszy prawdziwie, czym jest wolność.

– Wolność. „Dana i zadana"* – szepnęła. – „Nie jest ulgą, lecz trudem wielkości"**.

* Jan Paweł II, Jasna Góra, 19 VI 1983 r.
** Tamże.



Na miarę

…wieczności.

Trwała jeszcze przez chwilę w tej zadumie, po czym ruszyła dalej, drogą światła i długiego szpitalnego korytarza. Najwidoczniej jednak ciało nie nadążało za siłą ducha, który upadał miażdżony boleścią i strachem, po czym powstawał nagle jakby cucony cudowną wodą życia. Kiedy bowiem jej dusza odnalazłszy się, przepełniona radością i nowymi siłami wyrywała się do ich synka, w ciele poczuła nagle tak wielką, ściskającą ją, wręcz miażdżącą słabość, że na chwilę musiała przysiąść na krześle stojącym pod ścianą.

Wtedy zobaczyła, jak kilku lekarzy gdzieś biegnie. Po szpitalu natomiast przemknął szmer, tak jak wtedy, kiedy jej synek przychodził na ten świat: „Rodzi się dziecko z zespołem…" – niedosłyszała. Później dowiedziała się, że jego matka mając wybór, zdecydowała się na poród naturalny, choć dziecku, ze względu na wadę, jaką było obarczone, nie dawano szans przeżycia. Lekarze twierdzili, że niedługo po narodzeniu niemowlę umrze i ta dziewczyna wiedziała o tym. Dotrwała jednak silna i odważna do końca. Kiedy zaś ono przychodziło na ten świat, z którego podobno zaraz miało odejść, walczyła całą sobą, może dla zaledwie tych kilku chwil… Jakże dzielna i niezłomna wydała jej się ta kobieta.

Oparła głowę o ścianę. Poczuła się taka mała w obliczu tego, kim była ta, która potrafiła udźwignąć tak wiele. Z jednej strony przepełniała ją ogromna wdzięczność, że ich synek ich nie opuścił i może tulić go w swych ramionach, że los ich mierzony został na miarę ich sił. Z drugiej jednak strony ogarniało ją zawstydzenie, więc chyliła głowę przed wielkością rodziców, którzy kilka sal dalej przyjmowali na ten świat swoje dziecko, niemal równocześnie żegnając się z nim. Wydali jej się nie na miarę ludzkich sił, lecz na miarę… wieczności.

Nie miała siły wstać. Opadła na krzesło, a myśli jej poszybowały wysoko, zanosząc prośby o siłę dla tej matki, tej wspaniałej rodziny, która tam, za drzwiami sali szpitalnej dzielnie i niestrudzenie do końca przyjmowała swoje przeznaczenie.

Za kilka godzin znów przemknął szept po szpitalnych salach i korytarzach: „Zmarło dziecko z zespołem…" – i tym razem nie zdołała usłyszeć ostatniego słowa, stłumionego drżeniem głosu, lecz nie miało to już znaczenia.

Jego matka zaś, te kilka godzin, które były im dane, całą ich wspólną „ziemską wieczność" odliczaną stukotem wybijanym przez nieubłagalnie poruszające się do przodu wskazówki zegara, tuliła je w swych ramionach, patrząc, jak gaśnie. I przytulała je nadal, choć teraz jedynie maleńkie, opuszczone już ciałko trzymała w objęciach…

Nigdy nie odwóciła się od niego, ani na chwilę. Ono natomiast wzrastało, przyszło na ten świat i odchodziło z niego zbyt szybko jak na ludzkie poznanie i odczucia, lecz otulone miłością. Może wydawać się mogło, że było tu za krótko, odeszło tak prędko, lecz doświadczyło tego i poruszyło głęboko to, co najważniejsze i najpiękniejsze – miłość.

Miłość tak wielką, iż wybijającą się ponad ziemskie życie.

Pochyliła głowę, chowając twarz w dłoniach, lecz łez jej zabrakło, gdyż nawet płacz okazał się zbyt nieporadny, nie potrafiąc oddać czy też ulżyć temu, co teraz ścisnęło jej gardłem, duszą i sercem.

„Czy ono odeszło?" – zamyśliła się. „Nie, nie sądzę – szepnęła w duszy. – Tylko tu, na tym świecie zajaśniało na chwilę. Prawdziwa miłość nigdy nie odchodzi, nie ustaje, nie gaśnie i nie opuszcza. A może teraz nuci ptakom za oknem nową melodię, która na zawsze wzbogaci ten świat swymi nutami? Uczy ich pieśni o sile, odwadze i miłości. Miłości ponad cierpienie i doczesność. Miłości bez granic, której nic nie mogło powstrzymać ani jej dorównać".



Prośba

…trudna, może nawet bardzo trudna.

Wreszcie do niego dotarła. Leżał i czekał na nią, gdyż nie było jej tak długo. Znów miał otwarte oczka. Tak się za nim stęskniła. Teraz, kiedy byli tak blisko, gdy na niego patrzyła, znikały wszelkie obawy, a ogarniało ją ciepło i troska o tę kruszynkę, które przepełniały całe jej serce, nie zostawiając miejsca na nic innego.

„Jakie to szczęście, że jest tu z nami" – pomyślała.

Spoglądając na swe dziecko, tak bardzo zapragnęła troszkę z nim pobyć, przytulić.

– Czy mogę zabrać go na chwilę do swojej sali? – zapytała. – Niedługo go odwiozę. Wygląda na to, że czuje się troszkę lepiej. Proszę.

Patrzyła z trwogą, że jej prośba może zostać odrzucona. Pielęgniarki ujrzały w tych zaszklonych od łez oczach tak naturalne i mocne pragnienie matki, by być blisko swego dziecka. Spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– Dobrze – padła odpowiedź.

Wiozła go w jego szpitalnym łóżeczku, podążając w stronę sali. Pragnęła go przytulić. Zamknąć oczy na chwilę i uciec gdzieś razem w ich nowe, wspólne marzenia. Zacząć je razem odkrywać, budować i po prostu cieszyć się nimi.

Leżeli wtuleni w siebie. Tak dobrze było być razem. Teraz nie potrzebowali niczego więcej. Zupełnie zapomniała o wiotkim ciele i o wszystkim, co ją przerażało, radując się po prostu tą chwilą.

„Synku, jak dobrze, gdy jesteśmy razem"– rzekła do niego, w ich niemym dialogu dusz.

„Tak, mamo – odpowiedział. – Chciałbym cały czas móc być przy tobie. Boję się i tęsknię, będąc tak daleko od ciebie, sam".

„Wiem, ale nie martw się, już niedługo będziemy razem. Pojedziemy do domu" – zapewniała, tuląc go czule.

Znów na niego spojrzała, zupełnie nie dostrzegając zespołu Downa, lecz delikatność i szlachetność tej małej twarzyczki, zupełne czystej od twardych rysów i wtedy jej serce drgnęło. Był poruszony jej miłością. Leżał wpatrzony w oblicze swej matki, marząc

i pozwalając jej marzyć oraz planować ich wspólną przyszłość. W jego oczkach odbijało się szczęście. Na moment jednak posmutniał, po czym rzekł:

„Mamo, ja jestem taki mały i słaby. Czy możesz mnie chronić? Bronić na tym świecie? Będziesz mi tarczą?"

„Tak synku. Oczywiście, że tak. Nie pozwolę cię skrzywdzić" – odparła naturalnie bez zastanowienia. Taka była jej miłość. Takie było jej marzenie.

Uśmiechnął się w sercu. „Nie lękaj się, otrzymasz wsparcie" – dodał, jakby wiedział coś więcej. Cokolwiek miało to znaczyć, brzmiało pokrzepiająco. Po chwili posmutniał jednak.

„Mamo?" – zapytał.

„Tak synku?"

„Muszę ci coś powiedzieć".

„Słucham cię".

„Wiesz, kiedy już tu jestem, tu na tej ziemi, na tym świecie… – zaczął niepewnie, po czym dokończył: – …nie mogę tak dłużej z tobą rozmawiać".

Teraz i na jej twarzy zagościł smutek. Jego głos prowadził ją przecież przez najtrudniejsze momenty ciąży, pocieszał, gdy nie znajdowała ziemskiego pocieszenia, i dodawał sił. Jak miałaby sobie poradzić bez tego?

„Nie martw się" – rzekł, pojąwszy te obawy, starając się podnieść ją na duchu, choć sam nie potrafił ukryć smutku, jaki przebijał się przez jego słowa. „Przecież teraz masz mnie tu już całego". Uśmiechnął się, próbując ją pocieszyć, lecz i jemu ciężko było rozstać się z tą możliwością.

„Dobrze" – odrzekła cicho z pochyloną głową.

„Mamo, ale nie smuć się, kiedyś znów tak będziemy rozmawiać".

Twarz jej rozpromieniła się na te słowa, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy z nadzieją, że tak się stanie.

Po chwili dodał:

„Chciałbym cię jeszcze o coś prosić".

„Tak?"

„Proszę cię, tak bardzo cię proszę, naucz mnie mówić. Chciałbym rozmawiać z tobą, tu, na tym świecie. Pojmujesz pewnie, że nigdy nie będzie to taka rozmowa, jak te do tej pory, lecz tak bardzo pragnę z tobą, z wami rozmawiać. Naucz mnie mówić. Proszę".

„Tak, synku" – odrzekła w sposób tak naturalny, jakby to było oczywiste.

Spojrzał na nią, nie wiedziała jeszcze przecież tak wiele.

„Mamo, to może być trudne. Nawet bardzo trudne…" – dodał, próbując nieco wyklarować sytuację. Tak bardzo jednak chciałabym cię o to prosić".

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział do niej w tym ich tak bliskim, iż niemal uchem słyszalnym dialogu dusz, który prowadził ich przez te długie miesiące oczekiwania.

Zaczęło do niej docierać, co może oznaczać to „trudne". Jego usteczka były ciągle uchylone i wypadał z nich języczek. Złe wyniki badań krwi, nieumiejętność ssania, osłabione napięcie mięśniowe – nawet nie rozmawiano z nią o możliwości powrotu do domu. Co więcej, nie mogła być przy nim, a jedynie odwiedzać go. Ciągle też dowiadywała się o nowych trudnościach. Nie wiedziała, czy w ogóle sprosta temu wszystkiemu. Mocno jednak postanowiła nie poddawać się i zrobić wszystko, by nauczyć go mówić.

„Tak synku, nie martw się – powtórzyła. – Nauczę cię mówić i znów będziemy rozmawiać" – rzekła odważnie z głębokim przekonaniem, że to im się uda.

Dojrzała blask radości w jego oczach.

„On jednak wiedział. On cały ten czas wiedział" – pomyślała teraz o ostatnich miesiącach. Jej myśli mknęły przez te wszystkie tygodnie, dni, godziny i chwile. Nagle coś zaświeciło i obrazy w jej głowie się zatrzymały. Tak! Tak, teraz dopiero to pojęła. Ten hiperechogenny obszar na sercu, ta „plamka, która świeciła". Może to i wskaźnik wady genetycznej, lecz nade wszystko to po prostu światło serca. Serce, które niesie światło. Teraz wszystko łączyło się w całość. Gdyby lepiej umiała czytać znaki, o ileż byłoby im łatwiej. Tak, ale to nie jest takie proste. Strach zasłania tak wiele. Jak ciemność, która chce przysłonić światło, jak zło, które chce ukryć dobro.

„To światło, ten mały błyszczący punkcik był jak gwiazda nadziei w ciemną noc trwogi, tylko nie potrafiliśmy dostrzec jego właściwego blasku, skupiając się na tym, co bolało i przerażało…" – zamyśliła się. Pojęła jednak pełniej niż kiedykolwiek przedtem, że najważniejsze to zaufać sercu.

Spojrzała znów na synka, czując się tak mizerną w obliczu tego, co odbijało się w jego oczach. Wiedziała, że przez całe życie nie zdoła zgłębić tajemnicy, jaką z sobą przyniósł, i pewnie też nigdy nie pojmie w pełni jego wielkości. Po prostu to ją przerastało, było ponad nią, ponad wszystkim na tej ziemi. Ludzie zaś nazywać go będą „Downem" i „niepełnosprawnym", oceniając i mierząc ziemskimi miarami. Spuściła głowę, mając wrażenie, że sama może niejednokrotnie zawieść, tracąc cierpliwość, nie pojmując, lub w inny sposób nie radząc sobie z tym wszystkim, co ją jeszcze czekało. Poczuła się znów mała i niegodna.

Leżeli wtuleni w siebie i wpatrzeni w niebo, nie mogąc zdążyć nacieszyć się tą krótką chwilą bycia razem. Patrzyli w tym samym kierunku, prosząc o spełnienie tego samego marzenia – by on nauczył się mówić i dane im było znów ze sobą rozmawiać.



Mały kamień

…czy skała?

Jeśli jedna kropla powiedziałaby: „nie jestem potrzebna", nie byłoby oceanu.

(autor nieznany)

Gdyby człowiek powiedział: jeden gest miłości nie ocali ludzkości,

…nie byłoby nigdy na ziemi sprawiedliwości i pokoju, godności i szczęścia.

(Phil Bosmans)

Tuląc swe dziecię do serca, zamknęła oczy i uniosła głowę w górę, jakby patrząc w niebo. Powieki miała jednak zamknięte. Nie wzroku, lecz duszy było to bowiem spojrzenie. Długo tak trwała. Może znów czegoś szukając, prosząc, czy rozmawiając. Była spokojna i wyciszona, a wielkie, czyste łzy spływały powoli, z pełną dostojnością po jej twarzy. Kiedy otworzyła oczy, spojrzała na niego z miłością i nadzieją, uśmiechnęła się i rzekła:

– Czym byłabym dziś bez ciebie mój synku? Jesteś jak mały kamień i harmonia. Mały kamień, który jest niezbędny, by zbudować piękny świat, i harmonia, by ten świat mógł w tym pięknie rozkwitać i trwać. Czyż jednak doprawdy mały, kiedy skałą nam się stałeś, na której dom nasz budować będziemy? Szkoda, że nie możesz mi odpowiedzieć – urwała wzdychając. – Tak wiele mógłbyś mi pewnie jeszcze powiedzieć… – zamyśliła się. – Tak, wiem. Nie teraz. Może kiedyś… – dodała z nadzieją w głosie.

Odzyskane marzenie

Stworzeni do szczęścia.

(Abp Fulton J. Sheen)

Patrzyła, jak śpi. Widziała skośne oczka, purpurową skórę, fałd na karku, krótkie rączki oraz nóżki, uchylone usteczka i wystający z nich języczek. Nigdy nie przypuszczała, że jej marzenie dziecka przywdzieje takie oblicze. Był inny niż wszystkie niemowlęta, a jednak najpiękniejszy. Najmniejszy i najdrobniejszy, lecz nie ustępował im w niczym swą wielkością. Najbardziej wiotki, a tak silny. Po prostu cudowny. Dokładnie taki, jaki był. Ich synek. Spełnienie ich pragnień. Czy marzenia te odbiegały od tego, czego się spodziewali, kiedy myśleli o dziecku? Tak, wyobrażali to sobie inaczej. Nic jednak nie różniło się od tego, czego pragnęli w głębi serca. A może dostali więcej niż mogli nawet przypuszczać?

Przed oczami stanęła jej znów buźka małej uśmiechniętej dziewuszki wśród gałęzi drzew, której odebrano pałace, suknie, bogactwo klejnotów i przepychu. Zabrano marzenie bycia księżniczką i w sercu zaistniała pustka tęsknoty za koroną. Czegoś nagle zabrakło, za czymś tęskniła, choć nie zdawała sobie z tego sprawy i nie pojmowała, jak bardzo. Tak było do dnia, kiedy w jej życiu pojawił się przyjaciel, którego wzrok sięgał głęboko, gdyż spojrzenie to nie ograniczało się do obrazów oka, i dostrzegł w niej prawdę tego, kim była. Z całego swego oddania, miłości i troski, splótł z najdelikatniejszych gałązek koronę przybraną najświeższą zielenią wiosny, wszystkimi barwami i zapachami kwiecia łąk, trzepotem motylich skrzydeł oraz ptasim szczebiotem, po czym osadził na niej diamenty rosy. Wkładając ją na jej rozwichrzone wiatrem włosy, wyciągnął z zapomnienia marzenie, które znów ożyło. Wtedy otoczył ją błękit nieba, a promienie słoneczne padły na nią z góry, sprawiając, że gałązki korony zawiązały pąki, wlewając w nie życie i otulając tęczą mieniącą się swymi kolorami w każdej kropelce rosy. Uśmiechnęli się do siebie, a radość przyjaźni przepełniła ich serca głębokim szczęściem, dopełniając dzieła.

Tak zalśniła na jej głowie korona miłości wszelkiego stworzenia, a cały jej świat zajaśniał najpiękniejszymi barwami szczęścia i wdzięczności. Teraz pojęła dopiero, że w jej sercu wypełniona została głęboka pustka i znów mogła być sobą, a może w końcu stać się w pełni tym, kim była.

Zrozumiała, że prawdziwe marzenia nigdy nie umierają, nie możemy ich odrzucić, czy zagłuszyć. Tkwią w nas jako tęsknota i pustka niespełnienia, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy. Zostaliśmy bowiem stworzeni do szczęścia. Poddanie się czy zaniechanie tego, co jest naszym głębokim pragnieniem, prowadzi do rozdrażnienia, zagubienia oraz wewnętrznej frustracji, goryczy i smutku. Warto zatem spojrzeć głębiej na własne pragnienia lub po prostu z innej perspektywy, a jeśli trzeba, to jeszcze z innej i z kolejnej, aż trafimy na tę właściwą, do której prawdziwie uśmiechnie się nasze serce, niejednokrotnie wynosząc nas ponad konwenanse i ograniczenia doczesności. Zdała sobie bowiem sprawę, że choć niegdyś marzyła o byciu księżniczką, nigdy naprawdę nie chciała korony ze złota i brylantów. Z pewnością ciążyłaby jej zanadto i uwierała. Po prostu nie pasowałaby do niej, podobnie jak pałace i bogactwa. Pojęła to jednak dopiero, gdy na jej głowę została włożona właściwa korona, będąca odbiciem jej prawdziwego „ja". Zrezygnowała z niej zupełnie niepotrzebnie, lecz sama nie odkryłaby tego. Jej prawdziwe pragnienie dostrzegła, wyłowiła z zapomnienia, splotła i podarowała szczera przyjaźń, wskazując jej, kim jest w istocie. Tak, gdyż samemu nie sposób w pełni rozkwitnąć. Takim darem jest drugi człowiek. Takim szczęściem przyjaźń.

– Podobno ludzie są jak anioły – szepnęła, uśmiechając się. Przypomniały jej się słowa Marii Konopnickiej: – „Anioły z jednym skrzydłem, dlatego aby się wznieść, musimy trzymać się razem".

Każde dziecko przychodzi na ten świat z „koroną" czystości i szlachetności serca, własnego „ja". Koroną ozdobioną klejnotami najgłębszych pragnień i rozświetlaną blaskiem prawdy. Ważne jest, by nie zgubić prowadzącej do niej drogi, abyśmy mogli w pełni zalśnić sobą.



Człowiek człowiekowi

…bratem.

Powiedziano, że jest zbyt wiotki i nie ma odruchu ssania. Nikt nie pokazał jej jednak, jak należy karmić niemowlę. To było jej pierwsze dziecko, nie potrafiła tego robić. Leżał z dala od niej, odżywiany sondami, z mnóstwem wkłuć w główce i na całym ciałku, a wyniki badań krwi pogarszały się z każdym dniem.

Nie spała w nocy, tak bardzo bolały ją piersi. Myślała, że to normalne. Dlaczego jednak nikt nie zauważył, iż mogło to być zapalenie? Zabrakło pielęgniarki laktacyjnej, która mogłaby jej pomóc oraz nauczyć ją karmić piersią. Zdecydowano więc podawać niemowlęciu pokarm przez sondę żołądkową, a następnie butelką. Maluszkowi nie odpowiadał jednak dotyk silikonowego smoczka i karmienia butelką okazały się mało skuteczne. Czuła, że potrzebuje jej i jej mleka. Ściągała więc pokarm, a gdy uzbierało się go na tyle, by starczyło na jedno karmienie, zanosiła z prośbą, by mu to podano. Przynosiła coraz częściej własne mleko, jak tylko udało się jej uzbierać wystarczającą porcję. Wyniki badań zaczęły się stopniowo poprawiać.

Kolejno pojawił się problem niewystarczającego przyrostu wagi niemowlęcia. Nie podejmując wysiłku analizy sytuacji, winą za taki stan rzeczy obarczono matkę, twierdząc, że chłopiec nie przybiera na wadze, gdyż ona źle go karmi, a przecież nawet nie pozwalano jej spróbować. Mogła tylko stać i patrzeć – obserwować, jak masować zbyt wiotkie mięśnie twarzy i jamy ustnej, by aktywować odpowiednie odruchy.

Widziała i doceniała starania lekarzy oraz położnych. Mimo to miała wrażenie, jakby z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła określić, coś zostało przeoczone, pominięte, odsunięte na bok. To wszystko układało się jakoś nie tak. Czy nikt tego naprawdę nie widział? Malec po prostu i przede wszystkim potrzebował mamy. Tak bardzo pragnęła już wrócić do domu, być przy nim i go karmić.

„Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?" – krzyczała w duszy. Tym razem jednak wołanie to nie było skierowane w stronę nieba, a drugiego człowieka.

Dlaczego? Czy może dlatego, że nikt nie podszedł wystarczająco blisko, by to dostrzec? Przychodzono na badania, przynoszono wyniki i zalecenia. Wypełniano prawidłowo obo-

wiązki i zadania, po czym odchodzono. Panowała dobra i miła atmosfera. Może zatem jej sytuacja wydawała się niezręczna i kłopotliwa. Była przekonana, że to nie nieżyczliwość czy brak chęci wsparcia. Wręcz przeciwnie. Niejednokrotnie odbierała sygnały sympatii i gotowość niesienia pomocy, ale było też coś innego, czego nie potrafiła określić, a co te dobre uczucia i odruchy blokowało. Tak jakby człowiek nie umiał podejść do drugiego człowieka. Nie wiedział, jak to zrobić, jak się zachować i co powiedzieć. Nawet jeśli chciał, nie potrafił. Jakby zanikały proste odruchy ludzkie. Współczesność odizolowywała nas od siebie, wskazując na samowystarczalność jednostki. Nie ma jednak i nie będzie odkryć i wynalazków, które byłyby w stanie zastąpić ciepło ludzkiego serca, moc uścisku dłoni, rozumiejące i współczujące spojrzenie. W duszę człowieka są wpisane miłość i braterstwo, i nie da się tego oszukać. Tym smutniejsze wydało jej się to wszystko. Ludzie przechodzili obok siebie, mijali się każdego dnia, stając się sobie coraz bardziej obcy. Człowiek nie potrafił żyć z człowiekiem, równocześnie nie potrzebując niczego bardziej, niż właśnie bliskości drugiego człowieka. Paradoks, a jednak zdążamy w tym kierunku… Zastanawiała się, jak sama postąpiłaby, gdyby znalazła się po drugiej stronie, bez podobnych doświadczeń. Czy wiedziałaby, jak się zachować? Co powiedzieć? Czy również przeszłaby w pośpiechu obok? Nie mogła tego wykluczyć i zmartwiło to ją jeszcze bardziej.

Dziwny jest ten świat,
świat ludzkich spraw,
czasem aż wstyd przyznać się.
(Cz. Niemen, *Dziwny jest ten świat)*

W świecie panującego kultu kalkulacji, rozumu, rachunku zysków i strat ludzie pragną gotowych, łatwych rozwiązań każdego problemu, sądząc tym samym, że tego też oczekuje się od nich – błyskotliwych wskazówek. Nic bardziej mylnego. Jak miała oczekiwać zrozumienia, gdy sama nie mogła tego wszystkiego ogarnąć? Jak chcieć rozwiązania, kiedy nie wiedziała nawet, które troski i problemy pragnie rozwiązać w pierwszej kolejności? Nie pojmowała jeszcze tak wiele, jakże więc mogłaby oczekiwać tego od innych? Potrzebowała miesięcy, a i to okazało się zbyt mało. Jak więc chcieć od razu gotowych rad? Budziła się w nowej sytuacji, nie potrafiąc jej objąć i poukładać w swojej głowie, lecz nie tego oczekiwała. Wiedziała już, że nie wszystko przyjdzie od razu. Pragnęła jedynie, by nie znaleźć się w pustce i chłodzie obojętności, a trwać razem. Aby człowiek zauważył drugiego człowieka, spojrzał w oczy, wysłuchał i po prostu

był obok. Byśmy nie musieli czuć się sami i opuszczeni. Być tak blisko, a jednak jakże daleko… Sama nie potrafiła i nie znalazłaby nawet sił na to, by określić teraz miarę i rangę tego wszystkiego, z czym musiała się zmierzyć. I choć może na czole wypisane miała literami wielkiej determinacji: „Nie poddamy się!", nie znaczyło to: „Damy radę sami".

„Nie, nie, i jeszcze raz nie! Właśnie nie! Nie damy rady sami!" – wołała w duszy.

A może i ona, zbyt tym wszystkim przerażona, przez lęk oraz niepewność sytuacji zamykała się na innych? Nie zdając sobie z tego sprawy, wznosiła mur niedostępności w obawie przed zranieniem? Nie mogła tego wykluczyć. Może ze strachu chowała się w jaskinię samotności, izolującą człowieka od człowieka. Smutną wprawdzie, lecz znaną, a to dawało złudne poczucie bezpieczeństwa…

Miłości nie da się dotknąć, a Boga nie sposób zobaczyć, lecz możemy ich doświadczyć w drugim człowieku. Dlatego ciemność próbuje zniszczyć wszelkie prawdziwe relacje międzyludzkie. Usiłuje odciąć nas od siebie nawzajem, a tym samym od miłości, kłamliwie wskazując na jej brak. Jeden promień światła ma jednak większą moc niż studnia mroku. Często wystarczy mały gest, jedno słowo czy serdeczny uśmiech, by ciemność zniknęła, a wszystko mogło zalśnić swym prawdziwym blaskiem. Tak właśnie się stało, gdy pewnego dnia przyszła do niej młoda dziewczyna, położna.

– Chciałam zobaczyć, jak sobie tu radzicie – powiedziała radośnie przekraczając pewnym krokiem próg jej sali. – Dowiedziałam się o was, odnalazłam i postanowiłam zajrzeć.

Wtedy zalśnił uśmiech pokonujący wszelkie bariery izolujące człowieka od człowieka. Jak promień światła przebił się przez szyby przesłonięte kurzem ziemskich spraw i ograniczeń, rozpraszając mgłę nieporadności i niepewności wobec tej sytuacji, zarówno otoczenia, jak i jej samej. I nastała jasność, która otuliła ją nadzieją. Cóż bowiem może wydawać się trudne czy niemożliwe, kiedy człowiek przychodzi do człowieka z wyciągniętą dłonią i ciepłem w sercu? Poczuła, jak zanikają chłód, niezręczność oraz zakłopotanie i zupełnie naturalnie odwzajemniła ten uśmiech.

Tak jednym odruchem serca zburzone zostały mury wzniesione strachem. Ona zaś pojęła, że jest to uśmiech i pragnienie, które drzemią w sercach nas wszystkich.

„Wydobyć szczery ludzki uśmiech, gdyż lśni on ponad wszystko, co nas przygniata". To wydało jej się teraz najważniejsze.

I uśmiechnęła się wraz z napływającymi do jej myśli słowami:

ludzi dobrej woli jest więcej
i mocno wierzę w to,
że ten świat
nie zginie nigdy dzięki nim.
*(*Cz. Niemen*, Dziwny jest ten świat)*

„Jak dobrze być razem"– pomyślała.



Gdzie jesteście?

Precz z mej pamięci! – Nie! Tego rozkazu,
Moja i twoja pamięć nie posłucha.
(A. Mickiewicz, *do M****)

Została sama w sali. Jej współlokatorki opuściły już szpital. Rozejrzała się po opustoszałym pomieszczeniu. Nie była jednak smutna. Czuła radość w sercu, mając ciągle przed oczami szczęśliwe mamy, które wracając do domu tuliły w ramionach swe dzieci. Uśmiechnęła się z nadzieją, że i dla nich nadejdzie w końcu taki dzień. Wieczorem zasypiała z tym obrazem szczęścia przed oczami – matek wracajacych do domów ze swymi dziećmi w objęciach.

Był środek nocy, gdy usiadła nagle na łóżku. Wyglądało to tak, jakby coś wyrwało ją ze snu w sposób tak gwałtowny i zdecydowany, że nie zostawiło nawet sekundy na otrzeźwienie z zaspania. Otworzyła szeroko oczy, nie przestając na coś patrzeć, coś widzieć choć dookoła panował zupełny mrok. Trwała tak dłuższą chwilę ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie, po czym pochyliła głowę i zatopiła twarz w dłoniach. Otulił ją szum wiatru wiejącego za oknem, a ze szczelin pomiędzy palcami skapywały na podłogę łzy, krople wielkiego wewnętrznego bólu.

– Przepraszam… – wyszeptała. – Przepraszam – powtórzyła, po czym nie wytrzymała dłużej tłumienia szlochu targającego jej duszą i zapłakała głośno i otwarcie.

– Tak bardzo was przepraszam – mówiła przez łzy. – Jak mogłam nie zrozumieć? Jak mogłam tego nie pojąć? Byłam tak ślepa. Proszę, nie płaczcie. Wszystko będzie dobrze.

Przez ostatnie miesiące płakała tak często w strachu i zagubieniu. Łkała nad sobą, nad niewiadomym losem ich rodziny i nad całym światem, z troski nad nim, czy też ze zmartwienia, w jaką podąża stronę. Miała wrażenie, że jej oczy ciągle były zatopione we łzach. Za każdym razem jednak, gdy je wylewała, te obmywały jej spojrzenie ze ślepoty i marazmu, i dostrzegała więcej. Coś udało jej się zrozumieć czy też pojąć, gdy zrozumieć było nie sposób. Czego nie zrozumiała? Czego nie pojęła? Nad czym teraz płakała?

„Gdzie jesteście? Dzieci, jesteście tam? – wołała jej strapiona dusza. – Nie odchodźcie, proszę! Nie zostawiajcie nas samych. Przyjdźcie do nas. Już wiem, już pojmuję. Wy jesteście tam, a my tutaj. Krzyczycie głośno i wyraźnie, lecz nie wszyscy potrafią usłyszeć czy pojąć wasz

głos płynący z serca i duszy. Dlatego nie możecie odszukać waszej mamy i boicie się, że ona was nie usłyszy".

Otarła łzy i znów spojrzała w okno. Długo tak patrzyła, ciagle wzywając w duszy płaczące dzieci:

„Proszę, wybaczcie mi i uwierzcie w nas raz jeszcze, gdyż pojmuję już, że wasz głos staje się niesłyszalnym i nie może przebić przez granicę światów zablokowaną duszącą wszystko szarością. Ale może my tutaj zdołamy wam pomóc? Dlatego przyszłyście przecież do nas, do mnie. Jak mogłam być tak ślepa i tak długo tego nie dostrzegać?"

Po chwili jej oczy rozbłysły szczególnym światłem.

– Wybaczcie mi proszę – szepnęła raz jeszcze. – Nie ustawajcie w wołaniu do naszych dusz, nie przestawajcie stukać do drzwi naszych serc, gdyż jesteśmy sobie nawzajem… – Zamilkła, po czym dokończyła: – …nadzieją.

Cisza zaś, otuona jej łkaniem, rozbrzmiewała niesłyszalnym dla uszu wołaniem:

Mamo, tato, gdzie jesteście?
Dokąd podążacie?
Weźmiecie mnie z sobą?

Dlaczego mnie nie słyszysz, mamo?
Dlaczego się nie wsłuchujesz, tato?
Ja jestem.
Jestem tutaj.
Czekam.

Czy słyszysz mnie, mamo?
Czy słyszysz mnie, tato?
Mój głos ukryty jest w ciszy.
Usłyszysz go,
Jeśli tylko tego zapragniesz.

Zamknij jedynie na chwilę oczy i uszy,
By szarość cię nie zwiodła.
Zrzuć więzy krępujące twą duszę.
A wtedy znajdziesz mnie.

Odnajdziesz mnie łatwo,
Choć sięgnąć musisz głęboko.
Otwórz wrota twego serca.
Tam jestem.

Mam coś dla was.
Największy z wszystkich darów.
Ukryłem go głęboko w serduszku
By nam go nie odebrano.
Niosę wam Miłość!

Posłuchaj mnie, mamo!
Posłuchaj mnie, tato!
Ja jestem!
Jestem tutaj!
Czekam!

Zawsze będę na was czekać…
Kocham was!



Wiele możemy

…mówiąc miłości: Tak!

„One ciągle tam są, wołają nas – rozmyślała. – Nie możemy się od nich odwrócić. Cóż bowiem bez nas poczną i czym my staniemy się bez nich? Bez dzieci? Nie zamykajmy się więc na głos serc i dusz naszych. Nie myślmy: «Tak będzie łatwiej» , gdyż życie «łatwe» wcale jeszcze nie oznacza szczęścia, a wręcz może się stać bardzo trudnym i pochłoniętym rozpaczą losem". Zafrasowała się.

„Czy my możemy pomóc to szczęście odnaleźć? Zrobić dlań przejście, odsuwając na bok strach i niepewność, lęki i obawy? Otwierając drzwi, wrota serc, do których rozlega się stukanie? Wsłuchać się, by usłyszeć głos, który do nas woła? Znaleźć nadzieję i pozwolić uwierzyć? Pomóc matkom przestać się lękać, by mogły usłyszeć głos swych dzieci? Odeprzeć strach, który szepcze: «Nie dasz rady», «Nie stać cię». Czyż razem nie damy rady? Odrzucić obawy: «Nie poradzę sobie», «Jestem zbyt słaba». Przecież jesteśmy obok, nikt nie musi czuć się słaby, samotny czy opuszczony". Jej dusza wołała tysiącem takich pytań.

„Ludzie to anioły z jednym skrzydłem, dlatego aby się wznieść, musimy trzymać się razem" – przypomniała sobie znów słowa Marii Konopnickiej.

„Czyż nie możemy zatem? – ciągle pytała w duchu, posyłając te zapytania w głębię nocnej ciszy: – Wyciągnąć swej dłoni? Odnaleźć człowieka w człowieku? Zdjąć ograniczające okulary doczesności, «sięgając tam, gdzie wzrok nie sięga»*? Mieć odwagę przyznać, jak wiele od nas zależy oraz siłę, by jej nie porzucić, lecz obrócić w czyn i wytrwać? Budować wspaniały świat, sięgając po piękno wybijające się ponad przyziemność, a zakorzenione głęboko w naszych sercach? Nie zapominajmy, skąd przyszliśmy i kim jesteśmy. I świadomie wybierajmy, dokąd podążamy. Spróbujmy odkryć człowieka raz jeszcze, nie ograniczając się «szkiełkiem i okiem»**, a otwierając na «czucie i wiarę»***. Podążajmy za wielkością, która tkwi w każdym z nas. Odkrywajmy siłę wspólnego działania. Człowieka z człowiekiem łączy bowiem delikatna nić niosąca niezrównaną moc, z niczym nieporównywalna i wybijająca się ponad doczesność, a jest to miłość. Jesteśmy razem i wspólnie możemy tak wiele.

* A. Mickiewicz, *Oda do młodości*.
** A. Mickiewicz, *Dziady*.
*** Tamże.

Możemy odnowić oblicze tej Ziemi, by stała się prawdziwie Piękną Ziemią, mówiąc miłości: «Tak». «Tak», od samego początku. Zaczynając tam, gdzie powstaje życie, już od pierwszej myśli o nim, pierwszej prośby, pierwszej modlitwy".

Bo ludzi dobrej woli jest więcej
Bo miłość jest silniejsza niż nienawiść
Bo życie jest mocniejsze niż śmierć.
*(*Cz. Niemen*, Dziwny jest ten świat)*

Wydało jej się, że w oddali słyszy cichy i delikatny ptasi śpiew. Czy to możliwe? Jaki ptak tak pięknie wyśpiewywał nocą?



Myśli i uczucia

…tworzą naszą rzeczywistość.

„Zbyt często wydaje się nam, że to nie zależy od nas, gdy tymczasem tak wiele właśnie od nas wychodzi. A zaczyna się od pragnienia i myśli. Czyżby już od pierwszej myśli?" – zadumała się, spoglądając na migoczące za oknem gwiazdy.

Kiedyś uważała, że gdy się wierzy i prosi, nasze pragnienia mają moc spełnienia. Jak długo modliła się i wierzyła, wszystko było dobrze. Nigdy nie została odtrącona czy opuszczona. Tak było do czasu, aż zaczęła to wszystko odsuwać na bok. W zabieganiu codzienności zapominała prosić i dziękować. Przestała się modlić i zastanawiać nad tym, czego tak naprawdę pragnie, wpadając w wir bieżących spraw i ulegając podejściu „jakoś to będzie", zapominając o „proszę". I tak to ziemskie zabieganie zaczęło przesłaniać głębokie pragnienia jej serca i prawdę duszy, odsuwając je na dalszy plan, by stopniowo i niezauważalnie pchnąć w niebyt i zapomnienie.

„Czy jednak tak musi się dziać, «być jakoś»? – zastanawiała się. – Nigdy przecież nie jest za późno, by odszukać własne pragnienia, ich prawdziwe oblicze i pozostać im wiernym. Serce i dusza nie znają bowiem niebytu i zapomnienia – rozmyślała, szukając odpowiedzi. – Podążając za swymi pragnieniami utrzymujemy harmonię z samym sobą. Wszystko wydaje się mieć sens, gdy sięgamy po nasze marzenia i traktujemy je z szacunkiem. Kiedy zaś wpadamy w wir codzienności, zaczyna brakować nam czasu na zastanowienie się nad prawdziwymi potrzebami serca, które porwane nim wirują i błądzą w natłoku wielu innych «ważnych» spraw. A wtedy ryzykujemy…" Ta myśl zatrzymała na chwilę bieg jej rozważań. Potrzebowała się nad tym dłużej zastanowić.

„Tak – potwierdziła po chwili. – Ryzykujemy, że możemy się zagubić w tym mętliku, tracąc nie tylko własne marzenia, lecz wraz z nimi i część siebie". Posmutniała. „Wszystko bowiem pędzi i kręci się, a biel zlewa się z czernią, stając szarością. Tracimy klarowność swych myśli i pragnień, odchodząc od własnej prawdy, i zaczynamy odczuwać coraz większą niepewność. Ciemność zaś, dojrzawszy sposób, by się wkraść, nie odrzuci żadnej szansy – najmniejszego naszego wahania. Wsunie się w każdą, najdrobniejszą szczelinę niepewności czy lęku z tym większą mocą, im więcej wyczuwa ku temu możliwości. Zalewa nas zatem

tym mocniej i skuteczniej, im bardziej na to pozwalamy, dopuszczając do siebie negtywne myśli. Karmi się naszą słabością, mnożąc się w ten sposób i przybierając na sile z każdą kolejną podobną myślą. Tak obawy potęgują się i przechodzą w strach, niezadowolenie w złość, zaprzeczenia wzmacniają negacje, a bezsilność i bezradność popychają w odczucie niemocy, odciągając nas coraz bardziej od tego, co prawdziwie jest naszym pragnieniem. Odcinani zaś od światła prawdy i osaczeni negatywnymi, potęgującymi się odczuciami i myślami, zaczynamy nie tyle już czuć się niepewnie, co wręcz gubić. Nie prosząc zaś, zdajemy się wyłącznie na siebie, a wtedy jakże trudno sobie z tym wszystkim poradzić…" – utkwiła wzrok w jednym punkcie, a na jej twarzy znów zarysował się smutek.

Po chwili powróciła do tych rozważań.

„«Ludzka słabość jest ich siłą»*. Raczą się nią i delektują, potęgując i pomnażając nasze zagubienie – stwierdziła, porządkując swe przemyślenia. – Zalewają nas i przytłaczają z coraz większą mocą, a wtedy tak atakowani od środka, zaczynamy postrzegać i kreować nasz świat przez pryzmat negatywnych odczuć i myśli. Nasza egzystencja zaczyna więc wydawać się smutną, bezbarwną, czy wręcz przerażającą. Dodatkowo odczuwamy zagubienie i słabość, wątpiąc we własną siłę i istnienie dobra, bezradność w tym wszystkim, a nawet złość. I pojawia się rozgoryczenie i rozczarowanie, które w swym zagubieniu niejednokrotnie niewłaściwie ukierunkowujemy – oskarżając dobro za brak dobra, nie zaś zło za czynienie zła i odsuwanie nas od dobra, czy przesłanianie naszego wzroku, tak byśmy go nie dostrzegali, a mieli wrażenie, że zostaliśmy pozostawieni sami sobie".

Spojrzała na gwiazdy. Patrzyła tak przez chwilę. Potrzebowała blasku światła, przytłoczona ciężarem tych myśli.

„Jak zatem jest naprawdę? – kontynuowała. – Czy przez targający nami strach oraz zwątpienie w siebie, zalewające i zniewalające nasz sposób myślenia, nasza rzeczywistość faktycznie może stać się tak ponura? Czy to my decydujemy o tym, jaka będzie, wybierając, począwszy już od pierwszej myśli? Czyż bowiem nie od nas zależy, aby nie pozwolić negatywnym myślom nas druzgotać? Czy nie jesteśmy władni odeprzeć niepewność i strach odrzucając je już na starcie, tym samym nie dając im szansy pomnażać się i niszczyć nas «od środka»?" Pytania te pojawiały się w jej głowie, jak grzyby po deszczu. Podążała więc dalej w swych rozmyślaniach, szukając na nie odpowiedzi.

„Kiedy trwamy przy blasku prawdy i pozytywnych myślach – zaczęła – te prowadzą nas ku dobru i ukojeniu, a cały świat postrzegamy w jasnych i żywych barwach. Jeśli podążamy

* T. Styczeń SDS, *Człowieka portret własny*.

w stronę światła, ono rozświetla drogę przed nami i otwiera «oczy serca», a wtedy o ileż więcej potrafimy dostrzec. Jasność prowadzi nas i wypełnia, rozświetla od wewnątrz, wzmacnia naszą pozytywną energię, która przepełnia nas, otacza i pomnaża się w tym, i przez to, co dobre i piękne, prowadząc do odkrywania prawdziwego siebie i wielkości jakie drzemią w człowieku – buduje naszą siłę i moc". Uśmiechnęła się na tę myśl.

„Na ile więc przygnębiająca jest sama sytuacja, a jak bardzo czyni ją taką nasz sposób postrzegania i myślenia? I czy przez dobre myśli możemy odmienić stan ducha, wyzwolić pozytywną energię i wewnętrzną siłę, wydobyć prawdę wiodącą nas ku rzeczywistości światła?" – w jej głowie rozbrzmiały kolejne pytania.

Nie ustawała więc w szukaniu.

„Mrok i strach przez przygnębiające myśli wciągają nas w szarość i smutek, gdzie czujemy się zatrwożeni, słabi i mamy wrażenie, że tracimy grunt pod nogami, aż w końcu uderza w nas fala ciemna, mętna i ogromna – zadumała się, zagłębiając w tym wspomnieniu.– Ipotrafi całych nas zalać i porwać. Tak, pochłonąć może wszystko, ale… nie światło" – dodała. „Wszystko, lecz nie światło! – potwierdziła zdecydowanie. – Wystarczy zatem nie poddawać się, a pragnąć światła i patrzeć w jego kierunku, podążać i trwać w nim. I w takich też barwach współtworzyć własną rzeczywistość – urwała, zastanawiając się nad tym przez chwilę. – Możemy współtworzyć rzeczywistość światła" – zakończyła z uśmiechem, odczuwając ciepło, harmonię i pokój, jakie niosło z sobą wyobrażenie takiej rzeczywistości.

„A zatem… – zaczęła, wracając do swych rozważań, starając się je ogarnąć i poukładać w całość. – …myśli i uczucia wypełniają nas, potęgując się w tym, na co damy im przyzwolenie, co tworzymy i wzmacniamy w obrazach swych rozmyślań – stwierdziła. – Tak dobro przyciąga i buduje dobro, zło natomiast zło. Dobre myśli pomnażają dobro, otaczają światłem i ciepłem, wzmacniają naszą siłę. Negatywne zaś są barierą blokującą dostęp do pozytywów, przytłaczają złem i druzgoczą naszą moc. A im więcej o czymś myślimy, tym więcej przyzwolenia temu dajemy, tym samym to potęgując. Możemy zatem pozytywnym światłem dobrych myśli rozświetlać naszą drogę lub też pozwolić wciągnąć się w ciemną machinę lęku, obojętności i negatywnego nastawienia. Ważne jest, na czym skupiamy swe myśli, co otaczamy wiarą i co czynimy naszą wolą. Jakże znaczące jest to, które z nich stają się dominujące, by te, w istocie niechciane, wynikające może z lęków i obaw, nie zagłuszyły tych prawdziwych – prawdy naszego serca i duszy. Tak począwszy od myśli, możemy urzeczywistniać własne pragnienia lub też poddać się już na starcie" – podsumowała, zastanawiając się i próbując wychwycić sedno tych rozważań tak, by móc je utrwalić jakimś obrazem

w swej głowie, który mógłby jej o tym stale przypominać.

„Myśli i uczucia – kontynuowała – nie pozostają bez znaczenia, a wręcz przeciwnie, są jak ukryta pod wodą część góry lodowej. To one właśnie budują nas i są podstawą wszelkich ludzkich działań. Wygląd i funkcjonowanie naszego świata są więc efektem tego, co zaczyna się głęboko w nas i choć jest niewidoczne dla oka, jakżeż o nas i o naszym życiu stanowi. Wielkość ukrytej pod wodą góry lodowej…" – zamyśliła się, podążając na moment myślami do Titanica skruszonego potęgą tego, co niewidoczne, a – jak się okazało – tak znaczące.

Po chwili zadumy powróciła znów do swych rozważań o człowieku.

„Tak to, co niewidoczne urzeczywistnia się w naszym działaniu, życiu" – potwierdziła w myślach.

– Myśli i uczucia tworzą naszą rzeczywistość – szepnęła, pragnąc to usłyszeć, by dobrze zapamiętać.

„Wewnętrzna potęga człowieka…" – dodała w duszy, zanurzając się w swych poszukiwaniach pod wody dostrzeganej przez nas rzeczywistości, ku ogromowi tego, czego dojrzeć nie sposób. I pozwoliła się ponieść tym myślom, by prowadziły ją dalej i głębiej – ku odkrywaniu tej części „góry lodowej".

„W jaki więc sposób budować siebie i czerpać z tego, co w nas, z tej niedostępnej dla wzroku wielkości człowieka? – zastanawiała się. – Jak odnaleźć dobre myśli w trudnej sytuacji i mętliku szarości? Odszukać te, które są potwierdzeniem naszych głębokich pragnień, ich prawdziwym odbiciem, odrzucając natomiast wszystkie będące wyrazem strachu i braku wiary w siebie. Jak odmienić sposób myślenia, kiedy szarość nas osacza czy wręcz przygniata i druzgocze? W jaki sposób nie gubić się i trwać przy dobrych i pięknych myślach, nie poddać się i zmierzać wytrwale, a nawet uparcie – dodała z lekkim uśmiechem – w stronę światła? Jak? – zamyśliła się. – Najlepiej byłoby w takim mętliku szarości w ogóle się nie znaleźć. Lecz jak tego uniknąć lub odeprzeć czy też wydostać się, gdy nie udało się uchronić? Gdzie szukać drogi, odwagi i siły?"



Prawo miłości

…i światło serca.

Człowiek bowiem ma w swym sercu wypisane przez Boga prawo.

(Jan Paweł II, *Veritatis Splendor*)

Prawo miłości, klucz nieba bram.

(autor nieznany, *Prawo Miłości)*

„Myśli… – zadumała się. – Do głowy przychodzą tysiące różnych myśli, a wtedy często nie wiadomo, która jest tą właściwą. Jak ją odnaleźć i rozpoznać?" – zastanawiała się.

Znów powrócił obraz chaosu zbyt wielu opcji. By dobrze wybrać i nie dopuścić tego, czego nie chcemy, najpierw musimy zdać sobie sprawę, czego prawdziwie pragniemy. W jej wspomnieniach odżył dylemat amniopunkcji, a wraz z nim uczucie lęku i niepewności oraz zagubienia we własnych myślach. Zupełnie nie wiedzieli, jak powinni postąpić. Co czynić? Czy wykonać to badanie? Szukali więc, szukali i szukali.

„Tak, ale… – Teraz jakby znów coś do niej dotarło. – Może właśnie o to chodzi? Należy szukać i nie poddawać się, aż się znajdzie. Znajdzie, lecz co? I jak poznać, że to jest właśnie to?" – znów się zamyśliła.

Zamknęła oczy, wracając do tamtych chwil zagubienia i próby znalezienia z niego wyjścia, kiedy ograniczał ich czas. Musieli podjąć decyzję w określonym terminie. Jakież to było trudne.

„Tak" – usłyszała nagle przyniesione przez mocny oddźwięk rozbrzmiewającego w jej głowie wspomnienia. – „To właśnie to «tak»" – niemal krzyknęła z radości swego odkrycia. W końcu przyszło przeświadczenie, że to właśnie to, czego szuka, gdy jej serce powiedziało „tak". To „tak" serca było wyjaśnieniem ich wątpliwości i poszukiwań.

Nie zawsze bowiem poznajemy odpowiedź wraz z pierwszym zadanym pytaniem. Często nie od razu zostaje ona odnaleziona czy objawiona. Zadawała przecież to pytanie kilka razy dziennie przez niemal trzydzieści dni, a odpowiedź przyszła dopiero ostatniego wieczoru.

„Widać wiele musiałam poznać i nauczyć się, poczuć i zrozumieć oraz trwać niestrudzenie w tym szukaniu prawdy – rozmyślała – by potrafić ją w końcu usłyszeć i pojąć. Najważniejsze, że się nie poddaliśmy i szukaliśmy do końca. Odpowiedź zaś przyszła i zdążyliśmy na czas". Z całą siłą tej radości objęła rękoma otulającą ją kołdrę i przytuliła do piersi. „Tak! Właśnie tak! Jeśli pytamy, przychodzi odpowiedź, nawet gdy nie dzieje się to od razu. Gdy szukamy, w końcu znajdujemy. «Szukajcie, a znajdziecie»" – usłyszała w sercu (por. Mt 7,7).

„Kiedy więc z jakąś myślą czujemy się dobrze – kontynuowała – jest ona prawdziwym odbiciem tego, co nosimy w sercu. Jeśli natomiast źle, gdy pojawia się choćby najmniejszy niepokój, oznacza on, że coś jest nie tak i należy szukać dalej, aż znajdziemy właściwą myśl, potwierdzoną prawdą serca i spokojem duszy". Potrzebowała jeszcze raz usłyszeć to w swojej głowie i potwierdzić w sercu, by nie zapomnieć.

„Usłyszeć w «sercu osoby, czyli w jej sumieniu» – przypomniały jej się słowa z encykliki *Veritatis Splendor*. – Serce zatem, blaskiem zapisanej w nim prawdy, głosem sumienia, prowadzi nas ku zrozumieniu tego, co myślimy. Pozwala pojąć myśli. Szukać natomiast nie jest błędem, lecz drogą prowadzącą do naszych prawdziwych pragnień. Tylko szukając, nie zgubimy się. Problemem może się jednak okazać brak dążenia do odkrycia prawdy. Zaniechanie czy też poddanie się. A zamykanie się na ten wewnętrzny głos popycha nas w opozycję wobec samego siebie, w chaos zagubienia, zwątpienie, a nawet rozpacz".

Czuła potwierdzenie swych rozmyślań w doświadczeniu ostatnich miesięcy. Nawet jeśli to, czemu przyszło jej stawić czoła, zaskakiwało ją czy wydawało jej się, że nie tak być powinno lub że temu nie sprosta, kiedy udawało się jej odpędzić strach i zajrzeć w swą głębię, znajdowała tam dobro i miłość. To, co się działo, nie mogło zatem być wbrew niej. Los rzucał jej wyzwania, a ona je podejmowała. Nie walczyła z prądem rzeki życia, który został skieowany w jej stronę, lecz szukała, a kiedy udało się jej wybić ponad strach, odnajdując „tak" serca, stawiła mu czoła i popłynęła razem z nim, ufając i wierząc, że to nurt wybrany właśnie dla niej. Nie pozostała również bierna, lecz w końcu chwyciła za wiosła. On wyznaczał drogę, a ona wiosłując, współkształtowała jego bieg. Wiosłami jej były prośba i modlitwa, sterem zaś wiara, nadzieja i miłość.

– Miłość… – rzekła w zamyśleniu.

Uświadomiła sobie, że nawet jeśli niczego już nie wiedziała lub nie potrafiła odnaleźć, miłość zawsze była obecna. Miłość, jakiej pragnęła i która trwała niezmiennie, jako jedyny pewnik w całym wirze tych tak wielu niewiadomych, prowadząc ją przez całą tę drogę.

– Tak. Miłość – potwierdziła zdecydowanie.

„To miłość jest naszą drogą – pojęła – oraz skałą, odwagą i siłą. Jest prawem wlanym w nasze serca, dlatego odpowiedzi należy szukać w sercu" – stwierdziała, po czym uśmiechnęła się, patrząc w stronę gwiazd. Noc była ciemna, a one świeciły tak pięknie i jasno.

„Trzeba patrzeć w głębię własnego serca i żyć zgodnie z jego «tak» – naszym wewnętrznym głosem trwającym przy blasku prawdy. To nie pozwoli się zgubić, gdyż wierne sercu uczucia i myśli zgodne z tym «tak» będą nas prowadzić. Żyć zgodnie z «tak» własnego serca, bo tam jest światło i droga, odwaga i siła. Tam należy ich szukać. I «szukajcie, a znajdziecie»" – powtórzyła w myślach.

– Znów go słychać – rzekła, wyrwana nagle ze swych rozmyślań. – Śpiewa i nie poddaje się pomimo chłodu i mroku nocy. Ciągle i nieugięcie – szepnęła zauroczona barwą tej melodii.

Słyszała miękkie i ciepłe dźwięki. Choć ciche i delikatne, były wyraźne. „Ciekawe, o czym tak wyśpiewuje nocą?" – zastanawiała się, podczas gdy on powtarzał nieustannie to samo:

*„Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość"**.

„Tak oto wszystko tkwi w nas. Jest wielkością człowieka, jaką obdarzył nas Bóg, wlewając w nasze serca miłość ze swej Miłości – powróciła do swych rozważań. – Gdzież więc mogłaby być ukryta tajemnica prawdy, największy skarb naszego życia, jeśli nie w sercu?" Uśmiechnęła się w zadziwiający sposób, który tylko blask gwiazd i śpiewający za oknem ptak byli w tej chwili w stanie pojąć. „Stworzył nas swoimi dziećmi i obdarzył największą mocą i prawem – miłością. I pragnie, byśmy z tego czerpali. Mamy zatem prawo i zaszczyt: prosić, wierzyć i być wysłuchanym, bo takie jest prawo miłości".

Te myśli rozświetlały teraz jej duszę i zdawało się jej, że potwierdza je mocne i zdecydowane bicie serca. Rytmiczne i energiczne, rozpierane radością nowego, chociaż tak oczywistego odkrycia. Znalezienia na nowo tego, co od zawsze, od początku jest wpisane w jestestwo człowieka, tylko o tym zapominamy, zatracamy.

„To miłość! Zostaliśmy stworzeni z miłości do miłości. Gdzież zatem może uciekać się człowiek, jeśli nie do źródła, z którego wziął początek, i oceanu, do którego podąża. Tajemnica natomiast tkwi w nas samych i tylko my możemy ją w sobie odkryć, by prawdziwie pojąć i uwierzyć, a następnie pozwolić kwitnąć naszemu życiu kształtami i barwami światła, jakich najbardziej pragniemy" – rozważała.

* List do Koryntian, *Hymn o miłości,* 1Kor, 13,13.

Po chwili, unosząc głowę w stronę migoczących gwiazd, potwierdziła w duszy: „To miłość jest największym i najcenniejszym skarbem naszego życia. Naszą najmilszą tajemnicą" – rozmarzyła się. Tak ogromną, że wydawało się jej, że nie ma nic ponad to. „Tak potężną, jak oczywistą, gdy tylko pozwolimy samym sobie sięgnąć po nią i odkryć" – dodała, a radość wypełniła jej serce.

Poczuła się jak małe dziecko, które zawsze może pobiec do rodziców i prosić ich o pomoc, a oni w swej miłości zrobią wszystko, by spełnić jego prośby. Znów prawdziwie w to wierzyła i tak też czuło jej serce, potwierdzając tę prawdę.

– Prawo miłości – szepnęła. – Tak, to tu właśnie należy szukać drogi, odwagi i siły. I wiemy to od zawsze, a jednak ciągle się gubimy…



Słowa

Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie.

(A. Mickiewicz, *Dziady*)

Jak dobrać słowa, by wydobyć sedno naszych pragnień,
nie przesłonić go, nie zgubić, czy też nie wypaczyć?

„Zatem od myśli wszystko się zaczyna. Głos serca natomiast pomaga je pojąć zgodnie z prawdą" – powróciła do swych rozmyślań. „Następnie ubieramy je w słowa, za pomocą których działamy i które wznosimy w prośbie czy modlitwie. Czyż to nie wspaniałe, że tak możemy?" – pomyślała i uśmiechnęła się.

Po chwili jednak zaduma pojawiła się na jej czole, marszcząc je głęboko, po czym padły kolejne pytania w jej głowie.

„Czy jednak czasem słowa nas nie zwodzą, przesłaniając prawdę, lub też odwodzą od niej i prowadzą w przeciwnym kierunku? One bowiem nadają kształt naszym myślom, potrzebom i marzeniom. Są jak ich szata, jak wiosło łodzi, którą płyniemy. Czy zatem przywdziewamy odpowiednią szatę naszych pragnień? Czy wiosłujemy w dobrym kierunku? Jak dobrać słowa, by wydobyć sedno naszych marzeń, nie zasłonić go, nie zgubić czy też nie wypaczyć? Czasem skupiamy się na czymś, co chcemy odeprzeć, odsunąć od siebie, a jednak właśnie to do nas przychodzi. Dlaczego tak się dzieje? Nie chcemy tego, a jednak tak się dzieje…" – rozmyślała.

„Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie" – powróciło wspomnieniem.

„Słowa… – rozważała. – Tak, wielkie mogą mieć znaczenie, ogromną czynić różnicę".

Do jej głowy napłynęły ponownie słowa: „aborcja", „zapobiegać", „usunąć ciążę", „płód". Teraz, kiedy otarła się o doświadczenie tego, co kryje się za ich brzmieniem, potrafiła dostrzec przesłanianie prawdy. Chowanie jej za wyrażeniami, które zwodzą postępem, aktualnymi trendami czy też w inny sposób. „W rzeczywistości zaś przesłaniają to, co prawdziwie rozgrywa się za nimi – stwierdziła w myślach, a na jej twarzy zarysował się głęboki smutek. – Zasłona ta zaś, tkana mistrzowsko dobieranymi określeniami na czasie, dopasowuje się idealnie, swą barwą i pozorem, do postrzegania współczesnego człowieka.

Tak doskonale, iż często nie zostawia żadnych wątpliwości. Dlatego tak trudno dostrzec prawdę…"– przerwała zafrasowana, skupiając się na treści tych przemyśleń.

Nagle jednak nowa myśl zajaśniała w jej głowie przynosząc kolejne pytanie.

„Czy słowa mogą nas zwodzić jeszcze w inny sposób?" – zastanawiała się, szukając czegoś, co mogłoby stać się wskazówką w odnalezieniu na to odpowiedzi. Miała bowiem wrażenie, że te słowa Mickiewicza mogą mieć szersze znaczenie. Wtedy przypomniało się jej, że Matka Teresa z Kalkuty powiedziała kiedyś:

„Nigdy nie wezmę udziału w manifestacji antywojennej. Jeśli jednak zorganizujecie manifestację pokojową, to mnie zaproście".

„Wydawać by się mogło, że to taka sama manifestacja, a jednak wyrażenie słowami jej celu sanowiło dla niej zasadniczą różnicę. Czego nie chciała poprzeć Matka Teresa? – drążyła dalej. – Słowo «antywojenna» kieruje nasze myśli i uczucia ku wojnie, czyli ku temu, czego właśnie nie chcemy. Budzi strach, opór i wiele innych złych uczuć, które osłabiają naszą wiarę i wewnętrzną siłę. Prawdziwa moc wypływa bowiem z dobra i miłości, tak jak słowo «pokój», który powinien być dążeniem, celem i sensem takiej manifestacji. Wypływa z dobra i miłości i przez nie nabiera prawdziwej mocy: dobra i miłości – powtórzyła. – To właśnie chciała poprzeć Matka Teresa: światło, dobro, miłość, życie i pokój". Coś jakby zaczynało się klarować w jej głowie. „Czyżby zatem chodziło o negację tego w wyrażeniu słowem?"

„Negacje… – zamyśliła się. – Może to taki podstęp, by przeinaczyć nasze pragnienia?" Potrzebowała dłużej się nad tym zastanowić. „By rzucić na nie cień, zwieść na niewłaściwe tory i pchnąć w rozpacz i niemoc, zamiast budować siłę. «Nie» jest zbędne tam, gdzie powstaje myśl, by nie zamazać czy też nie przeinaczyć jej sensu. Pragnienie bowiem w swej istocie jest zawsze na «tak». Należy więc ująć je w słowa oddające tę prawdę. Kiedy prosimy o pokój, to pokój jest naszym pragnieniem, nie brak wojny, która w tym marzeniu w ogóle nie istnieje. Tak samo jest, gdy prosimy o zdrowie, to zdrowie jest istotą i sensem naszego pragnienia, nie brak choroby. Przecież prosząc o zdrowie, nie na chorobie chcemy koncentrować nasze myśli, wywołując tym samym smutek i strach, jakie ta z sobą niesie, lecz na radości i szczęściu, jakie daje zdrowie. To właśnie wyobrażenie zdrowia, tak jak pokoju, potęguje w nas dobrą energię, wzmacniając tym samym naszą wewnętrzną siłę".

„W przekazie słownym, w pierwszej chwili wychwytujemy swym sercem i umysłem główne wyrażenia, które w sposób istotny oddziałują na nasze uczucia i myśli, a zatem: «zdrowie» lub «choroba», «pokój» albo «wojna» – rozważała, podążając dalej tym tropem. – Negacja jest niejako pomijana, nieobecna w pierwszym odbiorze, jaki do nas docie-

ra, gdyż następujące po niej słowa mocnym uderzeniem odciskają w nas zasadnicze piętno swego przesłania. Tak też w wyrażeniach «antywojenna» i «nie choroba» słowa: «wojna» i «choroba» napawają przerażeniem tak wielkim, że staje się ono główną siłą odbioru takiego komunikatu. Balastem tak ciężkim, że trudno czy wręcz nie sposób zrzucić go z siebie. A w obronie przed takim zagrożeniem budzi się w nas strach, złe uczucia i myśli, wychodzące naprzeciwko tej grozie z negatywną odsieczą. W taki sposób «nie», które zanika w pierwszym uderzającym w nas odbiorze, powraca z pomnożoną siłą w bolesnych odczuciach i zatrwożonych myślach jako negacja naszego pragnienia. I tak potęguje się ciemna strona, będąca przeciwieństwem naszych marzeń. Zatem «nie» oraz wszelkie negacje odzierają nas z istoty pragnień". Potrzebowała zatrzymać się nad tym dłużej, układając te przemyślenia w swej głowie.

„Negacje zwodzą nasze myśli na zupełnie inne tory, nie marzeń, lecz ich zaprzeczeń, nie radości, a lęków i obaw, wywołując uczucia złe, gaszące pozytywną energię, wiarę w dobro i jego spełnienie. Tłumią nas w ten sposób, popychając w strach, który osłabia, a wtedy to wszystko potęguje się jeszcze bardziej i przybiera na sile, ciągnąc nas w ciemną dolinę" – kontynuowała rozważania. Nie poddawała się, nie mogła teraz przestać.

„Jaką siłę i moc może bowiem mieć manifestacja antywojenna przepełniona strachem wojny i wychodząca naprzeciw niej w pełnym uzbrojeniu negatywnej energii złych odczuć i myśli?" – pytała zafrasowana. „Z pewnością nie taką, jakiej w istocie pragniemy" – odpowiedziała sobie sama i posmutniała.

Nie ustawała. Szukała dalej, chcąc to wszystko jakoś poukładać w swoim odkrywaniu i pojmowaniu siły ludzkiego ducha i mocy miłości, a teraz i wagi słowa.

„Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie" – powtórzyła raz jeszcze, porządkując te rozważania. – „Trzeba zatem myśleć jasno i klarownie oraz wyrażać to takimi właśnie słowami, oddającymi prawdziwy sens i istotę naszych pragnień, nie zostawiając żadnej luki na podszepty strachu i fałszu, by słowo nie skłamało głosowi, a on naszym myślom. A «nie» i negacje – zatrzymała się na chwilę, jakby chcąc się upewnić – kłamią sercu, «głosowi», zwodząc nas w przeciwnym kierunku od wyrytej w nim prawdy i podnoszą tym samym naturalny bunt przeciw temu zagrożeniu. Zatem i myślom kłamią. Wystarczy bowiem wykreślić «nie» oraz wszelkie negacje, dostrzegając co pozostaje i w nas uderza: ~~nie~~choroba, ~~anty~~wojenna. Tak choroba i wojna, czyli negacja naszych pragnień, trwoży serce i tą trwogą przenika do myśli – popychając ku mrokowi wojny, zamiast ku światłu pokoju".

– Popychając ku mrokowi wojny, zamiast ku światłu pokoju – powtórzyła szeptem.

„Jak zatem dobrać słowa, by wydobyć sedno naszych marzeń, nie zgubić go, czy też nie wypaczyć?" – zastanawiała się. Spoglądała w niebo, okrywający je mrok i blask gwiazd, które wydawały się być niczym małe kamyczki świetlistych szlaków. Widok ten przynosił ukojenie. „Naszą wielkością jest odeprzeć negatywizm i powrócić na drogę prawdziwych pragnień" – kontynuowała, ciągle zagłębiona w swym poszukiwaniu, po czym padła krótka, zasadnicza i jakże prosta odpowiedź:

„Odnaleźć serca «tak», odrzucić «nie»".



Prosząc

I otrzymacie wszystko,
o co na modlitwie z wiarą prosić będziecie.
(Mt 21,22)

„Słowa… – zatrzymała się jeszcze na chwilę, rozważając ich znaczenie w ludzkim życiu. – Komunikujemy się za ich pomocą, działamy, a także wznosimy w prośbie i modlitwie".

– „I otrzymacie wszystko, o co na modlitwie z wiarą prosić będziecie" – szepnęła.

Tym bardziej istotny wydał się jej odpowiedni dobór słów w wyrażaniu swych próśb. „«Nie» komunikujemy tu na ziemi w obronie przed tym, czego nie chcemy, co może wyrządzić nam krzywdę czy nas zranić. Negacja jest jednak zbędna tam, gdzie kierujemy nasze myśli i pragnienia, wznosimy modlitwy" – rozmyślała. „Tam jest najwyższe dobro i największa miłość i nie ma nic, przed czym musielibyśmy się bronić. Należy zatem ująć nasze pragnienia w myśli i słowa oddające ich prawdziwą istotę i sens – potwierdziła swe rozważania. – Modlitwa ma bowiem wielką moc…"

Przerwała, lecz za chwilę na nowo podjęła rozważania.

„Jak wielką?" – zadała sobie pytanie. A po krótkim zastanowieniu odpowiedziała: „Wydaje się drogą ku pragnieniom, a równocześnie zbroją i tarczą. Chroni nas przed atakami zła i nieokrzesanym wirem szarości. Skupiając się w czasie modlitwy na tym, o co prosimy, nie zostawiamy luki na podszepty strachu i innych zwodniczych myśli. Nasze myśli i uczucia podążają w jedności i harmonii w tym samym kierunku, nie dając miejsca niczemu poza tym. – Twarz jej rozjaśnił wewnętrzny spokój, a kąciki ust lekko uniosły się w górę – …i wtedy jesteśmy bezpieczni" – dodała.

„Tak, modlitwa to droga ku pragnieniom, zbroja i tarcza"– powtórzyła w myślach, uśmiechając się.

Nagle znów coś porwało ją w zamyślenie. Ujrzała w swej głowie obraz wyjącego sztormu zbliżającego się w jej stronę i poczuła przerażenie. Samo już wspomnienie tej sytuacji zmroziło jej myśli na chwilę. Trwoga minęła wraz z obrazem jej wyciągniętych w górę rąk i serca wołającego o pomoc.

Zamknęła oczy, wracając do tamtej chwili.

„I ratunek – dodała – nawet w chwilach i sytuacjach beznadziejnych. Modlitwa to krzyk o pomoc, gdy szarość nas przytłacza, strach zniewala i czujemy, że sami sobie nie poradzimy z natłokiem obaw, lęków czy pokus, które nas atakują. Jest wołaniem w stronę światła, w kierunku którego chcemy podążać, nawet, a może zwłaszcza wtedy, kiedy brakuje nam sił. Czasem to ostatni odruch, na jaki jeszcze udaje się nam zdobyć".

„Modlitwa… – szepnęła w duszy. – Tak, wielka jest moc modlitwy".

Zacznij od ufnej modlitwy
i miej wiarę,
gdyż otrzymujemy tyle,
na ile się spodziewamy.
(fragment rozważania ze strony www.biblijni.pl)



Głębia nocy

Blask gwiazd i nuty ptasiego śpiewu
rozpraszały swą lekkością, blaskiem i barwą
strach i ciemność,
nie burząc równocześnie spokoju nocnej ciszy,
a wręcz przeciwnie, napawały ukojeniem.

„Tak więc pragnienia ujęte w słowach nadają kształt myślom, a wznoszone z wiarą w modlitwie prowadzą" – układała w głowie swe przemyślenia, patrząc znów w stronę okna, w kierunku nieba, zdającego się być tak blisko, tuż nad nami. „Jest takie wszechobecne… I… czeka na nas? – zastanawiała się ujęta tym widokiem, gdyż czuła się, niemalże dosłownie, otulana niebieskim bezmiarem. – A może zaczyna się już tu, w nas? Poprzez jego pragnienie?" Patrzyła tak długo, jakby chcąc wzbić się na chwilę ponad wszelką przyziemność. Świadomość nieba, pomimo wszystkiego, co starało się je przesłonić, porywała jej myśli ku temu, co w niej i ponad nią. „Poprzez jego pragnienie…" – powtórzyła w duszy, po czym zamknęła oczy, szukając głębokiego wyciszenia, by światło serca mogło ją dalej prowadzić.

– I znów go słychać – szepnęła nagle, powracając na ziemię wraz z nutami ptasich treli.

Zaintrygowała ją ta melodia przecinająca nocną ciszę swą lekkością i czarem, nie burząc równocześnie jej spokoju, a wręcz przeciwnie, niosąc ukojenie. Podeszła do okna, próbując odnaleźć tego nocnego śpiewaka. Nic jednak nie udało się jej dojrzeć. Mimo to długo tak stała, patrząc w głębię nocy rozświetlaną blaskiem gwiazd i napawającą ukojeniem tego cudownego, ptasiego śpiewu. Choć nie mogła go dostrzec, wydawało jej się, że głos ten dobiega od strony drzew, rosnących na skraju pobliskiego skweru, które żartobliwie zwano „borem". Nade wszystko dziwiło ją jednak, że dźwięki te nie dochodziły z góry, z koron drzew, lecz z powierzchni ziemi. Musiało być to małe stworzonko, bo nie zdradzały go żadne ruchy i odgłosy prócz śpiewu.

„Czy to bezpieczne dla niewielkiego ptaszka wyśpiewywać nocą pośród traw, gdzie czyhają na niego koty i inne niebezpieczeństwa? – zastanawiała się. – A jednak ciągle śpiewa, otulając ziemię tą pieśnią. Jakżeż on musi ją kochać…"

Była pełna podziwu dla tego małego, niewidocznego śpiewaka, który swą melodią odmieniał barwę nocy. Nawet mrok nie wydawał się tak straszny i ponury, gdy gwiazdy mrugały do niej z góry, przecinając go swym blaskiem, a duszę koiły te piękne nuty. Zamknęła na chwilę oczy, by móc pełniej wsłuchać się w te kilkakrotnie powtarzane miękkie dźwięki.

On zaś wyśpiewywał ciągle i nieustannie to samo…



Wybór

Jeśli nie powiemy swemu sercu „tak”,
może pojawić się pustka, w której zaistnieje „nie”.

Uśmiechnęła się, patrząc jeszcze przez chwilę w głębię nocy rozświetlanej blaskiem gwiazd i wsłuchując się w ciszę otulaną czarem ptasiego śpiewu, po czym wróciła do łóżka i swych wcześniejszych rozważań.

– Zatem silni jesteśmy duchem i sercem – szepnęła, jakby chcąc zatrzymać te odkrycia, by nie uleciały, nim zdąży je zgłębić. Czuła bowiem, że dalej pragnie podążać za wyrywającymi się gdzieś myślami.

„Nie może być inaczej, bo mamy w sobie moc miłości – zamyśliła się głęboko, po czym dodała: – …lecz wszystko, a także i miłość jest naszym wyborem”.

Potrzebowała chwili, by nadążyć za biegiem własnych rozmyślań.

„Wyciągnęliśmy swą dłoń po wolną wolę, możliwość wyboru i teraz nie możemy nie wybrać. Zawsze wybieramy, począwszy od pierwszych, pojawiających się w naszej głowie myśli”. „Zawsze wybieramy – powtórzyła – tylko czynimy to świadomie lub nieświadomie. Rezygnacja z wyboru okazuje się bowiem niczym innym, jak wyborem niepodjęcia wyboru, zdecydowaniem się na to, co przyniesie życie. Ono zaś pochwyci to, co pojawi się w naszej głowie – myśli, które szybko mogą stać się dominujące. Niekoniecznie będą to jednak te, które są odzwierciedleniem naszych marzeń. Prawdopodobnie nasuną się też inne, które przez niepewność i obawę odwodzą nas od prawdziwych pragnień. Jeśli bowiem nie powiemy «tak» prawdzie naszego serca, może pojawić się luka, w której zaistnieje «nie». Tylko czy tego chcemy?” – zatrzymała się na chwilę w tych rozważaniach.

„Brak świadomego wyboru swych głębokich pragnień i prawdziwego «ja» może spowodować zatracenie celu i sensu naszego istnienia – kontynuowała. – Gdy własnym wyborem nie potwierdzimy swych szczerych marzeń, negując przez to i siebie samego, do czego będziemy dążyć? Cóż w nas pozostanie?”

„Pustka” – usłyszała w myślach własny głos rozbudzony wspomnieniem, kiedy to wynik amniopunkcji zdruzgotał ją. Nie mogła się odnaleźć i wydawało się jej, że nic już nie pojmuje i nie czuje. „I nastała pustka. Nicość. Jakby otwarto wrota, wyważono drzwi i wszystko

gdzieś uleciało, zniknęło, czy też wykradzione zostało. Cały sens i istota".

„Pustka – powtórzyła w duszy – jaka obnaży się wcześniej lub później, a którą przez towarzyszące nam zagubienie wypełnić mogą myśli niechciane, niszczące i druzgocące nas" – dokończyła i zafrasowała się.

„Możemy jednak wpływać na swoje myśli i je wybierać – rzekła w sercu z radością, po czym dodała ze smutkiem: – …albo z tego rezygnować, świadomie lub nieświadomie. W naszej głowie krążą miliony różnych myśli, a my władni jesteśmy uczynić je naszym wyborem i trwać przy nich" – układała sobie własne przemyślenia. „Uwierzyć w to, że możemy pozostać wiernymi sobie i współtworzyć swe marzenia. Druga możliwość to stać się obojętnym czy też dać się porwać obawom i lękom, zwątpieniu w siebie, przekonaniu o własnej niemocy i… się poddać".

„Wybieramy zatem – rozmyślała – już na poziomie myśli, gdzie wszystko się zaczyna. Tak budujemy naszą siłę lub całkiem po prostu wycofujemy się lub odpuszczamy. Nie podejmując świadomego wyboru, rezygnujemy z decyzji o sobie i własnym życiu. Możemy je kreować lub tego zaniechać, porzucając tym samym swe pragnienia. Nieco to skomplikowane, choć – zamyśliła się – może jednak całkiem proste?" – pytała szukając. „To tak jak z listem do świętego mikołaja – stwierdziła po chwili z uśmiechem. – Żeby otrzymać wymarzony prezent, trzeba go najpierw wybrać, a potem napisać o nim w liście do tego wspaniałego dziadka z długą, białą brodą spełniającego nasze bożonarodzeniowe marzenia".

Teraz jej oczy rozbłysły radosnymi iskierkami dziecięcej, szczerej radości, przywołując wspomnienie z dzieciństwa. Będąc małą dziewczynką, niepotrafiącą jeszcze pisać, płakała krokodylimi łzami, zmartwiona, że z pewnością nie otrzyma od mikołaja upragnionego prezentu, bo jak ma go poinformować o tym, co chciałaby dostać, kiedy nie potrafiła tego napisać. Wtedy rodzice doradzili jej, by po prostu narysowała to, czego pragnie. Wymalowała więc swoje marzenie, to wybrane i upragnione, po czym włożyła do koperty i list był gotowy. Tym oto sposobem w najbliższe Święta Bożego Narodzenia znalazła pod choinką swój wymarzony prezent. Nie poddała się obawom wynikającym z braku umiejętności pisania, lecz szukając, nawet przez łzy, znalazła inny sposób, aby wyrazić swój wybór. Co jednak zdarzyłoby się, gdyby nie narysowała tego rysunku? Cóż, i w tym wypadku pewnie pomogliby jej kochający rodzice, gdyż znali pragnienie jej serca. Powiedziała im, o czym marzy. Z pewnością jednak nikt nie mógłby jej pomóc, gdyby nie dokonała żadnego wyboru. Co wtedy? Otrzymałaby pewnie coś, co sprawiłoby jej mniejszą lub większą radość, zirytowało albo zasmuciło, czy nawet rozgniewało z powodu braku spełnienia prawdzi-

wych pragnień, lub też całkiem po prostu nie znalazłaby pod choinką żadnego prezentu. Aby otrzymać, należy bowiem poprosić, żeby natomiast poprosić, trzeba najpierw wybrać to, czego pragniemy.

„Jak proste i wspaniałe jest myślenie dziecka i jak bardzo dorosłość to komplikuje" – westchnęła. „Może dlatego, że dorośli przestają pisać listy do mikołaja? – zażartowała w duszy. – I oto kolejny powód, dlaczego nigdy nie powinniśmy przestać w niego wierzyć" – uśmiechnęła się żartobliwie w dziecięcym rozmarzeniu. „Przestajemy bowiem zdawać sobie sprawę nawet z tego, że do spełnienia marzeń tych małych i tych wielkich niezbędny jest najpierw ich wybór – kontynuowała. – Wybieramy zaś ciągle i możemy to czynić świadomie. Wybierając to, czego pragniemy – «tak» naszego serca, otrząsając się tym samym z obojętności czy strachu i odrzucając to, czego nie chcemy – nie pozwalając się wkraść i zwieść «nie». Listem zaś jest nam modlitwa, a prezentem jej wysłuchanie – stwierdziła, przypominając sobie fragment ewengelii: «Albowiem każdy, kto prosi, otrzymuje» (Mt 7,8). – I nie potrzebujemy czekać do Świąt Bożego Narodzenia, to dzieje się nieustannie, każdego dnia".

„Wybór jednak nie zawsze musi oznaczać samodzielne podejmowanie konkretnych decyzji czy też szukanie najlepszych rozwiązań własnymi sposobami. Przede wszystkim chodzi tu o wybór serca" – zamyśliła się teraz na dłużej, jakby czegoś znów szukając. „Rozwiązanie naszych problemów czy spełnienie pragnień jest nieraz zbyt trudne jak na ludzkie możliwości, często wykraczające poza granice naszego poznania. Możemy zatem, dokonawszy wyboru serca, po prostu zawierzyć – uśmiechnęła się, po czym dokończyła: – i dać się prowadzić jak dziecko rodzicom".

– Jakże „małym" trzeba się czasem stać, „małym" jak dziecko, by pojąć wielkie rzeczy – szepnęła.

Teraz powróciła jednak do teraźniejszości i swych dorosłych pragnień.

„Gdybym nie podjęła wyboru – zastanowiła się – nie wybrała «tak» swego serca, mówiąc «tak» miłości, życiu i swemu synkowi: «Tak! Jakikolwiek jesteś, czy będziesz», a jedynie biernie oczekiwała, co się wydarzy, nie mogłabym współtworzyć oblicza tego «tak», mojego marzenia. Po prostu nie podjęłabym go, decydując się tym samym, choć nieświadomie na rezygnację z własnych pragnień. To, co wydarzyłoby się w mym życiu, działoby się niejako poza mną, nie mogąc stać się prawdziwym spełnieniem mnie. Jak bowiem mogłabym pokochać, nie mówiąc miłości «tak»? Natomiast nie wybierając «tak», pewnie oddałabym się jedynie bezczynnemu oczekiwaniu w niepewności, lękając się każdego dnia, co z nami będzie. Co przyniesie nam życie. Trwoga ta zaś potęgowałaby to, co przeraża i boli jeszcze bardziej.

A wtedy wszystko zaczęłoby może przybierać wyłącznie szare i czarne barwy strachu. I tak bardzo osaczać, że nawet spełnienie mojego pragnienia nie cieszyłoby mnie, gdyż ta szarość przesłoniłaby prawdę mych marzeń w sposób tak istotny, że nie potrafiłabym jej dostrzec i rozpoznać, zatracając ją, a tym samym i samą siebie. Bo czyż pragnienie może się stać naszym pragnieniem, bez uczynienia go nim? Bez wyłonienia go z głębi siebie i powiedzenia mu «tak»? Jak marzenie miałoby zostać rozpoznane i mogłoby wypełnić nas radością bez jego wyboru? Czy potrafiłabym się w pełni cieszyć ze zdrowia swego dziecka, nie pragnąc tego? Pewnie przyjęłabym to wtedy jako coś normalnego, «należącego się», zupełnie nie doceniając i nie mogąc tym samym pojąć, jak wielkie to szczęście, jak wspaniały dar – zdrowie. Szarość zaś osaczałaby nas, odwodząc od tej radości, a wskazując na obawy, zagrożenia i trudności wady genetycznej, co z pewnością zdecydowanie przesłoniłoby jeszcze bardziej prawdę mego serca. Tak zamiast radości, zostałabym pchnięta w smutek, strach i boleść. Jeśli bowiem nie wybieramy, wzrok, poznanie i pojęcie prawdy o samym sobie jakże łatwo mogą zostać przesłonięte i skierowane w zupełnie inną stronę…" – zafrasowała się.

Patrzyła przez chwilę w mrok nocy.

„Gdy nie podejmujemy swych marzeń, to tak jakbyśmy zamknęli się na nie w strachu czy obojętności – kontynuowała. – W swym lęku i zwątpieniu rozciągamy następnie zasłony, chowając się przed tym, co nas trwoży. Zasłony jednak nie tylko przesłaniają to, od czego chcemy się odciąć, lecz równocześnie blokują dostęp światła. W ten sposób odbieramy sobie szansę ujrzenia czaru wschodu słońca. A «ukryci» możemy przegapić je wszystkie, tłumacząc się przeróżnymi wymówkami, chociażby chłodu poranka, oszukując w ten sposób własne serce. Tak, nie podejmując trudu i nie szukając odwagi trwania przy własnym «ja», popychamy się w żal niespełnionego marzenia i zatracanie samego siebie. Decydując się na wygodę czy pozorne bezpieczeństwo, popadamy w szarość, zasłaniając się nią, ta zaś narasta i ciemnieje…"

„A wystarczy zdać sobie sprawę z własnych pragnień. – Podążała dalej tym tropem. – Nieważne, jak wcześnie trzeba wstać, jak chłodny jest poranek i jak długo czuwać, wyczekując tych wspaniałych, pierwszych promieni wybijających się zza widnokręgu, rozpraszających mrok nocy obietnicą światła dnia i ciepła. Trzeba otrząsnąć się z marazmu, strachu, odrętwienia, lenistwa, obojętności czy czegokolwiek, co nas zniewala, by pozwolić zaistnieć własnemu marzeniu i dać sobie szansę ujrzeć promienie słońca rozpraszające mrok. I pozwolić się otulić temu światłu w całym jego blasku i cieple". Uśmiechnęła się z wyrazem twarzy kryjącym w sobie słodką obietnicę szczęścia.

„Nie sposób bowiem uciec przed strachem w strach, a przed ciemnością ukryć się w ciemności. Jedynie światło może nas ochronić i wyzwolić. Jeśli je wybierzemy" – dodała,. zagłębiając się na chwilę w tę myśl, jakby zatapiając w blasku tego światła

„Decydując się na przyjęcie woli Bożej, mogłam prosić, aby zadanie to nie przekroczyło naszych sił. By nawet z tej ciemności, w jakiej wydawało mi się, że utknęłam, wyłoniło się słońce kolejnego dnia, niosąc światło nowego oblicza naszych marzeń – kontynuowała. – Mogłam się modlić o zdrowie dla naszego synka, o żołądek i wszystkie inne narządy, o to, by urodził się w terminie, zdrowy. Nie ma bowiem spełnionego rozwiązania bez jego pragnienia. Musimy tylko pojąć, czego naprawdę chcemy i to wybrać już na poziomie myśli" – dodała. „Tak – uświadomiła to sobie i znów się uśmiechnęła. – A potem zaufać, uzbroić w pokorę i cierpliwość, tarczę modlitwy, wiarę i moc miłości, otulając ich blaskiem i ciepłem, a wtedy i chłód nocy może się okazać jedynie rześkim rozbudzeniem". Tak się rozmarzyła, że niemal poczuła muśnięcie promieni wschodzącego słońca.

„A jeśli słów modlitwy w nas zabraknie lub trudno znaleźć właściwe… – zamyśliła się znów na chwilę. – …możemy wymalować w swych myślach głębię naszych pragnień i pozwolić im się wzbić. Tak jak wznieść obraz marzeń w oprawie nieugiętej wiary czy po prostu narysować swój «list»". Uśmiechnęła się błogo, po czym nieco zafrasowała. Szybko jednak wrócił jej spokój ducha i dodała: „Lecz kiedy nawet barwy radości i marzeń się w nas wyczerpią – przerwała, przygnieciona trudem takich chwil – pozwólmy naszemu sercu tak po prostu zawołać: «Pomóż mi!», «Ty się tym zajmij!»*". I usłyszała w swej głowie beczenie małej, przerażonej owieczki: „Pomóż mi!".

„To krzyk, który sam wyrywa się z naszego serca – pomyślała. – Wystarczy go nie blokować, a po prostu zawołać. Jeśli bowiem zdajemy sobie sprawę z prawdy swego serca i wybieramy ją szczerze, nigdy nie jest za późno". Spojrzała z nadzieją w stronę gwiazd, lecz po chwili głęboko posmutniała, dodając: „To jednak nasz wybór, zatem nawet i tego wołania władni jesteśmy zaniechać".

„Nie wybierając zaś… – Wróciła wspomnieniem do tafli światła i otchłani ciemności, jakie ujrzała w lustrze na ścianie szpitalnego korytarza. – Nie wybierając – powtórzyła – podążamy, nie wiedząc, w którą stronę się udać, stąpając w pustce i mroku bez światła. Możemy więc się gubić, a nawet dotrzeć do przepaści i jej nie dostrzec. Cóż bowiem można dojrzeć w mroku bez rozświetlających naszą drogę promieni jasności? Tak brak wyboru może się stać wygraną ciemności, a naszą zgubą…"

* Akt zawierzenia z pism ks. Dolindo Ruotolo.

Rozważania te, wiodąc ją przez światło i ciemne doliny, raz rozjaśniały jej twarz pogodnym uśmiechem, a za chwilę pogrążały w smutku. Tak i teraz pochyliła ze zmartwienia swą głowę.

„Nie zawsze jednak od razu dostrzegamy światło, a wtedy często wydaje się, że nie potrafimy dokonać wyboru" – westchnęła w duszy ze smutkiem. Przez pewien czas patrzyła na gwiazdy, jakby znów czegoś tam szukała. Po chwili twarz jej się rozpogodziła. „A jednak już samo szczere pragnienie światła staje się jego wyborem, który nas poprowadzi" – stwierdziła, uśmiechając się. „Jeśli trzeba, to przez szukanie" – dodała.

Jej serce bowiem nigdy nie przestało szukać, nawet wtedy, gdy była tak zdruzgotana, że czuła jedynie ogarniającą ją pustkę i nicość. Kiedy zaś sama nie mogła sobie z tym wszystkim poradzić, usłyszała głos wykraczający ponad pojęcie ludzkie, który ją prowadził i nie pozwalał się poddać. Cichy, delikatny i niemy, lecz przepiękny oraz niosący ukojenie w trwodze, dodający odwagi, otulający miłością i blaskiem prawdy – głos jej synka, odpowiedź na „tak" jej serca, gdy sama nie potrafiła sobie z tym wszystkim poradzić i się odnaleźć.

„Wybieramy więc zawsze, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy" – stwierdziła, a myśli jej wędrowały raz jeszcze przez cały ten okres trosk, strachu, lęków, niepokoju, zagubienia, łez oraz nadziei, wiary i miłości, znajdując tam po raz kolejny potwierdzenie tych słów.

– Wszystko jest możliwe, kiedy powierzamy nasze marzenia w ręce światła i miłości – rzekła, a w jej sercu rozbrzmiał dźwięk fletu, który prowadzi do domu.

Zanurzyła się w tej melodii na chwilę.

„Wszystko jest możliwe, gdy wybieramy «tak» serca, nawet niemy głos czy uśmiech nieba" – potwierdziła i uśmiechnęła się z całą głębią, jaką ta myśl w sobie skrywała.

Zatopiła swe spojrzenie w blasku gwiazd, a pokój i ukojenie odbijały się w jej oczach.

Na moment jej rozmyślania obrały jednak nieco inny kierunek, zmącone nagle wizją zaniechania wyboru, a jej wewnętrzna walka z całym atakującym i oszukujacym ludzi złem odcisnęła się głęboko na zafrasowanym czole. I wtedy krzyknęła całą mocą swej duszy:

„Nie! Nie! Tylko nie poddawajmy się! Nie pozostawajmy obojętni! Nie pozwólmy się zdominować, temu czego nie chcemy i co nas gubi! Wybierajmy prawdę serca! Możemy! Stać nas na to! Każdego z nas! Wystarczy zrobić pierwszy krok!"

– Wystarczy zrobić pierwszy krok – powtórzyła szeptem, a w głosie jej rozbrzmiało zawierzenie, rozświetlając jej twarz błogim wyrazem ufności.

Wtedy ten ukryty w nocnej ciszy ptaszek znów się odezwał, jakby chcąc potwierdzić jej słowa swą pieśnią. Teraz jednak śpiew jego nie dochodził już z ziemi, lecz z koron drzew pobliskiego „boru"

„Pierwszy krok, podskok czy też podfrunięcie w górę" – stwierdziła nieco żartobliwie, myśląc teraz o tym małym, wielkim śpiewaku i roześmiała się wesoło na to wyobrażenie.

Wiedząc, że potrafi wzbić się w górę, nie musiała dłużej martwić się o niego.



Pierwszy krok

…w wierze.

Wiara to zrobienie pierwszego kroku,
kiedy nie widzi się całych schodów.
(Martin Luter King)

„Modlić się i wierzyć. I uwierzyć w siebie, w siłę i moc, która nas przepełnia, by znaleźć klucz do wrót prawdziwej wiary. Wiary w niewidzialne, niemożliwe i niepojęte ludzkim umysłem. Wiary mocnej i niezłomnej, a jeśli trzeba, to wręcz upartej". Uśmiechnęła się znów na tę myśl, przywołując wspomnienie walki wszelkimi siłami swego ducha o żołądek ich synka. Nigdy wcześniej nawet nie przypuszczała, że potrafi być tak uparta.

„By odnaleźć w sobie wiarę wystarczy zrobić pierwszy krok? – zastanowiła się jeszcze przez chwilę, jakby pragnąc się upewnić. – Tak. Pierwszy krok w wierze" – powtórzyła, uśmiechając się.

Nagle znów posmutniała.

„To właśnie często jest najtrudniejsze i dlatego pewnie poddajemy się, zanim damy sobie jakąkolwiek szansę, nim w ogóle spróbujemy". Opuściła głowę.

Zamknęła oczy i zobaczyła rozsypane puzzle obrazów ostatnich miesięcy swego życia. Puzzle, które zaczynały się układać w całość, choć jeszcze nie widziała, jaki obraz mają stworzyć. Mogła jednak wyraźnie dojrzeć pierwszy z nich, przedstawiający ich pierwszy krok – odkrycie i wybór ich prawdziwego pragnienia: miłości, dziecka, życia. Pierwszy element jako głębokie pragnienie swego serca, gdyż nic więcej nie potrafiła wtedy odnaleźć. W tym przytłaczającym ogromie strachu i niepewności, które ją osaczały wiedziała tylko to jedno – jeden, jedyny pewnik: kocham swe dziecko. Gdy zaś ten puzzel został wyłożony, automatycznie zaczął przyciągać do siebie następne. Tak powstał mały fragment tworzącego się dzieła: obraz uśmiechniętej buzi ich synka, jej promiennej twarzy, ich szczęśliwej rodziny. Dookoła nadal leżało wiele niedopasowanych puzzli i ciągle ich przybywało. Nie potrzebowała jednak od razu widzieć całego obrazu, całej drogi. Wystarczyło zrobić pierwszy krok

w wybranym kierunku. Pierwszy puzzel zaczynał przyciągać następne, po pierwszym kroku następował kolejny i tak tworzyły się obraz i droga.

– Trzeba tylko odnaleźć i wyłożyć pierwszy puzzel, uczynić pierwszy krok w wierze – szepnęła, chcąc dobrze to zapamiętać. – Następne wyłonią się przed nami, jakby ten pierwszy w cudowny sposób je do siebie przyciągał.

„Ten pierwszy puzzel, pierwszy krok to wybór drogi w stronę światła – zamyśliła się, goniąc w swej głowie myśl, która właśnie zajaśniała. – To podanie swej dłoni w uścisk, który ujmie dłoń naszą, otuli ciepłem i nie upuści, prowadząc i rozświetlając drogę przed nami".

„Wyciągnięcie swej dłoni – powtórzyła – jeśli trzeba to nawet w krzyku. Nie musimy od razu wszystkiego wiedzieć czy pojmować, lecz po prostu odważyć się zaufać. Tego, czego pragniemy, wyboru serca musimy dokonać sami. Za serca «tak» wystarczy podążać. Zrobić pierwszy krok, a potem zawierzyć i dać się prowadzić, nawet… – urwała, zamknęła oczy, a światło głębokiej ufności rozświetliło jej twarz. – …przez łzy, ukojenie ciszy, niewidzialny uśmiech, niemy głos czy też innymi, niepojętymi ludzkim umysłem ścieżkami" – dokończyła, pojmując teraz, czym były one w istocie.

A promień wiary, którą Niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy,
I twe pogodne zwierciadła oświeca;
Ach! ty bez wiary byłbyś niewidomy.
(A. Mickiewicz, *Rozum i wiara*)



Ujrzeć blask

…otwarłszy serce.

Dobrze widzi się tylko sercem.
Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.
(A. de Saint-Exupéry, *Mały Książę*)

Siedziała tak, pogrążona w rozmyślaniach, na wąskim, szpitalnym łóżku. Noc tuliła ją, lecz tym razem nie tyle ukojeniem, co odkrywaniem człowieka. To, czego doświadczyła przez ten ostatni czas i nadal odnajdywała, powoli się łączyło i układało w niepojętą przez nią wcześniej całość. Całość, której stopniowe odkrywanie otulało ciepłem, nadzieją i radością. Jedność ze wszech stron niepojętą. Jednak kiedy zdołała ją choć trochę zgłębić, wszystko sprawiało wrażenie oczywistego. Nawet mrok nocy nie wydawał się już tak ciemny jak wcześniej. Gwiazdy zaś zdawały się ciągle mrugać do niej radośnie, jakby igrały sobie i żartowały, chcąc zapewne powiedzieć: „Nie taka straszna noc i nie taka ciemna, jak ją malują. Wszystko zależy od tego, jakimi barwami sami ją wymalujecie".

„Wszystko zależy od tego, jakimi barwami sami ją wymalujemy – powtórzyła w myślach. – A rozpoczynamy od dobierania kolorów naszych myśli i uczuć. Następnie wybieramy je i malujemy lub przyzwalamy, by pędzel życia malował za nas, odcieniami, które go zaleją. Tak, nasz obraz zaczynamy tworzyć począwszy już od myśli i uczuć, potwierdzając je następnie swym wyborem" – stwierdziła.

Spojrzała znów na gwiazdy, wędrując swymi myślami tam, gdzie mrok zasłania światło, noc słońce, a one mimo to rozświetlają ciemność. Następnie podążała tam, gdzie serce człowieka świadomie oczekuje lub nieświadomie odrzuca wschód słońca w swoim życiu. I tak dotarła do tej chwili, kiedy to wszystkie jej przemyślenia układały się w całość. Zgadzały się z tym, co czuła i czego doświadczała. Nagle skierowała wzrok na puste łóżko obok, które jeszcze kilka dni temu było zajęte. „Gdyby potrafiło mówić, pewnie wiele by nam opowiedziało – pomyślała nieco żartobliwe, rozbawiona zaczepnym migotaniem gwiazd. – I może szepnęłoby, że te ostatnie dni były wyjątkowe… – zamyśliła się, uśmiechając ciepło. – Tak, doprawdy wspaniałe" – dodała, przywołując to tak świeże wspomnienie.

Przed dwoma tygodniami przyszła do niej jedna z położnych, informując, że do jej sali zostanie przeniesiona dziewczyna, która urodziła dziecko z rozszczepem podniebienia i nie może sobie poradzić z tą sytuacją. Z nikim nie rozmawia, a co więcej, nie chce nawet widzieć swego synka. Położne uznały, że może pomóc jej przeniesienie do sali, w której zobaczy, jak inna matka przyjęła swe dziecko z wadą. Do niej zaś zwróciła się z prośbą, aby pomogła tej dziewczynie.

Przeraziła ją ta prośba. Wszelkimi siłami próbowała jakoś ogarnąć własne problemy, ciągle nie bardzo potrafiąc się w tym wszystkim odnaleźć. Jak w takiej sytuacji zdoła pomóc innej osobie? Czy sobie z tym poradzi? Chyba nie czuła się teraz na siłach. Co mogłaby uczynić, co powiedzieć? Nie potrafiła pozbierać myśli.

„Jak pomóc matce, która pewnie właśnie przeżywa szok?" – zastanawiała się.

Sama potrzebowała miesięcy, by choć trochę się odnaleźć i stawić czoła własnym problemom. Wiedziała już, że da się przenosić góry, jednak nie zawsze udaje się to od razu. Często trzeba czasu, by zebrać siły lub wewnętrznie dojrzeć do danej sytuacji. Bardzo chciałaby jej pomóc, ale nie wiedziała jak. Posmutniała, czując się znów tak mała i mizerna, tak nieporadna nawet sama ze sobą.

„Jeśli jednak pomoc jest potrzebna, trzeba wyciągnąć swą dłoń, nieważne jak nieporadną – pomyślała. – Bo co dwie dłonie to nie jedna" – uśmiechnęła się do swych myśli.

Niewiele czasu dane jej zostało na odnalezienie się w tych nowych okolicznościach. Nim minął kwadrans, dziewczyna stanęła w drzwiach i krótkim, dość szorstkim: „Dzień dobry" oraz zdecydowanym spojrzeniem informującym, że nie ma ochoty na pogawędki, zakończyła „rozmowę". Następnie rozpakowała swoje rzeczy i położyła się na łóżku, odwracając w stronę ściany.

– Czy chciałaby pani dzisiaj pójść zobaczyć synka? – zapytała położna.

– Nie – padła krótka i zdecydowana odpowiedź.

Położna wyszła, nie znajdując niczego, w czym mogłaby jeszcze okazać się pomocną.

„Jakże musi być trudno tej dziewczynie – westchnęła ciężko w duszy. – Smutek jest jednak po to, by się posmucić – pomyślała – a łzy, by wylać jego nadmiar, gdy robi się zbyt gorzki i zaczyna zatruwać serce. Nic tu teraz po mnie" – stwierdziła i postanowiła pójść zobaczyć swego synka.

Również i dla niej okazało się to łatwiejsze, gdyż zbyt zaskoczona tą sytuacją nie potrafiła jeszcze pozbierać myśli i znaleźć odpowiednich słów. Wychodząc, odwróciła się, aby nabrać pewności, że chwila samotności jest tym, czego jej współlokatorka potrzebowała te-

raz najbardziej. Dziewczyna leżała odwrócona tyłem, wpatrując się w ścianę uznaną przez nią za najbezpieczniejszą powierniczkę swej niedoli. Widok ten przepełniał smutkiem serce.

„Ona potrzebuje teraz ciszy" – potwierdziła swą decyzję pozostawienia dziewczyny na chwilę samej.

Przenosząc wzrok w stronę wyjścia, dojrzała ślady krwi, jakie zostawiła za sobą. Wróciła, by je posprzątać. Wtedy kątem oka dojrzała krótkie spojrzenie rzucone w jej stronę, po czym podniosła się z widocznym bólem i wyszła. Idąc, próbowała przywołać własne wspomnienia i ustalić, w jakim punkcie zagubienia, w którym jeszcze tak niedawno sama się znajdowała, może być teraz ta dziewczyna. Czy zbliża się, jest lub próbuje przejść nad ciemną przepaścią, gdzie błysk pozorów stara się odwrócić nasze oblicze od światła prawdy? Nie wiadomo. Z pewnością jednak targały nią strach, niepewność jutra, ból, rozpacz, a ona pewnie nie widziała z nich wyjścia.

Rozmyślając o tym z perspektywy tego, co uświadomiła sobie tej nocy, potrafiła dostrzec, że myśli i uczucia tej dziewczyny wpadły w zagubienie, a szarość, strach oraz wrażanie własnej bezradności nękały ją tym mocniej, im większą wyczuwały słabość, próbując wkraść się w jej duszę i przesłonić prawdę. Obawy kłębiły się w jej głowie i atakowały ciosami negatywnych myśli jak kąsające osy, a ból targał jej sercem. Taka stawała się zatem jej rzeczywistość – szara jak deszczowe, złowrogie chmury, które usiłowały przesłonić jej niebo. Nie dlatego, że tak wybrała, lecz ponieważ jeszcze nie dokonała wyboru. Nieświadomie więc jej wybór stawał się wyborem niepodjęcia wyboru, pustką bólu, w której z każdą niepewnością pojawiało się coraz więcej ciemnych chmur. Jak długo nie będzie potrafiła spojrzeć inaczej na swą sytuację, tak długo wszystko to utwierdzać i potęgować się będzie w tych smutnych i ciemnych barwach: lęku, zwątpienia i niemocy. Jedynie odnalezienie prawdziwego pragnienia serca, odkrycie prawdy i jej wybór mogłyby to odmienić, rozpraszając wszelkie cienie. Po prostu trzeba otworzyć serce.

Teraz, gdy sama tak wiele zrozumiała, może potrafiłaby się tym podzielić i pomóc. Wtedy jednak nie było to jeszcze dla niej tak klarowne. To, jak znaczące są nasze uczucia, myśli i wybór. Nie wiedziała więc, co mogłaby zrobić, co powiedzieć, jak wyciągnąć swą dłoń, by pomóc, wesprzeć, a nie zranić zbyt banalnymi i nieporadnymi słowami czy gestami. Czuła tylko, że nie może pozostawić tej dziewczyny samej w tej nękającej ją ciemności.

Kiedy wróciła, tamta nadal leżała odwrócona tyłem. Podeszła do niej, wyciągając swą dłoń.

– Cześć, jestem Sara – rzekła. Ta jednak nie zareagowała, udając, że śpi.

Tak minął dzień pierwszy.

Następnego dnia rano, kiedy dziewczyna siedziała na łóżku, tym razem jednak odwrócona w stronę sali, odczytała to jako dobry znak i po raz drugi podeszła, by się przywitać.

– Cześć, jestem Sara – rzekła, podając rękę.

– Marta – odpowiedziała tamta z pewnym wahaniem.

– Jak się czujesz? – Chciała jakoś zagadnąć, rozpocząć rozmowę, lecz nieco nieporadnie i banalnie jej to wychodziło. „Zawsze jednak lepiej zacząć jakkolwiek niż wcale" – pomyślała, pokrzepiając samą siebie i dodając: – Czy wszystko w porządku?

– Wczoraj długo cię nie było. Czy nie powinnaś więcej leżeć? Widziałam, jak mocno krwawisz – odrzekła dziewczyna, nie odpowiedziawszy na zadane pytanie, rzucając zaś w zamian własne.

Jej oczy rozbłysły z radości podjęcia przez współlokatorkę dialogu.

– Tak, pewnie tak. Masz rację – odrzekła śmiało – lecz wtedy krwawiłoby mi serce. Z dwojga złego wolę to – odpowiedziała nieco żartobliwie uśmiechając się zaczepnie.

Nie wiedziała, skąd jej to przyszło. Może obecność drugiego człowieka wyzwalała w niej więcej pozytywnej energii niż mogłaby się spodziewać. Bycie razem dodawało odwagi i pomnażało radości, a boleści wydawały się mniejsze, gdy miało się świadomość, że nie jesteśmy w nich odosobnieni. Zapominała więc niejako o trudach, w to miejsce napływały zaś radość, nadzieja i nowa siła.

– To znaczy? – dociekała tamta.

– Gdybym leżała, nie mogłabym być z moim synkiem. Zabrali go ode mnie, mówiąc, że ma zbyt wiotkie mięśnie, nie ma odruchu ssania i jeszcze kilka kwestii pozostaje do wyjaśnienia czy zbadania… – głos jej się zachwiał. – Wiem jednak, że on mnie potrzebuje – kontynuowała. – Zresztą ja też za nim tęsknię, więc chodzę do niego. Tak, boli i ciągle krwawię… – przerwała znów na chwilę, gdyż martwiło ją, że nie odpoczywa wystarczająco, by rany mogły się zagoić. – Lecz nie potrafię leżeć z dala od niego, kiedy on, taki malutki jest tam sam. – Spuściła na chwilę głowę, a łzy zabłysły w jej oczach, gdyż tak bardzo pragnęła, by mogli już być razem.

Dziewczyna dostrzegła to, nie pozwoliła jednak emocjom zbić się z tropu.

– Co się stało, że nie ma odruchu ssania? – zapytała.

– Urodził się z zespołem Downa i ma osłabione napięcie mięśniowe. Podobno to dlatego – odrzekła cicho, starając się zapanować nad swymi uczuciami.

Obie zamilkły. Czuła jednak, że nie powinna teraz przerywać rozmowy. Dotarły właśnie do granicy bólu i strachu. Nie warto było się poddawać czy cofać, lecz należało śmiało stawić im czoła, bo przecież obie tego potrzebowały i zdając sobie z tego sprawę, czy też jeszcze nie, pragnęły to przezwyciężyć.

„Jeśli jednak zdecydowała się zacząć tę rozmowę, jest szansa, że zechce ją kontynuować" – pomyślała i mimo że nieco ryzykowne wydało jej się przechodzenie teraz na drugą stronę, postanowiła jednak spróbować. Im prędzej ta dziewczyna zacznie szukać światła, tym wcześniej ma ono szansę znów rozbłysnąć w jej życiu. Wróciła zatem do swego pytania.

– A jak tam u ciebie? Czemu nie możesz mieć przy sobie swego dziecka? Synka czy córeczki?

– Synka – padła odpowiedź, teraz już niespłoszona i spokojna choć słowa jej przepełniała boleść. Mimo tego wydawało się, że dziewczyna właśnie poczuła się bezpieczniej, będąc w towarzystwie osoby o nie mniejszym bagażu doświadczeń. Nie musiała już dłużej obawiać się niezrozumienia, czy też czuć się wyobcowana jak wcześniej, pośród matek tulących swe zdrowe i piękne dzieci. Zamilkła na dłuższą chwilę.

– Ma rozszczep podniebienia. – W końcu zdołała to wypowiedzieć.

– Czy to oznacza, że również nie potrafi ssać? – padło zupełnie naturalnie kolejne pytanie.

– Nie wiem – odparła cicho tamta, spuszczając lekko głowę.

Widząc, jak dziewczynę pochłania mętlik myśli, zrozumiała, że teraz już nie powinna dalej drążyć tematu. Potrzebny był bowiem czas, by ta mogła się z nimi uporać.

Po południu udało się jej przywieźć synka na chwilę do sali.

– To mój synek – rzekła. – Dostaliśmy na trochę przepustkę, by móc pobyć razem.

Dziewczyna lekko się uśmiechnęła, jednak z pewnym zakłopotaniem. W jej głowie ciągle kłębiły się setki różnych myśli i niewiadomych. Postanowili więc jej nie przeszkadzać i zajęli się sobą. Leżeli wtuleni w siebie, po czym zasnęli w swych objęciach. Spali razem jak niegdyś, gdy byli jeszcze nierozłączni, słysząc nawzajem bicie swego serca. To były ich chwile radości i ukojenia. Współlokatorka spoglądała na nich czasem ukradkiem. Kiedy się obudzili, już jej nie było, gdzieś wyszła. Odwiozła więc synka, a gdy wróciła przywitało ją spojrzenie, które jakby na nią czekało.

– Byłam u mojego synka – rzekła tamta odmienionym głosem. – Wiesz, on ma odruch ssania i świetnie sobie z tym radzi. Karmiłam go. Wszystkie położne były zdziwione, gdyż przy takim rozszczepie podniebienia nikt się tego nie spodziewał. Powiedziały, że musi być

wyjątkowo silnym i dzielnym chłopcem. – Zamyśliła się na chwilę, po czym dodała: – I chyba mają rację… – urwała w zadumie.

– Och, jak to cudownie! Jakie to wspaniałe wiadomości! – rzekła z nieukrywaną radością. Po tych długich miesiącach obaw, czy jej synek będzie zdrowy, każda wiadomość o dobrej kondycji jakiegokolwiek dziecka była dla niej szczególną radością.

– Powiedziały, że jeśli następne karmienia będą równie pomyślne, mogę go zabrać do swojej sali.

– Ojej – znów niemal krzyknęła w tym spontanicznym uniesieniu szczęścia. – Ileż to dobrych wiadomości jak na jeden dzień. To wspaniale!

– Tak – padła odpowiedź, choć z pewną jeszcze niepewnością.

Następne karmienie było równie pomyślne. I tak minął dzień drugi, a w życiu Marty zajaśniał blask, jak promienie słońca wpadające przez lekko uchylające się wrota serca.

Następnego dnia rano przywitało ją pytanie:

– Czy ty tam chodzisz również w nocy?

– Tak – odrzekła nieco spłoszona, jakby ktoś odkrył jej tajemnicę. – Bo wiesz, kiedy byłam w ciąży, lekarze mówili, że mój synek może umrzeć zaraz po porodzie. Teraz każdego dnia wydaje mi się, że on jest nam dany na nowo. Nie mogę się ciągle nim nacieszyć. Nie potrafię się na niego wystarczająco napatrzeć… Tak wiem – dodała – powinnam trochę więcej spać i wypoczywać, ale myślę sobie tak, jak mówi stare porzekadło: „Jeśli Bóg daje nam zadanie specjalne, to daje również ekstra siły na jego wypełnienie". Jakoś tak mniej więcej to chyba było, nie pamiętam dokładnie słów, ale sens jest właśnie taki. Więc ja też tak uważam, a że mocno w to wierzę, to po prostu nie może być inaczej. – Uśmiechnęła się w zadowoleniu, że z Bożą pomocą z pewnością sobie poradzą, dodając: – Po prostu nie mogę nie dać rady!

Dziewczyna nic nie odrzekła, ale w jej oczach odbijały się siły, w które właśnie się zbroiła.

– Czy… – odezwała się po dłuższej chwili. – Czy nie będzie ci przeszkadzać w nocy zapalone światło?

– Nie, jeśli tylko tego potrzebujesz, może się świecić całą noc.

– Dziękuję – odparła tamta z uśmiechem. – Bo wiesz, chciałabym chyba już jutro zabrać mojego synka do naszej sali – dokończyła, a na jej twarzy zajaśniał tajemniczy uśmiech głębokiego szczęścia. Ona zaś, znając już jego smak, odwzajemniła go.

– Przynosisz nam same wspaniałe wiadomości – rzekła i uściskała ją najcieplej, jak tylko potrafiła.

I taki był dzień trzeci. Dzień, w którym dziewczyna dokonała wyboru i wyszła naprzeciw własnym pragnieniom, stawiając pierwszy krok w wierze, że wszystko będzie dobrze, a tym samym odpędzając ciemne chmury, które zawisły nad jej życiem, robiąc miejsce dla światła prawdy.

Następnego dnia Marta przywiozła swego synka do ich sali. Wtedy ona podeszła do nich i z pewną nieśmiałością zapytała:

– Czy mogę się przywitać?

Tamta uśmiechnęła się ciepło i mimo że gdzieś w kącikach jej oczu skrywał się jeszcze cień obaw i niepewności, odrzekła z radością i nadzieją w głosie:

– Ależ tak, oczywiście.

Wtedy zbliżyła się na tyle, by móc zajrzeć do malca, a wyciągając dłoń w jego stronę, rzekła:

– Witaj Maluszku. Jakże miło cię poznać i tutaj gościć.

Kiedy chłopiec odwrócił główkę w jej stronę, dojrzała brzemię, które dźwigał, wyryte mocno i wyraźnie na jego małej twarzyczce. Ponieważ zadrżało przez moment jej serce, jak zawsze gdy widziała ludzką boleść, musiała szybko odwrócić bieg własnych myśli, by nie dać tego po sobie poznać. Aby nie zdradzić bólu, jaki ją przeszył, gdyż nie cierpienie, a siła i odwaga były im teraz tak bardzo potrzebne. Dobitnie poczuła jednak i zrozumiała zupełnie sytuację, w jakiej znalazła się ta dziewczyna. Ona przygotowywała się miesiącami, ta zaś stanęła nagle twarzą w twarz z brzemieniem własnego dziecka. Brzemieniem głęboko odciśniętym na jego twarzy. To zupełnie naturalne i oczywiste, że serce Marty zadrżało w bólu i zmrożone zostało strachem, dusza zaś jęknęła w zagubieniu. Ujrzała bowiem cierpienie własnego dziecka, tak małego i bezbronnego. Jak od razu mogłaby się w tym odnaleźć? Jak nie zadrżeć i się nie przestraszyć? To zbyt ludzkie, by mogło być jej obce, by nie zabolało i nie przeraziło.

Malec, nie pozwalając jej na zbyt długie rozmyślania, machając rączkami, chwycił ją nagle za wskazujący palec prawej ręki, zaciskając swą dłoń w mocnym uścisku, po czym przysunął w stronę ust jakby chcąc ucałować rękę damy na powitanie.

– Ojej – rzekła zaskoczona i wzruszona. – Jakież to wspaniałe powitanie! Zupełnie się nie spodziewałam. Prawdziwy z ciebie dżentelmen.

Obie dziewczyny zaśmiały się w głos z tak głęboką i szczerą radością, jakiej ściany tej sali nie słyszały już od bardzo dawna. Maluszek zaś kopał radośnie i machał swą rączką, a wraz

z nią i jej ręką, nie wypuszczając jej palca.

Patrzyła na niego przez chwilę z ciepłym uśmiechem.

– To prawdziwie szarmancki młody mężczyzna, a do tego bardzo silny – rzekła, próbując bez skutku oswobodzić się z tego uścisku.

Obie znów się zaśmiały.

– Czarujący, dzielny i silny chłopiec – dodała. – Z pewnością będzie wielkim człowiekiem.

Najgłębsze szczęście wypełniło teraz wszelkie już, najciemniejsze nawet, zakamarki tej tak niedawno jeszcze smutnej sali.

I minął dzień czwarty, w którym Marta wyrwała się z więzów strachu oraz bólu. I wyłoniła się przed nimi droga światła, a puzzle same zaczęły się przyciągać.

Tak ten wspaniały chłopiec zagościł w życiu swej matki – przez jego pragnienie, poczęcie, poród, aż w końcu pełne przyjęcie, z otwarciem drzwi serca bez żadnych „ale": Ale czy dam radę? Ale jak to będzie? Ale dlaczego tak? To serce zdawało się teraz krzyczeć całą mocą matczynej miłości, tłumioną wcześniej strachem i bólem: „Witaj mój synku i niczego się nie obawiaj, bo jesteśmy razem!". Właśnie teraz, kiedy już dłużej nie musiało się trwożyć, lecz po prostu odważyło się pokochać. To uczucie, tak nagle ogłuszone i ujarzmione strachem, wyrwawszy się z więzów lęków i boleści, zajaśniało w pełni. Kiedy Marta trzymała swego synka w ramionach, promieniała miłością i wewnętrzną siłą, wyzwoloną z krępujących kajdanów pozornej niemocy. Nie była już tą samą dziewczyną, która kilka dni wcześniej przekroczyła próg tej sali. Stała się radosna i rozmowna. Z jej oczu bił blask szczęścia i wiary, że wszystko będzie dobrze. Nic już nie wydawało się jej zbyt trudne, smutne czy nie do pokonania. Jej myśli stały się jasne, uczucia pełne ciepła, życie zaś zalśniło miłością. A wszystko to stało się, gdy tylko zmieniła swoje myśli i uczucia, dokonała wyboru i postawiła pierwszy krok w wierze, otwierając drzwi swego serca. Wtedy puzzle jej życia zaczęły się przyciągać, wyłaniając przed nimi drogę. Nim wyszli ze szpitala, zdążyła już wykonać dziesiątki telefonów, konsultacji i zaplanować ich następne lata, w tym konieczne zabiegi, by skorygować to, czym ciemność chciała ich zwieść. I kiedyś pozostanie po tym wszystkim jedynie mała blizna jako widzialny dla oka znak ich wielkości.

Nie mogła w to wszystko uwierzyć. To stało się tak szybko. Nawet nie zdążyła znaleźć odpowiednich słów pocieszenia, gdy te okazały się już zupełnie zbędne. A może wcale nie były potrzebne? Cóż bowiem znaczą słowa wobec obecności drugiego człowieka, jego

wyciągniętej dłoni, nieważne jak słabej czy nieporadnej? Przerażenie Marty było zupełnie ludzkie, lecz tak niewiele potrzebowała, by je odeprzeć i się odnaleźć. Wystarczyło, że dojrzała kierunek, z którego dochodził blask prawdy. Była tak silną i wspaniałą dziewczyną, iż w ciągu kilku dni powstała i odkryła swój nowy świat.

Myśląc o Marcie, poczuła się nieco zawstydzona i niezorganizowana. Nie wiedziała jeszcze niemal niczego, nie miała umówionej ani jednej wizyty. Tymczasem tamta posiadała już świetny plan na kilkanaście lat. Doskonały, bo układany wiarą i miłością. Opis osoby, który przyniosła w swych słowach położna tego dnia, gdy ta miała do niej dołączyć zupełnie nie pasował do obecnej Marty. Teraz była to radosna, promienna, otwarta i silna dziewczyna. Nie było mowy o zagubieniu czy nieradzeniu sobie z czymkolwiek. Nawet nie mogłaby przypuszczać, ile siły drzemało w Marcie, a pewnie i ona sama nie poznałaby siebie w pełni, gdyby nie stawiła czoła temu wyzwaniu.

Smutno było się żegnać. To były dobre, piękne dni. Przyniosły radość, wiarę i nadzieję. Czas metamorfozy duszy, kiedy z kokonu ciemności, znieruchomiałego w strachu i niepewności jutra, wyłonił się i wzbił w górę przepiękny motyl, a rozpostarłszy swe skrzydła wszystkich zadziwił swą wielkością, barwami i pięknem.

„Ileż światła można ujrzeć i jak zupełnie inny świat odkryć, otwierając serce…" – rozmyślała.

– Zagubieni i odtrąceni strachem, połączeni miłością – szepnęła rozmarzona.

Czuła się zaszczycona móc poznać tak wspaniałą osobę i być świadkiem, jak wielkość człowieka rozproszyła mroki ciemności, a moc miłości wyzwoliła światło prawdy.

„To były piękne dni, a Marta to wspaniała dziewczyna" – myślała, patrząc w stronę gwiazd, swych towarzyszek tej nocy.

„Wszystkiego dobrego Marto – dodała po chwili. – Nigdy cię, was nie zapomnę".

Gwiazdy zaś ciągle migotały zaczepnie: „Nie taka straszna jest noc, w każdej drzemie bowiem światło poranka. Wystarczy go zapragnąć, ale to już wasz wybór".

Im więcej odkrywała, tym większą czuła radość. Pojęła też, jak to się dzieje, że ludzie głębokiej wiary są tak radośni. To jest po prostu szczęście, które rozpromienia od środka. Teraz i ona czuła w sercu głęboką radość, tak wielką, że niemal tryskała na zewnątrz, przywracając jej coraz bardziej chęć do żartów.

– Małe z was figlarki – powiedziała więc, puszczając oczko do tych radosnych, zaczepnych punkcików rozbłyskujących ciągle z nową energią na niebie okrytym mrokiem nocy. – Łatwo wam tak mówić, patrząc na nas z góry – dodała, potem jednak, już zupełnie poważnie

stwierdziła: – A to wszystko wcale nie jest takie proste…

Po długiej chwili zadumy westchnęła, posyłając swe myśli w świat wraz z powiewem wiatru:

„Proszę, nie odbierajmy sobie możliwości poznania prawdy o nas samych. Nikt nie może odgadnąć, co poczuje, kiedy weźmie swe dziecko w ramiona. Nie odrzucajmy, nie pojmując, co odtrącamy. Nie czyńmy, nie wiedząc, czego się dopuszczamy. Nie wątpmy w siebie, nie dając sobie szansy poznania swej wielkości i wzrastania w niej".

Wtedy z ciemności zaczęła się wyłaniać poświata zapowiadająca zbliżający się wschód słońca. Wynurzała się powoli i tak subtelnie, że dała się wychwycić tylko głębokiemu spojrzeniu cierpliwości, ufności i nadziei. Ciągle bowiem okrywał ziemię mrok nocy zdobiony jedynie blaskiem gwiazd i tulony czarem ptasiego śpiewu.



Przeznaczenie

…a najgłębsze pragnienie.

Panie daj mi pogodę ducha. Abym godził się z tym, czego zmienić nie mogę.
Odwagę, bym zmieniał to, co zmienić mogę.
I mądrość, abym odróżniał jedno od drugiego.
(Modlitwa o pogodę ducha)

Blask prawdy winien prowadzić człowieka
do odkrywania wszystkich wymiarów jego powołania,
tak w aspekcie doczesnym, jak i nadprzyrodzonym.
(z nauczania Jana Pawła II)

Historia Marty otuliła ciepłem jej serce i utwierdziła ją w swych przemyśleniach. Nie mogła się teraz zatrzymać. Czuła bowiem, że jest jeszcze coś, co jakby na nią czekało, pragnąc, by to odnalazła. Podążała zatem dalej w swych rozważaniach.

„Jeśli przez swe pragnienia, myśli, modlitwy i wiarę możemy wpływać na własną rzeczywistość – zastanawiała się – jak wyjaśnić zdarzenia, o których nie myśleliśmy, nie prosiliśmy i nie modliliśmy się o nie ani też nie obawialiśmy się ich, nie mogąc tym samym dopuszczać i potęgować swymi myślami. Dlaczego więc zaistniały?"

I znów rozbrzmiało: „Dlaczego?". Po raz kolejny. Tym razem nie była to jednak rozpaczliwa próba znalezienia odpowiedzi na pytanie: Dlaczego dotyka ich boleść i taki los? Nie było to również szukanie odpowiedzi na wyróżnienie: Dlaczego im zostało powierzone tak wyjątkowe zadanie? To „dlaczego" padło jako próba zastanowienia się nad tym, czemu dzieją się czasem rzeczy w naszym życiu, o których nie myśleliśmy, nie pragnęliśmy ich i nie modliliśmy się o nie, jak również nie dopuszczaliśmy w swoich obawach. Nie śmiała oczekiwać odpowiedzi na pytania, które pewnie nie na ludzkie były poznanie, lecz czuła, iż zaszła tak daleko, że w jakiś sposób niemal otarła się o wrota tej tajemnicy. Ponadto odczuwała pozytywne bicie serca, które jakby chciało przez to wskazać, że to dobra droga. Podążała więc dalej. Każda matka pragnie zdrowego, wspaniałego dziecka, takie były przecież

i jej marzenia. Nie znała również nikogo z zespołem Downa ani nawet nigdy wcześniej nie spotkała. Myśli jej nie mogły więc obrać takiego kierunku. Dlaczego zatem ich synek ma zespół Downa, a ona wybrana została na jego matkę? Pytanie to rozbrzmiewało w jej głowie. Zamknęła oczy, zatapiając się w głębię swej duszy i wsłuchując w bicie serca.

„Jeśli o tym nie myślałam, nie pragnęłam, ani nie lękałam się, to co prawdziwie nosiłam w swej głębi?" – zapytała sama siebie.

Nic. Żadna wskazówka nie nadchodziła.

„O czym marzyłam? – kontynuowała. – O szczęśliwej rodzinie, cudownych dzieciach"– szukała, lecz nie znajdowała nic, co mogłoby stanowić odpowiedź, choć czuła, że może właśnie o nią się ociera. Nie potrafiła jednak przestać podążać dalej, bo jej serce ciągle gdzieś się wyrywało, jakby ku czemuś znajomemu.

„Kiedy nie wiadomo jak zacząć, może trzeba zacząć od początku?" – pomyślała w końcu.

Zamknęła więc oczy i wróciła do pierwszych wspomnień, jakie miała. Do tej małej, wesołej, uśmiechniętej dziewuszki wierzącej w dobro i piękno świata, goniącej wróble w zabawie i kochającej ludzi najbardziej na tym świecie. Wdzięcznej za codzienny wschód słońca i promieniejącej na każdy ludzki uśmiech. Teraz poczuła, że się zbliża. Tak, chyba był to dobry kierunek, gdyż z radości coraz mocniej biło jej serce.

„Może chodzi tu o te największe pragnienia? Marzenia naszego życia? Dobry i piękny świat. Wiara i nadzieja. Człowiek szanujący i kochający drugiego człowieka. Miłość i dobro. Tak! Piękny świat! Piękna Ziemia! Miłość! Tak, to mogło być to. Nasze największe pragnienia! Tak!" – krzyknęła z radością jej dusza.

Są marzenia tak wielkie, że nie sposób, byśmy sami mogli je poprowadzić, nadać im odpowiedni bieg i kształt, chociaż tkwią w nas od zawsze i są naszym całym „ja". Odkąd pamięta pragnęła przecież, by ludzie zobaczyli piękno, poczuli zachwyt i wdzięczność. Dostrzegli największy cud tego świata – człowieka w człowieku, i odnaleźli miłość. Tak, to miłość! To było to, czego pragnęła najbardziej, co stanowiło jej największe marzenie. Pragnęła miłości. Miłości dla całego świata. Miłości do drugiego człowieka. Miłości, która wynosi ponad doczesność i wszelkie jej ograniczenia. Tej, która daje nam skrzydła i jest ponad wszelkie zło, cierpienie i nędzę tego świata. Takie było jej najgłębsze, najprawdziwsze i największe marzenie. Tak ogromne, że droga, która do tego wiodła wykraczała ponad jej poznanie, dlatego została jej dana. Ona marzyła „co", Bożą zaś kwestią jest „jak". To ją przerastało, nie mogła zatem wiedzieć, jak do tego dojść, a jedynie dać się poprowadzić.

„To wielka moc i dzieło zmieniać na lepsze to, co zdołamy oraz głęboka mądrość

rozpoznać i przyjąć to, czego zmieniać nie naszym jest zadaniem" – pomyślała. Słowa te wyrzekł niegdyś pewien staruszek, a ona nosiła je w głębi, skąd teraz znów rozbrzmiały w swej prawdzie.

„Podjąć i wypełniać co nam przeznaczone, akceptując i zostawiając Bogu, co boskie – kontynuowała rozmyślania. – Poznanie zaś przychodzi przez odkrycie prawdziwej głębi własnej duszy i serca, najszczerszych i najprawdziwszych pragnień, nie dając się zwieść wygodzie, błyskom doczesności czy podszeptom strachu".

– Prawdziwa głębia naszego serca – szepnęła. – Miłość.

„Tak. Nie złoto, władza, bogactwo i przepych tego świata są autentycznym pragnieniem człowieka, lecz miłość" – potwierdziła w myślach.

Tak wszystko zaczynało się i kończyło w tym samym miejscu, a była to miłość. Skądkolwiek nie wychodziło pytanie, zawsze ostatecznie dochodziła do tego samego punktu. Wszystkie odpowiedzi i drogi tu właśnie prowadziły – do miłości. I nie znajdowała nic ponad to. W zadziwiający sposób wszystko połączyło się w jedno – zarówno te rozważania w szukaniu prawdy, jak i ostatnie doświadczenia, przepełniając jej myśli światłem.

„Skoro więź między wolnością człowieka a prawem Bożym ma swą żywą siedzibę w «sercu» osoby, czyli w jej sumieniu, a człowiek ma w swym sercu wypisane przez Boga prawo, wobec którego posłuszeństwo stanowi o jego godności*, to oczywiste jest, że to właśnie światło serca, jego «tak» nas prowadzi – powróciły do niej wcześniejsze myśli. – Prowadzi nas miłość. Jest nam drogowskazem, drogą i tarczą, tym prawem, które nas kieruje, chroni i wynosi w naszej godności i wielkości, otwiera bramy Nieba, wykracza ponad przyziemność, jaka nie jest w stanie wypełnić pustki prawdziwego pragnienia ludzkiego serca, bo… "– teraz to pojęła.

– To Bóg jest Miłością – rzekła.

„To Bóg wlał w nasze serca miłość ze swej miłości i zabezpieczył prawem, które do godności nas prowadzi i jej strzeże. Daje wolność, nawet za cenę bólu zranienia, jaki przyniósł grzech pierworodny, czeka, towarzyszy i wspiera w ludzkiej słabości i niedoli" – kontynuowała w myślach.

– Miłością jest Bóg – powtórzyła.

Uśmiechnęła się. Ileż razy już to słyszała: w kościele, na religii, jak mówią księża, siostry, inni ludzie i nawet sama to powtarzała. Jakże znajomo brzmiało to stwierdzenie.

* Jan Paweł II, *Veritatis Splendor* (łac. Blask Prawdy).

Tak jednak jak znane i oczywiste, teraz wydało jej się nowe i świeże. Usłyszała je bowiem w głębi i poczuła w sercu tak mocno, że miała wrażenie, jakby dopiero pojęła naprawdę.

– Bóg jest Miłością – szepnęła raz jeszcze. – Z miłości nas stworzył, miłością towarzyszy w naszej ziemskiej wędrówce i do miłości prowadzi.

Zamilkła, wsłuchując się w ciszę.

„Bóg jest miłością, (…) pochyla się nad człowiekiem, gdy ten nie jest w stanie udźwignąć ciężaru swojego życia. Taka miłość jest nazwana Bożym Miłosierdziem. W nim Bóg daje nam – każdemu z nas – samego siebie bez granic – jak matka dziecku"*.

„Tylko taka Miłość jest odpowiedzią oraz prawdziwą głębią i dopełnieniem tej miłości, która przepełnia ludzkie serca. Największa Miłość, która nigdy się od nas nie odwraca" – kontynuowała w swym sercu.

„Nawet na ziemię do nas zstąpił i o tej miłości zaświadczył w sposób najwyższy – nie ustawała – gdyż «nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich» (J 15,13)". Pochyliła głowę w swej małości. Czuła się niegodna, a jednak tak ukochana. „Otworzył dla nas bramy życia i wskazał drogę prawdy, abyśmy nie zbłądzili. Stał się nam przykładem i dał największy dowód miłości do człowieka, płacąc najwyższą cenę… – powtórzyła w zadumie. – A teraz trwa przy nas i czeka. To do nas należy wybór".

Zamilkła. Sięgnęła bowiem wyżyn. Wspięła się tak wysoko w swych rozważaniach, aż zatrzymała się w ciszy prawdy. Wszystko się zgadzało i stanowiło głębię tego, kim była, prawdę człowieka o samym sobie, blaskiem, który ją głęboko oczarował, ciepłem, jakie całe ją otuliło.

– Przeznaczenie – wyszeptała – prowadzi do szczęścia, jakkolwiek trudna okaże się ludzka droga… – Zamyśliła się. – Gdyż przeznaczeniem człowieka jest miłość.

Uniosła głowę w górę i długo wpatrywała się w blask gwiazd rozświetlających mrok nocy. Po czym zamknąwszy oczy, rzekła:

Panie daj mi pogodę ducha
Abym godziła się z tym, czego zmienić nie mogę.
Odwagę, bym zmieniała to, co zmienić mogę.
I mądrość, abym odróżniała jedno od drugiego**.
Prowadź mnie.

---

* K. Parch, *Niepełnosprawność nie jest karą za grzechy, Z myślą o Tobie – Informator dla rodziców dzieci z zespołem Downa, Bardziej Kochani*, wydanie specjalne.

** Parafraza modlitwy o pogodę ducha (ang. *Serenity Prauer*) – modlitwa, której autorem jest amerykański teolog Reinhold Niebuhr (niektóre źródła podają jako autora Marka Aureliusza).



Cierpienie

Istota cierpienia jest nie do poznania,
chociaż jest nam wszystkim wspólna.
(Paramenides)

Pozostało jeszcze jedno pytanie: Co z cierpieniem? Czy cierpienie może pochodzić od Miłości? Czy to Bóg zsyła je na człowieka? To ją jeszcze frasowało. Nie potrafiła zgłębić tajemnicy cierpienia, pojmując, że to nie leży w możliwościach jej ludzkiego poznania.

„To zbyt trudne. Cierpienie ludzkie zawsze jest tajemnicą" – westchnęła, przypominając sobie słowa Jana Pawła II.

Nie mogła jednak teraz przejść obojętnie obok myśli, że pochodzi ono od Boga. Bo czyż największa Miłość zsyłałaby na człowieka, którego przecież On tak umiłował, cierpienie? To kłóciło się z tym, co czuło jej serce, gdyż odczuwało coś wręcz przeciwnego. Miłość chroni przed cierpieniem, złem i jego skutkami. Daje ukojenie w bólu i siłę, by powstać oraz stawić mu czoła. Obdarza nadzieją i wynosi w wielkości tych, którzy żyją prawdą. Przez te ostatnie miesiące zagubienia w bólu i strachu przed cierpieniem właśnie czuła się jak małe, przerażone dziecko, które chciało uciec i ukryć się gdzieś bezpiecznie. Jedyne zaś ukojenie i schronienie odnajdowała w ramionach Miłości, tej ponad wszystko, odczuwając wyraźnie, że tu niczego nie musi się trwożyć. To potęgowało jej wrażenie, że obawy nie mogły przyjść od strony miłości. A gdy podejmowała swe zadania z wiarą i ufnością, podążając za blaskiem prawdy to właśnie w miłości znajdowała siłę na przezwyciężenie lęków i słabości, by wybić się ponad strach i cierpienie. To, czego naprawdę się bała, było tym, co człowiekowi sprawiało zło, oraz to, co przesiąknięci nim ludzie czynili sami sobie i sobie nawzajem, tkwiąc w potrzasku wyborów wolnej woli i zdając się jedynie na ludzkie pojęcie i możliwości.

„To zło dręczy ludzkość wszelkimi sposobami, rzucając nam kłody pod nogi i wykorzystując człowieka przeciw człowiekowi, mamiąc błyskiem pozorów i starając się odwrócić nasze oblicze od blasku prawdy. Jeśli bowiem przychodzimy na ten świat z przeznaczeniem, daną nam drogą i światłem, które nas prowadzi, osacza nas przecież również zło, próbując nieustannie splątać nasze ścieżki, zwodząc kłamstwem i czyniąc wszystko, aby odwrócić nasz wzrok od światła, byśmy zbłądzili. Pogrążeni natomiast w strachu czy cierpieniu, dali się zwieść, odrzucili prawdę lub zaprzestali jej szukać. Zło zwodzi podstępnie i nader inte-

ligentnie, często stwarzając ułudę niewinności czy dobrych chęci – rozmyślała strapiona – łatwo się więc zagubić".

Zastanawiała się jak było w ich przypadku, choć wiedziała, że nie dowie się tego teraz.

„Czy to Bóg nałożył na ramiona naszej rodziny ciężar niepełnosprawności? Czy wysłał naszego synka na ziemię z takim brzemieniem, które może z jakiegoś powodu jest potrzebne, by chronić nas lub ratować?" – pytała sama siebie.

To wydawało się mieć sens, gdyż krzyż otwierał serca i wskazywał drogę. Mógł stać się drogowskazem błądzących i zwiedzonych kłamstwem. Boleść pozwala sięgnąć głębi, poruszyć to, co prawdziwe i istotne, obudzić osobę w człowieku, zatrzymać się w refleksji nad prawdą o samym sobie, nim postawimy kolejny krok. A może nawet jest walką krzyku serca o głębię człowieczeństwa, jeśli inaczej nie sposób?

„Niepełnosprawność zaś… – rozmyślała. – «Niepełnosprawność (…) jest zadaniem do wypełnienia. Jest trudem, bólem, cierpieniem tak wielkim, że postrzeganym jako złośliwość lub błąd natury lub Boga. Jest złem, dopuszczalnym przez naturę i przez Boga, ale tylko dlatego, że z tego zła można i trzeba wyprowadzić większe dobro»"*.

„Zło dopuszczane przez naturę i przez Boga" – zamyśliła się.

Czy zatem Bóg doświadcza, czy jedynie dopuszcza to, co stało się wynikiem działania zła w tym świecie? Może to zło chciało przesłonić i zdusić piękno oraz moc ich synka, uderzając boleśnie od samego początku? Bóg zaś, wiedząc, że mrok nie ustanie w swych atakach, przygotowywał ich na ból i trudy.

„Dopuścił brzemię, lecz nie pozwolił, by ciężar stał się dotkliwszy, niż bylibyśmy w stanie go udźwignąć. Nie pozwolił – powtórzyła i łza wzruszenia zalśniła w jej oku. – Wysłuchał wszystkie moje prośby. Te nieśmiałe, wznoszone ciszą milczenia w zagubieniu i trwodze, jak również te uparte i rozpaczliwe wyrażane płaczem, zacięciem czy krzykiem, a nawet pytał…" – Teraz łza ta spłynęła po jej policzku. Nie ustawała jednak w szukaniu. „Zawsze był obok i nie zwątpił we mnie, kiedy nawet ja sama nic już w sobie nie potrafiłam odnaleźć – zaszlochała cichutko. – I nosił w swych ramionach…" Teraz rozbrzmiało łkanie.

Płakała jak ukojone, tulące się jednak ciągle do piersi matki dziecko, które choć wiedziało, że już wszystko jest dobrze, chlipało, wylewając wszelkie troski i bóle, szczęśliwe, że jest już bezpieczne i niczego nie musi się trwożyć, a jedyne co czuła, to otulającą ją miłość.

„Jakkolwiek zło chciało nas okłamać i złamać, zranić czy też odwrócić nasz wzrok od prawdy, zwyciężyła miłość. Pokonała kłamstwo, by następnie, wyzwoliwszy się z ograni-

* Dr K. Parch, *Niepełnosprawność nie jest karą za grzechy, Z myślą o Tobie – Informator dla rodziców dzieci z zespołem Downa, Bardziej Kochani,* wydanie specjalne.

czających pęt strachu i zwątpienia, rozkwitać i wzrastać. To jest najważniejsze" – myślała, pojawszy może właśnie cząstkę odpowiedzi, której poznanie w całości nie było jeszcze możliwe.

Uśmiechnęła się ciepło i tajemniczo, choć ciągle przez łzy. Oparła głowę o poduszkę, patrząc przez okno wysoko w niebo, jakby nie mogąc się nacieszyć tym widokiem. Długo tak trwała otulona ciszą.

„Bóg doświadcza, ale nie opuszcza" – zadźwięczały ponownie wspomnieniem słowa matki chrzestnej. Tak mówiło to stare porzekadło. Przymknęła oczy, zupełnie się wyciszając. Nie można wszak pojąć tajemnicy cierpienia.

– Tak, to prawda, „istota cierpienia jest nie do poznania" – szepnęła, powtarzając za Parmenidesem – lecz nie to jest najważniejsze.

Wszystko, co odczuwała i odbierała ze strony Boga, było ciągle takie samo: to miłość. Wierzyła i ufała zatem, że jeśli cierpienie musi stać się udziałem człowieka, to nie dzieje się tak bez powodu.

„A może to niejednokrotnie jedyna droga, ratunek człowieka przed większym bólem czy złem? – Starała się to zgłębić. – Bóg szanuje wolność, ludzką wolę, wybór. Nie zmusza ani do dobra, ani do miłości. Respektuje więc i doświadczenia, jakie stały się naszym udziałem, byśmy mogli odnaleźć siebie i wzrastać. Może zatem nie zsyła, a jedynie dopuszcza mniejsze cierpienie, by zachować nas od większego, doczesne, by uchronić od wiecznego. Milczy, byśmy sami, zgodnie z własną wolą mogli wybrać. Do końca daje szansę, aby odnaleźć siebie, a nawet przerosnąć samego siebie ponad zło i boleść, osiągnąć swą prawdziwą wielkość, po czym zaś raj, jaki został nam przeznaczony. Pozwala zbłądzić, byśmy mogli się odnaleźć. Zostaliśmy stworzeni do szczęścia, nie do cierpienia, a to, co dzieje się w ludzkim życiu, jest wynikiem wyborów naszej wolnej woli. Człowiek efektem grzechu pierworodnego znalazł się w świecie obcującym z mocami zła, które go nękają i przez nie cierpi. I teraz musi przejść tą ziemską drogą, często pełną bólu…".

Opuściła głowę przytłoczoną boleścią tych myśli.

„Bóg nas jednak nie opuszcza, trwa obok i współcierpi, spoglądając na ludzką niedolę. Kocha niezmiennie i czeka na człowieka, by powrócił do wielkości, do jakiej zostaliśmy stworzeni i powołani, aby po raz drugi podarować nam wieczne szczęście. Aby powrócił – powtórzyła – swym własnym wyborem. Nawet jako syn marnotrawny, ale powrócił, bo takie jest prawo miłości".

Jakkolwiek, podążając tropem podstępów zła, jak też bólu i cierpienia, jakim człowiekowi przychodzi stawiać czoła, los ludzki wydał się jej niełatwy, a niejednokrotnie wręcz bardzo trudny.

„Ciężka może być droga człowieka – westchnęła – lecz z miłości wychodzi i do miłości wiedzie, jeśli tylko tego zapragniemy i tak wybierzemy. Czy jednak może się okazać zbyt ciężka?" – zastanowiła się. Miała wrażenie, że jesteśmy jak owieczki wśród wilków, nękani złem i jego skutkami. Wtedy serce jej podpowiedziało: „Nie, droga nasza nie musi być zbyt ciężka, jeśli nie pozostawimy siebie samym sobie, lecz będziemy wierzyć i prosić". „Albowiem każdy, kto prosi, otrzymuje, kto szuka, znajduje, a kołaczącemu otworzą" (Mt 7,8) – dodała.

„Wiara góry przenosi"– przypomniała sobie i uśmiechnęła się. „Miłość zaś prowadzi i daje siłę, by powstać, a nawet wzbić się. Wysłuchuje, obdarowuje, wynagradza i przebacza – dokończyła. – To prawda, trudna jest ścieżka ludzkich wyborów, a nasz los często niełatwy i bolesny – westchnęła – lecz człowiek nigdy nie zostaje pozostawiony sam sobie". Delikatny uśmiech przebił się przez głębokie strapienie odciśnięte na jej twarzy. „Nawet kiedy wszystko ogranicza ciemność, Bóg zapala gwiazdy, aby nas bezpiecznie przeprowadzić przez noc. Gdy upadamy, wyciąga do nas rękę, byśmy mogli powstać, lub bierze w ramiona, póki nie odzyskamy sił. Musimy tylko chcieć to dostrzec, patrzeć we właściwym kierunku".

„Zatem czy Bóg nas doświadcza, czy jedynie dopuszcza cierpienie, jakie stało się doświadczeniem człowieka jako wynik działania zła? Nie na ludzkie to poznanie, ale prowadzi przez nie i nigdy nie opuszcza – dokończyła swe rozmyślania słowami matki chrzestnej. – Wszystko to zaś czyni z miłości – Miłości ponad ludzkie poznanie".

„Cierpienie – zatrzymała się jeszcze na moment nad tajemnicą cierpienia – budzi rozpacz i ludzki sprzeciw, gdyż w naturalny sposób kłóci się z tym, co prawdziwie nosimy w sercu: dobrem, szczęściem i miłością. To bunt wielkiej mocy, do jakiej zdolny jest człowiek. Przewrotnością ciemności jest zaś odwrócić nasz wzrok od światła prawdy i skierować ten bunt nie ku złu, które stało się jego powodem, lecz ku dobru, by człowiek w ten sposób odsunął się od Boga, tym samym zatracając prawdę o istocie stworzenia i o sobie samym".

Zadumała się głęboko.

„Cierpienie jednak – dodała w duszy – podjęte z ufnością wynosi człowieka w jego wielkości".

Miała wrażenie, że jeszcze jedno udało się jej pojąć, a mianowicie, że cierpienie to bynajmniej nie koniec i błędem jest uznać je za kres własnego szczęścia. To droga, niejednokrotnie

klucz prawdy życia i nowy początek. Zamknęła oczy, odnajdując w myślach słowa znanej jej pieśni i z ufnością powtórzyła za nimi:

Każde cierpienie ma sens,
Prowadzi do pełni życia.

Tak wzniosła się ponad wszelkie „dlaczego?". Choć zmęczenie i niewyspanie, troska i frasunek tych nocnych rozważań wyraźnie rysowały się na jej twarzy, podniosła głowę i uśmiechnęła się w stronę znikających gwiazd oraz pobliskiego „boru", z którego wcześniej dochodził ten przepiękny ptasi śpiew, chcąc w ten sposób podziękować im za towarzystwo światła i nutę ukojenia w mroku.

„To była długa noc" – pomyślała, po czym spojrzała na piękno wschodzącego słońca i z radością dodała: „Zakończona tak cudownym, promiennym porankiem".

Przymknęła na chwilę oczy, by lepiej połączyć się z własnymi myślami i uczuciami, a jej dusza szepnęła z radością: „Dziękuję". Podniosła głowę i w ciszy, by nie zmącić piękna tego wspaniałego wschodu słońca, jej usta, jak echo duszy, z całą przepełniającą ją wdzięcznością, powtórzyły:

– Dziękuję.



Wdzięczność

Przebiegła góry i przeskoczyła doliny.
Podążała pełną świadomością szczęścia, którego nie oddała
i tym mocnej teraz strzec będzie.
I przepełniła ją wdzięczność.

Wdzięczność jest najpiękniejszą formą szczęścia:
należy zarówno do jego przyczyn, jak i skutków.
(W. Dirks)

To był cudowny poranek. Słońce rozświetlało swym blaskiem jej małą szpitalną salkę, ona zaś stanęła przed lustrem i uśmiechnęła się sama do siebie.

„Jak to dobrze móc się do siebie uśmiechnąć" – pomyślała, dając swemu odbiciu radosnego prztyczka w nos, gdyż „kto się czubi, ten się lubi".

Choć gest ten był żartobliwym wyrazem sympatii, uznała, że to również zasłużona nagana za wszystkie złe myśli, którymi niepotrzebnie zaprzątała sobie głowę, a które mąciły jej spokój i odbierały siłę.

Patrzyła teraz przed siebie, mając wrażenie, że dookoła otaczają ją niezliczone cuda. Zza okna dochodziły odgłosy i oznaki budzącego się poranka: szum samochodów, krzątanina i gwar uliczny, delikatny szelest wiosennego wiatru i radosne migotanie rozbrykanych promyków słonecznych. Wstało słońce, tak jak rok temu, tydzień temu, wczoraj, a nawet wtedy, gdy ogarnęła ją totalna pustka oraz zagubienie i zupełnie nie dostrzegała jego blasku. Teraz spoglądała na nie ze szczególną radością oraz nadzieją, że wynurzy się zza widnokręgu także jutro, pojutrze i każdego następnego dnia.

„Nie dostrzegamy tego cudu – westchnęła – traktując jako oczywiste zjawisko. Co jednak stałoby się, gdyby nagle zabrakło blasku słonecznego, a ziemię pokryła zimna ciemność?" Odpowiedź wydała się jej zbyt smutna, postanowiła więc teraz nie zastanawiać się nad tym, lecz w pełni cieszyć się urokiem tej chwili. Świadczyła jednak niezaprzeczalnie, że każdy dzień był wspaniałym darem, a serce jej przepełniała wdzięczność za te radosne promienie, delikatne muśnięcia wiatru, trele ptaków za oknem – wszelkie dobro i piękno tego świata.

– A my ciągle tego nie doceniamy… – szepnęła, po czym jakby chcąc otrząsnąć się z tego smutnego marazmu i braku ludzkiej wdzięczności, podziwiając tym mocniej piękno tego poranka i pogłębiając je o swe prywatne doświadczenia, dodała: – Jaki wspaniały mamy dziś dzień!

Z radością patrzyła bowiem na swe odbicie w lustrze, a kilka sal dalej spał ich synek, do którego zaraz może pobiec i tulić go, bo choć wtedy tego wszystkiego jeszcze nie pojmowała, zdała się na głos serca, który doprowadził ich bezpiecznie aż tutaj, w swe ramiona. Nie pozwolił się zgubić, odepchnąć czy stracić, by teraz mogli być razem. To była naprawdę cudowna chwila, a ona do niej dotrwała i znów musiała się uśmiechnąć, gdyż tak bardzo radowało się jej serce. Nagle odwróciła się i w pośpiechu wybiegła. Zdała sobie bowiem sprawę, że pragnie podzielić się ze swoim synkiem tym wszystkim, co odkryła i zrozumiała tej nocy.

Pędziła korytarzem, nie mogąc się doczekać, kiedy znów go zobaczy, weźmie w swoje ramiona i wszystko mu opowie. Biegła tak, jak gdyby jeszcze raz przemierzała tę długą i trudną wędrówkę ostatnich dziewięciu miesięcy. Podążała na przekór wszelkim zwodzącym ich podszeptom, zasłonom i błyskom, ponownie mijając je wszystkie i odpychając pełną świadomością szczęścia, które te chciały im zabrać, a którego nie oddała i tym mocnej teraz będzie strzec. Kroczyła odważnie, przepełniona siłą i determinacją walki o swe dziecko i ich prawdziwe szczęście, gdyż pojmowała już, gdzie pragnie być – tuż obok, tuląc w ramionach swe dziecię. Nie pozwoli nikomu, ani niczemu zasłonić prawdy i odebrać im siebie. Czuła to wszystko tak mocno, gdyż otarła się o pojęcie i ostrze bólu, rozpaczy i tragedii, które chciały ich od siebie odciąć. Dotarła w końcu, a choć trwało to zaledwie kilka minut, miała wrażenie, że przebiegła przez góry i przeskoczyła doliny, stawiła czoła wezbranemu nurtowi rzeki życia, który następnie umilkł, gdy zjednoczyła się z nim w prawdzie. Raz jeszcze rozbrzmiały w jej głowie krzyki zagubienia i szloch rozpaczy, ukojone następnie szeptem z głębi ciszy. Przebiegła korytarzem, a w tym samym czasie i ścieżką swej duszy, dotarłszy właśnie tu. Zatrzymała się. Delikatnie otworzyła drzwi, by go nie zbudzić, jak też innych maleństw. On jednak już nie spał. Znów miała wrażenie, jakby właśnie się narodził. Zupełnie tak jak każdego poranka, gdy go witała i każdej nocy, kiedy do niego przychodziła, nie mogąc się nacieszyć widokiem swego dziecka, upewniając się zarazem, że zło jest bezradne wobec miłości, a mrok niczym wobec światła.

„Jakie to szczęście!" – pomyślała, patrząc na tę maleńką kruszynkę. Podniosła go i przytuliła do swego serca, które biło z taką energią i entuzjazmem, że jego oczka rozbłysły na ten radosny, wewnętrzy stukot. Ona jednak nie dostrzegła tego, będąc pochłonieta miłością,

z jaką tuliła go do piersi.

– Synku – szepnęła. – Syneczku, nie obawiaj się i nie martw już więcej. Teraz naprawdę pojmuję, że wszystko jest dobrze. – Uśmiechnęła się. – I tak też będzie.

„Nawet jeśli kiedykolwiek się bałam i wątpiłam, czy wydawało mi się, że jest inaczej – kontynuowała w myślach. – Jest tak, jak ma być. Sam zobaczysz. Będziemy razem «góry przenosić» i nie zamienimy twoich skośnych oczu za żadne skarby tego świata ani niczego co jest twym pięknem, bo taki właśnie jesteś najwspanialszy. Będziemy o to walczyć! Nauczę cię mówić, obiecuję ci to raz jeszcze. – Z jej twarzy spłynęły łzy radości. – Nauczymy cię chodzić, biegać, jeśli zechcesz, śpiewać, jeśli zapragniesz, a kiedyś, kiedyś… – zawahała się na chwilę, po czym dokończyła: – …kiedyś może nawet pofruniemy?" Zaśmiała się radośnie, przełykając najpiękniejsze łzy, jakie kiedykolwiek zagościły na jej twarzy. Łzy największej miłości, nieustającej nadziei i niezłomnej wiary. „Teraz jednak – przerwała na chwilę, spojrzała w stronę okna i dokończyła: – …najpierw cię stąd zabiorę. Za kilka dni wrócimy do domu i będziemy odkrywać nasze wspólne marzenia. Ubierzemy je w nową, najpiękniejszą szatę, bo nić, która szyć ją będzie, wyjdzie z serca". Taki miała plan, takie było jej marzenie.

Wytarła oczy i poszła do położnych, prosząc, by nie podawano mu więcej sztucznego pokarmu, gdyż ona będzie przynosić swój, zapewniając równocześnie, że już go nie zabraknie. Spotkało się to ze sceptycyzmem. Szanse na zebranie wystarczającej ilości pokarmu, nie karmiąc piersią, były zdaniem położnych niewielkie, lecz pozwolono jej spróbować. Tego właśnie potrzebowali. Ucałowała go i pobiegła walczyć o to, co wierzyła, że może stać się jego lekarstwem oraz ich przepustką do domu.

Usiadła i zaczęła ściągać pokarm. Rzeczywiście, było go niewiele. Położne się nie myliły. Kiedy nie karmi się piersią, mleka jest mniej. Musiała zatem zrobić coś, co sprawi, że będzie go więcej. Wiedziała, że trzeba dużo pić. Dostawiła na stolik kolejną butelkę wody, zwiększając tym samym dzienną ilość płynów, jaką teraz uznała za niezbędne minimum. Czuła jednak, że to nie wystarczy. Zamknęła więc oczy, a dusza jej przepełniona wiarą, wznosiła w modlitwie tę prośbę: „Proszę o pokarm, który poprawi wyniki badań naszego synka i pozwoli nam wrócić do domu". Trwała tak w ciszy wypełnionej tym wołaniem. Kiedy zaś słowa zdawały się nie wystarczać, by oddać to wielkie pragnienie serca, zaczęła szukać kształtów i barw, by te pomogły jej wymalować i wznieść w górę istotę tego marzenia. Starała się wyobrazić sobie siebie karmiącą synka, lecz czegoś w tym obrazie brakowało. Widok ten wydał jej się zbyt statyczny.

„Najpierw musimy wyjść ze szpitala – pomyślała. – Karmieniem piersią zajmiemy się w domu". – Uśmiechnęła się z nadzieją następnego marzenia.

Teraz musiała skoncentrować się na tym najbliższym, a mianowicie, by nie brakło jej pokarmu. Próbowała nakreślić wizję niekończącego się mleka, a to dawało tyle radości, że obraz w bezruchu nie mógłby jej w pełni oddać. Taka radość wiązała się z tańcem lub chociaż podskokami. Cieszyła się jej dusza, ale i ciało radowało się na tę perspektywę tak bardzo, że niemal czuła jego podrygi i pragnienie wesołego, głośnego śmiechu. Potrzebowała ten śmiech „usłyszeć" i zobaczyć, jak wiele jest mleka, którego chłopiec tak bardzo potrzebował, jak też utwierdzić się w wierze, że na pewno go nie zabraknie. Nigdy, ani teraz, ani w żadnym innym momencie. Zawsze będzie pod dostatkiem. Pragnęła ujrzeć niekończącą się obfitość i doświadczyć niemalże uchem słyszalnej radości. Ciągle pracując nad ściąganiem pokarmu, zamknęła oczy i nieustannie wznosiła swe prośby i modlitwy, szukając w głowie obrazu, który swą radością wzmocniłby je i nie pozwolił się poddać. Szukała i szukała, prosząc, modląc się i marząc, aż w końcu odnalazła, a nawet szybciej niż mogłaby przypuszczać. Jakby obraz ten sam wymalował się w jej wyobraźni, pędzlem i kolorami tego pragnienia. Wyłonił się z całą siłą jej wiary, marzeń, radości i miłości, a dostrzegłszy go, uśmiechnęła się ciepło, gdyż okazał się tak wspaniały i niesamowity.

Ujrzała w swej wyobraźni morze jej mleka, w którym pluskał się ich synek. Podskakiwał i śmiał się, rozchlapując je wszędzie dookoła. Pił, ile tylko zapragnął, chlapał i rozlewał, lecz każda uroniona kropla powracała, a strumień, którym ono przybywało, nieustannie płynął, wypełniając ten wspaniały akwen w cudowny sposób. Jakby jego źródło nieprzerwanie biło, nie ustawało, ani nie wysychało. Wytężyła swe myśli oraz wszelkie siły czucia i wiary, by pojąć, jak to możliwe. Uśmiechnęła się po chwili, dojrzawszy to, co było oczywistym i naturalnym tego wytłumaczeniem. Mleko, choć wypływało z piersi, nie tam jednak brało swój początek. Jego źródło wytryskało z serca i to był cały sekret. Następnie płynęło przez głowę, otulając swym ciepłem i obfitością jej wszystkie myśli i dopiero podążało dalej. Wtedy pojęła, że wszystko jest już dobrze i tak też będzie. Podniosła powieki, by spojrzeć na buteleczkę, do której zbierała mleko, a w jej oczach rozbłysły iskierki radości, gdyż zobaczyła jak się napełnia. Znów się uśmiechnęła, uśmiechem, w którym radość przeplatała się z wdzięcznością. Poczuła przepełniające ją ciepło i szczęście. Tak wielkie, że te wzmacniały i pomnażały swym blaskiem wszystko, co czuła, czego doświadczała i czego pragnęła.

„To radość i wdzięczność – pomyślała, a odkrycie to rozjaśniło jej myśli. – Czyżby jeszcze tylko tego brakowało? – Uśmiechnęła się delikatnie, dodając: – Nie można ich wszak pomi-

nąć. Pragnienie wznoszone w wierze prośbą i modlitwą dopełnia radość i wdzięczność". Teraz pojęła, że łączyły się one, nadając wszystkiemu właściwy bieg i moc. Jeśli zabrakłoby jakiegokolwiek z tych elementów, powstałaby blokująca ten tok wyrwa. „To wdzięczność i radość spajają w całość tajemnicę ludzkiego szczęścia, pomnażając je tym samym" – wyszeptała w sercu.

„Konieczne są tak na końcu, jak na początku, by nasze szczęście, niczym kula śnieżna budowało się łącząc, a tocząc się, mogło wzrastać – kontynuowała. – Nie sposób bowiem szczerze pragnąć, prosić i marzyć, nie odczuwając w sercu wdzięczności i radości, jaką niesie z sobą spełnienie tych pragnień. Wdzięczność zatem jest niezbędna od samego początku jako radość spełnienia. Następnie prowadzi nas, by na końcu rozkwitać w swej pełni i wzrastać. W ten sposób potęguje się i staje niczym nieustające źródło szczęścia. To wdzięczność – powtórzyła. – Uniesieni wdzięcznością dopiero potrafimy w pełni pojąć wielkość otrzymanych darów, a to z kolei potęguje naszą radość i umacnia wiarę nadając prawdziwą moc naszym prośbom już od pierwszej myśli. Radość i wdzięczność są zatem niezbędne od początku, następnie zataczają krąg, przybierając z każdym okrążeniem na sile. Tak, są niczym kula śnieżna" – podsumowała, uśmiechając się do tego porównania.

„Wdzięczność wszystko w nas łączy, toczy szczęściem i buduje naszą wielkość. Nie warto jej zatem unikać, tłumić czy zaprzeczać tym odruchom serca, albo też unosić się pychą lub próbować udowadniać samowystarczalność, a wręcz przeciwnie. Cieszmy się z tego, co nam dane i o co prosić możemy, i dziękujmy – stwierdziła, uśmiechając się szczerze i głęboko. – Uznanie potrzeby pomocy i szczera wdzięczność nie są bynajmniej umniejszaniem sobie, a wręcz przeciwnie, świadczą o wielkości człowieka, wynosząc nas ponad ziemskie ograniczenia" – rozmyślała. Wszyscy wielcy ludzie, jakich znała, zdecydowanie potrafili prosić i szczerze dziękować. „Nie warto zatem unosić się pozorną doskonałością, rozciągać zasłony obaw czy sceptycyzmu, unikać, zaprzeczać albo tłumić radość i wdzięczności, gdyż wielkością człowieka jest uznać prawdę i przyznać własną niedoskonałość, a niejednokrotnie i bezradność, szczególnie próbując polegać wyłącznie na sobie" – pomyślała.

„Ciesząc się i dziękując – kontynuowała swe rozważania, zamykając na chwilę oczy – zarówno za to co widoczne, namacalne, jak też za to, czego wzrokiem i umysłem ogarnąć nie sposób, podążamy za prawdą serca, kroczymy ścieżką na której nasze szczęście może się toczyć i wzrastać. – Uśmiechnęła się znowu. – Cóż więc nam pozostaje, jeśli nie odrzucić zadufania w sobie i przekonania o samowystarczalności, które zrywają nam skrzydła prawdy, i dać się prowadzić sercu".

„Radość i wdzięczność pozwalają rozkwitać szczęściem, błyszczeć naszej «koronie» i rozwinąć skrzydła. Samemu nie sposób pofrunąć, gdyż bez mocy, jaką daje prawdziwe szczęście, prędzej czy później spadniemy – podążała dalej za swymi myślami. – Szczęścia zaś nie można budować ani utrzymać bez radości wypływającej z wdzięczności. Tak też nie dziękując i nie ciesząc się zaprzeczamy swej do szczęścia stworzonej istocie – zanurzyła się w tych rozmyślaniach – a wtedy opadają nam skrzydła i spadamy".

„Wdzięczność jest najpiękniejszą formą szczęścia: należy zarówno do jego przyczyn, jak i skutków" – przypomniała sobie słowa W. Dirksa, które tak dobrze podsumowały jej rozważania, po czym ponownie wyciszyła się, nie ustając w szukaniu. „Buduje i pomnaża szczęście, wzmacnia moc prośby od samego jej początku oraz potwierdza… – Urwała na moment, pojmując, że łódź jej poszukiwań po raz kolejny przybiła do tego samego brzegu. – … potwierdza istnienie Boga" – dokończyła. „Czyż bowiem ludzkie serce mogłoby wyrywać się głębokim i prawdziwym uczuciem tak miłości, jak wdzięczności ku materii, wszechświatowi czy czemukolwiek innemu bez twarzy i serca?" – zastanawiała się.

„Nie – stwierdziła po chwili. – Wdzięczność bowiem tak jak miłość z serca wypływa i ku sercu podąża. Serce ludzkie wyrywa się więc miłością i wdzięcznością ku Sercu Największej Miłości – Bogu, który zszedł do nas na ziemię, odsłaniając przed nami swe oblicze i wyciągając dłoń w osobowej relacji z człowiekiem. Kochając nas nad ziemskie życie, ponad, jak i na miarę naszego poznania. Zszedł na ziemię – powtórzyła. – Odsłonił przed nami twarz i serce". Zamknęła oczy, a cisza ją otuliła. Czuła, jak padają na nią ciepłe promienie słońca, a serce jej uśmiechnęło się poruszone radością i wdzięcznością.

Tak wzniósłszy swój obraz marzeń w oprawie nieugiętej wiary, zachowała go na zawsze, by już nigdy nie musiała się martwić, że braknie jej pokarmu dla synka. Po prostu zamykała oczy, a widok ten napływał do jej wyobraźni jako niekończące się źródło miłości i obfitości, odsuwając na bok wszelkie niepewności i obawy.

Wdzięczność jej zaś była szczera i ogromna. Pojęła bowiem, że nie warto jej tłumić, gdyż wyzwala radość, potęguje miłość, umacnia wiarę – buduje i pomnaża szczęście.

„Nie sposób osiągnąć wielkość, nie stając się małym jak dziecko, które z radości i wdzięczności skacze, całuje, obejmuje, tańczy i śpiewa. Kocha, wierzy, ufa i nie lęka się ani nie wstydzi się prosić. Jakże wiele ono pojmuje, nie ograniczając się samowystrczalnością czy też pozorną wielkością" – pomyślała.

Odnalazłszy swą ścieżkę oraz zgłębiwszy sekret mocy ludzkiego serca i ducha, dostrzegła niezbędne ogniwo, aby koło ludzkiego szczęścia mogło się toczyć i wzrastać, a jest to:

szczera i radosna wdzięczność.



Powrót

…do domu.

Minęły trzy dni. Przyszła lekarka, trzymając w ręku wypis ze szpitala.

– Wygląda na to, że dziecko potrzebowało pokarmu matki. Wyniki badań są dobre i możecie w końcu wyjść ze szpitala. – Uśmiechnęła się, dodając: – Czas wrócić do domu. Jest to jednak przepustka. Widzimy się za tydzień na powtórne badania i pomiar przyrostu wagi dziecka.

– Tak! – krzyknęła z radości. – Dziękuję tak bardzo! Postaramy się. Wszystko będzie dobrze.

Lekarka, odchodząc, uśmiechała się ciepło, dojrzawszy odbijającą się w jej oczach radość, miłość i determinację walki o swoje dziecko. Ona zaś wiedziała, że może walczyć, gdyż nie jest sama i może prosić.

– Kochany – szepnęła mu do uszka, jakby była to ich najsłodsza tajemnica. – Udało się! Wrócimy do domu i wszystko będzie dobrze. Będziemy razem budować nasze wspólne marzenia i walczyć o nie. – Może pierwszy raz w życiu wiedziała, czuła i prawdziwie to pojmowała, a jej świat lśnił jasnymi i żywymi barwami.

– Wracamy do domu – rzekła ponownie. Tak często miała wrażenie, iż nigdy ich nie wypuszczą ze szpitala, że potrzebowała usłyszeć to jeszcze raz. A w jej oczach szkliły się radość i wdzięczność.

– Wracamy do domu – powtórzyła po raz kolejny, starając się w to naprawdę uwierzyć. – Synku, wracamy do domu! Wiesz… – Głos jej się łamał. – Ja kiedyś nie pojechałam do domu, choć tak bardzo tego pragnęłam. Zabrakło mi wtedy sił… – dodała ze smutkiem. – Ale teraz już wiem, skąd możemy je czerpać i ty pojedziesz do domu. – Spojrzała na niego z uśmiechem. – Pojedziemy tam razem.

Wtedy zobaczyła w głowie następny puzzel, który przysuwał się w ich stronę, a był to fragment, który nazwała: „Powrót do domu".

„Wsiedliśmy do łodzi, która przybiła do naszego brzegu i możemy płynąć z nurtem, jakim nas prowadzi. W stronę najgłębszych pragnień, życia, które przewyższa naturalną egzystencję, gdyż «życiem ciała jest dusza»" – pomyślała przypominając sobie słowa arcybiskupa J. Sheena, a jej twarz rozświetlił pokój, bo odnalazła i poczuła to, co zaprowadziło ją do mi-

łości oraz spokoju ducha, odkrywając ich wzajemne powiązania oraz harmonię, jaką z sobą niosły. Zrozumiała, kim jest i gdzie należy. Powróciła z wędrówki strachu i zagubienia, odnajdując miłość i ukojenie. Wróciła tam, gdzie czuła się bezpieczna i kochana – do domu.

„Dom duszy – szepnęła w duchu – jego wrotami zaś miłość, a królestwem… – uśmiechnęła się na tę myśl i dodała: – Niebo. Będę więc wiosłować, płynąc wraz z tym nurtem, który mnie prowadzi" – postanowiła.

Już sama ta myśl była jej siłą, odpędzając strach, bo gdy podróżuje się w ramionach, które nigdy nie upuszczają, nie trzeba się lękać.

„Wracamy do domu. Domu serca i duszy, a w końcu i naszych czterech ścian" – pomyślała, a radość, jaką te słowa z sobą niosły, rozbłysła całą pełnią w jej oczach.

Kiedy wychodziła ze szpitala, objęta ramieniem męża, wpatrzona w oczy swego synka, otulona rześkim powietrzem i wiosennym tchnieniem wiatru, trelami ptaków, ciepłem słońca, czuła mocno i wyraźnie, że jest to jeden z najpiękniejszych momentów ich życia.

Kierowali się w stronę samochodu, przechodząc alejkami parku, gdy nagle dojrzała na ławeczce starszego pana karmiącego ptaki. Ostrożnie, by ich nie spłoszyć, podeszła do niego.

– Dzień dobry – rzekła. – Przepraszam, czy nie przeszkodzę zbytnio jednym pytaniem?

– Dzień dobry. Nie. Nasi skrzydlaci przyjaciele zakończyli już swą ucztę. Proszę śmiało pytać – odrzekł mężczyzna z ciepłem w głosie.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się leciutko. – Właśnie tej skrzydlatej natury jest to pytanie. Czy może zna pan tego ptaszka, który czasem wyśpiewuje nocą w pobliskim „borze"?

– Prawda, że pięknie? – Teraz on się uśmiechnął, odpowiadając zapytaniem.

– Tak, urzekająco – odparła.

– Owszem, znam. To lerka, nasz najmniejszy skowronek. Wydaje się niepozorny, a jednak jest jednym z niewielu europejskich śpiewaków, które odzywają się w nocnej ciszy, podczas gdy pozostałe śpią. Zazwyczaj śpiewa tylko w jasne noce, lecz ostatnio nawet mnie zadziwił. Pewnie to ta wiosna… – dodał z nutą nostalgii.

Podziękowała i ruszyli dalej. Rozejrzała się dookoła. Rzeczywiście wszędzie zagościła już wiosna i tak też w jej sercu i duszy rozkwitała teraz radością nowego życia. Po tych wszystkich miesiącach obaw, trudów i niepokojów poczuła się nagle tak lekko i wyjątkowo. Podniosła oczy w górę, zatrzymując swe spojrzenie na jasności nieba, otulonego jak puchem lekkimi, śnieżnobiałymi chmurami i ciepłem słonecznego blasku, po czym uśmiechnęła się z całą przepełniającą ją wdzięcznością za tę chwilę, a w jej sercu i duszy rozbrzmiało

głębokie: „Dziękuję”. Spojrzała w stronę „boru”. „Mała lerko, tobie też dziękuję za te nuty nadziei w mroku” – dodała.

Pochyliła głowę i spojrzała w oczy synka, a wtedy zobaczyła w nich odbicie nieba, dostrzegając, jak chmury się rozpierzchły. I ujrzała, jak promienie słoneczne zalśniły jakby w uśmiechu…



Oblicza szczęścia

Czas, by powiedzieć…

Kochani!

Piszę, gdyż sama nie wiem, jak o tym wszystkim mam Wam opowiedzieć lub wyrazić choć trochę. Chcę Was również przeprosić za to, że się nie odzywałam tak długo, choć byłam tak blisko, lecz jakże daleko zarazem… W wędrówce niekończących się pytań i zagadek dziewięciu długich miesięcy. W podróży, w której straciłam bilet do domu i błąkałam się w mroku, tak ciemnym i gęstym, że tylko gwiazdy ratowały mnie, prowadząc swym blaskiem, bym mogła o poranku znów się odnaleźć. Jedyne bowiem, co dodawało mi otuchy i sił oraz nie pozwalało się poddać, to nadzieja wschodu słońca. Przez chwilę myślałam, że światło zgasło na zawsze i zrobiło się nagle tak ciemno, obco, zimno i smutno na tym świecie. Czasem miałam wrażenie, jakbym była w mrocznym lesie, pełnym wyjących wilków, które chciały mnie pożreć, a ja się po prostu bałam i nie wiedziałam, co mam czynić, w którą uciekać stronę. Tak bardzo się lękałam, że chciałam się ukryć przed całym światem, nagle tak obcym. Zupełnie nie potrafiłam się w nim odnaleźć, a zarazem obawiałam się, że może nas skrzywdzić. Gdzieś jednak w oddali słyszałam przepiękny ptasi śpiew, melodię życia i zapowiedź światła. Czy zatem słońce zgasło naprawdę i zaświeciło nowe, czy jedynie wzeszło ponownie, gdy znalazłam swą ścieżkę? Co na naszej drodze było prawdziwym blaskiem, a co błyskiem pozorów? Czasem nie było łatwo to odróżnić. Niebanalne okazały się zagadki i dylematy, przed jakimi zostaliśmy postawieni. Stawką zaś było… życie.

Wróciłam jednak. Odnalazłam swą drogę, ścieżkę światła, znalazłszy klucz do jej wrót. A była, jest i zawsze będzie to miłość. Tak oto znów jestem.

Choć się gubiłam, Wy nas nie opuściliście. Tak bardzo się bałam, że ten świat nas odtrąci, lecz wracając, ujrzałam Was i wiem już, że nie muszę się więcej lękać. Dziękujemy Wam bardzo za esemesy, telefony, serdeczne życzenia. Za to, że jesteście z nami i możemy dzielić z Wami naszą radość. To niesamowite uczucie zostać rodzicami, trzymać w ramionach takiego malutkiego, pięknego człowieka i nadziwić się nie możemy, że to nasz synek. Dziś właśnie kończy miesiąc. Powolutku, lecz dzielnie rośnie, a my staramy się odnaleźć w nowym życiu z prawdziwą rodziną.

To wszystko nie było jednak takie proste. Piszemy więc do Was, gdyż nie zdołaliśmy inaczej opowiedzieć, co tak długo zatrzymało nas w milczeniu. Choć może nie jest to temat na list, również nie na telefon, to nie powinien stać się bezpośrednim zaskoczeniem. Sami potrzebowaliśmy miesięcy, by postarać się choć trochę pojąć to, co niezrozumiałe, i przygotować na to, na co przygotować się nie sposób. Nie chcemy więc zbyt zaskakiwać bliskich, a…

…wszystko to zaczęło się, kiedy dowiedzieliśmy się, że jestem w ciąży i byliśmy tak bardzo szczęśliwi. Chcieliśmy od razu obwieścić tę nowinę całemu światu, by mógł się cieszyć razem z nami. Poczekaliśmy jednak do pierwszego USG, aby dać upust naszemu nieograniczonemu szczęściu. Czekaliśmy na ten dzień z wielką radością. Okazało się jednak, że to wszystko nie miało być takie beztroskie…

Następne tygodnie upłynęły nam pod znakiem wielu badań zakończonych diagnozą: Trisomia chromosomu 21, znana także jako zespół Downa. Wyglądało na to, że ruletka genetyczna trafiła właśnie na nasze dzieciątko. Nasz synek miał się urodzić z dodatkowym chromosomem, który mógł w istotny sposób ograniczać jego ciało w rozwoju i możliwościach, jak również wpłynąć na powstanie wad dodatkowych. Przygotowywano nas nawet na najgorsze. Mieliśmy wrażenie, że wali się nasz świat i przez wiele miesięcy zadawaliśmy sobie ciągle to samo pytanie: „Dlaczego?", gubiąc się oraz walcząc z ciemnością o prawdę i światło.

Byliśmy zagubieni, przestraszeni, lecz jedno wiedzieliśmy na pewno, że po prostu kochamy to nasze dziecię. Kochaliśmy je od samego początku i już wtedy, kiedy było jeszcze tam, pod mym sercem, obiecaliśmy sobie, że się nie poddamy i będziemy walczyć o nasze malutkie, ogromne szczęście. Nie wiedzieliśmy jednak, jak dzielić się tym z innymi. Jak powiedzieć o wiszącej nad nami diagnozie? Jak wyjaśnić niezrozumiałe? Jak rozmawiać, gdy słowa stają w gardle?

Nie traktowaliśmy tej diagnozy jako wyroczni. Ceniąc wiedzę i kompetencje lekarzy, zawierzyliśmy ostatecznie woli Bożej. Modliliśmy się i czekaliśmy na naszego synka. Były to jedne z trudniejszych miesięcy naszego życia. Niepewność jutra siała trwogę, uczucie bezradności i zagubienia, a my marzyliśmy o naszym dziecku. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy się urodzi i go zobaczymy, a miłość pokona wszelkie obawy.

Gdy nasz synek przyszedł na świat, zrozumieliśmy, że stał się cud o innym obliczu szczęścia, dany nam jako wielka tajemnica, by odkrywać ją każdego dnia. Zawierzyliśmy, że tak miało być, że wszystko ma swój cel i sens, a my musimy temu zaufać.

Nie pojmowaliśmy i nie wiedzieliśmy jednak jeszcze tak wiele, nawet tego, jak Wam o tym powiedzieć. Na osobiste spotkania brakło wolnej chwili, zbyt daleko odsuwając je w czasie. Rozmowy telefoniczne urywał drżący głos, a listy zostawiały niedosyt i tęsknotę za spotkaniem, lecz te właśnie otulały ciszą, pozwalając wsłuchać się w prawdę. Wybaczcie więc, że nie udało się nam przekazać Wam tego osobiście, jak również nieporadność naszego listu, splątanych słów, gdyż są rzeczy, o których tak trudno jest opowiedzieć…

Chcemy jednak, byście wiedzieli, by kiedyś nasze spotkanie nie stało się zaskoczeniem i byśmy bez obaw mogli odbierać Wasze telefony, bez lęku, że zapytacie, czy wszystko jest w porządku, a my nie będziemy wiedzieć, co odpowiedzieć.

Teraz możemy Wam już powiedzieć, że nasz synek ma zespół Downa, u nas zaś wszystko w porządku. Jesteśmy szczęśliwymi rodzicami, a dzięki temu, co z sobą nam przyniósł, stajemy się pełniejszymi ludźmi.

Pozdrawiamy Was bardzo ciepło
Dumni rodzice ☺



Krzyż

…to nie on jest krzyżem.

Cechą wyróżniającą chrześcijańską radość jest to,
że może ona współistnieć z cierpieniem,
całkowicie bowiem opiera się na miłości.
(Jan Paweł II)

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Malec spał słodko, gdy ona usiadła przy nim, nie mogąc się znów na niego napatrzeć. Mimo upływu czasu ciągle miała wrażenie, jakby każdego dnia rodził się dla nich na nowo. Gdy otwierał swe oczka, wraz z każdym wschodem słońca, jaśniał jak najwspanialszy podarunek szczęścia. Cudowny, mały człowiek – ich synek. I chociaż nikt nie obiecywał im, że będzie łatwo, choć wiedziała, że ma przed sobą trudną drogę, której pewnie i łzy nie będą obce, czuła to coś ponad wszystko inne.

„Nie będzie lekko, ale może być pięknie" – powtarzała pełna nadziei.

W sercu nosiła bowiem obietnicę głębokiego szczęścia oraz piękna na każdy dzień i ponad granicę dni i czasu. Obietnicę, która przyszła przez krzyż i jaką składało jej każde spojrzenie i tulił każdy uścisk jej synka. Widziała jej blask za każdym razem, gdy patrzyła na swe dziecko:

„Downa" – najczystszą miłość tego świata.

Dostrzegała ją w nieprzebranej głębi jego oczu. Odnajdywała w każdym ruchu jego ust, które nie przestawały wołać „kocham", oraz rączek, tych tak malutkich, a nieustannie wszystkich obejmujących. To prawda, że oczy były skośne, buzia wiecznie otwarta, rączki i nóżki przykrótkie, a cały zbyt nieporadny w realiach tego świata. Tak, tak było, lecz czyż rzeczą ludzką nie jest niedoskonałość?

I patrzyła tak na niego każdego dnia, nie mogąc odnaleźć w nim tylko jednego:

żadnej winy.

„A świat woła: «Usunąć!». Czemu?" – to pytanie powracało ciągle w jej sercu.

„Bo widzi krzyż? To przecież nie on jest krzyżem!" – krzyczała jej dusza.

Niewyobrażalne wydawało się jej postrzeganie własnego dziecka jako krzyż, tej miłości, jaką z sobą przyniósł i nas nią objął, a odtąd i całe nasze życie. W ogóle postrzeganie człowieka jako krzyż.

„Nie! Nie! Żaden człowiek nie jest krzyżem, a jedynie brzemię, jakie dźwiga" – stwierdziła i zaszkliły się jej oczy.

Słowo krzyż w odniesieniu do ich synka, usłyszane w tamtym gabinecie, które tak bardzo ją przestraszyło, przestało przerażać, odkąd usłyszała pierwszy szept swego dziecka. Kiedy zaś po raz pierwszy spojrzała mu w oczy i tuliła w swych ramionach, a wszelkie obawy i wyobrażenia budowane i wzmacniane strachem zostały skonfrontowane z blaskiem prawdy, cudem dziecka, cząstką nieba na ziemi, najczystszą miłością, trwoga krzyża rozprysła się jak rozbity lód, nie mogąc już niczego zmrozić.

– To nasze dziecko – szepnęła i zapłakała.

W jej łzach zebrało się teraz już wszystko: cierpienie krzyża i cud miłości, szczęście i ból, strach i nadzieja, przeplatane złością na zakłamanie tego świata i walczącą z nią upartą radością wiary, a że uczucia te były równie sprzeczne jak silne, znów tylko miłość mogła to ogarnąć.

„To nasz synek! – wołała ze łzami jej dusza, a płacz ten przeplatał się z uśmiechem szczęścia. – Cząstka nas samych. Nasza miłość, radość i wielkość. Serce, które biło pod moim. Szept, który nigdy mnie nie opuszczał, a zawsze wspierał, nie pozwalając upaść ani się poddać. Miłość, jaka się nam oddała i całych nas otuliła, ufając bez granic. Nasz synek. Tak piękny w swej głębi i istocie. Każdy nasz trud wynagradza tak wielką miłością".

Rodzice martwią się czasem, na kogo wyrosną ich dzieci, czy będą dobrymi ludźmi. Ona zaś, mimo tak wielu niewiadomych, przed jakimi zostali postawieni, jedno wiedziała na pewno: On zawsze będzie dobrym człowiekiem.

Trwała przez chwilę w zadumie, rozmyślając o tajemnicy krzyża.

„Ludzie niepełnosprawni, chorzy, cierpiący dźwigają krzyże, by może poruszyć prawdę serc i wynieść nasze spojrzenie ponad wszelkie zasłony – przemknęło jej przez myśl. – Podnoszą je każdego dnia, wskazując drogę, aby chronić nas od pogrążania się w kłamstwie i oślepienia błyskiem pozorów". Zastanawiała się, rozważając to w sercu.

„My zaś – kontynuowała, szukając i zgłębiając nieustannie prawdę o człowieku – jakże często odtrącamy ich, w swej nieporadności czy egoizmie odwracamy się lub też onieśmie-

leni czy przestraszeni cierpieniem uciekamy i chowamy pod przykrywką «ważnych» spraw. Dajemy się krępować więzom pozornej niemocy, rozciągamy zasłony, nie zdając sobie niejednokrotnie sprawy z istoty i mocy swego serca. Kiedy możemy przecież pomóc dźwigać niejeden krzyż, podać swą dłoń i kroczyć obok kochając tym mocniej. A może ich cierpienie i w naszym wybawieniu ma swój udział?" – zastanawiała się poruszona tymi myślami.

Znów poczuła się mała i mizerna w obliczu potęgi krzyża oraz wielkości osób chorych, cierpiących, kalekich i niepełnosprawnych. Zwiesiła głowę w zawstydzeniu własnym hedonizmem i próżnością, a wtedy dostrzegła łańcuszek okalający jej szyję, na nim zaś pierwszokomunijny krzyżyk. Ujęła go delikatnie, unosząc tak, by mogła na niego spojrzeć, po czym, patrząc tak dłuższą chwilę i zagłębiając się w jego tajemnicę, otuliła cały uściskiem swej dłoni i wyszeptała słowami znanej jej pieśni:

Każde spojrzenie na krzyż,
Niechaj refleksją zagości,
Bo wszystko w życiu to nic
Wobec tak wielkiej miłości.

„Krzyż…" – powtórzyła raz jeszcze i znów przypomniało się jej stwierdzenie św. Teresy Benedykty od Krzyża:

„Krzyż nie jest celem samym w sobie, wznosi się wzwyż i wskazuje drogę".

„Pomoc w dźwiganiu krzyża również może być krzyżem – znów się zamyśliła. – Tak, to prawda. I niełatwe to zadanie. Niejednokrotnie zdające się przekraczać nasze siły. – Westchnęła ciężko. – Jakże sama się tego lękałam, jak bardzo obawiałam się swej słabości…" Sięgnęła myślami tamtych chwil, zatrzymując się na moment, przygnieciona ich ciężarem, po czym powróciwszy do tu i teraz, rzekła w duchu:

„Dziękuję za uznanie mnie jego godnej. – Uniosła głowę w stronę nieba, zaraz jednak znów ją opuściła w zawstydzeniu, dodając: – …choć sama w siebie wątpiłam".

Przymknęła oczy i wsłuchiwała się przez chwilę w ciszę, po czym kontynuowała:

„Ja… nawet nie potrafiłabym wyobrazić sobie piękniejszego – szepnęła w sercu. – To przecież krzyż, który rozkwitł największą miłością" – dokończyła i uśmiechnęła się, spoglądając znów w górę z oczami szklącymi się od łez wzruszenia.

Opowieść

…o dziewczynie i ziarnku.

…a za oknem ptaki śpiewały opowieść o dziewczynie, która swym życiem wymalować miała słowa, jakich nie zdążyła wykrzyczeć na jego początku. O sercu, z którego wyrosnąć miał znak i drogowskaz, gdy inne były deptane…

…i o ziarnie boleści, zasianym na tej ziemi. Ból zaś, jaki wylewał się z niego wraz ze łzami wsiąkającymi głęboko, pojmowany prawdą, stawał się jej siłą i solą, by rozkwitnąć mogła najpiękniejszymi z kwiatów – miłością, a nie było większych i wspanialszych ponad te…

…i tak stawać się mogła prawdziwie Piękną Ziemią.



Wsiane w serce

…jest najmniejsze ze wszystkich nasion na ziemi.
Lecz wsiane, wzrasta i staje się większe od innych.
(Mk 4,26–28)

Z królestwem Bożym dzieje się tak, jak gdyby ktoś nasienie wrzucił w ziemię. Czy śpi, czy czuwa, we dnie i w nocy nasienie kiełkuje i rośnie, on sam nie wie jak. Ziemia sama z siebie wydaje plon, najpierw źdźbło, potem kłos, a potem pełne ziarno w kłosie.

(…)

Jest ono jak ziarnko gorczycy; gdy się je wsiewa w ziemię, jest najmniejsze ze wszystkich nasion na ziemi. Lecz wsiane, wyrasta i staje się większe od innych (…); wypuszcza wielkie gałęzie, tak że ptaki powietrzne gnieżdżą się w jego cieniu (Mt 13,1–52).



Dzisiaj

Dzisiaj tak często człowiek nie wie, co nosi w sobie,
w głębi swojej duszy, swego serca. Tak często jest niepewny sensu
swego życia na tej ziemi. Tak często opanowuje go zwątpienie,
które przechodzi w rozpacz. Pozwólcie zatem – proszę was,
błagam z pokorą i ufnością – pozwólcie Chrystusowi mówić
do człowieka. Tylko On ma słowa życia, tak, życia wiecznego.
(…)
Bałem się przyjąć ten wybór, ale zrobiłem to
w duchu posłuszeństwa naszemu Panu
i w całkowitym zaufaniu do Jego Najświętszej Matki.

(Jan Paweł II, Inauguracja pontyfikatu, Rzym, 22 X 1978r.)

Wydawało się jej, że te dziewięć miesięcy były trudne, nawet bardzo trudne. Czasem miała wrażenie, że dłużej temu nie sprosta. Przebrnąwszy przez nie szczęśliwie, czuła teraz bardzo wyraźnie, że ten okres ciąży, wydający się trwać bez końca, był jedynie wstępem, przygotowującym ich do tego, co właśnie się rozpoczynało. Czas, który pozwolił poczuć i zrozumieć, iż jak długo człowiek nie wie, co począć, jak postąpić, tym mocniej jest narażony na nękające podszepty ciemności, atakujące z całą swą mocą i wszystkimi sposobami, chcąc zniszczyć wszystko to, kim jesteśmy, naszą istotę, sens i siłę, oraz osobę w człowieku. Gdy jednak odnajdziemy w swym sercu miłość, otrzymujemy tarczę, wobec której zło staje się bezradne. To tak, jakby budowało ją całe dobro jednoczące się, by nas wesprzeć. I wszystko zaczyna się układać, nawet jeśli nie zawsze zdołamy pojąć jak. Nasze zadanie nie polega bowiem na tym, by odkryć jak. „Jak" wyłoni się z ufności, oddania i wiary. To nic, że czasem przychodzą obawy. Jesteśmy przecież ludźmi, mamy prawo się lękać, lecz gdy przepełnia nas światło, „szarość mgły" opada w swej niemocy.

„Obawy i ludzkie słabości…" – Zatrzymała się na chwilę, gdyż myśl ta nieco ją spłoszyła. Była bowiem zwykłym człowiekiem ze swymi niedoskonałościami i słabościami. Do tego strachliwa i płochliwa jak sarna, która wybiegłszy z ogrodu doskonałej harmonii, trafiła na szumną autostradę pędu doczesności. Żyła zwyczajnym życiem z lepszymi i gorszymi

dniami, gubiąc się i upadając, odczuwając nieporadność, lęk, gniew, złość. Jak każdy z nas zmagała się z szarością dnia codziennego. Nic więc dziwnego, że poczuła niepokój świadoma własnej małości oraz wyzwań, jakie jeszcze przed nią.

„Jak wytrwać, gdy przychodzą obawy i lęki? Nie poddać się i nie zgubić? Czy dam radę?" – pytała raz jeszcze sama siebie, by nie wahać się w chwilach, kiedy nie wiadomo, jak postąpić. Nie przestraszyć się i nie zachwiać, ale niejako być gotową na to, na co nigdy gotowi nie jesteśmy – na szarą niewiadomą.

Nie mogła wiedzieć, co czynić w okolicznościach, które niejednokrotnie pewnie ją jeszcze zaskoczą czy przerażą. Pojmowała tylko, że nigdy nie może się poddać. Sama potrzebowała zatem tarczy, czegoś, co będzie ją chronić oraz dodawać siły i odwagi, gdy przyjdą chwile lęków, zwątpienia i bezradności, aby bronić się przed własną słabością. Uczyniła więc słowa naszego papieża swą tarczą na odparcie strachu i niepewności. Taką, jakiej potrzebuje, a która w chwilach wątpliwości we własne możliwości czy upadku w ludzkich słabościach dodaje odwagi i siły, by się z nich wydźwignąć, powstać, otrząsnąć i stawić im czoła. Zatem w chwilach strachu, niepewności i uczucia bezradności powtarza sobie: „Rzeczą ludzką jest trwożyć się, wielkością zaś zaufać i wyjść naprzeciw światłu prawdy pomimo lęków, z siłą miłości". I wtedy uśmiecha się sama do siebie.

Te słowa dodają jej wiary w siebie, by podnieść głowę i pójść dalej „w duchu posłuszeństwa", wsłuchując się w głos fletu – nut, którymi drży serce i szepcze dusza, gdyż doświadczyła mocno i wyraźnie, że jest to dobra droga i jedyna przynosząca ukojenie i harmonię:

uwierzyć, zaufać, kochać.

Tak oto dziś idą za rękę ze swym przeznaczeniem, otuleni miłością. Drogowskazem jest im blask prawdy. Podążają jak zwykli ludzie, jak każdy – z obawą, lecz nade wszystko z nadzieją, wiarą i miłością.

Ostatni sen

Ostatnie światło…

Szła ulicą. Był upalny, letni dzień. Mijały ją tłumy przechodniów. Ocierała pot z czoła, marząc o jakiejś ochłodzie, chociażby skrawku cienia pod koroną drzewa. Dookoła otaczał ją jednak wyłącznie beton miasta, odbijający prażące fale ciepła i potęgujący ten nieznośny skwar. Wtem na rogu ujrzała: „(…) szła boso biedna dziewczynka po śniegu, a nogi jej zsiniały i poczerwieniały. Jedną ręką ściskała czerwony fartuszek, w którym niosła kilkanaście paczek zapałek , a w drugiej ręce miała jedną paczkę i tę podsuwała nieśmiało przechodniom, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Ale nikt po nią nie sięgnął (…)". Ludzie jej nie zauważali. Potrącali ją, wytrącając z jej zziębniętych rączek zapałki, po czym rozdeptywali je lub miażdżyli kołami pojazdów, niszcząc tym samym wszystko co miała i im niosła. Kogo bowiem interesowałyby dzisiaj takie „marne" światełka i biedna dziewczynka?Przechodzono obok niej, jakby nie istniała, nawet kiedy rozpalała ciągle kolejne zapałki, aby tym światłem oświecić ich spojrzenie i drogę. Nic to jednak nie dawało. I tak w tym chłodzie i ludzkiej znieczulicy gasły kolejne płomienie, zapałka po zapałce…*

„Dziewczynka „drżała z zimna i głodu, idąc z wolna przez ulice, podobniejsza do cienia niż do żywego dziecka. Białe płatki śniegu osiadały jej na długich, jasnych włosach, które ciepłym płaszczem osłaniały plecy i szyję dziewczynki. Ładnie jej było w tym złocistym płaszczu ze srebrzystymi gwiazdami nad czołem, lecz nie myślała o tym.

Usiadła wreszcie. Tak była zmęczona, że nie mogła iść dalej. Osiadła w kąciku między dwoma domami (…) miała przed sobą mur szary, wilgotny i ciemny. (…) tak się skuliła, skryła pod spódniczkę zziębnięte nogi, ażeby je rozgrzać. Ale jakże się rozgrzać na śniegu i mrozie? Zziębnięte ręce skostniały jej prawie, nie miała siły utrzymać w nich nawet jednej paczki zapałek". W nieporadności swych sztywnych dłoni upuściła ją na ulicę, gdzie natychmiast została zniszczona.

Zwolniła kroku, obserwując pędzący w obojętności tłum i drobną dziewczynkę tulącą się do szarego muru, by się choć trochę ogrzać.

„Jakaż ona musi być strasznie przemarznięta" – pomyślała z zatroskaniem, przyglądając się coraz wnikliwiej temu dziecku, które tak nieugięcie walczyło z przenikliwym mrozem i chłodem ludzkich serc.

* Ten i kolejne cytowane fragmenty w tym rozdziale: H.Ch. Andersen, *Dziewczynka z zapałkami,* tłum. Cecylia Niewiadomska.

Nagle dziewczynka skierowała wzrok ku schowanym w fałdach spódniczki zziębniętym dłoniom, w których coś skrywała. Rozchyliła je ostrożnie i spojrzała w nie z nadzieją. Została jej ostatnia zapałka – jedna, jedyna. Popatrzyła na nią z czułością i uśmiechnęła się przez łzy do jakiegoś ciepłego wspomnienia. Długo tak na nią spoglądała. W końcu przytuliła ją do serca, po czym ucałowała i zapaliła tę jedną, jedyną, ostatnią zapałkę.

„Cóż za wesołe światło, jasne i ciepłe, ach, jak grzeje w ręce! Cudowny płomyk!" Poświata tego płomyka padła na szary, wilgotny mur, nadając mu blasku i ciepła. Ludzie jednak biegali niezmiennie w pogoni za tysiącem swoich spraw, nie zważając na dziewczynkę, na wytrącone z jej rączek puste już paczki zapałek i na ten płomyk, który teraz podnosił się „coraz wyżej, ku gwiazdom, ku światłom wspaniałym, gdzie nie ma głodu, chłodu ani trwogi, aż przed tron Boga".

Zatrzymała się, patrząc na to wszystko. Na małą, zmarzniętą, potrącaną i niezauważaną dziewczynkę, znów podążającą powoli, z pokorą przez ulice wielkiego miasta. Choć śnieg i lód stopiły się już w skwarze tego dnia, ciągle otaczał ją chłód ludzkiej znieczulicy, tysiąca ważniejszych spraw i duszący wszystko mrok szarości pożerającej istotę i sens człowieczeństwa. A wszystko w tej szarości i chłodzie się kotłowało i pędziło ślepo ku otchłani ciemności, nie zauważając światła wskazującego drogę.

Dziewczynka szła więc teraz jeszcze wolnej, z tym większą pokorą i powagą, podnosząc w górę swe rączki, tak by ludzie mogli dostrzec światło tej zapałki. Jaśniała ona zaś blaskiem i ciepłem zupełnie innym od sztucznego błysku latarni, reflektorów, neonów czy migoczących reklam.

„Co byłoby, gdyby nagle zabrakło prądu i sztuczne światło zgasło? – pomyślała. – Wtedy pewnie ludzie zatrzymaliby się w końcu. Utknęli w swej niemocy, szukając tego światła w ostatnim odruchu nadziei. Właśnie tego, które teraz odtrącają". Nikt bowiem nie chciał spojrzeć na zapałkę, która prócz światła, dawała również ciepło.

„Ale jeśli i tę ostatnią wytrącą i podepczą, nie zostanie już żadna" – stwierdziła z trwogą, obserwując to wszystko.

Miała wrażenie, że każda zapałka, którą niosła ta dziewczynka, świeciła światłem nieco odmiennej barwy. Jakby każda chciała coś przekazać, coś symbolizowała. Światło tej, która teraz rozbłysła, było jasne i świeże, błyszczało jak śmiech dziecka, pachniało wiosną i łąką, migotało jak trzepot motylich skrzydeł i pulsowało mocno i rytmicznie, niczym bicie serca. To światło wydało się jej szczególnie żywotne.

„Ostatni żywy płomień walczący z taką werwą, ze wszystkich sił i całym swym blaskiem z chłodem i ciemnością tego świata" – pomyślała zachwycona tą ciepłą i radosną poświatą, jaka padała dookoła na mijane przez dziewczynkę mury, ulice i ludzkie twarze. „A jednak nadal go nie widzą…" – dodała głęboko zasmucona.

Stała, teraz już całkiem zapatrzona na tę niestrudzenie podążającą do przodu, zziębniętą dziewuszkę, ze skostniałymi, uniesionymi wysoko w górę rączkami i bosymi, sinymi od mrozu stópkami.

– Ja znam tę dziewczynkę! – krzyknęła nagle. – To jest przecież dziewczynka z zapałkami! Hej, zaczekaj! – zawołała, biegnąc w jej stronę.

Wtedy tamta zatrzymała się i odwróciła, po czym uśmiechnęła ciepło. Łzy radości rozbłysły w jej oczach, a płomień zapałki zalśnił swą pełnią.

– Dostrzegłaś mnie – powiedziała dziewczynka. – Już tak się martwiłam, że nikt nie zdoła mnie zauważyć. – Posmutniała na chwilę. – Tu jest tak zimno i ciemno, aż zaczęłam się bać… – dodała.

– Jakaś ty piękna! – powiedziała, oniemiała bowiem na widok tej cudnej, małej twarzyczki, jaką zobaczyła, podchodząc bliżej.

Tamta jednak nic nie odrzekła, a jedynie uśmiechnęła leciutko, zdradzając swą delikatność i skromność.

Patrzyła tak jeszcze przez chwilę na tę wyjątkową osóbkę, następnie pochyliła się, ściągnęła swoje sandały i włożyła na zmarznięte, bose stópki dziewczynki.

– Wiem, że to niewiele przy tak zmarzniętych nóżkach, ale zawsze coś. Mi nie są tak potrzebne – rzekła, po czym wstała i ujęła swoimi dłońmi jej rączki ściskające zapałkę, by choć trochę je ogrzać.

Stanęły teraz naprzeciw siebie otulone światłem tego płomienia, patrząc sobie w oczy.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytała. – Myślałam, że odeszłaś ze swoją babcią?

– Tak – odpowiedziała cicho dziewczynka. – Prawie tak… – dodała po chwili. – Nie mogłam jednak pójść dalej. Musiałam zawrócić – dokończyła, nie zdradzając nic więcej. Zdawało się, jakby pochłonęły ją na chwilę jakieś smutne myśli. Spuściła głowę w zafrasowaniu. Po chwili podniosła wzrok, spojrzała na nią i zapytała: – Co tam tulisz? Tam, w tej chuście?

– A… – rzekła wybita z tropu. – To mój synek. Śpi tam sobie.

– Lubię dzieci – powiedziała tamta, uśmiechając się ciepło. – Czy mogę go zobaczyć?

– Tak, proszę – odparła, uchylając rąbka chusty.

Dziewczynka spojrzała na śpiące niemowlę, które teraz poruszyło się, otworzyło swe skośne oczka i pokazało języczek. Ujrzawszy to, uśmiechnęła się jeszcze bardziej.

– To dlatego mnie dojrzałaś… – szepnęła i zawiesiwszy na chwilę głos, zamyśliła się znowu.

Nie rozumiała, o czym tamta mówiła. W tej chwili nie potrafiła jednak prosić o wyjaśnienia.

– Słyszałam, jak płaczą – szepnęła tajemniczo dziewczynka, a łzy napłynęły do jej oczu. – Kiedy szłam z babcią, usłyszałam nagle płacz i zobaczyłam te maleńkie dzieci. Płakały tak głośno i żałośnie. Mówiły, że chcą do mamy, ale zamknięto im drogę, a rodzice nie wiedzą, że one tu na nich czekają, gdyż nie mogą ich usłyszeć. Potem, zobaczywszy kim jestem, poprosiły o zapałki. Podałam im kilka paczek,

a one zapaliły je, biegały i wołały: „Mamusiu! Tatusiu! Widzicie to światło? Tu jesteśmy!" Skakały i krzyczały najgłośniej jak potrafiły. Zaglądały wszędzie, szukając jakiejkolwiek szczeliny, przez którą mógłby dotrzeć ich głos lub też przebić się blask tego światła. Jednak to nic nie dało. Biegały tak długo, aż w końcu wróciły i znów zaczęły płakać. Były takie smutne i bezradne.

„Już nic więcej nie możemy zrobić – szlochały. – Chcemy do mamy, do taty, a ludzie zamykają wrota serc i nic nie widzą ani nie słyszą. Nie wiedzą już nawet, kim naprawdę jesteśmy. Nazywają nas… «płodem» – dodały z tak przeszywającą rozpaczą, że nawet mi, choć byłam już na wskroś przemarznięta, zrobiło się przeraźliwie zimno, aż… – urwała nagle tak głęboko tym poruszona, po czym kontynuowała: – …zadrżałam. Widząc to, dzieci zapaliły kolejną zapałkę, by mnie ogrzać i nagle, gdy dojrzały jej płomień, w ich oczach zalśnił blask nowej nadziei.

„Może trzeba spróbować z drugiej strony? Może tam ludzie zobaczą to światło?!" – zawołało jedno z nich.

Wtedy podszedł do mnie przepiękny chłopiec z takim samym blaskiem w oczach jak u twego synka i wyciągnął swą rączkę, w której ściskał tę zapałkę.

„Proszę – powiedział, podając mi ją.– Zanieś to światło na drugą stronę. Może tam je dojrzą?"

„Prosimy!" – zawołały razem wszystkie dzieci tak głośno i przejmująco, jak tylko brzmieć może wołanie ostatniej nadziei.

– Choć tak bardzo chciałam pójść z babcią, obie zapłakałyśmy razem z nimi. Nie mogłyśmy ich tak zostawić. Babcia poszła po Janka Muzykanta, żeby im zagrał i nie płakały już dłużej, bo on przecież tak pięknie gra. Dźwięki jego muzyki niosą ukojenie… – rozmarzyła się. – Zawsze tak cudnie grało mu w duszy – dodała w zamyśleniu.

– Nie trzeba było długo go namawiać – uśmiechnęła się, kontynuując. – Janko z radością chwycił swoje wymarzone skrzypki i czym prędzej przybiegł, po czym zaczął wygrywać im swe najpiękniejsze melodie. Dzieciaki od razu pokochały jego granie. Śmiały się, tańczyły i klaskały z radości. Ja zaś musiałam zawrócić. Świat nie zmienił się jednak na lepsze. – Posmutniała. – Ludzie mnie popychają, wytrącają zapałki, depczą wszystko, co im niosę, i… została mi już tylko ta jedna zapałka – westchnęła zatroskana. – Tylko ta od tego małego chłopca. Nie mam już jednak siły i czasu. Nie mogę dłużej tu zostać. Szukałam więc kogoś, kto zechce wziąć ją ode mnie i zanieść to światło ludziom, lecz tak długo już chodzę, po raz drugi prawie zamarzłam, a ludzie uparcie nie chcą zauważyć tego blasku… Aż w końcu ty mnie dojrzałaś. – Uśmiechnęła się. – Jestem już tak zmarznięta i zmęczona, i martwię się o te dzieci. Chciałabym do nich wrócić. Uwielbiają bawić się moimi zapałkami. Wtedy tak radośnie się śmieją. Najbardziej lubią zabawę w dom, rodzinę i miłość.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz nie potrafiła.

– Weź, zanieś ją ludziom! Proszę – kontynuowała dziewczynka, podając jej zapałkę z migającym światełkiem.

„Ja miałabym wziąć tę zapałkę?" Zamyśliła się. „Nikt przecież nie zauważył tej wyjątkowej, przepięknej dziewczynki. Dlaczego więc mieliby zauważyć mnie? A jeśli zapałka zgaśnie, nim zdążę dotrzeć z tym blaskiem do ludzkich serc? Wtedy zawiodę wszystkich. I co stanie się z dziećmi?" Dziesiątki pytań krążyły jej w głowie. Nie mogła jednak odmówić i po raz kolejny pozwolić jej zamarznąć.

Stała wpatrzona w ten płomień, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Otworzyła usta, lecz znów zawahała się w obawie, że zawiedzie. Zwątpiła w siebie. Nie wiedziała, co począć. Widząc to, dziewczynka spytała:

– Czy mogłabyś?

Patrzyła na nią ze łzami w oczach, nie potrafiąc odpowiedzieć. Wtedy on, jej maleńki synek wyciągnął swą rączkę i chwycił płonącą zapałkę. Zlękła się i chciała mu ją odebrać, w trosce, by się nie poparzył. Dziewczynka jednak ujęła jej dłoń, nim ta zdążyła dotrzeć do rączki chłopca.

– Nie trzeba. Nie obawiaj się. Nic mu nie będzie. To… – Zawahała się przez chwilę. – To właśnie on dał mi tę zapałkę… – urwała, uśmiechając się tajemniczo.

Oniemiała. Nic z tego nie pojmowała. Dziewczynka zaś kontynuowała.

– Wiem, że już nie słyszysz jego głosu. Najważniejsze jednak, że słyszałaś go wtedy, gdy tak bardzo oboje tego potrzebowaliście. – Znów tak ciepło się uśmiechnęła. – Teraz… – urwała na chwilę, patrząc jej w oczy, jakby w czymś się upewniając, po czym dokończyła: – On prosi, by ci powiedzieć, żebyś się nie lękała, gdyż pomoże ci ją nieść.

Spojrzała na swego synka, a łzy wzruszenia napłynęły do jej oczu. Zerknęła jeszcze raz na te maleńkie rączki z obawą, czy aby na pewno ten ogień ich nie poparzy. Wtedy dostrzegła blask wybijający się z przestrzeni pomiędzy jego malutkimi, ściskającymi zapałkę paluszkami. To nie było jednak światło tego płomienia.

– Co to jest? – spytała, wskazując na wybijające się z jego rączek jasne smugi, potęgujące jak odbicia w lustrze blask zapałki.

– Ach, to – rzekła dziewczynka. – Zapomniałam ci powiedzieć. Kiedyś, gdy sprzedawałam zapałki, aby nie myśleć o mrozie i chłodzie, jakie mnie przeszywały, bawiłam się nimi, nadając im imiona, które bardzo lubiłam: Dom, Rodzina, Ciepło, Radość, Dobro, Miłość, Szczęście. Wtedy robiło mi się cieplej. A teraz było mi tak smutno, tak bardzo smutno… – pochyliła głowę, skrywając łzy. – …patrzeć, jak ludzie to wszystko depczą… – Zamilkła na chwilę.

– Nie wszystkie jednak zdążyłam nazwać – kontynuowała. – Te zapałki, które wzięły dzieci, by rozświetlić drogę rodzicom, były właśnie bez nazwy. Biegały z nimi tak długo, że większość z nich

się wypaliła. W końcu została im tylko ta jedna. Kiedy ich starania nie przynosiły rezultatów i znów zaczęły płakać, ich łzy skapywały na tę zapałkę i osiadały na niej jak najpiękniejsze diamenty najczystszych uczuć. To ich blask tak świeci. Nie musisz się tego obawiać – dodała. – Potem te małe drobinki klejnotów ich łez łączyły się ze sobą, tworząc litery, te zaś układały się w słowa i tak ta zapałka otrzymała swoje imię – dokończyła.

Ona jednak nadal milczała, nie potrafiąc się w tym wszystkim odnaleźć.

– Czas na mnie – rzekła w końcu dziewczynka. — Czy mogę już odejść?

Tłumiąc łzy, skinęła lekko głową w potwierdzeniu, ciągle nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów, nawet prostego „tak", bo i to okazało się dla niej zbyt trudne.

Wtedy dziewczynka zbliżyła się i przytuliła ją na pożegnanie, po czym odeszła.

Pozostało ciepło jej uścisku. Zastanawiała się długo, jak to możliwe, przecież ta dziewczynka była tak bardzo zmarznięta.

Zostali sami wśród pędzącego tłumu. Stała ciągle znieruchomiała, tuląc swego synka trzymającego zapałkę. Martwiła się, że zapałki tak szybko się wypalają. Czy więc zdążą dotrzeć z tym światłem do ludzi? Poczuła smutek rozstania z tą wyjątkową osóbką. Nawet nie zdołała jej zapytać, jak ma na imię. Kiedy zaś ta odeszła, powiał przeszywający chłód, jakby chciał zająć miejsce ciepła i światła, które zostawiła po sobie. Zlękła się, że ten podmuch zdmuchnie płomień tej ostatniej zapałki. Upadła na kolana, przytulając się do muru najbliższego domu, by osłonić to światło. Prosiła, by ciągle świeciło. Ochraniając je od powiewu chłodu, przysunęła twarz tak blisko zapałki, że ta musnęła swym płomieniem jej policzek. Poczuła wyjątkowe ciepło, pulsujące jak bicie serca. Zdziwiła się jednak, że ten płomień jej nie oparzył. Dawał światło i ciepło, ale nie ranił. Spojrzała na swego synka, który już to wiedział, bawiąc się nim wesoło. Zerknął na nią, po czym przysunął swą rączkę w jej stronę, jakby chciał jej podać tę zapałkę. Ujęła ją delikatnie swymi palcami, tak by nie zasłonić utworzonego blaskiem dziecięcych łez napisu i wtedy go odczytała:

„ŻYCIE".

Oczy jej otworzyły się jeszcze szerzej wpatrzone w tajemnicę tego płomienia, który świecił teraz szczególnie mocno i jasno, gdyż w tej właśnie chwili dojrzała jego pełnię, rozpromienioną tym blaskiem.

– „Życie" – powtórzyła szeptem, patrząc na swe dziecię, zaś „maleńkie iskierki unosiły się w górę, coraz wyżej, wyżej i zajaśniały między gwiazdami na niebie".

A życie było światłością ludzi,
a światłość w ciemności świeci
i ciemność jej nie ogarnęła.
(J 1,4–5)

…zbudziła się. Spojrzała na synka, on zaś, uśmiechając się, wyciągnął do niej swą rączkę, a w jego oczach zalśnił blask, taki sam jak światła zapałki z jej snu…



Nowy początek

Ku drodze i prawdzie, i życiu

(por. J 14,6)

I czuję płonie światło tuż obok nas
Tak czuję światło płonie
I złoty deszcz a tęcza tęcz nad głową
Wystarczy tylko spojrzeć
(…)
Przyszedł już czas wielkiego powrotu
Do odczuwania prawd, widzenia ważnych słów

(A. Krzysztoń, *Inny świat)*

Tak rozpoczęła się jego ziemska wędrówka. Nowy, wspólny początek. Z niestandardowego pąku rozkwitał kwiat, niosąc barwy i kształty niepasujące do ogrodów wygodnej doczesności. Rósł, wzbijając się w stronę światła, które rozpraszało ciemność spowijającej świat mgły. Rozsiewał woń, docierającą wszędzie i wzbijającą się ponad szarość, a była tak wyraźna, że tym którzy stracili wzrok i słuch mogła być drogowskazem. Zadziwiał wyjatkowym pięknem, jakie można było dostrzec, pozwalając spojrzeć duszy i poczuć sercu.

I odkrywał głębię nas samych, jak odbicie w lustrze prawdy.

Widok skośnych oczu pozwalał podnieść powieki ociężałe od sztucznego błysku doczesności, by wyprostować własne spojrzenie i dostrzec to wszystko, co dane nam zostało, budząc w nas wdzięczność.

Uchylone usta uczyły pokory, zamykając nasze otwierane zbyt często w egoistycznym wołaniu o więcej.

Wiotkie mięśnie wskazywały na moc i siłę, jaką posiadamy, lecz której jakże często nie doceniamy.

A ten fałd na karku? To może po prostu miejsce na krzyż? Każdy ma swoje miejsce na krzyż, dobrany na miarę sił i możliwości, uczący nas człowieczeństwa i pokory.

Kim więc był on, idący w pokorze i pełnym oddaniu? Czy jedynie Downem, jak go nazywali? Czy też to tylko jego „szata", by nam mógł być znakiem prawdy i miłości, gdy inne drogowskazy zawodziły? Jeśli bowiem niedoskonałość ciała i umysłu nazywano na tym świecie niepełnosprawnością, czym było serce, które nie potrafiło kochać i dusza nieznająca zachwytu i wdzięczności?

Bez serc, bez ducha – to szkieletów ludy.
(A. Mickiewicz, Oda do młodości*)*

Wbiegał więc na ulicę, by z natłoku „ważnych" spraw i zasłon doczesności wyzwolić prawdę i miłość oraz przerwać pęta zadufania w sobie, budząc wdzięczność. Przytulał i całował każdego, kogo spotkał. Kochał wszystkich tak samo – całym sercem. Świat błyszczał wtedy w uśmiechu szczęścia i cieple miłości. Dla wielu były to jedyne pocałunki, jakie miała jeszcze dla nich ta ziemia. Inni, nie potrafiąc poradzić sobie z tak dziwnym i niestandardowym zachowaniem, zupełnie niepasującym do ich świata, chowali się w sobie, odtrącając go, a on upadał, nie pojmując, co się stało. Mimo to coś jednak udało mu się poruszyć. Niektórzy poczuli bowiem wewnętrzny zgrzyt i zagubienie w obliczu tego, czego nie przewidzieli w kalkulacjach kreowanej przez siebie rzeczywistości. Wydawało im się, że mogą posiąść cały świat, podczas gdy nie potrafili okiełznać własnej duszy i serca, które gdzieś się jednak wyrywały… Czyżby przez krępujące ich ograniczenia, przebił się właśnie promień światła, poruszając prawdę? Nie mógł zatem się poddać. Tym bardziej, że zza pyłu szarości, oświetlonego sztucznym, omamiającym błyskiem nieustannie dochodził płacz i krzyk dzieci. Ciemna duszność próbowała się wedrzeć i zapanować nawet tam, gdzie ziemia łączyła się z niebem, wyrywając dzieci spod serc i z objęć matek. Nie miała mocy, by omamić dziecko, lecz one widząc ją, tak ciemną, zimną i okropną, bały się, czując, jak może je zranić i odebrać im matkę. Szloch ich rozbrzmiewał więc coraz głośniej. Znał tę trwogę. Sam też przecież wołał: „Chcę do mamy!", „Pragnę miłości matczynej!", „Chcę urodzić się na wiosnę!". Drżał, kiedy po drugiej stronie czuł chichot i ziąb czającego się mroku, jednak serce matki było przy nim i go chroniło. Świat proponował go odtrącić, mówiąc, że jest ciężarem i niewygodą, lecz rodzice go bronili, nie pozwalając skrzywdzić.

„Lecz co stanie się… – zawiesił, zatrwożony tą myślą. – Co się stanie, jeśli zło wedrze się nawet tam, pod serce matki, uzyskując ludzkie przyzwolenie?"

Dookoła rozbrzmiewał zimny chichot drwiny i pogardy, coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy. Mąciło to radość, jaką pragnął nieść temu światu. Przytłoczony boleścią stąpał więc nieporadnie z dziwnym uśmiechem „wykrzywionej twarzy Downa"…

Droga jego była modlitwą, pieśnią oddania i miłości, wiary i nadziei. Powstawał każdego dnia i nieważne jak słaby, wyczerpany, chory czy odtrącony, mówił przepełniony wdzięcznością: „Jestem szczęśliwy". Walczył nie mieczem, lecz miłością, tak czystą, że zupełnie bezbronną wobec zasad egoizmu i pustki hedonizmu zalewających ten świat. Nie pojmował wszak tego i może to go chroniło, nie pozwalając ulec i się poddać. Szedł niestrudzenie na krótkich nogach o wątłych mięśniach, ale wiedział dokąd podąża, gdyż widział światło, które dawało mu siłę i go prowadziło. To nic, że i ręce jego uważano za przykrótkie i nieproporcjonalne, to tylko pozory. Zdołały bowiem objąć każdego, nie było zaś ważniejszego i piękniejszego zadania, jakie mogły wypełniać na tej ziemi. Szedł więc, obejmując w uścisku miłości każdego, kogo spotkał.

Ta zaś, która nigdy nie opuszcza, trwała obok i była mu tarczą, tak zadziwiającą, że nawet depcząca stopa zadufanych zatrzymywała się na chwilę, nim postawiła kolejny krok – matka. Stąpała powoli, przytłoczona boleścią i ogromem zła tego świata. Wycierała jego łzy, zbierając je w chusteczkę jak diamenty najczystszych uczuć, a gdy nie patrzył w jej stronę ocierała ukradkiem i własne.

Ojciec, w głębokiej zadumie i milczeniu wspierał ich jako opoka, podtrzymując tarczę, którą razem budowali.

Ci, którzy potrafili spojrzeć ponad skośne oczy i otwarte w niemym krzyku usta, dostrzegając prawdę, jaką niosły, zwyciężali mgłę i otulało ich światło, jasne i ciepłe. Miłość wypełniała serce, a ukojenie duszę. Tak łączyli się, współtworząc i umacniając tarczę prawdy, dobra i miłości, która miała odeprzeć zło i rozproszyć szarość, by ludzie znów mogli poczuć miłość i ujrzeć niebo. Czy będzie ich jednak wystarczająco wielu i zdążą odepchnąć ciemność, nim ta zdusi czystość serca, przesłoni prawdę i pochłonie nasz świat?

Tak wyruszali każdego poranka w niezłomnym pragnieniu miłości. Nim jednak otworzyli oczy, modlili się o siłę, o człowieka, o cały ten świat i o to, by otwierając je, znów zobaczyć słońce.

Mieli jedno marzenie – by ludzie nie zamknęli swych serc na to wołanie, lecz poszli z nimi w stronę światła, ku:

drodze i prawdzie, i życiu

(J 14,6)

Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość;
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.
(A. Asnyk, *Miejmy nadzieję)*



Piękna Ziemia

Jest inny świat, tak wiem gdzieś tu
Nie za lasami tam, po prostu on jest tu.
(A. Krzysztoń, *Inny Świat*)

Świat prawdy ludzkich serc.

Jedynym środkiem mogącym zapewnić
prowadzącą do budowy nowego, lepszego świata
przemianę struktur
jest nawrócenie serca.
(Jan Paweł II, Lima 2 II 1985 r.)

O, Polsko

Bracia i Siostry, nie bójcie się przyjąć Chrystusa
i przyjąć Jego władzy.
(…)
Nie bójcie się, otwórzcie, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi.
Dla jego zbawczej władzy otwórzcie granice państw,
systemów ekonomicznych i politycznych,
szerokie dziedziny kultury, cywilizacji, rozwoju!

(Jan Paweł II, fragment homilii wygłoszonej w czasie
Mszy Świętej rozpoczynającej pontyfikat, Watykan, 22 X 1978 r.)

O, Polsko ukochana!
Jedyna, odzyskana.
Krwią za wolność płaciłaś.
Czerwienią pół flagi okryłaś.
Jednak się nie poddałaś.
Na straży prawdy wytrwałaś.

Dziś biel Twa się odzywa
I światła prawdy wzywa.
Głos dzieci Twych Cię woła,
Gdy szarość świat zniewala.

Więc nie odwracaj lica
Od tajemnicy życia.

Podejmij przeznaczenie.
Na Miłość – Bóg,
Na Prawdę – Honor,
Na Życie – Ojczyzna,
Miej baczenie!

By nie nastała wątpliwość:
Jakie prawo?
I jaka sprawiedliwość?

To nasz czas,
By wybrać serca: „Tak".
Niech prawda prowadzi nas,
I zalśni życia blask.

Chryste, króluj nam!

O, Polsko ukochana!
Bądź jak wschód słońca z rana.
Podejmij przeznaczenie!



Dodatek

Sprzeniewierzeni miłości

…i ludzkie przyzwolenie.

„(…) kiedyś diabeł powiedział do egzorcysty: «Weź tę obrzydliwą apokalipsę. Tam jest napisane o Niewieście, która rodzi. A ja zawsze próbuje pożerać Jej dzieci. Wiesz jak?». I tu w sposób mrożący krew w żyłach, opisał zabijanie dzieci w łonie matki oraz przemoc seksualną i gwałty cielesne popełniane na dzieciach. Do tych odrażających opisów dodawał za każdym razem okrzyk: «Ale ubaw!». Tak samo wyraził się o młodych ludziach, którzy przez narkotyki doprowadzają się do ruiny. Innym razem, podczas egzorcyzmów, ponownie wspomniał o aborcji, zaczął się perfidnie śmiać i powiedział: «Nawet ustawowe przyzwolenie od Was dostałem»" (W. Łaszewski, *Nadchodzi kres*).

Dawno, dawno temu…

Agnieszka POSPISZIL*

Ciekawy, choć na pewno wybiórczy i niepełny wgląd w historię istnienia zespołu Downa i sposób jego postrzegania na przestrzeni wieków, dają dzieła sztuki. W sztukach wizualnych obraz tej wady wydaje się być wyjątkowo pozytywny i pozbawiony wielu uprzedzeń, cechujących wizerunki osób niepełnosprawnych intelektualnie.

Najwcześniejsze ślady specyficznego traktowania osób z zespołem Downa wiodą nas do Meksyku, gdzie w rzeźbach, figurkach i płaskorzeźbach Olmeków osoby z wyraźnymi cechami zespołu Downa traktowane były jako istoty nadprzyrodzone, pochodzące ze związku kobiety ze świętym zwierzęciem totemowym – jaguarem, co sytuowało je na wysokim miejscu w hierarchii społecznej.

W starożytnym Egipcie panowało przekonanie, że to bogowie uczynili ludzi niepełnosprawnymi i zakazywano jakichkolwiek ich prześladowań jako sprzecznych z wolą bóstw. Wiele wad genetycznych trapiło zwłaszcza tamtejszą arystokrację – nic więc dziwnego, że osoby z lekkim upośledzeniem umysłowym mogły nawet obejmować dość ważne stanowiska państwowe.

Cywilizacja europejska – ukształtowana przez klasyczne ideały piękna starożytnej Grecji i Rzymu, a także tradycję judeo-chrześcijańską – odrzucała osoby niepełnosprawne. Ludzie stworzeni na wzór i podobieństwo Boga lub bogów musieli być regularni i piękni. Wszelka odmienność była traktowana jako kara za grzechy rodziców lub uważana za ingerencję Złego. Takie podejście zaważyło także na stosunku do niepełnosprawności intelektualnej. Były oczywiście rzadkie głosy (np. św. Augustyna), że niepełnosprawność nie ma nic wspólnego z grzechem rodziców czy ingerencją mocy diabelskich, lecz może być jednym z przejawów grzechu pierworodnego, który sprowadził na ludzkość podobne nieszczęścia.

W okresie Renesansu, mimo iż do łask powróciły antyczne poglądy o pięknie i harmonii ludzkiego ciała, zaczęły pojawiać się dzieła, na których artyści umieszczali osoby niepełnosprawne, w tym również z wyraźnymi cechami zespołu Downa. Fra Filippo Lippi – na jednym ze swych wczesnych obrazów – Madonna Trivulzio (1430) umieścił anioły z twarzami

* Agnieszka Pospiszil, *Informator dla rodziców dzieci z zespołem Downa, Bardziej Kochani*, wydanie specjalne.

o rysach charakterystycznych dla zespołu Downa. Przypuszcza się, że malarz wychowany w przytułku właśnie tam spotkał się z osobami z zespołem Downa. W tym samym stuleciu, w twórczości dwóch mistrzów północnowłoskiego Renesansu – Giovanniego Belliniego i jego szwagra Andrei Mantegni – wśród licznych obrazów Marii z Dzieciątkiem, kilka przykładów bez wątpienia portretuje jako małego Chrystusa dziecko z zespołem Downa.



Fra Filippo Lippi – Madonna Trivulzio (1430)

Są to Madonna z Dzieciątkiem (Jaskiniowa) Mantegni 1489 – 1490, Madonna z Dzieciątkiem Mantegni z Museum of Fine Arts w Bostonie, Madonna z Dzieciątkiem w Museum Poldi-Pezzoli Mantegni, czy jedna z Madonn z Dzieciątkiem Belliniego.

Mantegna umieścił również postacie małych amorków o twarzach dzieci z zespołem Downa na freskach pałacu książęcego w Mantui – w Camera degli Sposi. Dodatkowo artysta dał im skrzydła motyli, które w ikonografii chrześcijańskiej symbolizowały Zmartwychwstanie.

Na północy Europy – w Niderlandach ok. roku 1515 w anonimowym obrazie Adoracji Dzieciątka z Metropolitan Museum w Nowym Jorku – malarz przedstawił osoby z zespołem Downa jako anioła i pasterza. Dla badaczy historii obraz ten jest świadectwem stosunku ówczesnych społeczeństw do ludzi z lekkim stopniem niepełnosprawności umysłowej. Fizyczne cechy zespołu Downa nie były wówczas uznawane za oznaki niepełnosprawności czy upośledzenia, osoby te były jedynie uważane za nieco powolniejsze i ociężałe. Mogły być całkowicie wtopione w społeczeństwo i nie wymagały, w oczach ludzi, odmiennego traktowania w przeciwieństwie do osób głęboko upośledzonych fizycznie czy umysłowo.



Andrea Mantegna – Madonna z Dzieciątkiem (Jaskiniowa)

Tendencja do umieszczania na obrazach osób z zespołem Downa jako postaci boskich bądź posiadających bezpośredni kontakt z boskością (anioły, amorki) kontynuowana była w Europie Północnej także w okresie Baroku. W twórczości Petera Paula Rubensa czy Jacoba Jordaensa – mały Chrystus może znów być dzieckiem z zespołem Downa.



Andrea Mantegna – Madonna z Dzieciątkiem – Museum of Fine Arts w Bostonie

Badacze wielokrotnie zastanawiali się, co mogło sprawić, że osoby z cechami zespołu Downa zostały użyte jako modele do przedstawienia istot niebiańskich. Jedna z hipotez głosi, że artyści obawiali się konsekwencji tego, na kogo wyrośnie osoba przez nich sportretowana – dlatego też używali modeli, o których wiadomo było, że zawsze pozostaną niewinne, nie popełnią zbrodni i nie obciążą sumienia artysty niewłaściwym doborem modelu dla postaci Dzieciątka czy anioła. Ta wieczna niewinność bywała łączona w świadomości społecznej z przekonaniem, że wiele osób z niepełnosprawnością umysłową może być łącznikami ze światem boskim, ich usta mogą głosić przepowiednie zsyłane przez samego Boga. Może więc malarze, wiedząc o tym aspekcie postrzegania niepełnosprawności intelektualnej, świadomie wybierali dzieci o takich cechach, by podkreślić nadprzyrodzony pierwiastek ich natury. Przez stulecia i kontynenty przewija się nieomal archetypiczny element boskości, którego obecnością ludzie starali się często wytłumaczyć odmienność dzieci z zespołem Downa.



Peter Paul Rubens i Jan Brueghel mł. – Madonna z Dzieciątkiem (1620)

Wybrana

Wiersz ten dedykuję:
Rodzicom Ani,
Rodzicom wielkiej próby,
wszystkim Rodzicom.

widziałam dziś matkę w kościele
jak światło przy białym aniele
choć jego widać nie było
szum skrzydeł me serce słyszało

patrzyła z pokorą przed siebie
a dobroć w jej oczach gościła
i miłość dokoła błyszczała
jako wybranka miła

dłoń jej wózek trzymała
i wciąż, wciąż kołysała
dziecię w nim cicho kwilące
swą rączką o pomoc proszące

a ona cicho szeptała
„kochany, najdroższy mój, miły"
oczy otuchy dawały
a ręce z czułością tuliły

i stali tak w pełnym oddaniu
wpatrzeni przed siebie głęboko
co wtedy razem widzieli
ludzie ich spytać nie śmieli

ona zaś znów je tuliła
dłoń wózek wciąż kołysała
nie chwilę, nie rok, nie godzinę
lecz lat już dwanaście bez mała

„wciąż je kołysać tak będę"
mówiły jej oczy z odwagą
w milczeniu głębokim jak morze
tulącym ich ciszy powagą

i łzy boleści błyszczały
cierpienia krąg zataczając
krążyły w tej ciszy dokoła
gdyż ulżyć nikt im nie zdoła

a nuta jakaś śpiewała,
do serca, co tylko ją słyszy:
„to tylko ziemskie pozory
odpowiedź ukryta jest w ciszy"

wszystko jemu oddała
młodość swą, siłę, urodę
prosząc tylko o jedno
ponad dostatki, wygodę

jej oczy wołały z ufnością
ponad tę ziemską niedolę
wznosząc tę prośbę jedyną
ze swą najdroższą dzieciną

„bym mogła tak je kołysać
nie ustać ani na chwilę
czuwać pozwól do końca"
zajaśniał wtedy blask słońca

ona zaś głowę schyliła
tam gdzie dziecina jej miła
i w trosce serca truchlała
gdy łza z jej oczu spływała

i trwali tak w pełnym oddaniu
wpatrzeni przed siebie głęboko
co wtedy razem widzieli
widziało serce, nie oko

wtem boleść całą przesłonił
jak słońce co mrok kryje z rana
jej uśmiech promienny i jasny
dlatego została wybrana



Posłowie

Pisząc

Dziękuję

Wam, którzy czytacie te słowa. Dziękuję raz jeszcze. Za to, że zechcieliście, czy też zdecydowaliście się poznać tę opowieść i dotrwać do tego miejsca. Niejednokrotnie wydawała się może ciągnącą się bez końca, wręcz męczącą. W istocie nie była lekką.

Przepraszam

Choć największym mym pragnieniem jest, by słowa te przyniosły dobro, tak też równie wielką obawą, by nikogo nie zraniły, poruszając kwestie tak bardzo wrażliwe i delikatne, głęboko prywatne, a czasem wręcz bolesne i smutne. Nie są one bowiem próbą krytyki czy oceniania. Wszystkich, których słowa me uraziły, proszę o wybaczenie. Nie potrafiłam tej historii opowiedzieć inaczej. Tak wypisało ją to, co czułam: strach, zagubienie, lęk, ból, nadzieja, wiara i miłość, łzy boleści i wzruszenia oraz światło serca, które mnie prowadziło. Przepraszam również za nieporadność słów. W granicach liter nie sposób bowiem okiełzać przeżyć serca i duszy.

Proszę

Bądźcie więc ponad słowa.

Pisząc

Pomysł napisania książki nosiłam w sobie od dawna. Gdy jednak zaczynałam pisać, napotykałam trudności z uchwyceniem myśli i przelaniem ich na papier. Brakowało mi odpowiednich słów, a te, które zapisywałam, nie oddawały treści, jakie pragnęłam przekazać. Uznając się za zbyt nieporadną w pisaniu, przerwałam pracę, prawie o tym zapominając. Prawie, bo tego co prawdziwie nosimy w sercu, nie da się zapomnieć. Po latach, pod wpływem lektury przekazów słów Matki Bożej, jakimi walczy o nas, o każdego człowieka, pojęłam, że to jednak coś więcej niż pomysł czy też wrażenie. Spróbowałam więc raz jeszcze sięgnąć po pióro. A wtedy pisanie stało się lekkie, harmonijne, jakby prowadzone szczególnym natchnieniem. Ręka spisywała słowa, zadziwiające głowę, a serce uśmiechało się do nich. I pojęłam, jak niewiele mogę zdziałać sama. Tak, za każdym razem, zaczynając pisać, prosiłam o światło myśli. Każdej nocy, kiedy się budziłam, szukając odpowiednich słów do tej książki, zanosiłam modlitwy i prosiłam o prowadzenie. Przychodziły jednak także ciemne chwile rozpaczy. Dni tak ogromnej nieporadności dalszego pisania, że nie potrafiłam utrwalić nawet jednego, prostego zdania, a te wcześniej zapisane wydawały się nic niewarte. Chciałam wszystko podrzeć, wyrzucić, spalić. Serce i przyjaciele nie pozwolili mi jednak zrezygnować, twierdząc, że gdyby to mogło pomóc chociażby jednej osobie, nie mogę się poddać, muszę się starać do końca. Gdy zaś udawało mi się przebrnąć przez te trudne okresy, wytrwanie było nagradzane nowym światłem, kolejnymi myślami, za którymi podążałam, próbując je uchwycić i zapisać. Tak światło serca i myśli towarzyszyło mi podczas pisania, pokonując me ograniczenia i dając natchnienie. Każda myśl prowadziła do następnej, słowo do słowa, zdania powoli się przyciągały i powstawała ta opowieść.

W mym pierwotnym zamierzeniu książka ta miała być historią o oczekiwaniu i narodzinach dziecka w ujęciu ludzkich przeżyć, lęków i dylematów. Wydało mi się to istotne, zważając, jak bardzo jesteśmy dziś przytłaczani wszelkimi odcieniami szarości, przysłaniającymi te tak naturalne i prawdziwe odruchy ludzkiego serca. Kiedy zaczynałam pisać, nie zdawałam sobie sprawy, że będzie w tej opowieści tak wiele obecności Boga. Jednak, gdy po pierwszym kroku przyszedł kolejny, wskazał on na pustkę niedopowiedzenia i zrozumiałam, że, by być uczciwą i opowiedzieć tę historię w pełni, muszę sięgnąć głębiej. A wtedy wszystko powróciło wyjątkowo mocnym wspomnieniem i poprowadziło mnie raz jeszcze ścieżką tych doświadczeń, odkrywając i zaświadczając całą prawdę. Nie było mi łatwo ponownie dotknąć chwil i przeżyć

bolesnych, tak bardzo prywatnych i głębokich. Pojęłam jednak, że by pozostać wierną prawdzie, nie mogłam tego pominąć.

I tak, szukając oraz znajdując, nawet jeśli zaledwie małe cząstki wielkich odpowiedzi, zrozumiałam, że „kto szuka prawdy, ten szuka Boga, choćby o tym nie wiedział" (św. Teresa Benedykta od Krzyża).

Kim jestem ja?

Zapytacie kim jestem? Zwykłą dziewczyną, która nie zawsze sobie radzi z codziennością, uczy się, jak być mamą i żoną, jak stawiać czoła wyzwaniom każdego dnia i marzy o pięknym świecie dla wszystkich ludzi, wierząc uparcie, że miłość dodaje skrzydeł.

Ile w tej opowiesci mnie i własnych doświadczeń

Wiele. Nasza historia stała się rdzeniem tej opowieści. Na naszym doświadczeniu opierają się również rozważania i poszukiwania odpowiedzi na trudne pytania, czy też te, pozostające bez odpowiedzi, wiodąc przez lęki i niewiadome. To wyznanie matki spodziewającej się dziecka i jej przeżycia związane z czasem „przy nadziei" – nadziei trudnego oczekiwania. Wydarzyła się gdzieś tuż obok. Rozpoczęła swój bieg i trwa nadal. Ja zaś jestem szeptem tej matki, w wielu momentach tą właśnie matką, w istocie jednak jedną z matek, po prostu matką. Tą, która odnalazła drogę i światło, lecz również tą obolałą i zagubioną, zlęknioną czy wręcz przerażoną. Tą uśmiechniętą i tą szlochającą. Jeśli rozejrzycie się dookoła, tam właśnie ją znajdziecie, tuż obok, a może i w Was samych.

Nie starając się bowiem odgadnąć imienia – wiedzeni ciekawością, lecz szukając człowieka – prowadzeni sercem, tak jedynie możemy odnaleźć prawdę.

Jak wiele tu innych osób?

Choć przedstawiona jest tu jedna historia, odzywa się w niej wiele głosów. Opowieść ta łączy doświadczenia kobiet i matek, np. mojej przyjaciółki, której dziecko wyznało: „Mamusiu, ja sobie was, moich rodziców, wybrałem już tam w niebie". Zastanowiło mnie bowiem, cóż mogły znaczyć słowa tego malca? Czy to jedynie cudowna dziecięca fantazja, czy coś więcej? Powtarzając za Sokratesem: „Wiem, że nic nie wiem" – wiem jedno: nie wszystko jest na miarę ludzkiego poznania. Wpleciona została tu także rozpacz matek, które bez wsparcia i pomocy, a wręcz pod wpływem namów najbliższego otoczenia zdecydowały się na inną drogę niż ta, jakiej pragnęły w głębi swego serca,

a która stała się im tak ogromną boleścią i przepaścią, że nie potrafią przejść nad tym dalej, jak rzekła jedna z nich z głębokim żalem i smutkiem: „Nie potrafię stanąć przed lustrem i spojrzeć sobie w oczy". To także historia Marty oraz rodziców, którym przyszło się zmierzyć z ciężarem nie na ziemską miarę w okresie trudnego oczekiwania lub niełatwego rodzicielstwa.

Ta opowieść obejmuje również osoby, jakie towarzyszyły nam w czasie naszej ciąży. Swoje miejsce znaleźli tu ci, którzy swym przykładem kształtowali me serce i duszę, ludzie będący obok z wyciągniętą dłonią oraz łączący się z tą opowieścią w odruchu serca.

To wszystko czyni tę historię naszą wspólną.

Kim jest główna bohaterka?

Ponieważ opowieść ta łączy w sobie elementy doświadczeń innych ludzi, nie mogłam pisać w pierwszej osobie. Potęgowała to świadomość swej małości – czuję się niegodna, choć zostałam zaszczycona tym zadaniem. Potrzebowałam więc pewnej perspektywy, by móc wziąć do ręki „pióro" i „drugiego skrzydła", by wzbić się tam, gdzie sama nie śmiałam. Pisząc zatem, nawet o własnych doświadczeniach i odnajdując we wspomnieniach serca to, co w tamtych chwilach mną targało czy też mnie prowadziło, nie potrafiłam myśleć tylko o sobie. Tak też przenosząc tę historię na papier i patrząc na jej główną bohaterkę, widziałam twarze matek tulących swe chore i niepełnosprawne dzieci. Głębię spojrzenia tych wspaniałych i tak cudownych kobiet, które stawiają dzielnie i niezłomnie, a zarazem cicho i pokornie, czoła trudom każdego dnia, dostrzegając w nich za każdym razem ogromną miłość i wyjątkowe piękno. Takiej też dziewczyny potrzebowałam jako bohaterki tej książki, by mogła stać się odzwierciedleniem tych wspaniałych matek – kobiet o uśmiechu, który mimo tego, co boli i przytłacza, wybija się ponad strach i boleść, niosąc nadzieję i wiarę w miłość. I tak narodziła się Sara. Dziewczyna piękna i o czystym sercu, która pomogła mi rozjaśnić myśli, a następnie raz jeszcze przejść ścieżką mych doświadczeń – jako jednej z nas. Zatem nie ja jestem Sarą. Imie to nie jest zamiennikiem mego. Sara jest nami, każdą z nas, której jakaś cząstka własnych doświadczeń, czy po prostu serca znalazła na kartach tej opowieści swoje miejsce.

Dlaczego takie imię? Skłoniła mnie do tego historia biblijnej Sary, która urodziła, choć ze względu na jej wiek uważano, że nie jest to możliwe. Ta Sara urodziła, mimo że wiek, w którym żyje twierdzi, że „nie musi". „Nie może", „nie musi", a jednak.

Imiona pozostałych bohaterów zostały zmienione celem uszanowania prywatności osób będących ich pierwowzorem.

Przychodząc

Są osoby, które zawsze idą z podniesioną głową, nie ulegając wątpliwościom i wahaniom. W przypadku Sary głębia wiary, odwaga i niezłomność przyszły przez łzy, zagubienie i krzyk rozpaczy. I w tym doświadczeniu utożsamiam się z główną bohaterką, jak też z owieczką, która gubiła się, nie potrafiąc od razu wszystkiego pojąć, a dopiero kiedy się odnalazła, dostrzegła, gdzie naprawdę była. Ponieważ błysk pozorów zwodzi i często nie od razu potrafimy dojrzeć prawdę, „biegnę" do Was, by opowiedzieć, gdzie byłam, co widziałam i czułam. To jedyne, co mogę, a czynię to z dobrej woli, ze wszystkich sił i z głębi mego serca, gdyż zobaczyłam i pojęłam, że żadna ciemność nie przesłoni światła, a miłość jest ponad wszystko. Nie da się jej zaprzeczyć, zasłonić czy przeinaczyć. Możemy jedynie sprzeniewierzać się i odwracać od samych siebie.

Tak zatem przychodzę do Was z najprawdziwszym świadectwem prawdy i miłości – naszym synkiem. Niosę go swym piórem i pełnią doświadczeń mego serca i duszy, aby, tak jak kiedyś dla naszej rodziny, teraz mógł narodzić się dla wszystkich. Gdyż może to światło, które z sobą niesie, to, co odbija się w oczach dziecka, bez względu na to, jak bardzo upośledzonego czy ograniczonego w możliwościach ciała i/lub umysłu, a może właśnie poprzez to, jaśnieje po to, abyśmy się nie zgubili, nie zatracili prawdy i życia.

Tytuł

Ktoś spytał mnie: „Dlaczego taki tytuł?"

Długo szukałam właściwego. Najpierw myślałam, że będzie on brzmiał: „Oczekując na przeznaczenie", podkreślając ten długi okres dziewięciu miesięcy trudnego oczekiwania, w niepewności, na to, co się wydarzy, co zostanie nam dane. Czegoś jednak w tym tytule brakowało, jakby odzwierciedlał jedynie pewną część tej historii. Nieustannie powracało również pytanie: Czy przeznaczenia wystarczy oczekiwać? A może, by mogło zajaśnieć swą pełnią, należy wyjść mu naprzeciw? Wyciągnąć w jego stronę dłoń, otworzyć umysł i serce? Tak więc szukałam nadal, aż pewnego dnia usłyszałam słowa: „Piękna Ziemia". Od tego momentu ciągle powracały do mnie, choć nie pojmowałam jeszcze dlaczego. One zaś nieustannie rozbrzmiewały we mnie swym przesłaniem, aż w końcu pomyślałam, że może niosą z sobą coś, czego właśnie szukam, po czym wpisałam je w miejsce oczekujące na tytuł. Ujrzałam wtedy, że ta rozpoczynająca książkę strona czekała właśnie na te słowa.

Tak odnalazłam tytuł, bo czyż miłość, wlana w ludzkie serca, nie jest tym ziarnem dobroci i piękna, które wzrastając, wynosi nas ponad wszystko inne? Szczęściem, jakie możemy

tworzyć, by nasz świat mógł rozkwitać swym pięknem? I to my możemy to piękno budować otwierając się na tę prawdę – na miłość, podążając za głosem serca – podejmując przeznaczenie.

„Dlaczego zatem nie «Piękny Człowiek»?" – Brzmiało drugie pytanie.

Gdyż jeśli jeden piękny człowiek poda rękę drugiemu, a ten następnemu, my i nasze dzieci ujrzymy Piękną Ziemię.

Wołanie o Polskę

Fragmentem, który najbardziej przerósł mnie w swym przesłaniu, jest wiersz: „O, Polsko!". Te słowa „przyszły", budząc mnie wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. To wołanie o Polskę, o prawdziwą Polskę. Wołanie, jakie kierował do nas jako swych rodaków Jan Paweł II. Wołanie, którego nie można zapomnieć i ignorować. Te słowa pozwalają pełniej zrozumieć tytuł – „Piękna Ziemia" jest naszym wyborem, tak jak Piękna Polska. Czy podejmiemy przeznaczenie?

Pojęłam wówczas głębiej, czym jest ta książka. Tak, to wołanie o życie. Zarówno o życie każdego człowieka, poczynając od jego poczęcia, najmniejszego dziecka, jak też o każdego z nas i nas jako narodu. Kroczymy w szarości, a może nawet stoimy nad przepaścią mroku, a nasze oczy i poznanie przesłania tak wiele zasłon, że coraz trudniej dostrzec prawdę. Rozlega się zatem wołanie, które cały ten czas mnie prowadziło. Wołanie o nawrócenie serc. O życie. Wołanie Maryi, Matki naszej, Królowej Polski, do nas i w naszej obronie. Jej też składam w podziękowaniu całą pracę i wszelki trud włożony w powstanie tej książki oraz wszystko, co w niej jest mną. Dziękuję jak dziecko Matce za Miłość, za każdą uronioną nad nami łzę, za to, że nigdy w nas nie zwątpiła, nigdy nie opuszcza, a zawsze wstawia się za nami, prosi, prowadzi i walczy o każdego człowieka. Pochylam z wdzięcznością głowę u stóp Matki i Syna, prosząc o wysłuchanie wołania naszych serc. Prosząc, w dziecięcym oddaniu o opiekę Miłości – przez Serce Matki.

Chciałabym podarować tę opowieść także wszystkim ludziom – w marzeniu Pięknej Ziemi. Rodakom – w marzeniu prawdziwej sercem, Pięknej Polski.

Autor

Z perspektywy czasu, jak też z dystansu trzeciej osoby, patrząc na Sarę nie tylko przez pryzmat siebie, lecz widząc w niej także inne matki i ich wielkość, zostało mi dane dostrzec

i pojąć więcej. Również piękno i głębia tajemnicy otaczającego nas świata jako opowieści i dźwięki niesione wiatrem, słońcem, deszczem, tęczą i ptasim szczebiotem, oraz szept z głębi ciszy wzbogaciły tę historię, przerastając mnie w jej natchnieniu. Proszę, nie postrzegajcie mnie zatem jako autora, lecz jako „rękę trzymającą pióro" oraz łzę, która je prowadziła przez boleści plątające nasze ziemskie drogi, a także wzruszenie i miłość, jakie je prostują.

Nie mogę również pominąć wkładu rodziny, przyjaciół oraz osób, które pomogły mi w powstaniu tej książki. Na kartach tej opowieści znalazło się zbyt wiele odruchów serca każdego, kto pragnie kochać, nie zaś usuwać miłość z tego świata, i szuka osoby w człowieku, bym mogła sama podpisać się pod tym opowiadaniem. Pozwólcie mi zatem pozostać jedną z nas.

Historię tę przyjmijcie zaś jako opowieść serca, które w zgrzycie prawdziwych pragnień z realiami naszych czasów cierpi i próbuje walczyć, by wyzwolić się z krępujących więzów doczesności i podążać za blaskiem prawdy. Przede wszystkim to serce matki, gdyż stąd wyrwał się ten krzyk i wołanie o miłość, a „słyszę", jak dochodzi z wielu stron, z jak wielu serc wypływa. Tak słowa te, choć mą ręką spisane, są nade wszystko wołaniem serc, zatem podpisać się pod nimi może tylko serce…

Serce Matki

Pola Lerka

Kiedy podjęłam starania w kierunku wydania książki, dowiedziałam się, że konieczne jest podanie autora z imienia i nazwiska, nawet jeśli miałby to być pseudonim literacki. Gdybym wpisała tu swe imię i nazwisko, byłabym jedną. Jeden człowiek natomiast zawsze pozostanie jednostką, a tak gasnąć mogą nasze wspólne, wielkie marzenia.

Tym bardziej pragnę podarować to opowiadanie wszystkim. Jeśli zaś znajdzie się ktoś, kto swym doświadczeniem, odruchem serca, marzeniem czy poszukiwaniem prawdy zechce je przyjąć i stanąć razem ze mną w symbolu autora, będzie to mym największym zaszczytem i głęboką radością.

Niech więc imię i nazwisko autora stanie się symbolem wołania, jakie wyrwało się z naszej polskiej piersi i serca, jako – Pola, oraz marzenia, by głos ten rozbrzmiewał w dzień światłem i ciepłem, nie ustając i prowadząc nas ku blasku prawdy, jak również nie zamilkł, a niósł ukojenie i nadzieję także w mroku – Lerka.

Zatem Pola Lerka, nie jako pseudonim literacki, a symbol wołania naszych serc.

Prośba

Wszyscy, którzy nas znacie, czy w tej historii rozpoznajecie, zachowajcie to proszę w sercu. Zważając na moją prośbę, pomożecie mi przede wszystkim walczyć o marzenie, jakie wykracza ponad mnie, gdyż kryje się w Nas. Pozwoli to również uszanować prywatność mojej rodziny, w szczególności dzieci, za co i w ich imieniu BARDZO DZIĘKUJĘ.

Zwykła ja

I co dalej?

Jest rzeczą bardzo ważną,
ażeby przekroczyć próg nadziei,
nie zatrzymywać się przed nim,
ale pozwolić się prowadzić.
(Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*)

Nie pojęłam tego wszystkiego tak szybko jak Sara

Istotne wydaje mi się dodanie, że Sara nieco lepiej poradziła sobie z tymi wszystkimi lękami, obawami i pytaniami bez jednoznacznej odpowiedzi lub w ogóle jej brakiem. Tak szybko, jak życzyłabym tego sobie i każdemu z nas. Ja przez długi czas borykałam się niepewnie z całą tą nową rzeczywistością. Choć wszystko, co Sara odnalazła, czułam w sercu od zawsze, nie stało się to jednak tak szybko klarowne i oczywiste w mym pojęciu. Odnalezienie i poukładanie tego zajęło mi więcej czasu. Nie były to dni, ale tygodnie, nawet miesiące, a wiele szukałam wręcz latami. Niejedno potrzebowało bowiem czasu, bym mogła do tego dorosnąć. Inne przytłoczone zostały po prostu obowiązkami i szarością codzienności, czekając na swój dzień. A ja ciągle szukałam i szukam. Nadal nieustannie odkrywam i pragnę poznawać tę miłość, jaka przyszła do nas wraz z zespołem Downa. Wiem, że nigdy nie zdołam pojąć jej w pełni, lecz wszystko, co mogłam zgłębić, jest piękne i niezwykłe. Ludzkie poznanie ma swe granice i nie nam odkryć wszystkie odpowiedzi lub nie jest to czas i pora. Może jednak wystarczy poznać, pojąć i poczuć tyle, by się nie lękać i potrafić zaufać? Ja dzięki temu mogę odkrywać miłość, tę najgłębszą i najbardziej bezbronną, największej wiary, oddania i zaufania.

Miłość która:

cierpliwa jest,
łaskawa jest.
(…) nie zazdrości,
nie szuka poklasku,
nie unosi się pychą;

nie szuka swego,
nie unosi się gniewem,
nie pamięta złego;
nie cieszy się z niesprawiedliwości,
lecz współweseli się z prawdą.
Wszystko znosi,
wszystkiemu wierzy,
we wszystkim pokłada nadzieję,
wszystko przetrzyma.
(Kor 13,4–7)

Kocha całym sobą, nie zna złego i wszystko wybacza.

Czasem zastanawiam się więc czy to zespół Downa czy też miłości.

Warto wytrwać w prawdzie

Choć miłość towarzyszyła nam od początku, doświadczenie tego głębokiego szczęścia, jakie nam daje, wzrasta z każdą chwilą, dniem i pewnie nigdy nie ustanie, bo miłość nie ma granic.

Jakże jednak łatwo mówić o tym, gdy się tego doświadczyło, jak trudno natomiast pojąć i uwierzyć, stając wobec sytuacji obcej, przygniatającej niepewnością, strachem oraz poczuciem własnej słabości i wrażeniem bezradności. Piszę te słowa, będąc szczęśliwą, lecz niedawno jeszcze wystraszoną i obolałą. Wiem zatem, jak bardzo taka sytuacja przeraża i boli oraz jak trudno uwierzyć, że pewnego dnia nasze serce będzie się radować. Sięgnęłam więc po „pióro", gdyż pragnę powiedzieć, że warto wytrwać w prawdzie.

Obecnie mamy trójkę wspaniałych dzieci, a ja jestem szczęśliwą mamą. Szczęśliwą, mimo że musiałam zrezygnować z oblicza „poprzednich" marzeń, by móc walczyć o te „nowe" i stawić czoła trudom mojej obecnej rzeczywistości. Każdym dniem walczę zatem, czasem płaczę, nieraz złoszczę się i upadam, by potem znów powstać. A choć oddałam całą siebie i swój czas, ciągle mi go brakuje. Czasem ktoś pyta mnie, jak sobie z tym wszystkim radzę. A prawda jest taka, że ja wcale sobie z tym nie radzę. Ja tylko staram się ze wszystkich sił. „I pewnie to musi wystarczyć, skoro na więcej nie starcza mi czasu, sił i mnie samej" – myślę sobie.

Nie musi być „doskonale", wystarczy kochać i starać się jak najlepiej potrafimy.

Nie zdołam bowiem być wszędzie tam, gdzie pragnę, czy powinnam, choć starając się nadgonić dzień, jestem, jak wiele z nas, matką nieprzespanych nocy. Przez lata wyczerpana trudami dnia, zasypiałam wraz z dziećmi, usypiając je, a zaczerpnąwszy nieco odpoczynku, budziłam się, by następnie wiele godzin nocnych borykać z tym wszystkim, na co za dnia brakowało czasu. Wtedy niejednokrotnie stawałam w oknie, patrząc na sąsiednie domy i mieszkania, a widząc w nich zgaszone światła, marzyłam o jednym – by nadszedł czas, kiedy i ja będę mogła spać w nocy. Takie proste marzenie, a tak trudne czasem. Trwało to latami. Gdy przychodziły chwile zbytniego wyczerpania, po prostu płakałam, wylewając swą gorycz i zmęczenie, nieustannie wznosząc to samo marzenie. Tak długo, aż zaczęło się spełniać. Choć nadal często zdarzają mi się nieprzespane noce, „wykradzionych" godzin, jakich brakło w ciągu dnia, pojęłam, że trudy są po to, by je przezwyciężać. Przychodzą cięższe chwile czy etapy w naszym życiu, lecz przecież noc rozświetlają gwiazdy, a po niej możemy oczekiwać poranka. Najważniejsze jest to, co prawdziwie jest w nas i nami, gdyż jest tym właśnie blaskiem, który rozświetla nam drogę i nas prowadzi, nawet przez noc. Wiem to dziś i zapomnieć mi nie sposób, gdyż kiedy ziewam, mój najstarszy synek z cudownym blaskiem swych skośnych oczu zadaje mi zawsze to samo pytanie:

– Dlaczego ziewasz mamo?

– Bo jestem zmęczona synku – odpowiadam zgodnie z prawdą.

On zaś patrzy na mnie z iskierkami radości w tych cudownych oczach i mówi:

– Nie. Nie mamo. Ty nie jesteś zmęczona. Ty jesteś szczęśliwa!

Ja zaś myślę sobie: „Tak, zmęczenie i niewyspanie to przecież tylko mała część tej prawdy. On ma rację. Najważniejsze, jaka ja jestem szczęśliwa!"

Wtedy patrzę na niego i mówię:

– Masz rację synku. Jestem bardzo szczęśliwa!

Po czym śmiejemy się razem w głos, bo taka jest nasza radosna prawda.

Nie jest łatwo, lecz może być pięknie

Czy jest łatwo?

– Nie – odpowiem bez wahania, lecz z nie mniejszą pewnością dodam: – Ale jest pięknie.

To prawda, że często nie jest lekko, czy wręcz trudno, lecz cokolwiek czynimy, nigdy przecież nie dostajemy gwarancji na łatwe życie. Któż z nas bowiem ma lekkie i beztroskie życie, bez trudów, zmagań i zmartwień? Wszyscy dźwigamy swoje troski i problemy, własne krzyże. Zawsze czułam jednak, że trud nie wyklucza szczęścia i tak też jest, a nawet

piękniej niż mogłam przypuszczać. Piękno bowiem tkwi w naszej duszy i nic, i nikt nie może nam go odebrać, gdyż „ino dusza jest nasza własna, a wszystko inne – dzierżawne, czasowe!" (M.Rodziewiczówna).

Piękno nie tylko tkwi w nas, lecz również możemy pozwolić mu wzrastać i rozkwitać.

W obliczu takiej wielkości

On zaś ciągle stoi na straży. Nie pozwala mi się poddać czy zbłądzić. Nie pozwala na to żadnemu z nas, całej naszej rodzinie. Jest nam światełkiem i drogowskazem, a ja jestem z niego taka dumna. Jakkolwiek to zabrzmi, jakkolwiek trudno w to może uwierzyć: Jestem z niego bardzo dumna. Z „małego" chłopca z zespołem Downa o umiarkowanym stopniu upośledzenia umysłowego, który pewnie nigdy nie nauczy się chować języka, wiązać sznurówek, pisać i samodzielnie funkcjonować. A jednak jestem z niego bardzo dumna, bowiem:

potrafi kochać bez granic, wybaczać zawsze, przytulać każdego, oddać wszystko, co ma, płakać i śmiać się jedynie szczerze, starać się i ciągle próbować na nowo ze wszystkich sił i nawet w smutku łez uśmiechać się, twierdząc niezmiennie, że jest szczęśliwy. I nieważne co, i bez znaczenia jak, zawsze jest obok z otwartymi ramionami.

Czyż nie wydaje się on zatem być pełnosprawnym w tym, w czym my niejednokrotnie „niepełnosprawni" się okazujemy? On jednak nigdy nas nie klasyfikuje i nie osądza, co sprawia, że niejednokrotnie czuję się taka mała w obliczu jego wielkości…

Nie jesteśmy pozostawieni sami sobie

Nie wszystko to wszak pojmowałam i nie było tak klarowne od początku, kiedy wydawało się, że właśnie wali się nasz świat i nie wiadomo co dalej. Wychodząc ze szpitala, czułam się ciągle zagubiona, rzucona na głęboką wodę, w której pływać wcale nie potrafiłam. Wiedziałam tylko, że kocham to nasze dziecię i będę o nie walczyć. Potem przyszło nam stawiać czoła trudom i wyzwaniom, jakich nie znaliśmy, nie spodziewaliśmy się i zupełnie nie wiedzieliśmy, jak je podjąć, jak sobie z nimi poradzić, a często po prostu mieliśmy wrażenie, że brakuje nam na to wszystko sił. Siły jednak pojawiały się ciągle na nowo w cudowny sposób. Dziś nie uwierzyłabym, że sprostałam wielu kwestiom, które – gdybym ich sama nie doświadczyła – pewnie uznałabym za niemożliwe do pokonania. Problemów dzieci, jak też i naszych. Okazuje się bowiem, że stać nas na bardzo wiele, o ile podejmujemy rzucone nam wyzwanie losu z wiarą, ufnością i miłością, gdyż to właśnie czyni cuda.

Jednym z takich wyzwań była droga do nauki mowy naszego synka, trudna i mozolna,

czasem wydająca się bez szans powodzenia. Wierzyłam jednak tak mocno i uparcie, i pragnęłam tego tak bardzo. Po prostu nie mogłam go zawieść. Nie mogłam nie dotrzymać danej obietnicy. I się udało!

Innym było powiedzenie „tak" kolejnym dzieciom. W sercu nosiliśmy bowiem ciągle takie marzenie. Pojawiała się jednak obawa, strach mrożący i paraliżujący: Co jeśli? Czy damy radę? Bardzo trudno było znów zebrać w sobie odwagę. Wtedy nadzieja i wiara stały się nam przewodnikiem. Wiedzieliśmy już, jak zacząć – od modlitwy. Tak też rozpoczęła się historia naszych kolejnych dzieci.

Kiedy urodziło się nasze następne dzieciątko, stało się nam wielką radością i otworzyło drzwi do „normalności". Zdążyliśmy bowiem już tak zanurzyć się w świecie zespołu Downa, że stał się on naszą całą rzeczywistością. Ono zaś podało nam swą rączkę i zaprowadziło z powrotem do zwykłego świata. Jego oczy mówiły: „Nie lękajcie się. Ten świat jest i wasz. Nie ma potrzeby byście go tracili. Teraz jest naszym wspólnym. Nie lękajcie się, przecież jestem". Tak stało się nam pomostem pomiędzy tymi dwoma rzeczywistościami, przynosząc swą miłość i odzyskując dla nas radość „normalności". Kiedy nasza rodzina po raz kolejny się powiększyła, nauczyliśmy się już na nowo naszego „normalnego" świata i nie musieliśmy dłużej tak ostrożnie w nim stąpać przepełnieni zbyt wieloma obawami, że może zaraz coś się zawali lub pryśnie jak bańka mydlana, bo nie należy do nas. Nasze dzieci pokazały nam, że ten świat może być na powrót również i nasz, i teraz już mogliśmy się tym po prostu cieszyć. Znów rozbrzmiała w pełni tak długo tłumiona strachem i zagubieniem najgłębsza i najszczersza radość. Ta, o którą doprawdy warto walczyć, na którą jakże trzeba czekać!

Nasze następne dzieci stworzyły pomost pomiędzy dwoma światami nie tylko dla nas, lecz również dla siebie nawzajem, utwierdzając nas w świadomości wspaniałego dopełnienia piękna naszego przeznaczenia. Tak każdy z nas może teraz rozkwitać sobą, a to, co do tej pory wydawać się mogło ograniczeniem, stało się wyjątkowym darem ponad miarę.

Otrzymaliśmy bowiem dwa światy, które wyciągnęły do siebie ręce: pełnosprawny i niepełnosprawny, w ich trudach i pięknie. Są inne, to prawda. Rządzą się różnymi zasadami i innym wyzwaniom są poddawane, ale żaden z nich nie jest gorszy, a co więcej, wygląda na to, że żaden z nich może nie mógłby osiągnąć swej pełni bez drugiego. Jeden stoi bowiem na straży drugiego, jako wzajemne dopełnienie swej „niedoskonałości": z jednej strony ciała i umysłu, z drugiej zaś ducha i serca, byśmy mogli wzrastać w swej wielkości, w byciu pełnym człowiekiem, podając sobie nawzajem ręce i rozwijając swe skrzydła, gdyż „niepełnosprawny człowiek wyzwala w drugim człowieku, tak zwanym sprawnym,

wartości, których ten nie dostrzegłby w innej sytuacji. Są to wartości, które uszlachetniają osobę ludzką, a także wspólnotę. Lapidarnie można powiedzieć, że chodzi tu o szczególne doświadczenie miłości. Dodać należy, że jest to miłość wysokiej próby"*.

I co dalej?

Chyba po prostu przestałam oczekiwać gotowych rozwiązań, na rzecz szukania prawdziwych marzeń. Zaczęłam odkrywać swe najgłębsze pragnienia i wybierać je, mówiąc im „tak", bez konieczności przejrzenia sposobów ich spełnienia. Te bowiem, które nas przerastają, zostaną nam dane w odpowiednim czasie, gdyż nie zawsze od początku jesteśmy zdolni pojąć pełną głębię naszych marzeń, a wzrastamy wraz z jej odkrywaniem. Nie od razu też widzimy całą naszą drogę. Tak też z każdym dniem uczę się, co znaczy zawierzyć. Dziś bowiem mamy wspaniałą rodzinę, nie przypuszczając nawet wcześniej, jak wyjątkowa być może. Kiedy dowiedzieliśmy się, że jestem w ciąży i marzyłam o tym, by nasz synek był wyjątkowym człowiekiem, nie mogłam nawet przypuszczać, jak wiele może kryć się w tym pragnieniu. Do naszego życia zastukała bowiem bezgraniczna miłość, otworzyła drzwi naszych serc i weszła do środka, ucząc nas zrozumienia dla innych, pokory, wytrwałości, a przede wszystkim i nade wszystko tego, co znaczy kochać bez granic.

Czasem przypomina mi się pytanie lekarza: „Jak to, pani ma zespół Downa?". Dziś również odrzekłabym „tak", choć nieco inaczej, może pełniej. Bez obaw i strachu, lecz z radością odparłabym: „Tak, mój synek ma zespół Downa i ja też, w moim sercu, a zespół ten wiele mnie nauczył i jestem bardzo szczęśliwa".

Droga do radości nie była jednak ani łatwa, ani krótka. Warta natomiast wszelkich trudów, jakie mieliśmy podjąć i przezwyciężyć, gdyż doprawdy może być pięknie! Nie warto więc poddawać się, ani zakładać, że jakoś to będzie. Trzeba nieustannie szukać prawdy swego serca i pozostać jej wiernym, by mogła stać się nam drogą ku szczęściu i spełnieniu najgłębszych marzeń.

Nikt nie każe nam gór przenosić, jeśli nie jest to naszym prawdziwym pragnieniem. Nie musimy niczego udowadniać, pokazywać, że moje dziecko, choć niepełnosprawne, dorówna naszym standardom normalności, bo to nasze poprzeczki. Zostawmy je więc dla siebie. Im zaś pozwólmy i pomóżmy stawać się sobą, wzrastać na miarę ich możliwości, każdy rozwój niesie bowiem spełnienie. Tak, byśmy wszyscy mogli stawać się prawdziwie wspaniali. Każdy na swój sposób i swą pełnią, bez konieczności wyrzekania się siebie czy też

* K. Parch, *Niepełnosprawność nie jest karą za grzechy, Z myślą o Tobie – Informator dla rodziców dzieci z zespołem Downa, Bardziej Kochani*, wydanie specjalne.

negowania i niszczenia nawzajem swego piękna. Bo najwspanialsi jesteśmy, będąc sobą – wszyscy, pełnosprawni i niepełnosprawni.

My zaś, rodzice niepełnosprawnych dzieci, nie potrzebujemy walczyć z wiatrakami. Wystarczy, że będziemy kochać i pozostaniemy sobie wierni, gdyż to my właśnie, tacy jacy jesteśmy, zostaliśmy wybrani. Bądźmy więc sobą, szczęśliwi, gdyż nasza szczera radość jest największym darem dla naszych dzieci, jak też i naszą wiernością wobec siebie.

Nasz, dziś już nie taki mały, chłopiec

Nasz synek jest szczęśliwym chłopcem, szczerze i głęboko radosnym. Potrafi chodzić, a nawet biegać i skakać, choć nieco nieporadnie. Mówi i – mimo że nie do końca poprawnie i nie zawsze wyraźnie – możemy ze sobą rozmawiać.

Uczęszcza do szkoły specjalnej. Zdobywa kolejne umiejętności i rozwija się na miarę swych możliwości. Zna literki i cyferki, potrafi przeczytać proste wyrazy. Prawdopodobnie nigdy nie nauczy się wiązać sznurówek, pisać i rysować, pewnie też wiele innych umiejętności pozostanie poza jego zasięgiem. Aczkolwiek nic nie jest wykluczone, dopóki będzie każdy dzień podejmował jako nowe wyzwanie i szansę, a tak właśnie wita nas każdego poranka.

Uwielbia muzykę. Fascynują go dźwięki, teatr, film, woda i podróże. Nade wszystko jednak kocha drugiego człowieka. I choć ma zespół Downa, przestaliśmy to dostrzegać. Jest po prostu taki, jaki jest. Jak każdy z nas: inny, niedoskonały i jakże wyjątkowy. Potrzebuje nas bardziej i tak też kocha. Tym, co tak naprawdę go wyróżnia, jest to, że nie ma w nim zła, zupełnie nic, w żadnej formie. Jego serce jest szczere i czyste, całe przepełnione miłością.

Radosna prawda

Nie potrafię wyrazić, jak głęboka jest moja radość, że się nie poddaliśmy, gdyż nigdy nie odkrylibyśmy tak wiele. Mogliśmy jednak odwrócić się od własnych marzeń lub nie sięgnąć po kolejne, a wtedy pozostałaby w nas pustka niespełnienia i tęsknota za naszymi głębokimi pragnieniami, prawdą naszego serca oraz wolnością, jaka zostałaby ograniczona strachem, gdyż: „Poza prawdą wolność nie jest wolnością. Jest pozorem. Jest nawet zniewoleniem" (Jan Paweł II, Olsztyn 6 VI 1991 r.).

Tak też życzę nam wszystkim głębokiego szczęścia oraz odwagi i wytrwałości, by o nie walczyć. Niech każdy, odkrywając prawdziwe oblicze własnych marzeń, sięgnie głębi, gdyż tam jest światło, moc i siła, tam czeka na nas prawdziwe szczęście –

bo taka jest nasza radosna prawda.

A nauczył mnie tego mały chłopiec z zespołem Downa,
którego ja po prostu kocham.
Kocham go od samego początku, od pierwszej myśli o nim,
wręcz od „gdy jeszcze nawet wróbelki o nim nie ćwierkały”,
po prostu od zawsze,
bo czyż nie zostaliśmy stworzeni z miłości…

Spis treści

Podziękowania *5*
Wstęp *8*
Wolność *10*
Narodziny *11*
Początek *13*
Dopełnienie *15*
Potwierdzenie *18*
Czas marzeń *20*
Konfrontacja *24*
Na granicy możliwości *31*
Uśmiech nieba *33*
Test *40*
Strąceni ze skały *43*
Szukając *48*
Ślady na piasku *53*
Dom *58*
Świecąca plamka *65*
List *66*
Zasłona słów „na czasie” *69*
Dobry człowiek *80*
Jawa czy sen? *82*
Pustka *86*
Dlaczego? *89*
Nie ma *93*
Twierdza *94*
Krążąc bez końca *98*
Wiara góry przenosi *101*
Ludziom wydawało się *107*
Nowa nadzieja *109*
Różni *111*
Czytać, nie czytać? *113*
Krępujące więzy *115*
Na wiosnę *119*
Czy ono wie? *120*
Ciemność istnieje *121*
Zwierciadło snów *124*
Zbyt trudne pytania *126*
Sztuczne światło *128*
Nie chcę tam iść *133*
Tym razem nie był sam *134*
Nie było na to lekarstwa *137*
Wierząc uparcie *138*
Małe marzenie *143*
Już czas *147*
Narodziny *152*

Powitanie *157*
Dzień Świętości Życia *160*
Tafla światła *163*
Pozostać sobą *172*
Na miarę *176*
Prośba *178*
Mały kamień *182*
Odzyskane marzenie *183*
Człowiek człowiekowi *185*
Gdzie jesteście? *189*
Wiele możemy *192*
Myśli i uczucia *194*
Prawo miłości *199*
Słowa *203*
Prosząc *207*
Głębia nocy *209*
Wybór *211*
Pierwszy krok *218*
Ujrzeć blask *221*
Przeznaczenie *231*
Wdzięczność *241*
Oblicza szczęścia *251*
Krzyż *254*
Opowieść *257*
Wsiane w serce *258*
Dzisiaj *259*
Ostatni sen *261*
Nowy początek *268*
Piękna Ziemia *272*
O, Polsko *273*

Dodatek
Sprzeniewierzeni miłości *276*
Dawno, dawno temu… *277*
Wybrana *281*

Posłowie
Pisząc *285*
Zwykła ja *293*

PIĘKNA ZIEMIA

Jest jedno takie pragnienie, jedno prawo i jedno marzenie,
które drzemie w sercach nas wszystkich,
a ma ono moc budowania wspaniałego świata,
jeśli je wybierzemy…

Ziemia jest naszym światem, naszym domem. My zaś każdego dnia, z każdą chwilą i z każdym wyborem kształtujemy jej oblicze. Najmniejsze dzieła, czyny, słowa, a nawet myśli kreują naszą rzeczywistość – nie pozostają bez znaczenia.

Historia pokazała niejednokrotnie wielkość, piękno oraz szlachetność człowieka, lecz także wydarzenia i czasy tragiczne, za które odpowiedzialny jest również człowiek. Obecnie niemal każdego dnia docierają do nas wiadomości o zagrożeniu nowymi chorobami, konfliktami, wojnami, klęskami itd. A wtedy nasuwa się refleksja: „W jakim świecie żyjemy?", „Gdzie dotarliśmy?" i „Dokąd zmierzamy?". Zastanawiając się nad tym, należałoby się na chwilę zatrzymać i…

…tak właśnie rozpoczyna się ta opowieść, wołaniem: „Stop! Zatrzymajcie się!", by następnie zabrać nas w wędrówkę wśród niebanalnych wyborów. Towarzyszymy bohaterom w chwilach, gdy stawiają czoła zaskakującej ich rzeczywistości oraz odkrywają prawdziwe marzenia, kiedy stają w obliczu trudnych, nieodwracalnych decyzji. To historia oparta na faktach, rozgrywająca się w realiach naszych czasów, a równocześnie ponadczasowa podróż w głąb siebie – w poszukiwaniu prawdy o człowieku: „Czego naprawdę pragniemy?", „Do czego dążymy?" i „Jak wiele zależy od nas?".

Książka ta jest zaproszeniem do osobistego szukania odpowiedzi na te oraz inne, tak bardzo nurtujące nas dziś pytania. Odpowiedzi, które kształtują nasze życie, nasz świat – oblicze tej Ziemi.

www.pieknaziemia.pl

ISBN 978-83-944198-2-0
9 788394 419820